

ZESZYT STO DZIESIĄTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1994

ZESZYT STO DZIESIĄTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1994

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 487

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0155-X

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Ewa PAŁASZ-RUTKOWSKA — Andrzej T. ROMER

WSPÓŁPRACA POLSKO-JAPOŃSKA W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

(Kowno, Sztokholm, Królewiec i Berlin 1939-1944)

Niniejszy tekst stanowi fragment większego opracowania na temat historii kontaktów polsko-japońskich, nad którymi pracują wspólnie Ewa Pałasz-Rutkowska i Andrzej T. Romer. Dr Ewa Pałasz-Rutkowska, japonistka z Uniwersytetu Warszawskiego, spędziła nad tym zagadnieniem kilka lat w kraju i wiele miesięcy w Japonii, gdzie poszukiwała dokumentów i konsultowała się z japońskimi specjalistami. Miała także okazję rozmawiać z kilkoma osobami, pamiętającymi wydarzenia z czasów wojny, a m.in. z panią Onoderą Yuriko i z panią Sugiharą Yukiko, których mężowie, generał Onodera Makoto i konsul Sugihara Chiune, współpracowali z naszym wywiadem. Andrzej T. Romer już ponad dwadzieścia lat temu rozpoczął gromadzenie materiałów na powyższy temat, zamierzając wówczas wykorzystać je w rozprawie doktorskiej. W tym celu przeprowadził także rozmowy z takimi naocznyimi świadkami ówczesnych wydarzeń jak gen. Yamawaki Masataka, Eryk Budzyński, Wincenty Chrzęszczewski, Jan Fryling, Ludwik Hryniewicz, Wacław Jędrzejewicz, Tadeusz Romer czy Michał Rybikowski.

W tym miejscu chcielibyśmy serdecznie podziękować za nieodzowną pomoc i zgodę na publikację udostępnionych nam materiałów nie tylko osobom wyżej wspomnianym, ale także

wielu innym, których nie sposób tutaj wymienić. Niestety czas płynie nieubłaganie i większość z nich odeszła już z tego świata. Mamy nadzieję, że dzięki naszej pracy udział tych wszystkich osób w wydarzeniach, o których będzie mowa niżej, nie zostanie zapomniany.

Współpraca polsko-japońska w czasie II wojny światowej ograniczała się głównie do działalności przedstawicieli wywiadów obu państw, której ośrodkiem było najpierw, do utraty niepodległości przez Litwę w sierpniu 1940 r., Kowno, a następnie neutralny Sztokholm. Agenci Polski i Japonii działali także w Królewcu i Berlinie. Autorzy, mając dostęp do wielu nowych, nigdzie jeszcze nie opublikowanych źródeł, postanowili dokładniej zająć się prawie zupełnie nie znaną współpracą Polaków i Japończyków w Kownie, Sztokholmie, a także w Królewcu, a sprawę opisaną już dość dokładnie ich działalność w Berlinie przypomnieć tylko w niezbędnych fragmentach.

Na wstępie należy jednak zaznaczyć, że każdy badacz, starający się przeniknąć historię wywiadów, spotyka się zawsze z ogromnymi trudnościami. Zwykle agenci nie robią żadnych notatek, wszystko zachowują w pamięci, a gdy próbują to odtworzyć wiele lat później, to świadomie czy nieświadomie, mylą się, pewne fakty wyolbrzymiają, o innych zapominają. Dlatego autorzy niniejszej pracy, mając do dyspozycji teksty wielu rozmów, wspomnienia, listy i pamiętniki, które są często ze sobą sprzeczne, musieli sami dokonywać wyboru i podawać wersję, która z różnych powodów wydawała im się najbardziej prawdopodobna, albo cytować fragmenty z kilku, nie zawsze zgodnych, źródeł. Uznali, że w wielu przypadkach przytoczenie relacji naocznych świadków ówczesnych wydarzeń odda najlepiej ich nastawienie do sprawy i atmosferę tamtych dni.

Pewne trudności nastroczyło autorom również to, że niektórzy wywiadowcy, nawet wiele lat po wojnie przestrzegali zasad konspiracji i nie podawali prawdziwych nazwisk swoich kolegów, czy współpracowników, mimo że je znali.

Kolejną trudnością w tego typu badaniach jest niemożność dotarcia do dokumentów w archiwach. Przeważnie dokumenty wagi państwowej ujawniane są po 50-letnim okre-

się karencji, ale często ta zasada nie znajduje zastosowania w przypadku dokumentów wojskowych, a przede wszystkim tych, dotyczących działalności szpiegowskiej. Zdarza się, że pozostają na zawsze niedostępne dla zwykłych badaczy. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja w przypadku archiwów japońskich. Zostały one w większości, jak twierdzą sami Japończycy, spalone w momencie kapitulacji Japonii, a te które pozostały, wywieziono do Stanów Zjednoczonych w czasie okupacji. Można w to wierzyć lub nie, ale faktem jest, o czym przekonała się autorka, że w archiwach japońskich nie ma nic, lub raczej nie można dotrzeć do niczego, na powyższy temat.

Jedną z zasad oficerów wywiadu jest także niezawieranie żadnych pisemnych umów, dotyczących współpracy z wywiadem innego kraju. Potwierdzili to w rozmowie z autorem zarówno prof. Wacław Jędrzejewicz, *attaché* wojskowy a później *chargé d'affaires* w Japonii w l. 1925-1928 jak i Tadeusz Romer, poseł i ambasador polski w Tokio w l. 1937-1941. Obaj wiedzieli jednak o tym, że taka współpraca między Polakami i Japończykami, dotycząca głównie informacji na temat ZSSR, a znacznie później również Niemiec, istniała już od początku lat dwudziestych, czyli od pobytu w Polsce pierwszego *attaché* wojskowego Japonii, wówczas jeszcze majora, Yamawakiego Masataki.

Warto teraz przypomnieć, co działo się w drugiej połowie lat trzydziestych w Europie i Azji.

W 1936 r. wybucha wojna domowa w Hiszpanii, Hitler i Mussolini zawierają sojusz osi Berlin-Rzym, a następnie Niemcy i Włochy podpisują pakt antykominternowski z Japonią. W tym czasie na arenie politycznej Japonii coraz częściej dochodzą do głosu nacjonalistycznie nastawione ugrupowania wojskowe i cywilne. W lipcu 1937 r. wybucha tzw. incydent chiński, czyli trwająca 8 lat wojna Japonii z Chinami, a rok później premier Japonii, Konoe Fumimaro zapowiada wprowadzenie „nowego porządku w Azji”, czyli koordynacji politycznej, ekonomicznej i kulturalnej Japonii, Mandżukuo oraz Chin. Ogłoszono także „ustawę o powszechnej mobilizacji kraju”, która miała służyć przestawieniu polityki Japonii na tory wojenne. Natomiast w Europie na początku tego samego roku następuje wcielenie Austrii do Trzeciej Rzeszy. W marcu Polska nawiązuje kontakty dyplomatyczne z Litwą, a we wrześniu mocarstwa zachodnie, podpisując układ mona-

chijski, godzą się na oddanie Sudetów Niemcom. Wiosną 1939 r. wyraźnie pogarszają się stosunki polsko-niemieckie, Czechy i Morawy zostają przyłączone do Niemiec jako protektorat, a w Słowacji powstaje rząd marionetkowy. Ostatni sygnał, że wojna wybuchnie lada dzień, stanowi podpisanie 23 sierpnia 1939 r. paktu Ribbentrop-Mołotow. Japonia odbiera to jako zdradę lojalności Niemiec i zerwanie paktu antykominternowskiego. W tej sytuacji władze Japonii nie mając już pełnego zaufania do swoich sojuszników i ich informacji postanawiają stworzyć nową placówkę, skąd można byłoby dobrze obserwować zarówno Związek Sowiecki jak i Niemcy. Wybór pada na Kowno.

1 września następuje atak Niemców na Polskę. 17 września wojska sowieckie przekraczają wschodnią granicę Polski i zajmują jej wschodnie tereny, w tym między innymi Wilno. Część znajdujących się tam oddziałów polskich przekracza granicę litewską i zostaje internowana w obozach (Kołotowo, Birsztany, Połoga i in.). Wkrótce zaczynają się ucieczki i w związku z tym tworzy się cała sieć pomocy dla uciekinierów.

Ludwik Hryniewicz (1904-1993), który już przed wojną był szefem polskiej grupy wywiadowczej „Wierzba” na Litwie, kontaktuje się z polskim *attaché* wojskowym w Kownie, płk. Leonem Mitkiewiczem (1896-1972) i otrzymuje od niego polecenie rozszerzenia istniejącej siatki. Głównym jej zadaniem miało być właśnie wydostawanie z obozów i pomoc dla byłych wojskowych. Mieli oni pierwszeństwo zwłaszcza w wyrabianiu zachodnich wiz i przerzucaniu na Zachód, głównie do Sztokholmu, dokąd droga wiodła przeważnie przez Rygę lub Tallin i Helsinki.

Hryniewicz pisze o tym w nie opublikowanych jeszcze wspomnieniach, „Grupa pod kryptonimem 'Wierzba' na Litwie Kowieńskiej działająca w okresie II wojny światowej”, Warszawa 1988 r. (A.3., s. 13)¹:

„Wyciągania wojskowych z obozów trwały. Trzeba było troszczyć się o ubrania, pieniądze, dokumenty i wytypowanych pchać na Szwecję i

1. Pełna lista dokumentów nie opublikowanych, znajdujących się w posiadaniu autorów oraz inne dokumenty i wybrana literatura, wykorzystana w niniejszej pracy, zamieszczone są na końcu. Numer w nawiasie przy źródle cytowanym lub omawianym w tekście głównym odpowiada kolejnemu numerowi w bibliografii. Przy numerze podana jest strona oryginału.

dalej. (...) Mnie przypadło w udziale wyciągnięcie z obozów (Kołotowo i Birsztany) i zaopiekowanie się oficerami z Ekspozytury Wilno i Grodno. Było tego ze dwadzieścia, a może i więcej osób. Nazwiska, które nie umknęły mi to: Stanisław Laurentowski, Burhard, De la Tour, a także Rybikowski”.

Pojawia się tu pierwsza postać, która odegrała zasadniczą rolę we współpracy z wywiadem japońskim, a mianowicie Michał Rybikowski, któremu autorzy więcej miejsca poświęcą w dalszej części pracy. W końcu października wy dostał się także z obozu w Kołotowie por. Leszek Daszkiewicz, oficer Ekspozytury Grodno II Oddziału Sztabu Generalnego, który pod koniec grudnia nawiązał współpracę z przebywającym już wówczas w Kownie, „Kubą”, czyli kpt. Alfonsem Jakubiancem. Jakubianiec, po ukończeniu Szkoły Podchorążych w Ostrowie-Komorowie, od 1932 r. służył w 5 Pułku Piechoty w Wilnie, gdzie staż odbywał także mjr Mizuno Shinzo. Potem od 1935 r. był oficerem Ekspozytury II Oddziału w Grodnie i, jak twierdzi Hryncewicz, miał rozwiniętą siatkę wywiadowczą w Prusach Wschodnich. Ci trzej oficerowie, m.in. dzięki kontaktom z Japończykami, odegrali szczególnie ważną rolę w pracy naszego wywiadu w początkowym okresie wojny.

Tymczasem, na początku października dobiegają końca walki w Polsce. Tereny Polski znajdują się pod okupacją niemiecką i sowiecką. W związku z tym tysiące uciekinierów cywilnych oraz nowa fala wojskowych przekracza granicę litewską, gdzie przyjęto ich bardzo dobrze, mimo że dla małego kraju napływ wielu tysięcy uciekinierów² stwarzał liczne problemy. 15 października, na znak protestu wobec układu litewsko-sowieckiego z 10 października, mocą którego rząd ZSSR przekazywał Litwie część terytorium polskiego wraz z Wilnem, opuszczają Litwę oficjalni przedstawiciele naszego poselstwa w Kownie z posłem Franciszkiem Charwatem i *attaché* wojskowym, płk. Mitkiewiczem. Od tego momentu sprawy uchodźców polskich na Litwie przejmuje angielski *chargé d'affaires*, Preston i *attaché* wojskowy Francji, por. Pichon, którym pomagają pracownicy polskiego wywiadu. Swoją współpracę rozszerzą oni wkrótce na nowo otwarty

2. Na Litwę przybyło 15 tys. wojskowych i 2 tys. cywilnych uciekinierów (nie licząc obszarów Wileńszczyzny).

konsulat Japonii w Kownie, a ściślej na konsula Sugiharę, który odegra tu szczególną rolę.

Kowno — współpraca Sugihary Chiune z polskim wywiadem

W listopadzie 1939 r. zjawia się w Kownie i w charakterze wicekonsula otwiera nową placówkę Japonii, wybraną ze względu na lokalizację i możliwość obserwacji zarówno ZSSR jak i Niemiec, Sugihara Chiune (Senpo) (1900-1986).

Sugihara, po zdaniu w 1919 r. egzaminów w japońskim MSZ, został wysłany do Chin, do Instytutu Charbińskiego, gdzie uczył się m.in. języka rosyjskiego. Ponieważ miał zdolności językowe i szybko robił postępy, zatrudniono go w ambasadzie Japonii w Charbinie. Wkrótce uznano go za specjalistę od Związku Sowieckiego i gdy w marcu 1932 r. Japończycy stworzyli w Mandżurii marionetkowe państwo Mandżukuo, został w tamtejszym Ministerstwie Spraw Zagranicznych szefem Sekcji Rosyjskiej. Wkrótce awansował na wiceministra. Odwołany do Tokio przez kilka lat pracował w MSZ i w 1937 r. jako I sekretarz wyjechał do poselstwa Japonii w Helsinkach. Ponieważ w październiku ówczesny poseł Sako Shuichi został mianowany ambasadorem w Warszawie, Sugihara zaczął pełnić rolę *chargé d'affaires*. Pozostał tam do momentu objęcia placówki w Kownie.

On sam w nie opublikowanym dotąd raporcie w języku rosyjskim (A.6, s.1-2) pisze o swojej misji w Kownie w następujący sposób:

„Gen. Oshima (...) chciał się upewnić, czy rzeczywiście armia niemiecka wystąpi przeciw ZSSR. Chodziło między innymi o to, że w rychłym uderzeniu Niemiec na ZSSR z zachodu bardzo zainteresowany był japoński Sztab Generalny, który chciał jak najszybciej wycofać najlepsze siły Armii Kwantuńskiej, tj. armii japońskiej, stacjonującej w Mandżurii, z granicy mandżursko-sowieckiej i przerzucić je na wyspy południowe Oceanu Spokojnego. Szybkie i prawidłowe ustalenie terminu niemieckiej napaści — było głównym zadaniem posta. Jasne stało się dla mnie, dlaczego Sztab nalegał na MSZ, aby otworzyć konsulat w Kownie. Będąc konsulem w Kownie, gdzie nie istniała kolonia japońska, zrozumiałem, że moim głównym zadaniem jest informowanie Sztabu Generalnego oraz ministerstwa (...) o koncentracji wojsk niemieckich w pobliżu granicy”.

Sugihara nawiązuje kontakty z Polakami. Poprzez mieszkającą w Helsinkach dziennikarkę, Lilię Lisitzin, ku-

zynkę Zofii Kognowickiej dociera do jej syna Tadeusza Kognowickiego. Będąc członkiem komendy Podokręgu ZWZ Kowno i jednym z najbliższych współpracowników „Wincen-tego” czyli płk. Wincen-tego Chrzęszczewskiego (od jesieni 1940r. zastępcy wojskowego komendanta Obwodu Kowień-skiego ZWZ) kontakty z konsulem japońskim wykorzystuje do przesyłania drogą dyplomatyczną raportów ZWZ do rządu polskiego na emigracji.

Poza tym Sugihara ma także okazję spotkać się ze wspomnianym już dowódcą „Wierzy”, Hryncewiczem, o czym ten ostatni pisze tak (A.3., s.16-17):

„Na towarzyskim spotkaniu — nie pamiętam — u Skansego (*attaché* wojskowy Szwecji), czy u MacGowna (konsul amerykański), na którym był również Sugihara, usłyszałem, że Sugihara zapytuje, czy ktoś nie mógłby zarekomendować mu przyzwoitego człowieka na stanowisko kamerdynera. Wpadłem na myśl, żeby wykorzystać okazję i ulokować u Sugihary kogoś, kto mógłby mnie informować, co się dzieje w konsulacie japońskim i co tam w trawie piszczy. Bo przecież dotychczas takiego konsulatu w Litwie nie było i raczej nie był potrzebny. Przez Skansego podsunąłem nazwisko Rozińskiego, Polaka i przyzwoitego, uczciwego człowieka, którego zobowiązałem do tego, żeby był okiem i uchem w domu Sugihary. (...) Sprawa wypaliła według moich życzeń. (...) Stało mi się wiadomym, że otwarcie konsulatu, to legalne umiejscowienie placówki wywiadowczej Japończyków. (...) Niemcy nie chcieli zgodzić się z ulokowaniem konsulatu w Królewcu, wybrano więc zastępczo Kowno”.

Do Sugihary, wiosną 1940r., dociera także kpt. Alfons Jakubianiec, podający się wówczas za Jerzego (Żorża) Kuncewicz i por. Leszek Daszkiewicz jako Jan Stanisław Perz.

Dokładnie nie wiadomo, dzięki komu spotkali się z Sugiharą. Sam Sugihara we wspomnianym raporcie (A.6., s.5) pisze o tym dość ogólnie:

„Pewnego wiosennego dnia 1940r. Kasprzyk (rzekomy porucznik polskiego wywiadu, któremu Sugihara pomógł wyjechać do Japonii; ATR) przyprowadził do mnie z Wilna dwóch młodych Polaków, jeden Żorż Kuncewicz, drugi, Jan Perz. Kuncewicz, kapitan sztabowy armii polskiej, wywiadowca znający języki rosyjski i niemiecki, Perz, porucznik polski, rezerwista, mówi po rosyjsku, ale gorzej niż Kuncewicz. Na prośbę Kasprzyka przyjmowałem ich zawsze, gdy o to zabiegali. W początkach sierpnia, gdy stało się dla mnie jasne, że trzeba zamknąć konsulat, poprosili mnie o pomoc. Zgodziłem się i wydałem im obu, jako sekretarzom konsulatu, japońskie paszporty służbowe i 20 sierpnia wysłałem do Niemiec moim służbowym samochodem”.

Nieco inną wersję podaje Hryncewicz (A.3., s.17-18):

„Tymczasem (...) zaczęła się Kubie palić ziemia pod nogami. Z rozmów z nim wiedziałem, że w swoim czasie był on przydzielony do jakiegoś pułkownika japońskiego, który w Polsce przechodził przeszkolenie kawalerskie, czy też może uczęszczał do Wyższej Szkoły Wojennej. Kuba przechwalał się, że z tym pułkownikiem miał zażyłe stosunki (...) Los Kuby wisiał na włosku (...). Wpadliśmy na pomysł, żeby wykorzystać Japończyków i w sprawie Kuby. (...) Udałem się więc do konsulatu, (...) zreferowałem Sugiharze szczerze i otwarcie sprawę Kuby. Otrzymałem odpowiedź po tygodniu — Sugihara musiał to uzgodnić z wyżej wymienionym pułkownikiem japońskim, który podobno był już generałem i naczelnym dowódcą jazdy japońskiej. Bolesław powiadomił mnie, żebym wraz z Kubą stawił się u Sugihary. Poszliśmy. Przyjęto następujący tryb postępowania:

- Jakubianiec otrzymuje japoński paszport na imię Jerzy Kuncewicz;
- Sugihara wyjeżdżając do Niemiec zabiera ze sobą Jakubianca i Daszkiewicza, starając się umieścić ich obu w placówkach japońskich na terenie Niemiec;

- łączność obu wywiadowców z „Wierzbą” będzie dokonywana przez kurierów japońskich kursujących na trasie Berlin, Kowno, Moskwa, Tokio. „Wierzba” będzie przejmowała pakiety w pociągach, w których będą jechali kurierzy. Wymiana pakietów obustronna;

- Sugihara postara się o to, żeby ewentualne pakiety skierowane przez Kubę i Daszkiewicza były przez kurierów dostarczane również z Berlina do Sztokholmu z przeznaczeniem dla Rybikowskiego-Iwanowa. Sugihara zastrzegł się, że kurierzy japońscy na tej trasie kursują rzadko i sporadycznie”.

Tekst ten budzi jednak pewne wątpliwości, szczególnie we fragmentach dotyczących „jakiegoś pułkownika japońskiego”. Wiadomo, że Jakubianiec poznał mjr. Mizuno w 5 Pułku Piechoty w Wilnie, ale nie ma żadnych dowodów na to, że utrzymywali kontakty w czasie wojny. Ponieważ nazwisko Japończyka nie występuje w żadnym słowniku biograficznym oficerów armii i floty Japonii, można przypuszczać, że nie zrobił on kariery wojskowej i nie awansował do stopnia generała, czy nawet pułkownika. Być może Sugihara kontaktował się z innym oficerem, choć i to wydaje się mało prawdopodobne ze względu na fakt, że jako konsul podlegał władzy cywilnej, czyli japońskiemu MSZ.

Jeszcze inną wersję podaje por. Daszkiewicz w również nie opublikowanym sprawozdaniu ze swej działalności w czasie wojny, napisanym prawdopodobnie na prośbę Rybikowskiego w Anglii w 1948 r. (A.2., s.21-24):

„W miesiącu marcu lub kwietniu 1940 r. z polecenia kpt. Jakubiańca udałem się pewnego dnia do konsulatu japońskiego w Kownie, gdzie miałem spotkać się w zastępstwie kpt. Jakubiańca i poinformować go o przygotowaniach sowieckich na granicy (b. granica polsko-sowiecka) i koncentracji wojsk sowieckich w wielu rejonach, co wyglądało na jakieś przygotowania wojskowe. (...) Konsul o nazwisku Sugihara Chiune był uprzedzony telefonicznie przez kpt. Jakubiańca o moim przyjeździe do niego. Przyjął mnie natychmiast i rozmowa nasza w języku rosyjskim trwała krótko. (...) Od tego spotkania do konsula japońskiego chodziłem często (...) podawałem jemu informacje odnoszące się tylko do spraw rosyjskich. Wiedział doskonale, że kpt. Jakubianiec i ja prowadzimy wywiad wojskowy. (...). Konsul Sugihara paszport dla kpt. Jakubiańca wydał w miesiącu kwietniu 1940 r. (...) Na skutek moich starań i prośb kpt. Jakubiańca o wydanie dla mnie paszportu japońskiego konsul Sugihara wciąż zwlekał i nie było nadziei, że wyda. Dopiero w sierpniu 1940 r. (...) zdecydował się i mnie wydać paszport japoński z datą wcześniejszą”.

Wszystkie źródła zgodne są co do tego, że konsul Sugihara współpracował z naszym wywiadem, w tym również z kpt. Jakubiańcem i por. Daszkiewiczem. Współpraca ta dotyczyła także sprawy wydania uchodźcom polskim wiz tranzytowych przez Japonię. Ponieważ historia ta nie jest w Polsce zupełnie znana należy poświęcić jej więcej miejsca.

Sięgnijmy więc jeszcze raz do cytowanego powyżej sprawozdania (A.2., s. 22-23):

„Prócz podania konsulowi japońskiemu wiadomości z terenu ZSSR, miałem otrzymać od niego odpowiedź co do decyzji wydawania wiz tranzytowych przez Japonię. Montowana była wówczas akcja, aby uchodźcy polscy mogli jechać tranzytem przez Rosję i Japonię do Ameryki i na jedną z wysp u brzegów Ameryki Południowej (...). Otrzymałem od niego odpowiedź, że sprawa wydania wiz ma nastąpić za 10 dni, bo zgoda rządu japońskiego już nadeszła, a czeka tylko na instrukcje z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. (...) Chętny był konsul w załatwianiu spraw uchodźczych i tutaj zrobił wiele (...) był jednym z tych pierwszych, który wysunął projekt oficjalny wyjazdów uchodźców polskich przez Japonię do jednego z małych państw u brzegów Ameryki Płd. (...) Konsul honorowy tegoż państewka w Kownie zgodził się na wydanie wiz pobytowych za odpowiednią opłatą, chociaż doskonale wiedział, że nikt z wyjeżdżających tam nie pojedzie, a z Japonii, przy pomocy istniejącego jeszcze poselstwa RP udadzą się do innych krajów. (...) Gdy nastąpił okres wydawania wiz przez Konsulat Japoński, masowo zaczęli zgłaszać się Żydzi, natomiast wśród Polaków niewielu było chętnych. Zgłosiło się tylko kilkunastu, którym ułatwiłem pierwszeństwo w załatwianiu wszelkich spraw. (...) Wiz tranzytowych konsul japoński miał wydać 600, okazało się jednak po pewnym czasie, że było wydanych znacznie więcej tj. około 900 wiz. Stało się to również dzięki naszej kombinacji, a było to w ten sposób: pewnego dnia konsul Sugihara powiedział mi, że ma duże trudności

przy wpisywaniu ustalonej formuły na paszportach w języku japońskim i to hamuje w dużym stopniu załatwianie interesantów. Zaproponowałem jemu, czy nie dałoby się zrobić pieczęci gumowej, a on wpisywałby tylko pozostałość i podpis. Zgodził się na mój projekt i dał mi wzór. Wzór ten oddałem kpt. Jakubiańcowi, który zamówił pieczęć, lecz kazaliśmy zrobić w dwóch egzemplarzach i jeden został przekazany do Wilna, gdzie wystawiano potem wizeny tranzytowe japońskie, lecz robione po wyjeździe konsula japońskiego z Kowna, z datą wcześniejszą”.

Warto teraz przedstawić wersję samego konsula Sugihary, który poświęca sprawie wiz nieco miejsca w swoim raporcie, jak i jego żony, Yukiko, która podejmuje ten temat w wydanej w 1990 r., już po śmierci męża, książce, zatytułowanej „Wizy życia dla 6000 osób”. („Rokusennin-no inochi-no biza”, Asahi-sonorama, Tokyo). Poza tym pani Sugihara uzupełniła swoje wspomnienia oraz przekazała wiele cennych uwag autorce w czasie spotkania w swym domu w Kamakurze w sierpniu 1993 r.³

Konsul Sugihara pisze (A.6., s. 8):

„Pewnego dnia sierpniowego z samego rana na ulicy, przy której mieścił się konsulat rozległ się szum (...) przy płocie otaczającym konsulata ustawiła się kolejka ludzi. Był to tłum składający się z polskich uchodźców przybyłych z Wilna, ale reprezentujący różne dzielnice Polski. Wszyscy byli w najwyższym stopniu zdenerwowani groźbą spowodowaną zbliżaniem się wojsk niemieckich (...) Upraszała się o wydanie wiz tranzytowych (...). Zgodnie z przyjętym obyczajem mogli oni otrzymać japońskie wizeny tranzytowe, ale pod warunkiem posiadania wizeny kraju, do którego mieli się udać lub innego dokumentu. Tylko nieliczni mieli w rękach *affidavits* z USA, a większość nie miała żadnych dokumentów, które upoważniałyby ich do wjazdu do jakiegoś kraju z Japonii. W rezultacie przyszło mi przez 10 dni porozumiewać się telegraficznie z ministerstwem w Tokio w sprawie wydania wiz uchodźcom. (...) Moje zapytania spotykały się tylko z negatywną odpowiedzią Tokio (...). Zdobyłem informacje o sowieckich wizenach tranzytowych na przejazd przez ZSSR. Konsulat sowiecki wyjaśnił mi, że są gotowi wystawić swoje wizeny, jeśli tylko najpierw będą japońskie”.

Tu trzeba zaznaczyć, że aby móc otrzymać sowiecką wizenę tranzytową, trzeba było mieć także kupiony, za dewizy w Inturyście, bilet z Kowna do Japonii. Taki bilet kosztował wówczas około 160 dolarów i nie każdy mógł sobie na to pozwolić.

Powróćmy do relacji Sugihary (A.6., s. 8-10):

3. Wszystkie, cytowane w niniejszej pracy, fragmenty z tekstów i wypowiedzi w języku japońskim w tłumaczeniu autorki.

„10 sierpnia zdecydowałem zaprzestać jałowych rozmów z Tokio, które stały się stratą czasu, szczególnie, że miałem także dużo prac związanych z likwidacją konsulatu. I tak 11 sierpnia zacząłem samowolnie, przyjąwszy na siebie całą odpowiedzialność, wystawiać wizy dosłownie wszystkim. (...) Robiłem to do 31 sierpnia, to jest do momentu mojego wyjazdu do Berlina. (...) Ogółem liczba polskich uchodźców, którzy otrzymali japońskie wizy tranzytowe, o ile dobrze pamiętam, wynosiła 3500. W tym było zdaje się około 500 Żydów, którzy mieli różnego rodzaju zaświadczenia od organizacji żydowskich, a wielu z nich przybyło do Kowna z Łodzi”.

Sugihara nie wiedział wówczas dokładnie, ile wiz wystawił. Pod koniec swego pobytu w Kownie, ze względu na oszczędność czasu, przestał bowiem wpisywać kolejne numery. Poza tym część wiz, tak jak wspominał Daszkiewicz, wystawiono bez wiedzy konsula już po jego wyjeździe. Obecnie w Japonii, głównie na podstawie wspomnień żony Sugihary, a także relacji Żydów, którym dzięki pomocy konsula japońskiego w Kownie udało się przeżyć wojnę, mówi się o około 5000 wiz. Wbrew temu, co pisze Daszkiewicz, Sugihara nie otrzymał zgody japońskiego MSZ na wydawanie wiz tranzytowych tym, którzy nie mieli wiz wjazdowych do innych krajów, opłaconego przejazdu, diet pobytowych itp. itp., czego dowodem są zachowane ówczesne depecze z MSZ (m.in. nr 21/14.08, 22/16.08 i inne). Zrobił to na własną odpowiedzialność i z tego powodu po wojnie zwolniono go z pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Według żony Sugihary, Yukiko, cała sprawa z wizami zaczęła się 27 lipca 1940 r., kiedy to po raz pierwszy przed budynkiem konsulatu pojawił się tłum uchodźców z Polski, głównie Żydów, proszący o wize tranzytowe przez Japonię.

„Było wtedy około 300 osób — wyjaśnia pani Sugihara w czasie rozmowy z autorką — prawdopodobnie grupami przedostali się na Litwę z Polski. Ta liczba zwiększała się każdego dnia. Byli także Żydzi z Litwy. Pomysł ten wyszedł prawdopodobnie od konsula Holandii w Kownie, Nathana Goodwilla. Sama Holandia co prawda już od maja 1940 r. znajdowała się pod okupacją Niemiec, ale Goodwill wystawił wize wjazdowe na Curaçao, należącą wówczas do Holandii wyspę w pobliżu Ameryki Płd. Można tam było dojechać tylko przez Japonię”. (A. 19).

Prawdopodobnie nie były to wize, a jedynie adnotacja, że wiza nie jest potrzebna przy wjeździe na Curaçao.

Pani Sugihara tak pisze o sprawie uchodźców w swojej książce (B.5., s. 25-31):

„Mąż, jako wicekonsul, mógł wystawić bez pytania tylko kilka wiz. Ale w przypadku kilkuset, czy kilku tysięcy konieczna była już zgoda MSZ. (...) Pierwszą zaszyfowaną depezę w tej sprawie wysłał 28 lipca. (...) Nie mieliśmy właściwie żadnych kontaktów z innymi dyplomatami. W konsulacie zatrudnieni byli sami miejscowi, a w Kownie poza nami nie było żadnego Japończyka. Ponieważ zadaniem konsula było zbieranie informacji, do konsulatu przychodziło kilku szpiegów. Oczywiście nie mogłam wiedzieć, kto jest tym szpiegiem. Był taki mężczyzna, który szczególnie często odwiedzał konsulat. Nie znałam jego nazwiska (...) nazywaliśmy go „Wrona” ze względu na ciemną karnację. (...) Zebrane informacje wysyłał do MSZ, ambasadora Japonii w Niemczech i posła na Łotwie. Ręczne przepisywanie w trzech egzemplarzach należało do moich obowiązków. (...) Wreszcie po kilku dniach przyszła odpowiedź. „Nie” — zdecydowało Ministerstwo. Osobom, które nie mają zgody na wjazd do kraju przeznaczenia, nie wolno wystawiać wiz japońskich. Mąż się tego spodziewał. 22 lipca powstał drugi gabinet Konoe Fumimaro, a Aritę Hachiro na stanowisku ministra Spraw Zagranicznych zastąpił Matsuoka Yosuke (...) zamierzający kontynuować ścisłą współpracę z Niemcami i Włochami. Nie do pomyslenia było więc wyrażenie zgody na działania, które byłyby skierowane przeciw Niemcom. (...) Mąż jednak nie zrezygnował i wysłał drugą depezę. (...) Ale Ministerstwo nie zmieniło swego zdania. W odpowiedzi podano, że sprzeciwiają się temu służby wewnętrzne, gdyż tak duża grupa stanowi zagrożenie dla spokoju publicznego, a także przewoźnicy, których statki kursują między Tsurugą i Władystokiem ze względu na bezpieczeństwo podróżnych. (...) 3 sierpnia Litwa włączona została do ZSSR. Polecenie opuszczenia konsulatu nadeszło zarówno od władz sowieckich jak i naszego MSZ”.

Ostatecznie, po 2 czy 3 takich odpowiedziach odmownych z MSZ, Sugihara postanowił na własną odpowiedzialność udzielić pomocy uchodźcom. Udał się do konsulatu sowieckiego, gdzie uzyskał zgodę na wizy tranzytowe przez Związek Sowiecki, pod warunkiem wcześniejszego wystawienia wiz japońskich. Skoro się to powiodło, po powrocie do swojego biura, ku wielkiej radości bezustannie wyczekujących tłumów powiedział: „Wystawiam wizy!”

Pani Sugihara w rozmowie dodaje (A.18):

„Wiedzieliśmy, że może za to zostać zwolniony z pracy. Było to bardzo niebezpieczne. Nie można ukryć takiego tłumy. Niemcy musieli o tym wiedzieć. Gdyby nas wtedy złapano... Nie zwracał już uwagi na następne depeze z naszego MSZ i od 9 rano do wieczora bez przerwy na posiłek przez około 20 dni wypisywał wizy. Bardzo się śpieszył, bo wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał zamknąć konsulat i może nie zdąży ocalić tych ludzi. Pod koniec był już bardzo zmęczony. Ale na szczęście był wytrzymały, a poza tym miał silną wolę”.

Początkowo konsul Sugihara miał zamiar wystawiać 300

wiz dziennie, ale ponieważ brakowało formularzy i wszystko sam wypisywał ręcznie po indywidualnej rozmowie z każdym, zajmowało mu to więcej czasu. Przestał więc wpisywać kolejne numery wiz. Pomagało mu dwóch, jedynych, pracowników konsulatu, Litwin Guze i wspomniany już kamerdyner Bolesław Roziński, który dla utrzymania porządku wydawał oczekującym numerki. Yukiko znała dobrze Jana Perza, czyli Daszkiewicza, który był dla nich jakby „członkiem rodziny, kochanym przez dzieci” (A.18) i wiedziała, że jest oficerem polskiego wywiadu, jednakże nie słyszała nic na temat jego związku ze sprawą uchodźców.

Sugihara pracował tak wytrwale do końca sierpnia. Naciski na zamknięcie konsulatu ze strony władz sowieckich były jednak coraz silniejsze. Nie mógł już też dłużej ignorować polecenia MSZ, dotyczącego likwidacji placówki i przeniesienia do Berlina. Spalił wszystkie dokumenty i wraz z rodziną przeniósł się do hotelu „Metropolis”. Ponieważ ciągle jeszcze pozostało wielu uchodźców, oczekujących na pomoc Sugihary, w hotelu wystawiał im zastępcze przepustki, gdyż pieczęć konsulatu znalazła się już w bagażu. Ostatnie przepustki wypisywał jeszcze z okna pociągu, wywożącego go 1 września do Berlina. Tam zameldował ówczesnemu ambasadorowi, Kurusu Saburo, że przed wyjazdem z Kowna bez zgody centrali w Tokio wystawiał wize. Ponieważ Kurusu należał do frakcji proamerykańskiej w MSZ, nie powiedział na ten temat ani słowa. Wkrótce potem Sugihara wyjechał do Pragi, gdzie objął stanowisko konsula generalnego. Dopiero stamtąd 28 lutego 1941 r. wysłał sprawozdanie ze swej działalności w Kownie do Ministerstwa. Napisał w nim, że w okresie od 29 lipca do 31 sierpnia wystawił 2092 wize.

„Ponieważ jednak już na początku sierpnia przestał wpisywać kolejne numery, myślę — mówi Yukiko (A.18) — że musiało ich być znacznie więcej. Były tam również dzieci. Mówi się, że liczba Żydów, którzy przez Japonię uciekli do różnych krajów, wynosi 5000-6000”.

W tym miejscu dla wyjaśnienia należy dodać, że konsul Sugihara, zgodnie z przewidywaniami, został po wojnie zwolniony z pracy w MSZ. Imał się różnych zajęć, m.in. tłumaczeń z języka rosyjskiego, a od 1960 r. przez 15 lat pracował jako przedstawiciel japońskich firm handlowych (Kawakami, Kokusai-boeki) w Moskwie. Dopiero w 1968 r. odnaleźli go uratowani Żydzi i od tego momentu został wielokrotnie odznaczony i uhonorowany zarówno przez władze Izraela

m.in. Nagrodą Yad Vashem i tytułem Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata, przyznawanymi cudzoziemcom, którzy ratowali Żydów w czasie wojny, jak i przez organizacje żydowskie w USA. Już po śmierci Sugihary (1986 r.) w 1990 r. powstała w USA Fundacja Pamięci Sugihary, której filię otworzono w Japonii w 1991 r. Dopiero w 1991 r. bowiem oficjalnie japońskie MSZ zrehabilitowało Sugiharę i wtedy otrzymał on Nagrodę Pokojową, przyznaną przez organizację ofiar bomby atomowej w Nagasaki. Rozpoczęto także prace przy budowie parku i pomnika Sugihary w jego rodzinnej prefekturze Gifu. Jego imieniem nazwano także jedną z nowych ulic w Wilnie, a najstarszy syn, Hiroki, jako przedstawiciel Fundacji Sugihary prowadzi obecnie w Kownie rozmowy na temat wykupienia budynku byłego konsulatu, w którym miałyby powstać muzeum. Warto też dodać, że na podstawie wspomnień pani Sugihary NHK nakręciło film fabularny „Wizy życia”.

Uchodźcy, którym udało się otrzymać wizy tranzytowe z rąk Sugihary, przez Syberię dotarli do Japonii. Organizacja pracy, związana z ich przyjęciem, rozlokowaniem, itp. spadła na ówczesnego ambasadora RP w Tokio, Tadeusza Romera. Niezwykle interesujący materiał w tej sprawie stanowią raporty ambasadora, skierowane do ministra spraw zagranicznych przy naszym rządzie na emigracji, a stanowiące część nie publikowanych dotąd dokumentów Romera, zawartych w części zatytułowanej „Działalność dyplomatyczna 1913-1975”, a przekazanych przez Rodzinę b. ambasadora Archiwum Publicznemu w Kanadzie. (A.4).

Pierwsza wzmianka o sprawie uchodźców pojawia się w telegramie szyfrowym do ministra Augusta Zaleskiego, z 2 lutego 1941 r.:

„Napływ uchodźców zmusił mnie do zorganizowania doraźnej pracy konsularnej w Kobe, gdzie są rozlokowani w warunkach najtańszych (...). Koszty na razie z dochodów konsularnych. Stworzyliśmy specjalny komitet polski zasilony funduszami głównie amerykańskimi, który sprawnie opłakuje dotychczas trudną sytuację we współpracy z komitetami ogólnozydowskimi. Do końca stycznia przybyło tu ogółem 566 naszych uchodźców, w 95 % Żydów, z czego już wyprawiono dalej 300”.

6 lutego 1941 r. w obszernym raporcie listowym N.310/J/41/1, wysłanym przez kuriera angielskiego a adresowanym również do ministra Zaleskiego, ambasador Romer pisze, co następuje:

„(...) Wyjazdy uchodźców spod okupacji sowieckiej trasą syberyjską w kierunku Dalekiego Wschodu rozpoczęły się spontanicznie, indywidualnie i chaotycznie z początkiem lata ub.r. (...) Wchłonięcie przez Sowiety Litwy i Wileńszczyzny wywołało po krótkim okresie dezorientacji i wahania w zamieszkałym tam społeczeństwie polskim i polsko-żydowskim wzrastający i z czasem grupowy, ale zawsze niezorganizowany pęd w kierunku Dalekiego Wschodu, jako jedynej drogi ratunku przed nędzą i prześladowaniem na miejscu lub przed zesłaniem do Kazachstanu. Podróż z rejonu Kowna i Wilna do Japonii na bardziej utartej trasie ułatwiały dokumenty i wizy obce, w które uchodźcy mogli zaopatrzyć się aż do września, a nawet i potem w Kownie, (...) uchodźcy z Wileńszczyzny i Kowieńszczyzny zaczęli tu wreszcie napływać całymi zbiorowymi transportami, zwłaszcza poczynając od października (...) na skutek liberalniejszego udzielania zezwoleń na wyjazd i przewidywać, że możliwości te będą krótkotrwałe.

W rezultacie Ambasada R.P. w Tokio ewidencjonowała ok. 740 obywateli polskich (stwierdzonych lub podających się za takich) przybyłych do Japonii przez Władywostok do dnia 5 lutego 1941 r. (...) Ponad 95 % uchodźców o stwierdzonym lub przypuszczalnym obywatelstwie polskim, przybyłych dotychczas do Japonii stanowią Żydzi, jeżeli nie z wyznania to co najmniej z pochodzenia. Zjawisko to tłumaczy się nie tylko ich większą przedsiębiorczością, ale zwłaszcza zorganizowanym oparciem, jakie znajdują wśród swoich za granicą. (...)

Staby jak dotychczas napływ uchodźców narodowości polskiej tłumaczy się z reguły gorszym położeniem materialnym, większym od Żydów związaniem ze stosunkami i życiem miejscowym i (...) negatywnym zwłaszcza z początku odnoszeniem się do projektów ryzykownej i kosztownej podróży na Wschód w nieznanie. (...) W rezultacie przybyło tu dotychczas wśród uchodźców narodowości polskiej: w konspiracyjny sposób 4 oficerów wojska polskiego, kilka rodzin, sprowadzonych przy pomocy krewnych z zagranicy (...) łącznie około 15 osób, które częściowo osiedliły się w Japonii na dłużej, a częściowo już ją opuściły lub opuszczą wkrótce. W drodze, albo na wyjeździe z Wilna, przy bezpośredniej pomocy ze strony tutejszej Ambasady, znajduje się obecnie 25 osób narodowości polskiej (...)

Dla zajęcia się tymi najpilniejszymi sprawami powołałem do życia na ogólnym zebraniu kolonii polskiej w październiku ub.r. „Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny” w Tokio z udziałem: mojej żony jako przewodniczącej, p. Klemensa Zyngola, ruchliwego handlowca w Tokio, jako sekretarza generalnego, pani Zikmannowej, żony największego przemysłowca polskiego w Mandżukuo, obecnie przebywającego tutaj, jako skarbnika oraz p.p. K. Staniszewskiego, sekretarza Ambasady, A. Piskora, szefa Biura Prasowego Polskiego na Dalekim Wschodzie, pani Szcześniakowej i p. Romanka jako członków Zarządu. Komitet ten sprawnie zorganizował pracę, zebrawszy w tym celu wszelkie możliwe środki wśród Polonii i nawet wśród obcych na Dalekim Wschodzie i uzyskawszy kilkakrotną wydatną pomoc materialną od „Joint'u” w New Yorku i innych źródeł. Wszedł on niezwłocznie w kontakt z organizacjami ogóln żydowskimi w Yokohamie i w Kobe i zorganizował swoje biuro zarówno w Tokio jak w Kobe.

Przedstawiciel Komitetu spotyka w porcie przyjazdowym Tsuruga każdą większą partię uchodźców nadjeżdżających z Władywostoku, ułatwia

im formalności wjazdowe i skierowuje Żydów do pobliskiego Kobe gdzie miejscowa gmina żydowska przyjmuje ich w pomieszczeniach, przygotowanych specjalnie w tym celu dla kilkuset osób. Nieliczni Polacy nadjeżdżają do Tokio, (...) gdzie w miarę możliwości lokowani są w oddzielnym domku przeznaczonym na to, na terenie naszej ambasady. Komitet udziela uchodźcom doraźnych zapomóg pieniężnych, rad i wskazówek (...)

Sprawy uchodźców dotyczy także raport R.123/42 do MSZ Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie, pisany przez ambasadora Romera już po opuszczeniu Tokio (październik 1941) 31 sierpnia 1942r. na statku ewakuacyjnym „Kamakura Maru”.

„Ciężar opieki materialnej nad uchodźcami wojennymi z Polski, prawie wyłącznie Żydami, spoczywał głównie na barkach „Joint Distribution Committee” w Nowym Jorku, zarówno w okresie pobytu tych uchodźców w Japonii, czyli do października 1941r., jak i po ich przesiedleniu do Szanghaju w oczekiwaniu na dalszą emigrację. Wybuch wojny na Pacyfiku w dniu 7/8 grudnia 1941r., który zatrzymał w Szanghaju 972 uchodźców, nie przerwał na razie pomocy „Joint'u”.

Ciekawy także jest raport końcowy (bez adresata; dokument niepełny) z Teheranu, z 6 października 1942r.

„Od jesieni 1940r. do lata 1941r. przybyło do Japonii przez Władystok około 2300 uchodźców z Polski, w 97% Żydów, nadjeżdżających głównie z Wilna i Kowna, w rzadszych wypadkach z połudn.-wsch. kresów. Posiadali oni przeważnie tylko certyfikaty kowieńskie i wizy tranzytowe japońskie. W oczekiwaniu na możliwość znalezienia im azylu na czas wojny, umieszczono ich w Kobe, w 27 wynajętych w tym celu domach oraz w Yokohamie i w Tokio. Kwestią mieszkaniową i odżywiania zajęła się gmina żydowska w Kobe, przy poparciu finansowym organizacji żydowskich w Stanach Zjednoczonych (Joint). (...) Pomocy sanitarnej, odzieżowej, kulturalnej oraz w zakresie nawiązywania kontaktu z rodzinami i starań paszportowo-wizowych dostarczył stworzony przeze mnie w Tokio „Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny”, którego sekcję uchodźczą obsadziłem przez polskich Żydów, a na którego środki złożyły się subwencje rządowe polskie, zasiłki organizacji polskich w Ameryce, składki Polaków na całym Dalekim Wschodzie i dochód z imprez miejscowych. Koszty dalszej podróży uchodźców dla których zdobyto wize docelowe, a którzy nie posiadali własnych środków, zapewniła organizacja żydowska „Hicem”. Łącznie ze wszystkich źródeł wydano na uchodźców z Polski na Dalekim Wschodzie po dzień 1 lipca 1942r. około 350.000 dolarów amerykańskich.

Ambasada R.P. w Tokio zajęła się bezpośrednio, poza kierownictwem i kontrolą nad całą akcją opieki, paszportyzacją uchodźstwa, przeprowadzoną w całości i do końca, interwencjami u władz japońskich w sprawie przedłużania pobytu, dalszych wiz wjazdowych i tranzytowych japońskich

oraz w związku z zagadnieniami pomocy i zdobywaniem wiz docelowych, a także dyskretną rejestracją ochotników do wojska i kierowaniem tychże do Kanady i na Bliski Wschód. Dzięki staraniom Rządu R.P. zapewniono dla uchodźców z Polski na Dalekim Wschodzie kontyngenty wiz azylo- wych: 250 do Kanady, w czym 80 wyłącznie dla grupy rabinów i uczniów rabinackich, 65 do Australii, 30 do Nowej Zelandii, 50 do Birmanii. (...) Ponadto przy współudziale Ambasady zapewniono około 400 certyfikatów imigracyjnych do Palestyny, tudzież Ambasada przyczyniła się do indywidualnego zapewnienia wiz dla *circa* 300 osób do Stanów Zjednoczonych i *circa* 100 osób do krajów Ameryki Środkowej i Południowej.

We wrześniu i październiku 1941 r. w związku z likwidacją Ambasady R.P. w Tokio, władze japońskie przerzuciły do Szanghaju wszystkich pozostających jeszcze w Japonii uchodźców z Polski w liczbie około 1000, prawie wyłącznie Żydów. Opieką nad nimi zajął się osobiście przybywszy do Szanghaju 1 listopada 1941 r., jako Ambasador w misji specjalnej. Wstrzymanie połączeń okrętowych, a następnie wybuch wojny na Pacyfiku udaremniły nasze starania o rozmieszczenie wszystkich pozostałych uchodźców, dzięki zdobytym nowym kontyngentom wizowym do Australii, Nowej Zelandii, Birmanii i Palestyny. W rezultacie pozostało w Szanghaju około 950 uchodźców Żydów, obywateli polskich, w czym ponad 400 rabinów z rodzinami i uczniów rabinackich (...) Ta akcja z naszej strony opierała się na posiadaniu przez uchodźców obywateli polskich własnej opieki konsularnej, uznawanych w świecie paszportów, wystarczającej pomocy materialnej i szans wyjazdu do krajów sojusznicznych (...) Z chwilą likwidacji urzędu konsularnego polskiego w Szanghaju w sierpniu 1942 r. w przededniu ewakuacji całego personelu urzędniczego polskiego z Dalekiego Wschodu, zastępczą opiekę nad obywatelami polskimi przejęła nieoficjalnie, za zgodą okupacyjnych władz japońskich, utworzona *ad hoc* komisja pod firmą Zarządu Głównego Związku Polaków w Chinach, w skład którego poza przedstawicielami rezydentów polskich weszli przedstawiciele uchodźców żydowskich, obywateli polskich. (...)

Wobec umożliwienia w ostatniej chwili, łącznie z ewakuacją wymienną polskiego personelu dyplomatycznego i konsularnego z Japonii, Chin i Mandżurii, także wyjazdu 54 cywilnych obywateli polskich przydzieliłem 45 miejsc uchodźcom żydowskim, dobierając ich w ten sposób, żeby wszystkie grupy polityczne, społeczne i zawodowe miały wśród nich swych najaktywniejszych przedstawicieli, zdolnych do przyjęcia potem z zewnątrz pozostałym ze skuteczną pomocą. (...) Wśród uchodźców, którzy w ten sposób wyjechali wraz ze mną do Afryki poł.-wschodniej (Lorenzo Markez; ATR) i podążyli potem w większości do Anglii, znajdowało się 3 rabinów, 3 przedstawiciele szkół rabinackich, 7 syjonistów, 5 bundowców itd. (...)"

Wiele lat po wojnie Tadeusz Romer opowiadał autorowi (A.16) o zdarzeniu, które miało miejsce wiosną 1941 r., a o którym nie wspominał w swych oficjalnych raportach. Został on wezwany pewnego dnia do japońskiego MSZ, gdzie w bardzo ostry sposób powiedziano mu, że trzydziestu obywateli polskich usiłowało nielegalnie wjechać do Japonii. Oka-

zało się, że przy podrabianiu wiz japońskich na Litwie nie było nikogo, znającego język japoński. Konsul Sugihara w paszportach uchodźców wpisywał ręcznie sylabariuszem japońskim imię i nazwisko petenta, a następnie podpisywał wizę. Ktoś skopiował jeden z takich wzorów. Pewnego dnia z promu z Nachodki usiłowało wysiąść w Tsurudze trzydziestu „Jakubów Goldbergów”. Japończyków zdenerwował fakt, że ktoś śmiał podrabiać ich wizy. Odmówili wpuszczenia tych pasażerów na swoje terytorium. W tej sytuacji następnego dnia wrócili oni tym samym promem do Nachodki. Ponieważ nie mieli już sowieckich wiz wjazdowych, nie zostali wpuszczeni na ląd. Podobno przez kilka tygodni kursowali tak pomiędzy Nachodką i Tsurugą...

Ostatecznie ambasador Romer wyjednał u Japończyków zgodę na wpuszczenie ich do Tsurugi, pod warunkiem, że nie później niż w ciągu trzech tygodni opuszczą Japonię. Z pomocą ambasadorów holenderskiego i amerykańskiego, Josepha Grew, Romer uzyskał odpowiednie wizy i wyprawił niefortunnych uchodźców z Japonii.

Poczta japońska

Japończycy pomagali także przy przesyłaniu poczty polskiego podziemia i wywiadu z Litwy na Zachód i z Zachodu na Litwę, lub dalej, do Warszawy. Wykorzystywano wówczas kurierów japońskich kursujących przez Litwę na trasie Berlin-Moskwa-Tokio.

Historię tzw. „poczty japońskiej” autor poznał dzięki wspomnianym już Ludwikowi Hryniewiczowi i Wincentemu Chrzęszczewskiemu, swojemu bezpośredniemu szefowi w ZWZ AK, a także i przede wszystkim dzięki Erykowi Budzyńskiemu, od którego wiele lat temu dostał wspomnienia z tamtych dni (A.1.) i który powyższy temat opisał w artykule „Poczta japońska”, zamieszczonym w *Zeszytach Historycznych* nr 102 (C.1).

Latem 1940 r. na Litwie, już po włączeniu jej do ZSSR, działały równoległe dwie tajne siatki, wspomniana już grupa wywiadowcza „Wierzba” II Oddziału z Ludwikiem Hryniewiczem na czele, a także z Konstantym Butlerem, Andrzejem Januszewskim („Gieńcem”), Janem Montwiłem i innymi oraz Podokręg Kowieński ZWZ AK, zwany wówczas Inspektora-tem „E” Okręgu Wileńskiego, którego właściwym wodzem

był szef Sztabu Inspektoratu, rotmistrz Wincenty Chrząszczewski (Janusz Markowski, „Kruk”), a gdzie działał także Tadeusz Kognowicki i Eryk Budzyński, któremu Chrząszczewski zlecił przygotowanie akcji związanej z wymianą poczty z Japończykami. Przypomnijmy, co ten bezpośredni świadek pisał o tym w *Zeszytach Historycznych* (C.1., s. 207-210):

Opuszczamy jego relacje, które ukazały się w nr. 102 Zeszytów Historycznych (str. 207-210). Redakcja.

Berlin-Królewiec

Latem 1940 r., po wkroczeniu wojsk sowieckich na Litwę i Łotwę Japończycy likwidują swoje placówki w Kownie i Rydze. Konsul Sugihara Chiune 24 sierpnia wysyła do Berlina na japońskich paszportach służbowych kpt. Jakubiańca i por. Daszkiewiczza, a sam udaje się tam 1 września.

Tymczasem w Rydze, prawdopodobnie w październiku 1939 r. pojawia się wspomniany wcześniej mjr Michał Rybikowski. Ponieważ odegra on szczególną rolę w omawianym etapie współpracy z wywiadem japońskim, warto nieco przybliżyć Czytelnikowi tę postać.

Urodzony w 1901 r. w Wodoktach na Litwie, w wieku 18 lat przedostaje się do Wojska Polskiego i bierze udział w bitwie pod Radzyminem w czasie wojny polsko-sowieckiej, za co zostaje odznaczony Krzyżem *Virtuti Militari*. W 1933 r. kończy Wyższą Szkołę Wojenną i rozpoczyna pracę w Biurze Studiów Niemieckich Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Przed wybuchem wojny zostaje kierownikiem Referatu „Niemcy”, czyli ofensywnego wywiadu skierowanego przeciw Niemcom. Po wybuchu wojny przedostaje się przez Paryż i Helsinki do krajów bałtyckich. W Rydze, za pośrednictwem swojego przełożonego, ówczesnego *attaché* Polski, płk. Brzeskwińskiego, który po zamknięciu poselstwa przeniesie się jako *attaché* do Sztokholmu, nawiązuje kontakt z *attaché* wojskowym poselstwa Japonii, płk. Onouchim Hiroshim. Dzięki niemu a także dzięki Sugiharze, konsulowi japońskiemu w Kownie, otrzymuje paszport Mandżukuo, wystawiony przez ambasadę tego kraju w Berlinie. Rybikowski jedzie do Berlina jako łotewski kupiec, Jakobson, a wraca jako urodzony w Mandżurii biały Rosjanin, Peter Iwanow.

Po likwidacji japońskiego ataszatu w Rydze w sierpniu 1940 r. płk Onouchi otrzymuje ze sztabu polecenie przeniesienia się jako oficjalny *attaché* do Sztokholmu. Od listopada 1939 r. funkcję tymczasowego *attaché* wojskowego Japonii pełni tam płk Nishimura Toshio, który będąc *attaché* w Finlandii, ucieka z niej w momencie ataku ZSSR na ten kraj. Onouchi zabiera ze sobą Rybikowskiego. We wrześniu Onouchi zostaje skierowany do Helsinek, a Rybikowski kontynuuje współpracę z Nishimurą, który objął stanowisko *attaché* w Sztokholmie. Ich współpraca trwać będzie do momentu przyjazdu do Szwecji, w styczniu 1941 r., gen. Onodery Makoto.

Mjr Rybikowski jeszcze podczas swego krótkiego pobytu w Kownie, na jesieni 1939 r. nawiązał kontakt z kpt. Jakubiańcem i por. Daszkiewiczem. We trójkę ponownie spotkali się w Sztokholmie we wrześniu 1940 r., gdzie ustalili zasady współpracy.

Tak wspomina to Daszkiewicz (A.2., s. 30-31):

„Do Sztokholmu przyjechałem nad ranem i zdaje się, że było to dnia 1 września 1940 r. Z dworca taksówką udałem się do naszego poselstwa. (...) Przyjął mnie *attaché* wojskowy mjr Brzeskwiński, (...) który po przeprowadzonej rozmowie oświadczył mi, że pójde do hotelu i tam się zgłosi do mnie mój bezpośredni przełożony p. major dypl. Rybikowski, któremu zdam szczegółowe sprawozdanie. (...) w godzinach popołudniowych zgłosił się do mnie do hotelu mjr Rybikowski, którego szczegółowo poinformowałem o wypadkach z terenu Litwy, Wilna i z naszego wyjazdu z Kowna oraz że kpt. Jakubianiec przyjedzie do Sztokholmu za kilka dni.

Po przyjeździe do Sztokholmu kpt. Jakubiańca, po licznych naradach zapadła decyzja, że możliwości nasze z powodu posiadanych paszportów muszą być wykorzystane i wyjedziemy z powrotem do Niemiec na dalszą pracę wywiadowczą. Załatwianie tych spraw zajęło mjr. Rybikowskiemu z Japończykami około 10 dni i w rezultacie były ustalone nasze terminy wyjazdów, pierwszy miał wyjechać kpt. Jakubianiec a ja kilka dni po nim. Postanawiając, że rezydencją kpt. Jakubiańca będzie Berlin a ja będę się trzymał Sugihary, z którym miałem wyjechać do Pragi. Moja placówka wyw. otrzymała nazwę 'Placówka G' i miałem posługiwać się pseudonimem 'Herman Gering'.

Praca nasza polegać miała na zbieraniu wszelkich wiadomości, jak :

- a) wojskowych,
- b) przemysł wojenny,
- c) gospodarczo-ekonomiczne,
- d) politycznych,
- e) nawiązanie kontaktu z obozami jeńców wojennych polskich i ustalenie miejsc obozów jenieckich i
- f) ewentualnie, nawiązanie kontaktu z Krajem.

Zbierane wiadomości miałem wysyłać do kpt. Jakubiańca, a on z

Berlina, w miarę możliwości, przekazywać je do Sztokholmu. Tutaj muszę podkreślić, że nie zawsze mogliśmy aktualne wiadomości na czas wysłać, bo uzależnieni byliśmy od okazji wyjazdów Japończyków i ich kurierów (...)

Kpt. Jakubianiec zostaje fikcyjnie zatrudniony jako tłumacz w japońskim ataszacie wojskowym w Berlinie, a faktycznie obejmuje funkcje komendanta placówki wywiadowczej Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza. Polacy jeszcze przed wojną mieli szeroko rozwiniętą sieć agentów w Niemczech. Niemcy uważali nasz wywiad za jeden z najbardziej niebezpiecznych. Japończykom niełatwo było prowadzić wywiad w Europie, a ponieważ zależało im na dokładnych planach niemieckich, ruchach wojsk, itp., w zamian za informacje zobowiązali się zakonspirować oficerów łącznikowych polskiego wywiadu w swoich placówkach dyplomatycznych w Niemczech, w krajach nadbałtyckich i skandynawskich oraz umożliwić im przesyłanie do Sztokholmu, głównego ośrodka, centrali zbiorczej wywiadów, raportów wywiadowczych w poczcie dyplomatycznej tych placówek.

Por. Daszkiewicz, zgodnie z postanowieniem Rybikowskiego, wyjeżdża z Sugiharą do Pragi, a następnie, w marcu 1941 r., do Królewca, gdzie Sugihara na polecenie ambasadora w Berlinie Oshimy Hiroshiego otwiera japoński konsulats generalny, który podobnie jak konsulats w Kownie ma służyć zbieraniu informacji na temat ruchów wojsk niemieckich i sowieckich. Po wizycie Mołotowa w Berlinie w październiku 1940 r. agenci wywiadu donosili bowiem, że wojna Niemiec ze Związkiem sowieckim jest nieunikniona. W drodze do Królewca zatrzymują się w Berlinie, gdzie Daszkiewicz spotyka się z Jakubiańcem i poznaje Konstantego Butlera, byłego dyrektora Banku Polskiego w Kownie i członka grupy wywiadowczej „Wierzbą”, który polecił swojego podwładnego na Litwie, Stanisława Kossko, ziemianina z Litwy na lokaja państwa Sugihara⁴.

Oto, co pisze na ten temat Daszkiewicz (A.2., s. 47):

„Kossko został już o tym uprzedzony przez Butlera i z nim na miejscu miałem omówić wytyczne co do mojej z nim współpracy. Szofer (Litwin — ATR) zaś był już przez kpt. Jakubiańca urobiony na informa-

4. Wspomniany Stanisław Kossko czasami występuje w różnych wspomnieniach jako Bronisław Kostek, zaś Sugihara pisze o nim jako o Francu Kossko.

tora i miał dawać informacje z terenu Litwy (...). Kossko Bronisława osobiście nie znałem, był to obywatel ziemski z Litwy, ożeniony z siostrzenicą biskupa w Gdańsku Hr. O'Rourke i żona jego posiadała licznych znajomych wśród Niemców na terenie Gdańska i Prus Wschodnich i ona właśnie miała pomóc mnie przede wszystkim w pracy. (...) Poznałem wówczas u kpt. Jakubiańca parę osób, wśród których poznałem żonę kpt. pilota litewskiego niejaką Martinciene One, która była zdaje mi się przyjaciółką kpt. Jakubiańca i uchodziła za jego najlepszą informatorkę wśród emigrantów litewskich”.

Kossko wspomina także Sugihara (A.6., s.7):

„Polak, pracował u mnie w Konsulacie Generalnym w Królewcu w charakterze portiera i kelnera. Nie mogę sobie przypomnieć skąd się zjawił i przez kogo był rekomendowany. Możliwe, że całą rodzinę — żona Maria, córka Tamara — przyprowadził Perz. Kossko pracował u mnie do ostatniego dnia pobytu w Królewcu”.

Po przyjeździe do Królewca Daszkiewicz organizuje pracę wywiadowczą. Wprowadza w nią Kossko, który staje się tam jego najbardziej zaufanym współpracownikiem i informatorem. Informacje przekazuje Sugiharze. Ten ostrzega go przed sekretarzem konsulatu, Sato, który prawdopodobnie nie wiedział o działalności wywiadowczej swojego szefa. Coraz więcej informacji dotyczy przygotowań Niemiec do wojny ze Związkiem Sowieckim.

Pewnego dnia panowie, jak pisze Daszkiewicz (A.2., s. 55-57), postanowili:

„zrobić wycieczkę samochodem do Kłajpedy a następnie pasem granicznym (okrężną drogą) do Królewca. Było to w połowie maja 1941 r. i faktycznie w tym okresie ruch wojskowy był wielki na terenie Prus Wschodnich, co wyraźnie wskazywało o jakimś przygotowaniu wojskowym. W międzyczasie stwierdziliśmy fakt, że konsulat jest pod obserwacją i w tym celu Niemcy naprzeciwko naszego domu w suterenie urządzili pokój do obserwacji, a poza tym robili obserwacje w mieście samochodem, gdy wyjeżdżaliśmy samochodem do miasta. (...) Początkowo konsul wahał się z wyjazdem do Kłajpedy, lecz pewnego dnia postanowiliśmy wyjechać we trójkę, tj. konsul, sekretarz konsulatu Sato i ja, kierowcą miał być szofer Litwin z tym że konsul Sugihara za miastem miał prowadzić samochód sam. Sugihara przed wyjazdem powiedział mi w tajemnicy przed Sato, że będzie robił w wypadku obserwacji tak, aby Niemców sprowokować do ewentualnego zatrzymania nas i abym był do tego przygotowany, nie mając nic kompromitującego przy sobie.

W drodze do Kłajpedy nie zauważyłem nic, co wskazywałoby, że jesteśmy obserwowani, dopiero gdy wyjechaliśmy z Kłajpedy po pewnym czasie zauważyliśmy samochód osobowy jadący za nami. Jechaliśmy drogą

wzdłuż granicy. Konsul w pewnej chwili zatrzymał gwałtownie samochód i dał miejsce, aby oni nas wyprzedzili. Stało się inaczej, bo gdy to zauważyli, skręcili gwałtownie w bok do lasu i z powodu złej drogi musieli za chwilę stanąć. (...) weszliśmy do lasu i zaczęliśmy spożywać posiłek. Oni stali i robili przegląd maszyny. W ten sposób robiliśmy parę razy. (...)

Jechaliśmy według mapy dłuższy czas w pasie granicznym i stwierdziliśmy, że w lasach są składy benzyny, czołgów i masa rozmaitych skrzynek oraz posterunki wojskowe, a na drogach wskaźniki, że do lasu wstęp wzbroniony, chociaż były drogi asfaltowe.

Po tej wycieczce przez całą noc konsul Sugihara i sekretarz Sato pracowali nad układaniem depe sz szyfrowych, wysyłanych następnego dnia z rana. Zapytałem, niby nie wiedząc, konsula Sugiharę następnego dnia, czy podał te spostrzeżenia do Sztokholmu, odpowiedział, że tak. (...) gdy zapytałem dalej, czy ewentualnie może on spowodować, aby mjr Rybikowski istotnie o tym fakcie został powiadomiony, powiedział, że stosunek *attaché* wojskowego (Onodery) do 'mego przełożonego' jest mu znany jako bardzo przyjazny i sądzi, że na pewno jemu o tym powie. (...) Osobiście sporządziłem szczegółowy raport i za parę dni wysłałem do kpt. Jakubianca przez konsula Sugiharę, wyjeżdżającego do Berlina, a w liście prywatnym do kpt. Jakubianca prosiłem o spowodowanie w miarę możliwości jak najszybszego przesłania tego raportu do Sztokholmu".

Działalność Sugihary nie uszła jednak uwadze Niemców. Niemieckie MSZ i Gestapo otrzymywały raporty na temat przedstawicieli japońskich konsulatów najpierw w Kownie, potem w Pradze i Królewcu, czyli na temat Sugihary, który zajmował się głównie zbieraniem informacji o ruchach wojsk niemieckich na wschodzie. Raport w sprawie Sugihary złożył także wiosną 1941 r. burmistrz Królewca, który napisał, że działalność konsula szkodzi przyjaźni niemiecko-japońskiej. Na podstawie tego raportu, jak twierdzi J.W.M. Chapman w: „The Polish Connection: Japan, Poland and the Axis Alliance”, *Proceedings of the British Association for Japanese Studies*, Vol. II, 1977, p.62 (C.2), Niemcy zaczęli naciskać na japońskie MSZ, by wycofało Sugiharę z placówki jako *persona non grata*.

Placówkę zlikwidowano na jesieni 1942 r., a Sugihara przeniesiony został do Bukaresztu.

Placówka wywiadowcza w Berlinie, gdzie działał „Kuba” czyli kpt. Alfons Jakubianiec została zlikwidowana przez niemiecki kontrwywiad na początku lipca 1941 r. W nocy z 6 na 7 lipca aresztowano „Kubę”, a także jego najbliższą współpracowniczkę Sabinę Łapińską, która pracowała jako gospodyni w ambasadzie Mandżukuo, głównej skrzynce kontaktowej polskich agentów. Ponieważ sprawa ta jest dosyć dokładnie opisana w naszej literaturze, m.in. w książce Stanis-

ława Strumph-Wojtkiewiczza „Tiergarten” (C.8) a także we wspomnieniach Waltera Schellenberga (B.4., s.144-151), szczególnie związane z aresztowaniem Jakubianca przedstawiono także w załączniku nr 14 listu z Londynu do komendanta głównego ZWZ gen. Grota-Roweckiego („Armia Krajowa w dokumentach: 1939-1945”, t.II, Ossolineum 1990, s.81-82; B.1.), autorzy nie będą jej tu szczegółowo przypominać. Warto tylko dodać kilka słów na temat przyczyn tej wpadki. Jedną z nich była niewątpliwie nieostrożność samego Jakubianca. Pisał o tym zarówno Hryniewicz jak i Daszkiewicz. Oto fragment ze wspomnień tego pierwszego (A.3., s.19):

„Parę szczegółów o losach kpt. Jakubianca „Kuby”. Osiadł on po wyjeździe z Sugiharą w Berlinie. Był jakoś przyczepiony do konsulatu czy ambasady japońskiej. Zorganizował siatkę i działał. Miał przez Japończyków ustaloną łączność z Rybikowskim w Sztokholmie. Rybikowski był nawet w Berlinie (Iwanow) i ustalił z Kubą szereg spraw, między innymi łączność. Kuba był „łasy” na kobiety, a w Berlinie był też kpt. Martinkus wraz z bardzo przystojną żoną Anną. Kuba spotykał się z uchodźcami z Litwy, Polakami i Litwinami. Tam poznał Annę i zaczął ją bałamucić. Gdy Martinkus dowiedział się jak stoją sprawy — zadenuncjował Kubę, który niezbyt konspiracyjnie zachowywał się w środowisku uchodźców. Od p. Platera (z Tryszek; ATR) który tkwił w tej kompanii uchodźców wiem, że Kuba aresztowany przez gestapo został ścięty w berlińskim więzieniu Moabit”.

Tu należy wyjaśnić, że kpt. Jakubianiec został stracony w Sachsenhausen w 1945 r.

Daszkiewicz, w czasie swoich wizyt w Berlinie, nalegał na Jakubianca by przestał flirtować z żoną Martinkusa, gdyż ten prawdopodobnie domyśla się wszystkiego i może to zaszkodzić w działalności siatki w Berlinie. Później okazało się, o czym wspomniała Sugiharze pani Martinkus, że jej mąż był na usługach Gestapo i miał polecenie śledzenia „Kuby”.

Drugą przyczyną wpadki była nieostrożność członków siatki w Warszawie, których rozmowę na temat wyjazdu do Berlina kuriera podsłuchał niemiecki agent. Kurierzy po skontaktowaniu się z agentami w ambasadzie Mandżukuo udali się do parku Tiergarten, gdzie zostali aresztowani przez ludzi Schellenberga, który sam dowodził akcją (B.4).

Po tej akcji i aresztowaniach zakończyła się współpraca wywiadów Polski i Japonii w Berlinie. Ambasador Oshima zakazał jakichkolwiek kontaktów z Polakami, obawiając się pogorszenia stosunków z Niemcami. Jednakże mimo to w dalszym ciągu, aż do 1944 r. taka współpraca istniała w Sztok-

holmie. Prowadzili ją gen. Onodera Makoto i mjr Michał Rybikowski.

Sztokholm: gen. Onodera i mjr Rybikowski

Ponieważ władze Szwecji uznały polski rząd na obczyźnie, w Sztokholmie przez całą wojnę istnieje polskie poselstwo, a przy nim biuro *attaché* wojskowego, na którego czele stoi mjr (później płk) Feliks Brzeskwiński. Mjr Brzeskwiński przyjechał tu prosto z Rygi, gdzie do końca września 1939 r. pełnił również funkcję *attaché*. Po kapitulacji Polski rząd łotewski, według którego państwo polskie przestało istnieć, wydał polecenie zamknięcia naszego poselstwa w Rydze.

Poza tym w Sztokholmie nieoficjalnie działa także baza „Anna”, placówka Oddziału VI, pośrednicząca w łączności Centrali (Naczelne Dowództwo w Paryżu, a później w Londynie) z krajem (ZWZ-AK), powołana do życia w grudniu 1939 r.⁵ Pierwszym komendantem bazy zostaje ppłk Tadeusz Rudnicki („Wierzba”, „Vinci”). Współpracuje z nim m.in. *attaché*, mjr Brzeskwiński a także mjr Michał Rybikowski, szef ekspozytury Oddziału II. Przypomnijmy, że jako Peter Iwanow przyjechał do Sztokholmu z Rygi w sierpniu 1940 r. i oficjalnie został zatrudniony jako tłumacz przy ataszacie Japonii.

W styczniu 1941 r. do Sztokholmu na miejsce dotychczasowego *attaché* wojskowego Japonii, Nishimury Toshio przybywa płk (w 1943 r. awansowany do stopnia generała porucznika) Onodera Makoto. I od tego właśnie momentu zaczyna się jego współpraca z Peterem Iwanowem. W tym miejscu należy przypomnieć, że działalność Rybikowskiego w czasie wojny, w tym także współpracę z Onoderą, przedstawił w formie zbeletryzowanej, a więc nie zawsze zgodnej z prawdą i popartej dokumentami, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz (C.8). Sam Rybikowski tak oto pisał o tej książce w liście do Onodery (Southampton, 1981.12.18; archiwum Onodery Yuriko):

5. Szczegółowiej na ten temat zob. w: Leonidas A.B. Kliszewicz, „Baza w Sztokholmie”, *Zeszyty Historyczne* nr 58, Instytut Literacki, Paryż 1981, s.44-175 (C.3); por. też: Józef Lewandowski, „Swedish Contribution to the Polish Resistance Movement, 1939-1942”, *Acta Universitatis Upsaliensis* No. 20, Uppsala 1979 (C.5).

„(...) Wysyłam Ci tłumaczenie „Tiergarten”. Strumph-Wojtkiewicz pracował przed wojną w moim oddziale wywiadu. Później był w Paryżu i Londynie, a także w sztabie gen. Sikorskiego. Nie wszystkie fragmenty są do przyjęcia, ale autor był poza naszą pracą i dlatego jego opinie i wyrażenia nie oddają rzeczywistości (...)”.

Zamiarem autorów niniejszej pracy nie była jednak krytyczna analiza tego, co już napisano na temat współpracy Rybikowskiego z Onoderą, lecz przedstawienie jej w nowym świetle, to znaczy w oparciu jedynie o nie znane dotychczas źródła. Należą do nich przede wszystkim źródła japońskie, a wśród nich wspomnienia żony generała, Onodery Yuriko, zawarte w wydanej w 1985 r. książce „Gdzieś w pobliżu Bałtyku” („Barutokai-no hotori-ni-te”, Kyodo-tsushinsha) (B.2) i w jej artykule „Walka *attaché* Onodery. Wojna wywiadów w północnej Europie a sprawa Rybikowskiego” („Onodera-bukan-no 'atakai'. Hokuo-no chi-no johosen-to Ribikofusuki-no-koto”) (B.3) opublikowanym w czasopiśmie *Seiron* 1993/5 oraz dokumenty, w tym listy, z archiwum domowego Onoderów (A.11). Autorzy korzystali także z nie publikowanych jeszcze źródeł polskich, a w tym z przekazanych niedawno do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie dokumentów Michała Rybikowskiego (A.5) oraz z informacji, które powierzyli im w czasie rozmów zarówno pani Onodera (A.15) jak i Michał Rybikowski (A.17).

Płk Onodera Makoto (1897-1987) był członkiem starej, mającej ponad siedemsetletnią historię, rodziny japońskiej, która wywodziła się z jednego z najznakomitszych rodów, Fujiwara. W 1919 r. ukończył Szkołę Oficerską Sił Lądowych, a w 1928 r. Wyższą Szkołę Wojskową, której absolwenci, po odpowiednim stażu, zajmowali najwyższe stanowiska w armii. W latach trzydziestych, kiedy to w Japonii coraz większy wpływ na życie polityczne wywierały nacjonalistycznie nastawione koła wojskowe, zaczął pracę w Sztabie Generalnym, początkowo w Sekcji ds. Związku Sowieckiego. Od 1932 r. nauczał jednocześnie w Wyższej Szkole Wojskowej. W 1933 r. został wysłany do Mandżurii. W latach 1935-1938 pracował jako *attaché* wojskowy przy poselstwie Japonii na Łotwie, a od 1937 r. także w Estonii i na Litwie. W tym czasie zaprzyjaźnił się z przebywającym w Rydze naszym *attaché* mjr. Brzeskwińskim. Od 1938 r. kontynuował prace w Sekcji ds. ZSSR Sztabu Generalnego, a następnie przydzielono go do sztabu dowodzenia wojsk japońskich w Chinach. Przypomnijmy, że od 1937 r. Japonia prowadziła tam regularną

wojnę, zwaną w historiografii japońskiej incydemem chińskim. Od 1939 r. Onodera ponownie wykładał w Wyższej Szkole Wojskowej. Pod koniec 1940 r. otrzymał rozkaz objęcia funkcji *attaché* wojskowego w Sztokholmie, dokąd pojechał pod koniec stycznia 1941 r. W tym czasie przydzielony był także do cesarskiego Głównego Sztabu Dowodzenia.

Pani Onodera przyjechała do Sztokholmu cztery miesiące po mężu. Tu, tak jak w Rydze była najbardziej zaufaną współpracowniczką męża, gdyż szyfrowała wszystkie depesze do sztabu w Tokio. Jej wspomnienia stanowią więc podstawowe źródło informacji. We wspomnianym artykule tak oto opisuje początkowy okres pracy męża w Szwecji (B.3: s. 192-193; 188-189):

„(...) Onodera z Rybikowskim spotkali się po raz pierwszy 27 stycznia 1941 r., kiedy Onodera objął funkcję *attaché* wojskowego Japonii w Sztokholmie. Mały, tymczasowy ataszat zorganizował płk Nishimura Toshio, który będąc *attaché* Japonii w Finlandii, uciekł z niej, gdy wkroczyły tam wojska sowieckie⁶. Onodera przejął od poprzednika sekretarkę, Karin Kjessler, urzędnika Yokoi Shin'ichiego i służącą Marię. Został też przedstawiony informatorowi, rzekomemu białemu Rosjaninowi, Peterowi Iwanowowi. Ale Nishimura wyjaśnił mężowi w zaufaniu, że naprawdę jest to oficer polskiego wywiadu mjr Michał Rybikowski. Kiedy jeszcze w wrześniu 1939 r., po podpisaniu tajnego porozumienia Ribbentrop-Mołotow, Polska została podzielona i znalazła się pod okupacją Niemiec i ZSSR, Rybikowski uciekł z Warszawy i przez różne kraje trafił do Rygi, do ataszatu Japonii i ppłk. Onouchiego Hiroshiego. Odbyło się to na polecenie armii polskiej i za pośrednictwem *attaché* Polski na Łotwie, z czasów gdy był tam również Odonera, mjra Brzeskwińskiego. (...) Ponieważ Japonia związana była wówczas paktem z Niemcami i Włochami, Onodera oficjalnie musiał utrzymywać przyjazne stosunki z poselstwem niemieckim w Sztokholmie. Z drugiej strony, nieoficjalnie kontaktował się z Rybikowskim, który jako Peter Iwanow miał najpierw paszport Mandżukuo, a potem Japonii. Jego kraj, Polska, znajdował się wówczas pod okupacją niemiecką i sowiecką, a rząd emigracyjny Sikorskiego działał w Londynie. Niemcy i Anglia były krajami przeciwnymi w tej wojnie, a ponieważ wkrótce Anglia wypowiedziała też wojnę Japonii, położenie obu panów stało się bardzo trudne. Dla Iwanowa wrogiem były zarówno Niemcy jak i ZSSR, a dla Onodery Anglia. Mieli jednak wspólne zainteresowania — informacje na temat ZSSR. Obaj obiecali sobie, o czym mnie również poinformował mąż, „nie robić nic, co mogłoby być zdradą ich sojuszników” oraz wymianę i współpracę jedynie w dostarczaniu takich informacji, które mogą przysłużyć się ich ojczyznom. Mimo to pracowali z powodzeniem. A to dlatego, że obaj posiadali wyjątkowy zmysł wywiadowczy, a także byli patriotami i osobami sprawiedliwymi. I to spowodowało, że tak

6. Nie jest to zupełnie ściśle. Kiedy zaczęła się inwazja Finlandii czy walki fińsko-sowieckie płk Nishimura przeniósł się do Sztokholmu.

szybko i głęboko się zaprzyjaźnili. Ale to oczywiście nie była tylko ich prywatna gra. Nie można pominąć tu nadzwyczajnej sympatii oraz szacunku Polaków i władz polskich okazywanych Japonii.

Mimo że Polska i Japonia oficjalnie były w czasie II wojny światowej wrogami, to zarówno władze Polski, które doprowadziły do współpracy z Japonią umieszczając w jej ataszacie tak wybitnego specjalistę, jakim był Rybikowski, jak i władze Japonii, które zgodziły się na to i bardzo z tego korzystały, udając, że o niczym nie wiedzą, nakazały obu panom wspólną, opartą na pełnym zaufaniu, działalność. Władze Szwecji również wiedziały o tej sytuacji. Dopiero później w nasze ręce wpadły materiały, które świadczyły o tym, że obaj panowie byli obserwowani przez tajną policję Szwecji. Wówczas jednak zupełnie nie interweniowano, a obaj nawet nie zauważyli, że są obserwowani. Jasne stało się także, że ta obserwacja służyła ich ochronie. Oto, co mówił Onodera o ówczesnym swoim związku z armią szwedzką: 'Oczekiwałem od niej niemieszania się w moje działania. I rzeczywiście postępowała zgodnie z moimi oczekiwaniami'. (...)

Onodera wkrótce po rozpoczęciu pracy z Iwanowem przekonał się, że jest to świetny specjalista. Otóż mąż, zanim przyjechał do Sztokholmu, był wykładowcą taktyki w Wyższej Szkole Wojskowej i od następnego roku miał prowadzić wykłady na temat operacji korpusów zmechanizowanych w północnej Mandżurii. Ponieważ miały to być pierwsze tego typu wykłady w Japonii, zaprzętały mu głowę nawet po przyjeździe do Szwecji. Pewnego dnia opracował o tym Iwanowowi. Po dwóch tygodniach dostał od niego opracowanie na ten temat. Był zdumiony jego wspaniałą wiedzą z zakresu strategii. Zdziwił go ponadto fakt, że swoją koncepcję Iwanow opracował na podstawie artykułów na temat oddziałów pancernych Niemiec w podbitej przez nie Europie, zamieszczonych w dostępnych na rynku czasopismach. Ponieważ Onodera uznał, że materiał ten może być przydatny dla taktyki Japonii wobec ZSSR w Mandżurii, przetelegrafował go do Tokio, do swego następcy w Wyższej Szkole Wojskowej. Dzięki temu Onodera nabrał do Rybikowskiego zaufania. Zauważywszy to Rybikowski wyjawiał Onoderze, że jako szef wywiadu na Niemcy w istniejącej ciągle w Warszawie podziemnej organizacji polskich sił zbrojnych podlega bezpośrednio szefowi sztabu ppłk. Rudnickiemu. Ponadto powiedział, że do jego obowiązków należy także składanie raportów na temat studiów porównawczych siły militarnej Niemiec i ZSSR od strony ekonomicznej i że szczególnie dobrze orientuje się w przygotowaniach ZSSR do operacji zimowych".

Onodera został oficjalnie mianowany *attaché* wojskowym w Sztokholmie w listopadzie 1940 r. W tym samym roku nastąpiła aneksja trzech krajów bałtyckich przez Zw. Sowiecki. Hitler, po zajęciu Norwegii i Danii, wkroczył do Paryża i wkrótce podpisał rozejm z rządem Pétaina, a następnie, w związku z zamiarem inwazji na Wyspy Brytyjskie, rozpoczął silne ich bombardowanie. Ponieważ poprzednik Onodery Nishimura, w przeciwieństwie do przedstawicieli japońskiej armii w Berlinie i w Tokio, uważał, że Niemcy nie wylądują

w Anglii, japoński Sztab Generalny oczekiwał od Onodery prawidłowego, w ich pojęciu, rozpoznania sytuacji i raportów w tej sprawie. Ale po objęciu stanowiska Onodera na podstawie otrzymywanych informacji szybko uznał, że Nishimura miał rację. Starał się przekonać swych kolegów o tym, że Niemcy rozpoczną wojnę przeciwko ZSSR a nie Anglii podczas dorocznej konferencji japońskich *attaché* wojskowych z krajów Europy, zorganizowanej w Berlinie. Ale ponieważ przed konferencją władze niemieckie pokazały ambasadorowi Oshimie i pracownikom ataszatu porty, z których miał nastąpić atak na wyspy i przedstawiły stan koncentracji sprzętu pływającego mającego służyć do desantu, co zrobiło na Japończykach silne wrażenie, nikt mu nie wierzył.

Pani Onodera tak pisze na ten temat (B.3., s.194-196):

To, że Onodera przed wszystkimi oficerami w Berlinie stanowczo twierdził, że Niemcy zaatakują ZSSR było zasługą Iwanowa. Dowody na to zdobył dzięki swojej siatce szpiegowskiej w Niemczech i na terenie okupowanej Polski. Onodera otrzymywał od niego nieustannie informacje na temat rozlokowania wojsk niemieckich przy granicy z ZSSR, ich składu jak i przygotowań do ataku.

Onodera miał szczęście, bo wkrótce po przyjeździe do Sztokholmu zdobył jeszcze jedno źródło informacji. Był nim były szef II Oddziału Sztabu Generalnego Estonii, gen. mjr Richard Maasing, który uciekł do Sztokholmu. Onodera zaprzyjaźnił się z nim już wtedy, gdy był *attaché* w Rydze w l.1936-38. Maasing, prawdopodobnie również za zgodą władz szwedzkich, utworzył tu estońską organizację podziemną i został jej szefem⁷. On także przekazywał Onoderze, staremu znajomemu, informacje na temat ZSSR i Niemiec. Onodera płacił mu miesięcznie 1000 koron. Tak więc już wkrótce po rozpoczęciu pracy w Sztokholmie Onodera miał dwa źródła informacji. Te od Maasinga przekazywał do Tokio jako „informacje M.”, a te od Iwanowa jako „informacje B.”. Zasadą była konieczność zgodności informacji z obu źródeł. Z reguły Onodera był zadowolony i miał zaufanie do obu panów. To, że informacje od Iwanowa nazywał „informacjami B.”, miało swoją przyczynę. Otóż wówczas w Sztokholmie znalazł się również jako *attaché* dawny serdeczny znajomy Onodery z Rygi, Polak, płk Brzeskwiński. Szwecja uznała polski rząd na emigracji w Londynie i w związku z tym w Sztokholmie było zarówno poselstwo jak i ataszat. Jednak panowie ze względów oczywistych nie mogli się oficjalnie spotykać. Pośredniczył więc Iwanow, nieoficjalny podwładny Brzeskwińskiego, z którym łączyły go szczególnie bliskie związki, o czym poinformowano Onoderę. Dlatego informacje od Iwanowa mąż nazywał „informacjami B.”. Wszyscy w ataszacie wierzyli, że Iwanow jest tym, za kogo podawał się w paszporcie. Codziennie pokazywał się w biurze, czasami

7. Gen. Maasing już przed r. 1939 był w bardzo bliskich stosunkach z oficerami polskiego wywiadu.

pracował przy swoim biurku, ale z mężem zawsze rozmawiał u nas w domu, przeważnie na stojąco w salonie. Głośno się spierali, zawsze po rosyjsku. Niczego nie rozumiałam, ale lubiłam na nich patrzeć. Po takiej rozmowie mąż szkicował treść depezy i wręczał mi z poleceniem przestań w pierwszej kolejności. (...)

Sztab Generalny nalegał bez przerwy na informacje na temat inwazji na Wyspy Brytyjskie. „Ustalić termin rozpoczęcia działań i informować”. A Onodera nieustannie, zarówno w „informacjach M.” jak i „informacjach B.” powtarzał: „Niemcy tracą wiele samolotów podczas bombardowania Wysp Brytyjskich i nie są w stanie dokonać inwazji”, „armia niemiecka, szykując się do ataku na ZSSR rozmieszcza takie to a takie siły wzdłuż granicy” itp., itp. W odpowiedzi dowiadywał się, że się myli, bo uległ propagandzie aliantów. (...)

W pierwszej dekadzie czerwca (1941 r.) Hitler poinformował ambasadora Oshimę, że operacja „Barbarossa” jest nieunikniona. Stwierdził wówczas, że będzie to wojna błyskawiczna i zakończy się w ciągu 6 tygodni, więc pomoc Japonii nie jest potrzebna. Wiadomość od Oshimy w tej sprawie przywiózł do Sztokholmu w drugiej dekadzie czerwca ówczesny tymczasowy poseł Koda Jotaro. Wcześniej wysłaliśmy wiele depezy do Tokio, zarówno jako „informacje M.” jak i „B” o zbliżającej się wojnie Niemiec z ZSSR. Informacja, która najbardziej przekonała Onodere, pochodziła od Iwanowa, a dotyczyła zgromadzenia na terenach okupowanej Polski znacznej ilości trumien. Ponieważ zwyczajem niemieckim było odsyłanie poległych żołnierzy w trumnach, mąż był pewien, że wkrótce nastąpi atak.

Wojna Niemiec z ZSSR zaczęła się 22 czerwca. Ponieważ na początku Niemcy wspaniale wygrywali, wszyscy przypuszczali, że ta operacja zakończy się wielkim zwycięstwem. Ale Iwanow z całym przekonaniem tłumaczył mężowi, że Niemcy wkrótce osłabną. Jednym z jego argumentów, zgodnych ze strategią ogólną, było, że trudno odnieść zwycięstwo, walcząc na terytorium wroga. Uważał, że aby zwyciężyć należy walczyć wzdłuż linii granicznej, przyciągnąwszy tam uprzednio siły przeciwnika. Drugim argumentem było to, że Niemcy nie będą mogły włączyć do działań, wszystkich, przewidzianych w operacji „Barbarossa”, oddziałów pancernych, gdyż Włochom nie wiodło się najlepiej w zaatakowanej przez nich na wiosnę Jugosławii. W związku z tym główne siły są niewystarczające, szczególnie do walk na terenie Ukrainy. Po trzecie, operacja „Barbarossa” miała zacząć się 15 maja, ale z powodu oczekiwania na pomoc Włoch, rozpoczęto ją o miesiąc później. Ponieważ Hitler twierdził, że walka potrwa jedynie 6 tygodni, armia wyposażona jest tylko na lato. Jeśli wojna się przedłuży, niemieccy żołnierze nie wytrzymają surowej rosyjskiej zimy.

I rzeczywiście, sukcesy armii niemieckiej na froncie rosyjskim nie trwały dłużej niż dwa miesiące⁸. Pod koniec sierpnia, niespodziewanie wcześniej, zaczął się okres deszczowy, który unieruchomił w błocie wspaniałe niemieckie czołgi. W październiku, również niespodziewanie wcześniej nadeszła zima, na co żołnierze byli zupełnie nie przygotowani. O tym wszystkim Onodera otrzymywał szczegółowe informacje z obu źródeł i

8. Niezupełnie dokładnie: we wrześniu 1941 Niemcy zajęli Kijów, a w listopadzie podjęli ofensywę na Moskwę.

skrupulatnie przekazywał je do Tokio. (...) Ale to do nich nie trafiło”.

18 października 1941 r. w Japonii utworzono nowy gabinet, w którym zarówno premierem jak i ministrem armii oraz ministrem spraw wewnętrznych został gen. Tojo Hideki, zwolennik jak najszybszego przystąpienia Japonii do wojny. Onodera zrozumiał wtedy, że jego depesze do sztabu w Tokio nie odniosły żadnego rezultatu. Yuriko nawet dziś pamięta dokładnie zdenerwowanie męża (B.3., s. 199):

„Japonii nie wolno przystąpić do wojny!” — wykrzyknął.

Nie wiedzieliśmy, co oznacza wojna dla Japonii, czy marsz na południe czy na północ. Od tego momentu Onodera w desperacji wysyłał do Tokio telegramy, wyjaśniając przyczyny, dla których Japonia nie może przystąpić do wojny. Wysyłał ich z pewnością ponad trzydzieści. Ale tylko raz cesarski Główny Sztab Dowodzenia zapytał: 'Dlaczego nie wolno nam prowadzić wojny?' Onodera tak na to odpowiedział: 'Ponieważ jestem tutaj, nie orientuję się dokładnie w sytuacji w Azji, ale to, co wiem o sytuacji Europy, wystarczy, bym twierdził że nie wolno nam przystępować do wojny uznając za głównego partnera Niemcy' — i dalej, po raz kolejny, napisał o tym, że Niemcy już zaczynają przegrywać. Mąż od młodości zajmował się analizą siły militarnej Japonii. Uważał, że jeśli Japonia szybko nie zakończy incydentu chińskiego, to skutki będą dla niej straszne. Dlatego też starał się wytłumaczyć przełożonym, że pomyłką będzie przystąpienie Japonii do wojny, czy to w przypadku marszu na północ, czy na południe. A Iwanow nadal dostarczał informacji na temat coraz gorszej, głównie z powodu surowej zimy, sytuacji Niemiec na froncie wschodnim”.

Tu należy wyjaśnić, co oznaczał „marsz na północ”, a co „marsz na południe” dla japońskich sił zbrojnych. Otóż tradycyjnie już zamierzenia, w tym również plany agresji, sił lądowych Japonii różniły się od zamierzeń floty. W obu istniały liczne ugrupowania i frakcje, które przed wybuchem wojny na Pacyfiku rzadko współpracowały ze sobą.

Podział ten trwał od lat. Kiedy na początku lat trzydziestych nasiliły się tendencje ekspansjonistyczne, japońskie siły lądowe zaczęły nalegać na rząd na rozpoczęcie działań w kierunku północnym, to znaczy na terenie Chin Centralnych, a później ZSSR. Natomiast przedstawiciele floty, z racji swoich możliwości, dążyli do ekspansji na południe, czyli do działań wojennych na Pacyfiku, co oznaczało działania przeciw Stanom Zjednoczonym, Wielkiej Brytanii i ich sojusznikom.

Już od przyjazdu Onodery do Sztokholmu przedstawiciele akredytowanych tam państw podzieleni byli na dwie grupy: sojuszników osi Tokio-Berlin-Rzym i aliantów. Przy-

pomnijmy, że Japonia przystąpiła do osi 27 września 1940 r. Nie miał więc oficjalnych możliwości spotkań z osobami, związanymi z państwami alianckimi.

Pani Onodera wyjaśniła autorce w rozmowie (A. 15), że *attaché* wojskowi raczej nie spotykali się wówczas z przedstawicielami dyplomatycznymi.

— „Mimo tego podziału na państwa osi i aliantów Onodera początkowo, zanim wybuchła wojna na Pacyfiku, spotykał się także z Brzeskińskim. Nie pamiętam, by robił to po moim przyjeździe do Sztokholmu, ale mówił mi, że widział go nieoficjalnie kilka razy w pierwszych miesiącach swego pobytu w Szwecji”.

Onodera, jak twierdzi jego żona, zawsze, zarówno w sytuacjach oficjalnych jak i prywatnych, miał bardzo miłe kontakty z Niemcami. Istniał tylko jeden poważny problem — Iwanow. Nieomal zaraz po przyjeździe Onodery do Sztokholmu zaczął na niego naciskać w sprawie wydania Iwanowa szef tamtejszej Abwehry, mjr Hans Wagner. Żądania ponawiano kilkakrotnie. O tym, że działalność Rybikowskiego była dla Niemców co najmniej uciążliwa, świadczy także zainteresowanie jego osobą szefa Wydziału VI Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, Brigadeführera SS Waltera Schellenberga, który, jak pisze w swych wspomnieniach (B.4., s. 152-153), dla zbadania sprawy kontaktów „człowieka zwanego Piotrem” z „Onoderą, jedną z głównych figur japońskiego wywiadu w Europie” udał się do Sztokholmu, oraz Reichsführera SS Heinricha Himmlera, ówczesnego szefa niemieckiej policji. Himmler 31 grudnia 1942 r. w tajnym dokumencie do ministra spraw zagranicznych, Ribbentropa tak oto pisał o Rybikowskim (kopia dokumentu pochodzi z archiwum Onoderów; por. Józef Lewandowski (C. 5), appendix A, s. 86, 99):

„(...) Dotyczy: przepływu informacji polskiej służby wywiadowczej między Generalną Gubernią a Sztokholmem.

Służba informacyjna rozbudowana przez polski ruch oporu nabiera specjalnego znaczenia w ramach ogólnej działalności wrogich służb informacyjnych skierowanych przeciw Niemcom. Przy okazji przeprowadzenia szerszych akcji policyjnych i bezpieczeństwa uzyskano różne wiadomości co do zakresu i wagi tego działu polskiego ruchu oporu, który jest bardzo dobrze zorganizowany i rozgałęzia się aż do najdrobniejszych ugrupowań. (...)

Można by zaproponować wymianę na zasadzie postępowania prawnego, jeżeli przekazany zostanie do Niemiec jeden z najbardziej niebezpiecznych polskich funkcjonariuszy wywiadu po stronie szwedzkiej, czynny obecnie jako współpracownik *attaché* wojskowego przy poselstwie japońskim w Sztokholmie (...)

Onodera nie tylko nie odpowiadał na żądania ze strony Niemców, ale zaczął jeszcze bardziej strzec Rybikowskiego. Na jego prośbę ówczesny tymczasowy poseł Japonii w Sztokholmie Koda Jotaro wystawił Rybikowskiemu nowy paszport, tym razem japoński na nazwisko Iwanobu Heita. Onodera obawiał się, że poprzedni paszport może nie wystarczyć, by ochronić Iwanowa, ponieważ Szwecja nie uznawała Mandżukuo. Pani Onodera dodała jeszcze, że Koda mógł to zrobić tylko dlatego, że był posłem tymczasowym i do tego współdziałał z Onoderą. Dzięki opiece Onodery jego współpraca z Iwanowem trwała jeszcze kilka lat.

Oddajmy znów głos pani Onoderze (B. 3., s. 198):

„Oczywiście Wagner wiedział doskonale, kim jest Iwanow i że do jego obowiązków należy przekazywanie informacji do Londynu. Nie mógł jednak znieść tego, że dzięki współpracy Iwanow-Onodera informacje otrzymywali także Japończycy i to takie, których Niemcy nie chcieli im przekazywać. Ale służbowy paszport japoński i oficjalne zatrudnienie na stanowisku tłumacza w ataszacie Japonii nie pozwalały na aresztowanie Michała. Onodera, bojąc się o życie Iwanowa, nie zezwalał mu także na opuszczanie granic Szwecji. I tak strzegł go przez 3 lata.

(...) Atak na Pearl Harbor nastąpił 8 grudnia. (...) Onodera i Iwanow znaleźli się w bardzo nieprzewidywalnej sytuacji. Ale zarówno rząd polski w Londynie jak i japoński Sztab Generalny poleciły, by utrzymywali kontakt ze sobą w dotychczas istniejącej formie”.

W książce pani Onodera dodaje jeszcze (B. 2., s. 142):

„Jest jeszcze jeden dowód świadczący o tym, że Polska nie uważała Japonii za wroga. Otóż jeszcze przed rozpoczęciem wojny na Dalekim Wschodzie do japońskiej Armii Kwantuńskiej w Mandżurii przydzieleni byli trzech polscy oficerowie, specjaliści od szyfrów. To stało się problemem po rozpoczęciu wojny i w związku z tym nasz sztab wydał mężowi polecenie by przez Iwanowa dowiedział się, co myśli o tym strona polska. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że chce by pozostali w Mandżurii na poprzednich warunkach”.

Powróćmy do artykułu i dalszej wypowiedzi Yuriko na temat współpracy Onodery i Rybikowskiego po wybuchu wojny na Pacyfiku (B. 3., s. 200):

„(...) zachowywali się więc tak, jakby nic nie zaszło, ale prawdopodobnie przyrzekli sobie, że będą współpracować nadal, tylko pod warunkiem, że nie będzie się to wiązać ze zdradą ojczyzny lub sprzymierzeńców ich krajów. Onodera powiedział mi: 'Iwanow współpracuje ze mną i zależy mu na tym, aby Japonia nie popełniła błędu w stosunkach z Niem-

cami. Ale nie mówi mi wszystkiego o swej działalności. Jego podstawowym zadaniem, jako polskiego oficera, odpowiedzialnego za dostarczanie informacji na temat Niemiec, jest przekazywanie tych informacji do Anglii”.

Bezpośrednia współpraca Onodery z Rybikowskim trwała do 1944 r. Rybikowski nieustannie dostarczał swemu japońskiemu zwierzchnikowi cennych informacji na temat sytuacji na froncie w Europie, pozycji ZSSR i Niemiec, a w zamian za to Onodera pomagał mu w przerzucaniu poczty na Zachód, przekazywał nieco wiadomości na temat sytuacji Japonii, a przede wszystkim strzegł. Dzięki temu Iwanow nie dostał się w ręce Niemców.

Rybikowski w listach wysyłanych do Onodery po wojnie wielokrotnie dziękował mu za ocalenie życia. W jednym z nich (Southampton, 1982.05.25) (A.11) napisał:

„Trudno wyrazić słowami uczucia, jakimi Was darzę. Jesteście dla mnie więcej niż przyjaciółmi. (...) Na moim biurku stoi fotografia Makoto. To on uratował mi życie i ochronił przed Gestapo. (...)”.

Ostatecznie jednak Onodera musiał rozstać się z Iwanowem. Wiosną 1944 r. odpowiedzialny za *attaché* wojskowych innych państw w Szwecji, gen. por. Kjellgren wydał Onoderze polecenie wysłania Iwanowa za granice państwa, argumentując jedynie tym, że działa na szkodę porządkowi tego kraju. Ponieważ nie można było nie wykonać polecenia przedstawiciela władzy kraju, w którym Onodera był akredytowany, po naradzie z Brzeskińskim ustalono, że Iwanow opuści Szwecję.

Sięgnijmy znowu do wspomnień pani Onodery (B.3., s. 201):

„Wraz z trzema tymczasowymi pracownikami naszego biura urządziliśmy Michałowi skromną kolację pożegnalną i wystaliśmy go do Londynu. Tymi pracownikami byli, przybyli tu z Berlina po rozpoczęciu wojny przez Japonię, Honma Jiro z Mitsui-senpaku, Sato Kichinosuke z Mitsui-bussan oraz Inoue Yoichi z Mitsubishi-shoji. Pracowali z Iwanowem przez dwa lata, szanując go i lubiąc. Prawdę o nim usłyszeli w tajemnicy od Onodery. W prezencie dostał połączane pudło na papierosy z wrytymi naszymi podpisami. Był to jedyny prezent jaki ofiarował mu Onodera”.

Yuriko w rozmowie (A.15) wyjaśniła autorce, że po rozpoczęciu wojny przez Japonię biznesmeni japońscy, pracujący w krajach Europy zostali przydzieleni jako pracownicy tymczasowi do poselstw, konsulatów i ataszatów, a ich rodzi-

ny odesłane do kraju. Opłacały ich nadal firmy, w których dotychczas pracowali.

„To byli ludzie na wysokim poziomie. Świetnie znali języki. Można było ich zaliczyć do elity”.

Iwanow opuszczając Sztokholm obiecał, że nadal, z Londynu, będzie przysyłał Onoderze informacje. Listy te miały docierać wraz z pocztą kurierską tymczasowego rządu polskiego w Londynie do poselstwa polskiego w Sztokholmie, a do domu Onodery miał je dostarczać Brzeskwiński. Ustalono, że będą pisane na maszynie, po rosyjsku, a nadawcą będzie Stefan Kadonowski (lub Kadowski), pseudonim Berg.

Wróćmy do artykułu pani Onodery (B. 3., s. 201-203):

Pewnego wieczoru, już po wyjeździe Iwanowa, siedząc po kolacji w salonie, usłyszeliśmy, że coś wrzucono do skrzynki na pocztę. Natychmiast poszliśmy sprawdzić. Zgodnie z obietnicą Iwanowa był to list od Berga. Otworzyliśmy drzwi i wyrzeliśmy na klatkę schodową. Ze schodów zbiegał chłopiec podobny do syna Brzeskwińskiego. Brama do naszego domu zamykana była o 8 wieczorem. Później jeszcze wiele razy właśnie między zachodem słońca a godz. 8 ten sam chłopiec albo jakaś pani dostarczali nam przesyłki. Po kolacji o godz. 6 służba kończyła pracę i udawała się do swojego pomieszczenia na tyłach kuchni. Jeśli nawet wychodzili z domu, to korzystali ze schodów kuchennych, tak że nikt nie mógł zwrócić uwagi na to, że ktoś dostarcza listy głównymi schodami. (...)

Nigdy nie zapomnę informacji, która nadeszła zaraz po konferencji w Jałcie w lutym 1945r.: 'Zawarto tajne porozumienie. ZSSR po trzech miesiącach przygotowań od kapitulacji Niemiec przystąpi do wojny z Japonią'. Pamiętam, jak Onodera był zdumiony, gdy odebrał tę ważną wiadomość i jak to szfrylowałam. Nie było specjalnie żadnej reakcji na tę wiadomość ze strony sztabu, ale nie mieliśmy wątpliwości, że dotarła ona do centrali. Niemcy ostatecznie skapitulowały 8 maja, a ZSSR, zgodnie z postanowieniami w Jałcie, 9 sierpnia wypowiedział wojnę Japonii. (...)

Byliśmy wdzięczni za to, że Iwanow zgodnie z obietnicą przekazywał nam nadal bardzo cenne informacje. Ale prawda była zupełnie inna. Wyjawiał nam ją sam Iwanow, dopiero trzydzieści kilka lat później, w 1980r. w kilku listach wysłanych do nas z Kanady. Na nowo byliśmy poruszeni i zdumieni. Dowiedzieliśmy się, że:

1. Po przyjeździe ze Sztokholmu do Londynu Peter Iwanow już jako major Michał Rybikowski powrócił do regularnej armii polskiej.

2. Mimo że Polska była podzielona pomiędzy Niemcy i Związek Sowiecki, to przez całą wojnę w Warszawie istniała tajna siatka wywiadowcza polskiej armii, która zbierała informacje na temat ZSSR i Niemiec. Dowódcą jej był oficer bezpośrednio podległy Rybikowskiemu, a jej członkami wybitni specjaliści z różnych dziedzin. Ich działalność przynosi-

ła wspaniałe efekty. Rybikowski nie tylko otrzymywał od nich informacje, ale także zajmując pozycję zwierzchnika, przekazywał im swoje opinie na tematy sporne i pomagał w analizie sytuacji. Grupa ta odegrała wielką rolę w jego współpracy z Onodera. Poza tym Michałowi przesyłano także wiadomości ze sztabu w Londynie. Często dyskutował z mężem na ten temat. (Onodera nie wiedział wiele o tej organizacji wywiadowczej, znał natomiast lepiej sprawy związane ze sztabem polskim w Anglii).

3. Przed wyjazdem do Londynu Rybikowski przekazał Brzeskwińskiemu wszystkie swoje kontakty w Warszawie, w Berlinie i państwach nadbałtyckich. Sam postanowił całkowicie wycofać się z działalności wywiadowczej i powrócić do regularnej armii. Jego ludzie z organizacji nie wiedzieli o tym, że wyjechał ze Sztokholmu do Londynu. Otrzymali jedynie rozkaz: 'Odtąd wszystkie informacje przekazywać Brzeskwińskiemu', więc działali nadal.

4. Wkrótce po przyjeździe do Londynu wrócił do służby czynnej, przydzielony do I Brygady w Szkocji. Później jego były przełożony, szef wywiadu poprosił go, by został jego zastępcą, ale odmówił i jako dowódca I Brygady Wojska Polskiego, wyruszył na front włoski. Za zasługi w walkach we Włoszech awansował do stopnia pułkownika. Tutaj doczekał końca wojny. Tutaj, na froncie włoskim, na początku 1945 r. otrzymał po raz pierwszy list od Brzeskwińskiego. Uspokoił się, dowiedziawszy, że ten utrzymuje stały kontakt z Onodera.

5. Po wojnie z Brzeskwińskim spotkał się w Anglii, w styczniu 1947 r. Ciężko chory na raka Brzeskwiński powiedział Rybikowskiemu, że do końca wojny kontaktował się z Onodera.

6. Jeden z podwładnych Rybikowskiego, żyjący obecnie w Warszawie, w liście z 1980 r. poinformował go, że zgodnie z jego rozkazem, do końca wojny wszystkie informacje przekazywał przez Londyn Brzeskwińskiemu.

Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że informacje, które w naszym przekonananiu pochodziły od Iwanowa, tak naprawdę, zgodnie z naszym hasłem, zamieniły się w 'informacje B.' (...)"

„Informacje B.”, dzięki Brzeskwińskiemu i agentom Rybikowskiego w Polsce, którzy nie wiedzieli, że Iwanow opuścił Sztokholm, Onodera przekazywał do sztabu prawie do końca wojny, to znaczy do 15 sierpnia 1945 r. 2 września podpisano dokumenty kapitulacyjne. Tego samego dnia powołano Najwyższe Dowództwo Sił Sprzymierzonych i zaczął się sześćdziesięcioletni okres okupacji Japonii.

„Jedną z trzech osób — pisze pani Onodera (B. 3., s. 204, 198) — które wyraziły nam współczucie natychmiast po tym jak obwieszczono światu kapitulację Japonii, była żona Brzeskwińskiego. Z oczami pełnymi łez i bukietem kwiatów w rękach powiedziała: 'Dobrze ukryjcie rzeczy'. Była to uprzejma rada Polki, przedstawicielki narodu, cierpiącego stale z powodu historii, skierowana do Japończyków, którzy po raz pierwszy doświadczyli klęski wojennej. (...) Pożegnaliśmy się ze łzami w oczach, całując się również w imieniu mężów”. (...)

Kopie wszystkich depez, które wysyłane były przez trzy ostatnie lata na podstawie informacji Rybikowskiego, spaliliśmy dokładnie po zakończeniu wojny. Zniszczone powinny być także wszystkie nasze depeze przyjęte przez Główny Sztab Dowodzenia w Tokio. Byliśmy przekonani, że nie zachowała się ani jedna. A jednak... Jedną z nich znalazł w archiwum w Waszyngtonie w grudniu 1991 r. Takahashi Hisashi z Instytutu Samoobrony przy Agencji ds. Samoobrony. Była to oznaczona jako „informacja B.” depeza na temat organizacji armii sowieckiej, wysłana przez Onoderę, a rozszyfrowana w Ameryce. Byłam zaskoczona a jednocześnie wzruszona widząc po pół wieku dokument, o którym myślałam, że zniszczony został bezpowrotnie”.

Jest to bardzo cenna informacja dla każdego badacza tamtego okresu. Można bowiem przypuszczać, że dzięki działaniom i współpracy wywiadów różnych krajów ocalało więcej tak ważnych dokumentów.

Fakt, że taka współpraca istniała nie tylko między wywiadem polskim a japońskim, potwierdził płk Rybikowski, w rozmowie z autorem niniejszej pracy. Otóż twierdził on, że wywiad szwedzki w czasie wojny, nie potrafiąc odczytać szyfrów japońskich, przekazywał Amerykanom kopie większości depez Onodery w zamian za ogólne informacje o ich treści. Może właśnie tą drogą dotarła do Stanów Zjednoczonych wspomniana „informacja B.”?

Kontakty Onodery i Rybikowskiego nie ograniczały się tylko do spraw „zawodowych”. Iwanow często prywatnie spędzał czas z rodziną Onoderów, przeważnie w ich mieszkaniu. Zrodzona wówczas przyjaźń przetrwała wiele lat. W 1987 r. odszedł z tego świata Makoto, a w 1991 r. Michał. Po wojnie spotkali się tylko dwa razy, raz w Tokio w 1970 r. i raz w Montrealu w 1974 r. Chcąc wynagrodzić sobie niemożność rozmowy, często do siebie pisali. Pani Onodera nie pamięta, kiedy zaczęła się wymiana korespondencji pomiędzy nimi. Zachowało się prawie sto listów od Michała, z których pierwszy pochodzi z 1961 r. z Montrealu.

Oddajmy znów głos pani Onoderze (B. 3., s. 191-192):

„(...) połowa listów od Michała napisana jest w niezrozumiałym dla mnie języku rosyjskim. Makoto pisał tylko po rosyjsku. Nigdy nie robił tego na brudno, więc nie zostały u nas żadne kopie jego korespondencji. Później zaczęły nadchodzić listy po angielsku. Musiałam mu je tłumaczyć. Był bardzo z tego powodu niezadowolony. W listach, które ja już mogłam czytać, Michał bardzo często powtarzał: 'Makoto wielokrotnie depeszcował do Tokio, prosząc, żeby Japonia nie naśladowała ślepo Niemców i nie zaatakowała z Azji ZSSR. Robił tak, bo informowałem go o tym, że siła

Niemiec, to znaczy Hitlera nie jest tak wielka, jak uważa Japonia i że wkrótce będą przegrywać w wojnie ze Związkiem Sowieckim. Dzięki temu że Japonia nie wypowiedziała wojny ZSSR, wojska sowieckie nie stacjonują dzisiaj na Wyspach Japońskich. Zaslugą Makoto jest to, że Japonia nie podzieliła losów wschodnich Niemiec i północnej Korei. (...) Po to właśnie Makoto i ja działaliśmy wspólnie”.

Pani Onodera przekazała autorce kopie wszystkich listów Rybikowskiego. Jak mogliśmy się przekonać, w większości z nich podkreślał on swe oddanie i przyjaźń wobec Onodery oraz jego umiejętności i rozsądek, dzięki którym współpraca w czasie wojny układała się tak dobrze. Dla potwierdzenia tych słów przytoczmy kilka fragmentów tych listów (A.11.):

„Drogi Makoto,

(Southampton, 1979.07.20.)

Jestem Ci bardzo wdzięczny za to, co zrobiłeś dla mnie i dla Japonii w czasie wojny. Pomagając mi pomagałeś także Polsce. (...) Zawsze stawiałem Ciebie wysoko jako oficera; zorganizowanego, mądrego, z dużym doświadczeniem w kwestiach wojny. I tak o Tobie pisałem do Londynu”.

(Southampton, 1979.07.24.)

„(...) Piszę znów na temat naszej działalności w czasie wojny. To, co najbardziej podobało mi się u Ciebie, to Twój pogląd na temat wojny. Dla Ciebie nie byli ważni Niemcy, ważna była Japonia i jej sprawy, i wszyscy ci, którzy Japonii pomagali. (...) Twoje starania o to, żeby przypadkiem nie stało mi się nic złego, prowadziło do tego, że sprawy Polski i Japonii szły obok siebie. Poza tym wtedy, gdy gestapo zaczęło mieć mnie na oku, gdy chcieli mnie złapać i wywieźć do Niemiec, powiedziałaś, żebym wprowadził się do Waszego biura i nie wychodził. (...) Bez względu na wojnę Twój stosunek do mnie był bardzo dobry i przyjacielski. Będę o tym pamiętał przez całe życie. (...) Te informacje, które ja przekazywałem Tobie, a Ty mnie, dawały naszym sztabom obraz tego, co dzieje się w świecie, a nie tylko w naszych krajach”.

Swą przyjaźń i wdzięczność za współpracę w czasie wojny wyrażał w listach również Onodera. Sięgnijmy do jednego z nich (A.9), przekazanego autorowi przez Rybikowskiego:

(Tokio, 1963.07.06)

„(...) Wspomnienia Schellenberga czytałem we fragmentach. Bardzo ładnie o sobie pisał. On absolutnie nie mógł znać powiązań między nami. Każdy z nas pracował dla swojego kraju, ale znaleźliśmy wspólne interesy. W ten sposób kontynuowaliśmy naszą współpracę. Poza tym Ty bardzo mi pomogłeś. Byłeś zawsze drogim przyjacielem i dla mnie, i dla mojego

kraju. (...) Przykro mi tylko, że nie możemy nagrodzić Ciebie naszym orderem (...)

W liście kondolencyjnym po śmierci Makoto, która nastąpiła 17 września 1987 r., Rybikowski napisał do Yuriko (B. 3., s. 192):

„Wiem, że pogrążona jesteś w smutku, ale nie zapominaj, że Twoje dobre dzieci i ja jesteśmy przy Tobie”.

Ostatni list od Michała Yuriko otrzymała we wrześniu 1990 r. na cztery miesiące przed jego śmiercią.

Sztokholm — jak zdołali na podstawie dostępnych im źródeł ustalić autorzy niniejszej pracy — stanowił jeden z najważniejszych, a zarazem ostatni punkt kontaktowy agentów polskiego i japońskiego wywiadu w czasie II wojny światowej. Wcześniej, takie ośrodki istniały w Kownie, Berlinie i Królewcu. Prawdopodobnie Polacy współpracowali z Japończykami także w Warszawie i być może jeszcze w innych miastach, ale nie ma na to konkretnych dowodów. Sugihara, Hryncewicz, Daszkiewicz i Jakubianiec, Onodera, Rybikowski i Brzeskwiński to tylko najważniejsze postaci, które wzięły bezpośredni udział w opisanym powyżej fragmencie historii. Dowody na to autorzy odnaleźli w ich wspomnieniach, raportach, listach oraz w innych dokumentach, do których zdołali dotrzeć. Należy jednak pamiętać, że współpraca naszych wywiadów w czasie II wojny światowej nie byłaby możliwa, gdyby przedstawionym tu głównym bohaterom nie pomagali ich współpracownicy, podwładni i wiele innych osób, które prawdopodobnie już na zawsze pozostaną bezimiennie.

Autorzy, mimo długotrwałych poszukiwań, nie dotarli zapewne do wszystkich źródeł. Jednak uznawszy, że ten ważny fragment historii kontaktów polsko-japońskich, jakim była współpraca wywiadów w czasie ostatniej wojny, już zbyt długo czekał na opracowanie, postanowili opublikować wyniki swoich badań. Mają jednocześnie nadzieję, że dzięki ich pracy opisane tu wydarzenia pozostaną w pamięci następnych pokoleń.

*Ewa PAŁASZ-RUTKOWSKA
Andrzej T. ROMER*

Do pracy zostały wykorzystane:

A. DOKUMENTY NIE PUBLIKOWANE BĘDĄCE W POSIADANIU AUTORÓW

— *Sprawozdania, raporty, wspomnienia:*

1. Eryk Budzyński na temat „poczty japońskiej” (19.05.1992), s. 9;
2. Leszek Daszkiewicz, „Placówka Wyw. 'G'. Sprawozdanie i dokumenta”, Anglia 1948, s. 88;
3. Ludwik Hryncewicz, „Grupa pod kryptonimem 'Wierzba' na Litwie Kowieńskiej działająca w okresie II wojny światowej”, Warszawa 1988, s. 25;
4. Tadeusz Rómer, „A Diplomatic Activities 1913-1975: vol.1 Japan (1937-1941), Public Archives of Canada, Ottawa 1976;
5. Michał Rybikowski, „Dokumenty różne” (Archiwum Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie)
6. Sugihara Chiune, Raport na temat działalności w Kownie i współpracy z Polakami, (w języku rosyjskim), s. 10;

— *Listy:*

7. Eryka Budzyńskiego do Andrzeja T. Romera (1992);
8. Ludwika Hryncewicza do Andrzeja T. Romera (1988);
9. Onodery Makoto do Michała Rybikowskiego (1963);
10. Onodery Yuriko do Ewy Pałasz-Rutkowskiej (1994);
11. Michała Rybikowskiego do Onodery Makoto i Yuriko (1963-1989);
12. Sugihary Yukiko do Ewy Pałasz-Rutkowskiej (1994).

— *Wywiady i rozmowy z:*

13. Erykiem Budzyńskim;
14. Wincentym Chrzęszczewskim;
15. Onoderą Yuriko, Tokio 1993;
16. Tadeuszem Romerem, Montreal 1972;
17. Michałem Rybikowskim, Montreal 1970;
18. Sugiharą Yukiko, Kamakura 1993;
19. Sugiharą Nobukim, Antwerpia 1992.

B. DOKUMENTY OPUBLIKOWANE

1. „Armia Krajowa w dokumentach: 1939-1945”, t.I, II, Ossolineum 1990;
- 1 a. Hata Ikuhiko, „Nihon-riku-kaigun-sogo-jiten” (Słownik japońskiej armii i floty) Tokyo-daigaku-shuppankai 1991.

— *Wspomnienia:*

2. Onodera Yuriko, „Barutokai-no hotori-ni-te” (Gdzieś w pobliżu Bałtyku), Kyodo-tsushinsha, Tokyo 1985, (jęz. jap.);

3. Onodera Yuriko, „Onodera-bukan-no „tataikai”. Hokuo-no chino johosen-to Ribikofusuki-no koto” („Walka” *attaché* Onodery. Wojna wywiadów w północnej Europie), „Seiron” 1993/5 s.186-221, (jęz. jap.);
4. Walter Schellenberg, „The Schellenberg Memoirs”, André Deutsch, London (jęz. ang.);
5. Sugihara Yukiko, „Rokusennin-inochi-no biza” (Wizy życia dla 6000 osób), Asahi-sonorama, Tokyo 1990, (jęz. jap.);

C. WYBRANA LITERATURA UZUPEŁNIAJĄCA

1. Eryk Budzyński, „Poczta japońska”, *Zeszyty Historyczne* nr 102, Instytut Literacki, Paryż 1992, s.203-213;
2. J.W.M. Chapman, „The Polish Connection: Japan, Poland and the Axis Alliance”, *Proceedings of the British Association for Japanese Studies*, vol. II 1977;
3. Leonidas A.B. Kliszewicz, „Baza w Sztokholmie”, *Zeszyty Historyczne* nr 58, Instytut Literacki, Paryż 1981, s.44-175;
4. Janusz Kozakiewicz, Ryszard Mackiewicz, „Podokrąg ZWZ/AK Kowno, Inspektorat E”, Wydanie poszerzone 1993, *Zeszyty Historyczne* „Wiano”;
5. Józef Lewandowski, „Swedish Contribution to the Polish Resistance Movement during World War Two (1939-1942), *Acta Universitatis Upsaliensis* No. 20, Uppsala 1979;
6. Leon Mitkiewicz, „Wspomnienia kowieńskie 1938-1939”, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1990;
7. Juliusz Pollack, „Wywiad, sabotaż, dywersja. Polski Ruch Oporu w Berlinie 1939-1945”, LSW Warszawa 1991;
8. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, „Tiergarten”, *Książka i Wiedza*, Warszawa 1986, s. 335

oraz liczne artykuły z prasy i czasopism japońskich.

Józef ŁAPTOS, Grzegorz MAZUR

KAMPANIA WRZEŚNIOWA W ŚWIETLE RAPORTÓW BELGIJSKIEGO ATTACHÉ WOJSKOWEGO W BERLINIE

Obowiązkiem każdego attaché wojskowego, akredytowanego w państwie, znajdującym się w stanie wojny z innym krajem, jest aktywne śledzenie przebiegu działań wojennych, raportowanie swoim władzom wojskowym o wszelkich nowinkach technicznych oraz nowych rozwiązaniach taktycznych i strategicznych, stosowanych przez walczące strony. Informacje te z założenia powinny służyć władzom tego państwa do polepszenia stanu obronności kraju przez wykorzystanie nowości z dziedziny militarnej. Tak też rozumiał swe obowiązki belgijski attaché wojskowy w Berlinie, płk. Goethals. Na podstawie zgromadzonych z różnych źródeł materiałów przekazywał swoim przełożonym aktualne dane z konkretnego etapu kampanii wrześniowej, zwracając szczególną uwagę na te fakty, które mogły być przydatne dla obrony Belgii. Oczywiście stan jego wiedzy o działaniach wojennych w Polsce był daleko niepełny, a w części nawet tendencyjny z uwagi na nieuniknione poddawanie się oficjalnej propagandzie wojennej III Rzeszy. Jego raporty, spisywane „na gorąco”, warte są jednak szczególnej uwagi. Są one bowiem jednymi z pierwszych dokumentów, omawiających przebieg kampanii wrześniowej jeszcze w trakcie jej trwania, jakie zostały przesłane na Zachód z Niemiec lub Polski i jedną z pierwszych opinii zachodnich wojskowych.

Raporty płk. Goethalsa zawierają szereg trafnych spostrzeżeń, dotyczących taktyki niemieckiej w Polsce. Szczególnie podnoszą one znaczenie broni pancernej, możliwości, jakie ona dawała, a także kwestię sposobów obrony przeciwpancernej. Podkreślić trzeba, że właśnie te jej zalety i pełne ich wykorzystanie przez Niemców (możliwość szybkiego przełamania linii oporu przeciwnika i niszczenia jego zaplecza) umożliwiły im pokonanie nie tylko Polski, ale później, w 1940 r. także Francji, Belgii i Holandii. Belgijski attaché wojskowy zwrócił też uwagę na znaczenie lotnictwa w nowoczesnej wojnie. Dla polskiego czytelnika, przyzwyczajonego do gloryfikowania obrony wrześnieowej, raporty te mogą być wręcz szokujące, zwłaszcza że autor nie wyzwolił się ze stereotypów dotyczących wartości bojowej słowiańskiego żołnierza. Odmienne od utartej opinii są też pozytywne oceny miejsca kawalerii w wojnie, aczkolwiek chyba zbyt pochopnie sformułowane.

Koła wojskowe państw zachodnich były bardzo zainteresowane przebiegiem wydarzeń w Polsce, wiedząc, że czerpanie z doświadczeń tej pierwszej kampanii wojennej II wojny światowej pozwoli osiągnąć sukces militarny. Było to tym bardziej uzasadnione, że nasi sojusznicy byli dobrze zorientowani w stanie przygotowań Polski do wojny. O wadze tych raportów świadczy fakt, że pierwszy z nich znalazł się w rękach francuskich władz wojskowych i został potraktowany jako źródło nadzwyczajnej wręcz wagi, o czym świadczy jego szczególne utajnienie.

W kilka miesięcy po klęsce wrześnieowej Niemcy pokonali Francję, Belgię i Holandię, przy okazji eliminując z sił alianckich brytyjski korpus ekspedycyjny we Francji, który po stratach poniesionych pod Dunkierką musiał być uzbrajany i wyposażany od nowa. Okazało się wtedy, że dowódcy wojskowi państw zachodnich z racji swego konserwatyizmu i przywiązania do przestarzałych — jak się okazało — metod prowadzenia wojny jeszcze z czasów I wojny światowej, nie byli w stanie przeciwstawić się sprawnej machinie wojennej III Rzeszy. Zabrakło im zresztą czasu i możliwości na odpowiednie przygotowanie się do odparcia agresji. Stąd też raporty płk. Goethalsa można odczytać też jako swoiste pro-roctwo, o czym wiemy dopiero my, bo ich autor nie mógł przewidzieć, że podobny jak w Polsce scenariusz niemieckiej agresji powtórzy się w jego ojczyźnie i sąsiadujących z nią krajach.

Dokumenty publikujemy w całości, opatrując je niezbędnymi przypisami objaśniającymi.

Nr 1

Berlin, 8 września 1939 r.

Attaché wojskowy
rap. nr 758

Płk Goethals, attaché wojskowy
do szefa sztabu wojskowego przy Królu,
do Ministra Obrony Narodowej,
do Szefa Sztabu Generalnego Armii (2 egz.)

Biuletyn informacyjny nr 471.

PIERWSZE INFORMACJE NA TEMAT KAMPANII PRZECIWKO POLSCE

Informacje, jakie mam zaszczyt niniejszym przekazać, pochodzą z kilku źródeł, mogących uchodzić za wiarygodne: od attachés wojskowych państw bałtyckich i dawnych służb wywiadowczych, jedynych, które mają jeszcze możliwość uzyskania tu i ówdzie pewnych wiadomości.

Materiały pochodzące ze źródeł niemieckich są niezmierną rzadkością i ograniczają się, w większości, do przypadkowych deklaracji lub wiadomości podanych publicznie.

Niniejszy raport został sporządzony z myślą o wykorzystaniu go w praktyce. Nie pretendując do prawdy historycznej, ani do ścisłej dokładności, ogranicza się do przedstawienia pierwszych dostępnych informacji i opatrzenia ich komentarzem ułatwiającym ich ewentualne wykorzystanie.

Operacje strategiczne

Nie będziemy zajmować się sytuacją wewnętrzną Polski. Została ona przedstawiona w Biuletynie Informacyjnym nr 437¹.

Należy jedynie podkreślić, że plany niemieckie zostały opracowane w sposób całkowicie klasyczny w oparciu o szczególne uwarunkowania wynikające z niekorzystnej sytuacji strategicznej polskiego terytorium.

^a- Pojawia się wyraźna tendencja do wytłumaczenia klęski

1. Brak w zbiorach belgijskiego archiwum.

Polski tym, że przez długie lata polskie władze wojskowe ukierunkowywały działania militarne na obronę przed Rosjanami i nie mogły zrealizować solidnego zabezpieczenia przed Niemcami w terminie narzuconym przez bieg wydarzeń.

Operacjom strategicznym Niemców sprzyjały ponadto wyjątkowo dobre warunki atmosferyczne, które, jak przyznają sami Niemcy, odegrały kluczową rolę w przeprowadzeniu operacji.

Także wypracowane przez Niemców zasady taktyki przyczyniły się w dużej mierze do sukcesu operacji strategicznych.

Działania taktyczne

Warunki, w jakich przeprowadzone zostały działania wojenne, stanowiły jaskrawe potwierdzenie słuszności pełnego zastosowania następujących zasad taktyki niemieckiej: odwagi, szybkości, brutalności, zaskoczenia, śmiałego podejmowania decyzji bez względu na sytuację bojową, brak łączności czy brak informacji.

Gen. von Lewinski, dowódca 18 Dywizji Piechoty² niemieckiej (Legnica) zwołał swych oficerów przed rozpoczęciem działań wojennych i zwrócił się do nich w następujących słowach, których autentyczność została potwierdzona:

„W razie uczestniczenia w operacjach na wschodzie, bez względu na to, czy będziecie działać sami, czy przy współudziale jednostek pancernych lub lekkich, waszym głównym zadaniem i troską jest jak najszybsze posuwanie się naprzód na jak największą odległość bez zwracania uwagi na ponoszone straty i bez troszczenia się o łączność z sąsiadami. Macie mieć pełne zaufanie do dowództwa.

Pragnę dodać, że zastanowiłbym się poważnie przed podaniem podobnych instrukcji w przypadku gdyby chodziło o działania na froncie zachodnim”.

Tego rodzaju dyrektywy dostały prawdopodobnie wszystkie jednostki działające na froncie polskim. Były one w pełni

2. Błąd — niemiecką 18 DP w kampanii wrześniowej dowodził gen. mjr Carl Friedrich Cranz. Gen. Erich Manstein von Lewinski (późniejszy feldmarszałek) dowodził nią w operacji zajęcia Sudetów w październiku 1938 r., a w czasie kampanii wrześniowej był szefem sztabu Grupy Armii „Południe”. *Encyklopedia II wojny światowej*, W-wa 1975, s. 306–307; M. Bielski, *Grupa Operacyjna „Piotrków” 1939*, W-wa 1991, s. 61.

uzasadnione. Powody, które zdecydowały o ich słuszności zostaną wyłożone poniżej przy omawianiu kolejnych zagadnień.

Niemieckie jednostki pancerne

Wydaje się, że wszystkie decydujące działania były prowadzone w ten sposób, że do pokonania głównej rubieży obrony (*Schwerpunkt*) używano jednostek pancernych, przez które należy rozumieć także jednostki lekkie, których wyposażenie w działa i samochody opancerzone jest bliskie temu, jakie posiada dywizja pancerna³.

Można uznać za dowiedzione, że poza nielicznymi wyjątkami, generalnie piechota polska była zaskoczona i zdeorientowana. Prawdopodobnie nie znała ona zasad ataku czołgowego i dlatego nie była w stanie przeciwstawić mu zorganizowanej obrony.

Należy wnosić, że trzy główne elementy w tej walce [z czołgami — przyp. JŁ, GM]: przeszkody lub zapory, akcja artylerii przeciwpancernej i masowe zastosowanie ostrzału artyleryjskiego nie mogły być w pełni przygotowane i użyte.

Przeszkody i zapory

Polskie jednostki saperskie nie były w stanie przygotować szerokich stref niedostępnych dla czołgów. Zatapianie terenów⁴ było brane pod uwagę, ale podejmowane rzadko i zbyt późno. Niszczenie infrastruktury i stawianie zapór minowych stosowano zbyt rzadko i w odniesieniu do zbyt małego obszaru.

Biorąc powyższe pod uwagę oraz korzystne warunki atmosferyczne, niemieckie czołgi mogły operować niemal na całym obszarze Polski. Nie została zorganizowana obrona głównych szlaków komunikacyjnych.

3. Warto dodać, że znaczenie broni pancernej dla szybkiego pokonania Polski podkreślił też w wydanych po wojnie wspomnieniach jeden z czołowych dowódców Wehrmachtu, gen. Heinz Guderian, *Wspomnienia żołnierza*, W-wa 1991, s. 58–71.

4. Wyraźne uleganie przez attaché wyobrażeniom o obronie przeniesionym z jego kraju, gdzie otwarcie śluz i zatopienie znacznych obszarów okazało się skutecznym środkiem powstrzymania ataków niemieckich w czasie I wojny światowej. Niewykluczone zresztą, że chciał on w ten sposób zasugerować przełożonym wzięcie pod uwagę tego sposobu obrony w przypadku ponownej agresji niemieckiej.

Artyleria przeciwpancerna

Mimo że każda polska dywizja posiada 27 dział typu „Bofors”, to wydaje się, iż ta ilość uzbrojenia okazała się niewystarczająca zwłaszcza w sytuacjach, gdy w pasie natarcia znajdowały się duże odcinki terenu sprzyjające atakowi czołgów.

Być może, że również kaliber 37 mm był także za mały. Przypuszczenie to nie zostało jednak potwierdzone.

Należy też podkreślić, że czołgi przeważnie przystępują do ataku w dwóch pododdziałach sąsiadujących ze sobą, a każdy z nich operuje na froncie szerokości 2.000 m, który może zostać zredukowany do 1.000 m w przypadku przeszkód terenowych.

Pierwszy rzut pułku obejmuje 100 czołgów, które mimo iż są lekko rozśrodkowane w głąb, ukazują się prawie jednocześnie na froncie szerokości 100 lub 200 m.

Niemcy uważają, iż 36 dział przeciwpancernych pułku piechoty (niemieckiej) stanowi minimum środków obronnych na froncie szerokości 100 do 200 m. To minimum oznacza jedno działo przeciwpancerne na 3 czołgi pierwszego rzutu. Dodają przy tym, że — o ile to możliwe — powinno się dopuścić do współdziałania połowę z 36 dywizyjnych dział przeciwpancernych i że optymalne rozwiązanie pozwalające zablokować kierunek natarcia to posiadanie co najmniej jednego dział przeciwpancernego przeciwko dwóm czołgom.

Akcja artylerii dywizyjnej przeciwko czołgom

Wydaje się, że 9 baterii wchodzących w skład polskiej dywizji okazało się niewystarczających, aby móc stawić opór nagłemu atakowi czołgów i aby pozwolić na skoncentrowanie ognia przed pozycją obronną w chwili rozpoczęcia ataku.

Amerykańscy oficerowie, którzy przed wojną odbywali staż w niemieckich jednostkach pancernych twierdzą, że należy stanowczo unikać próby powstrzymywania czołgów, jeśli się nie ma ku temu środków.

5. Działo przeciwpancerne kalibru 37 mm, produkowane m.in. w Starachowicach, Rzeszowie i Pruszkowie na licencji szwedzkiej firmy Bofors. Jak pisze T. Jurga, *Obrona Polski 1939*, W-wa 1990, s. 69: „działka te były stosunkowo trudne do wykrycia, lekkie i celne. Przebiły pancierz wszystkich używanych wówczas wozów bojowych”.

Przebiecie się jednostek pancernych prowadzi do zniszczenia nie tylko zaatakowanej jednostki, ale także do klęski jednostek sąsiednich. Nie pozwala też nigdy na zrekonstruowanie obrony, co czasem udaje się zrealizować przy ataku zwykłych wojsk⁶.

Polskie jednostki pancerne

Armia polska posiada kilka jednostek pancernych. Niemcy oceniali ich ilość na 12 batalionów lekkich czołgów⁷.

Dotychczas nie mamy żadnych wiadomości o ich użyciu, co może prowadzić do wniosku o bezużyteczności pancernego uzbrojenia, o ile jego liczba nie pozwala na zmasowany atak.

Organizacja polskiej obrony

Powiedziano wyżej, że tradycyjne nastawienie się na obronę przed atakiem ze strony Rosji rzutowało negatywnie na organizację obrony od strony zachodniej.

Z informacji zgromadzonych przez Sztaby Główne sąsiednich państw wynika, że prace fortyfikacyjne podjęte od strony Niemiec to głównie fortyfikacje polowe, bez rozwinięcia w głąb, a zwłaszcza bez generalnego zorganizowania bocznych połączeń pozycji w „system szelkowy⁸”, co pozwala zrozumieć, dlaczego pozycje pozornie solidne, jak te nad Wartą, padły zaraz po przełamaniu oporu w jednym punkcie.

W tym miejscu należy dodać, że słabe fortyfikacje obronne jakie posiadała Polska w spadku po poprzednich rządach nie zostały zmienione ani ulepszone. Ograniczono się do utrzymania ich w dobrym stanie⁹.

6. To znaczy związków ogólnowojskowych, piechoty i artylerii bez wojsk pancernych.

7. Faktycznie Polska posiadała tylko jedną brygadę pancernomotorową i drugą w stadium organizacji, ponadto w składzie każdej z osiemnastu dywizji piechoty znajdowała się kompania czołgów rozpoznawczych, a w każdej z brygad kawalerii szwadron samochodów pancernych i szwadron czołgów rozpoznawczych, trudno więc określić, na ile niemiecka ocena ich liczebności jest trafna; T. Jurga, s. 57–58.

8. System tranzei połączonych w odpowiedni sposób ze sobą — fachowe określenie saperskie.

9. Szczegółowo o przygotowaniach Polski do obrony napisał w swoich wspomnieniach szef sztabu Naczelnego Wodza, gen.dyw. Wacław Stachiewicz, *Pisma*, t. I–II, Paryż 1977, 1979 (*Zeszyty Historyczne*, z. 40, 50). Trzeba zaznaczyć, że w drugim tomie wspomnień w wielu miejscach podkreślił on działania niemieckich wojsk pancernych i lotnictwa, skutecznie łamiące polski opór.

Obrona i odwrót

Na wielu odcinkach frontu i to wielokrotnie siły polskie usiłowały prowadzić zorganizowaną obronę ruchową [w trakcie odwrotu — przyp. JŁ, GM], podejmując działania opóźniające.

Z danych zgromadzonych przez sztaby wojskowe państw bałtyckich wynika, że wszelkie działania tego rodzaju zakończyły się niepowodzeniem z powodu niemożliwości oderwania się od wroga lub z powodu zbyt powolnego tempa przegrupowywania się. Wniosek, jaki przy tej okazji formułują obserwatorzy jest taki, że obrona ruchowa jest możliwa tylko wówczas, gdy przeciwnicy, mimo istniejącej dysproporcji sił, posiadają podobne możliwości pod względem szybkości manewru.

Polska kawaleria

Polska kawaleria składająca się z 40 pułków¹⁰, poza kilkoma bohaterскими epizodami, w dodatku niezbyt rozważnymi, zdaje się nie odgrywać w tej wojnie znaczącej roli.

Nie spiesząc się ze zbyt pochopnym i przedwczesnym wyciąganiem wniosków, wypadłoby się jednak zastanowić, czy waga jaką przypisywano tej formacji odpowiada warunkom wojny z Niemcami.

Trzeba też jednak pamiętać i o tym, że gdyby nastąpiło gwałtowne pogorszenie się pogody, powodujące w Polsce całkowitą zmianę warunków terenowych, to wówczas mówiłoby się o czynnikach uzasadniających udział kawalerii.

Polskie wojsko i kadry oficerskie

Nielatwo i nierozważnie byłoby formułować obecnie jakiś sąd co do wartości żołnierza polskiego. Obserwatorzy znający dobrze armię polską twierdzą, że żołnierz polski jest zdolny do odważnej walki, ale jest Słowianinem, co oznacza podatność na załamanie moralne i przekształcenie armii w bezładne stado¹¹. Pod tym względem armia polska przypominać miałaby

10. Faktycznie było ich 38.

11. Zdumiewająco głęboko zakorzeniony stereotyp co do psychiki Słowian odnajdujemy także u dyplomatów, zob. m.in. wspomnienia Leona Noëla, *Agresja na Polskę*, W-wa 1966.

armię rosyjską, której historia ujawnia wiele takich przypadków.

Niemcy wielokrotnie publicznie wyrazili uznanie dla młodszej kadry oficerskiej. Dotychczas nie wypowiedzieli się jeszcze na temat wyższego dowództwa. Wydaje się jednak, że marszałek Rydz-Śmigły uważany jest za dyletanta, amatora, nie posiadającego wykształcenia wojskowego, spadkobiercę marsz. Piłsudskiego, którego tu ceniono, ale uważano jednak zawsze raczej za konspiratora i zręcznego partyzanta, niż dowódcę wojskowego.

Wielu wojskowych niemieckich wskazuje na błąd, jaki popełniło dowództwo polskie wyzwalając się zbyt wcześnie spod francuskiej kurateli wojskowej¹².

Lotnictwo

Zostało dowiedzione ponad wszelką wątpliwość, że opanowanie przestrzeni powietrznej zostało osiągnięte przez Niemców prawie natychmiast po rozpoczęciu działań.

Obserwatorzy zagraniczni, najbardziej znający się na tym, uważają za zbyt duże utrzymywanie lotnictwa kosztem wielkich wyrzeczeń przez państwo, któremu grozi konfrontacja z przeciwnikiem dysponującym nieproporcjonalnie większymi siłami powietrznymi. Jest ono bowiem skazane na bezsilność lub zniszczenie, zwłaszcza jeśli chodzi o bombowce i samoloty zwiadowcze dalekiego zasięgu.

Jedyny rodzaj sił powietrznych, którego utrzymywanie jest uzasadnione to lotnictwo myśliwskie, odpowiednio liczne i wysokiej wartości technicznej oraz jednostki wsparcia i rozpoznawcze bliskiego zasięgu pod warunkiem ścisłej współpracy ze stosunkowo mocną artylerią przeciwlotniczą.

Polska obrona przeciwlotnicza

Niemcy oceniają liczbę polskich baterii przeciwlotniczych na około czterdzieści.

Mimo że te baterie (najczęściej pochodzące ze Skody¹³)

12. Ukłon w stronę Francji czy przytyk do polityki Belgii, która w 1936 r. wycofała się z układu wojskowego z Francją?

13. T. Jurga, s. 72-73, pisze, że do września 1939 r. otrzymano około 306 armat kalibru 40 mm, produkowanych na licencji Boforsa, około 87 francuskich armat kalibru z czasów I wojny światowej (wz. 17) i 44 działa kalibru 75 mm (wz. 36), wyprodukowane na krótko przed wojną w Starachowicach. Żadna z armat nie pochodziła więc z czeskiej Skody i było ich więcej niż oceniali Niemcy.

wydają się być technicznie dość dobrej jakości, to ich ograniczona liczba była jedną z przyczyn piorunującego sukcesu niemieckich sił powietrznych.

Wspomniani wyżej obserwatorzy nie ukrywają, że wysiłek jaki podjęła Polska w celu stworzenia nieskutecznego lotnictwa lepiej było włożyć w wyposażenie naziemnej obrony przeciwlotniczej.

Działania lotnictwa niemieckiego

Wydaje się, że panowanie w powietrzu zostało osiągnięte dzięki zmasowanej i brutalnej akcji 1 i 4 Floty Powietrznej i jednostek stacjonujących w Prusach Wschodnich¹⁴. Mimo, że nie jesteśmy w stanie podać dokładnych liczb, to możemy stwierdzić, że u przyczyn tego stanu rzeczy leżała przede wszystkim druzgocąca dysproporcja sił. W wyjaśnieniu natychmiastowego zneutralizowania lotnictwa polskiego należałoby uwzględnić także i to, że liczne polskie jednostki lotnicze stacjonowały nadal na granicy rosyjskiej¹⁵.

W chwili obecnej nie jesteśmy jednak w stanie w pełni wytłumaczyć zniknięcia polskich sił lotniczych, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę podaną przez Niemców liczbę zniszczonych samolotów, której nie można uważać chyba za zaniżoną.

Tak czy inaczej od chwili oczyszczenia polskiego nieba lotnictwo niemieckie, poza minimum przeznaczonym dla działalności rekonesansowej, zostało skierowane, bez względu na swe podporządkowanie, do ataków naziemnych i bombardowań.

Celami bombardowania były najpierw wszystkie szlaki komunikacyjne i pociągi, które się na nich znajdowały, jak też wrażliwe węzły sieci kolejowej. Pozostałe obiekty o znaczeniu wojskowym zostały zbombardowane w drugiej kolejności.

14. Nieściśle — w Prusach Wschodnich stacjonowała właśnie część 1 Floty Lotniczej gen. Alberta Kesselringa, wspierająca dowodzoną przez gen.plk. Fedora von Bocka Grupę Armii „Północ”, liczącą 22 dywizje i brygady w składzie 3 i 4 Armii, operującą z Prus Wschodnich i Pomorza; T. Jurga, s. 144–145, 160–161.

15. Informacja nieprawdziwa, skromne lotnictwo polskie zostało bowiem podzielone między poszczególne armie i grupy operacyjne, część była w dyspozycji Naczelnego Wodza, dzięki czemu rozproszono je po całym kraju.

Obecnie można twierdzić, że na terytorium Polski zmarł wszelki transport drogą kolejową¹⁶, -a¹⁷.

Prawo wojenne

Wydaje się pewne, że w żadnym przypadku nie doszło w czasie kampanii do użycia pocisków czy bomb gazowych.

Wydaje się również, że nie było przypadków systematycznego bombardowania na większą skalę obiektów cywilnych.

Z różnych informacji zagranicznych wynika też, iż Niemcy nie dopuścili się żadnych okrucieństw i zbrodni (niezgodnych z prawem wojennym). Z drugiej strony masakra Niemców w Bydgoszczy dokonana przez Polaków wydaje się mieć rzeczywiście miejsce. Liczba ofiar sięga 13 osób¹⁸.

*płk Goethals*¹⁹

16. Jednocześnie trzeba dodać, że mimo wszelkich trudności transport kolejowy, choć słabo, funkcjonował jednak w dalszym ciągu.

17. Część raportu (oznaczona przez nas a-a) znalazła się w zbiorach Service Historique de l'Armée de Terre (SHAT), sygnatura: 7N 2731 (Château de Vincennes) jako bardzo tajny dokument oznaczony napisem: „Très secret, confidentiel” i informacją: „egzemplarz jedyny, zakaz robienia odpisów w całości bądź fragmentach, nie ujawniać źródła”. Należy przypuszczać zatem, że informacje te miały dla francuskiego sztabu ogromne znaczenie.

18. Informacje o przestrzeganiu przez Niemców konwencji i praw związanych z prowadzeniem wojny w świetle naszej obecnej wiedzy należy uznać raczej za pobożne życzenia. Na uwagę zasługuje natomiast sprowadzenie liczby ofiar niemieckich w Bydgoszczy do 13 osób, podczas gdy ówczesna propaganda niemiecka głosiła, że zginęły tam tysiące osób. Wymowy propagandowej tego faktu płk Goethals zresztą nie dostrzegł. O wydarzeniach w Bydgoszczy zob.: E. Serwański, *Dywerysja niemiecka i zbrodnie hitlerowskie w Bydgoszczy na tle wydarzeń w dniu 3.IX.1939*, Poznań 1984.

19. Podpis odręczny obok maszynowego.

Attaché wojskowy
rap. nr 766

Płk Goethals, attaché wojskowy
do szefa sztabu wojskowego przy Królu,
Ministra Obrony Narodowej,
Szefa Sztabu Generalnego Armii

Biuletyn informacyjny nr 483.

INFORMACJE NA TEMAT PRZEBIEGU KAMPANII
PRZECIWKO POLSCE
(uzupełnienie raportu 471)

Doświadczenia z operacji wojsk armii północnej²⁰

Szybkość przeprowadzonej operacji pozostawała w zgodzie z zasadami wojny błyskawicznej, ale miała również na celu przeszkodzenie przeciwnikowi w dokończeniu mobilizacji i przegrupowaniu sił. Jej celem było zniszczenie obrony polskiej i zdobycie Warszawy.

Dywizja pancerna okazała się w szczególnych warunkach prowadzenia wojny w Polsce jednostką generalnie autonomiczną, dysponującą siłą zabezpieczenia działań, przekraczania przeszkód wodnych przy użyciu własnych środków i prowadzenia samodzielnej walki.

Brygada kawalerii oddała duże usługi²¹. Pozostawało to w związku ze szczególnymi warunkami, w jakich przeprowadzane były działania strategiczne.

Wnosić można, że Niemcy żałują, że nie mogli dysponować większą ilością jednostek kawalerii niezbędnych do walki na tym szczególnym teatrze wojny²². Należy także odnotować nie stosowane dotychczas rozcinanie kolumn [przeciwnika] w marszu przy pomocy lekkich jednostek lub jednostek pancernych. Jeśli nie wynika to z wcześniej-

20. Chodzi tu o wspomnianą już wcześniej GA „Północ”.

21. Niemcy posiadali tylko jedną brygadę kawalerii w składzie 4 Armii, trudno więc mówić o jakichś jej szczególnych dokonaniach w przeciwieństwie do jednostek pancerno-motorowych (które następnie energicznie rozbudowywali) i nie bardzo wiadomo dlaczego płk Goethals tak wyeksponował jej rolę, zob.: T. Jurga, s. 144-145, 154-160.

22. Podkreślenie w oryginale.

szych założeń, to wskazuje na godne uwagi możliwości techniczne [nowoczesnej broni].

Należy także dodać, że operacjom strategicznym sprzyjał brak oporu poza liniami obrony na przeszkodach rzecznych oraz, jak już podkreślaliśmy, wspaniała pogoda, jasne noce i całkowity brak lotnictwa nieprzyjacielskiego.

Działania taktyczne

Zebrane dotychczas informacje, bardzo fragmentaryczne, nie pozwalają na pełną ocenę, ale uderza już teraz podobieństwo przeprowadzanych akcji.

Niemcy sami zresztą używali określenia „*Schablone Schlacht*”. Bitwy pod Mławą i pod Pułtuskiem mogą być uważane za model wszystkich bitew, które prowadzone były w strefie działania grupy armijnej „Północ”²³.

Działania rozpoczynały się przeważnie od ataku, w którym dywizje piechoty zajmowały z reguły odcinek frontu szerokości 3 km. Korpus armijny nie przekraczał frontu dłuższego niż 10 km. Taki atak prowadzony z użyciem lub bez czołgów pozwalał odkryć jeden lub kilka słabszych punktów obrony. Nie upierano się przy ponownych atakach na pozycje, które okazały się zbyt trudne do zdobycia i przerywano linie obrony w najsłabszych miejscach.

b- Pozostawione pozycje atakowano następnie od tyłu przy pomocy jednostek pancernych lub lekkich, pozostawiając tym jednostkom dużą swobodę niezależnie od ataku czołowego^{b24}.

Czołgi

Lekkie czołgi niemieckie okazały się niewystarczające pod względem uzbrojenia i osłony²⁵. Te czołgi podobnie jak i czołgi średnie nie potrafiły nigdy przebić się przez dobrze zorganizowaną obronę.

23. Chodzi o bitwę pod Mławą, gdzie 1–3.IX.1939 r. skuteczny opór stawiała Niemcom 20 Dywizja Piechoty ze składu Armii „Modlin”, zob.: T. Jurga, s. 249–260.

24. b-b. Na marginesie gwiazdka, świadcząca o uznaniu za bardzo istotny tego fragmentu przez jednego z wojskowych czytelników.

25. Chodzi o grubość pancerza czołgowego.

c- Okazało się również, że działa 47 mm²⁶ potrafią być śmiertelnym wrogiem czołgów, pod warunkiem obsługiwania ich przez najlepszy personel, dobrego usytuowania i posiadania niewielkiej ilości obiektów do zniszczenia^{c27}.

d- Czołgi okazały się bronią skuteczną do gwałtownego wykonywania wyłomów w punktach ogniowych pozycji obronnych. Zbliżając się na odległość od 500 do 1000 m, potrafiły wyłączyć z walki większość broni maszynowej schronów bez ponoszenia najmniejszego uszczerbku^{d28}.

Należy więc posiadać artylerię przeciwpancerną, nawet w przypadku istnienia biernej obrony przeciwpancernej. (*Gwiazdka*)

Polska obrona przeciwpancerna okazała się niewystarczająca tak liczebnie, jak i pod względem szybkości manewru.

O ile jest dopuszczalne, aby jednostki piechoty nie dysponowały organicznie większą ilością broni przeciwpancernej, o tyle należy przewidzieć potężne odwody armijne broni przeciwpancernej, których główną zaletą powinna być manewrowość. Otóż Polacy posiadali niewiele tego rodzaju rezerw, a niektóre z nich były przemieszczane nawet przy użyciu koni.

Piechota

e- Piechota niemiecka nie uzasadniała swego tytułu „królowej broni”. Mimo że zachowywała się znakomicie na polu walki, to ostatnie słowo należało prawie zawsze do czołgów^{e29}.

Piechota niemiecka dokonała natomiast niewiarygodnego wyczynu w szybkości posuwania się. Często udawało się jej pokonywać etapy rzędu 50–60 km dziennie. Średnia dzienna [szybkość posuwania się — przyp. JŁ, GM] wynosiła podczas kampanii 25–30 km i to przy uwzględnieniu prowadzenia walki nawet przez kilka dni z rzędu³⁰.

26. Prawdopodobnie pomyłka, nie było w Wojsku Polskim dział kalibru 47 mm i chodzi tu o wspomniane już działa na licencji „Boforsa” kalibru 37 mm.

27. c-c: akapit podkreślony niebieskim ołówkiem.

28. d-d: akapit podkreślony czerwonym ołówkiem.

29. e-e: akapit podkreślony czerwonym ołówkiem.

30. Płk Goethals nie zwrócił uwagi na fakt, że niemiecka dywizja piechoty posiadała ponad 1000 samochodów ciężarowych i osobowych oraz ponad 500 motocykli, zaś na polską dywizję piechoty przypadało w 1936 r. statystycznie 140 samochodów ciężarowych. Wielkich i uciążliwych przemarszów dokonywać więc musiała raczej piechota polska, Niemcy bowiem byli wystarczająco zmotoryzowani; zob.: T. Jurga, s. 51, 63–64.

Akcja piechoty wydaje się ściśle uzależniona od działania artylerii, której bezpośrednie wsparcie nie było jednak stale przewidywane. Piechota niemiecka jest zresztą wyposażona w potężne środki wsparcia, zwłaszcza w działa 150 mm. W większości przypadków drogę torowały czołgi.

Odnosi się wrażenie, że w decydujących starciach bezpośrednio wsparcie artylerii musiało ustępować miejsca wsparciu przez czołgi.

Łączność

Szeroko stosowany był przekaz informacji za pomocą radia³¹. Ten sposób przekazu był uzupełniany i wspomagany łącznością telefoniczną, mającą do dyspozycji specjalny rodzaj ciężkiego kabla.

Należy także zasygnalizować oddziały motocyklistów, których sprawność, dyscyplina, wyposażenie, a także strój czynią elitarnych żołnierzy, a nie tylko łączników pełnych dobrej woli.

Zaopatrzenie

Wszystko wskazuje na to, że było doskonałe. Zużycie paliwa przekroczyło przewidywania, co potwierdzają liczne resztki. Stosowano powszechnie wielkie cysterny, ciężarówki z przyczepami do 8 ton i kanistry 25-litrowe przy samochodach.

Pozycje obronne

Tak polskie, jak i niemieckie wykazują pewne podobieństwa. W obydwu przypadkach obejmowały linie 12–20 km. Zapory przeciwczołgowe stosowano dobrze zorganizowane, ale bez zabezpieczenia boków, generalnie sieć linii obronnych słaba, stosowano stanowiska ogniowe dla karabinów maszynowych na skrzydłach. Transzeje przystosowane były do strzelania na stojąco. Żadnej organizacji obrony w głąb i w „system szelek”. Niemcy, jak się wnosi, nabrali przekonania do wartości stanowisk ogniowych dla karabinów maszynowych. Dodają przy tym, że należało tworzyć dwie lub trzy linie [obronne] ustawione w pięciobok. Polacy zaniebdywali potrzebę maskowania.

31. Warto tu dodać, że niemiecka dywizja piechoty posiadała ponad 140 radiostacji, sowiecka 87, francuska 81, a polska — tylko 19.

Sily niemieckie

Na początku użyto 5–6 armii na froncie wschodnim. Do tego doszedł duży wysiłek od strony Prus Wschodnich oraz transport, co w sumie dało podwójną liczbę armii³².

Sily polskie

Trudno o dokładne informacje. Niemcy twierdzą, że na początku było 47–52 dywizji. Spośród nich tylko 18 zostało w pełni zmobilizowanych i wyznaczonych do osłony. Pozostałe zostały zaskoczone w trakcie mobilizacji lub koncentracji. Rząd polski opóźniał powszechną mobilizację z obawy przed pogorszeniem sytuacji międzynarodowej, uważanej za bardzo delikatną³³.

Niemcy nie kłamią chyba twierdząc, że polityka rządu polskiego prowadziła do wojny, mimo że nie towarzyszyło temu posiadanie armii odpowiadającej takiej polityce³⁴.

f- Niemcy uważają, że armia polska zorganizowana była według przestarzałego modelu zarówno w kwestii wyposażenia materiałowego, jak i dowodzenia. Twierdzą też, że armia ta poruszała się w tempie armii napoleońskiej³⁵.

Należy dodać także, że w większości działań taktycznych Polacy wystąpili w proporcji jednej dywizji polskiej przeciwko trzem niemieckim i że dywizja polska liczyła od 12 do 13 tys. żołnierzy zamiast 5³⁶–16 tys. żołnierzy, jak w przypadku niemieckim³⁷.

32. Informacje niedokładne. W składzie GA „Północ” znajdowały się 3 i 4 Armia (działające od strony Prus Wschodnich), a w składzie GA „Południe” 8, 10 i 14 Armia, nie można więc mówić o „podwójnej liczbie armii”; T. Jurga, s. 144–145.

33. Również niedokładne informacje. Według T. Jurgi, s. 189, „do 1 września 1939 r. zdołano postawić w stan gotowości bojowej i skoncentrować w przeznaczonych do obrony rejonach siły następujące: (...) 22 dywizje piechoty, 8 brygad kawalerii, 3 brygady górskie, 1 brygadę pancerno-motorową, a ponadto szereg innych oddziałów i pododdziałów, m.in. Obrony Narodowej, Obrony Wybrzeża, Korpusu Ochrony Pogranicza itp.” Szereg innych dywizji w trakcie przygotowań zaskoczył wybuch wojny.

34. Zdanie to przemycza tezę niemiecką o sprowokowaniu wojny przez Polskę.

35. f-f: akapit podkreślony czerwonym ołówkiem.

36. Przypuszczalnie błąd maszynowy, winno być: 15.

37. Informacje niedokładne — niemiecka dywizja piechoty na stopie

Straty

Niewielkie na początku wojny, rosły znacznie po obu stronach. Niemcy publikowali w pierwszych dniach liczby pokrzepiające, ukrywając celowo straty i ograniczając indywidualne ogłoszenia w prasie. Inna cecha charakterystyczna dla tej wojny, to duża ilość zabitych w stosunku do rannych, co jest efektem stosowania nowoczesnej broni.

Wnioski

Informacje mające wartość dla innych frontów.

Dowództwo niemieckie prowadziło operacje opierając się na dokładnej znajomości możliwości przeciwnika i działając z maksimum brawury, na którą pozwalała sytuacja.

Wojna przeciwko Polsce była serią operacji mających na celu pokonywanie linii wodnych, nad którymi zorganizowana była głównie obrona, wiedząc, że między nimi nie znajdą żadnej poważniejszej przeszkody.

Każda bitwa była bitwą korpusów armijnych. Między tymi bitwami miały miejsce długie marsze bez poważnych potyczek.

Armie [niemieckie — przyp. JŁ, GM] prowadziły operacje głównie po to, aby opanować ustalone obiekty strategiczne i przejść z marszu w kierunku kolejnych wybranych celów. Marsze odbywały się na całej szerokości, co dowodzi, że Niemcy byli pewni, że nie ma ruchomych jednostek polskich mogących atakować w poszczególnych punktach działające na szerokim froncie oddziały.

Jest prawdopodobne, że na innych teatrach wojny takie warunki się nie powtórzą, ale można też twierdzić, że dowództwo niemieckie będzie posiadać na tyle elastyczności i zręczności, by zmodyfikować sposoby prowadzenia walki i dostosować je do nowych okoliczności.

Zwracaliśmy uwagę na charakterystyczne cechy ofensywy niemieckiej i wskazywaliśmy na braki polskiej obrony, ale

wojennej liczyła 17.734 ludzi (1937 r.), polska według stanu z 1.IX.1939 r. 16.492 oficerów i żołnierzy, a więc były to wielkości porównywalne. Pod względem wyposażenia w broń i inny nowoczesny sprzęt niemiecka zdecydowanie górowała, nie mówiąc już o niemieckich dywizjach pancernych. Zob.: M. Zgórniak, *Europa w przededniu wojny. Sytuacja militarna w latach 1938–1939*, Kraków 1993, s. 37, 233–234.

g- należy podkreślić i powtórzyć raz jeszcze, że tam, gdzie istniała poważna obrona przeciwpancerna mająca wzmocnione skrzydła, jednostki pancerne nie potrafiły jej pokonać. Powtórzmy też, że działa przeciwpancerne są bronią skuteczną i decydującą pod warunkiem, że posiada się je w dostatecznej ilości na stałych stanowiskach i że posiada się ich znaczne odwody, dające się szybko przemieścić³⁸.

Niemcy twierdzą, że pozycja obronna zbudowana z 2 lub 5 linii stanowisk ogniowych polskiego typu, o ile są one wystarczająco silne, by zapewnić gęsty i ciągły ogień, jest przeszkodą bardzo trudną do pokonania pod warunkiem, że będzie rozbudowana w głąb, podzielona i wyposażona w ruchliwe odwody.

Trzeba też przypomnieć, że kontratak, który prawie wcale nie był stosowany przez Polaków ze względu na brak możliwości, nic nie stracił ze swej wartości w oczach Niemców.

*Płk Goethals*³⁹

Źródło: Ministère Belge des Affaires étrangères, vol. 11047, oryginał, maszynopis.

Opracowali: Józef Łaptos i Grzegorz Mazur.

38. g-g: na marginesie gwiazdka uczyniona przez jednego z czytelników, dla podkreślenia ważności tego fragmentu.

39. Podpis odręczny oprócz maszynowego.

Edward KOSSOY

GĘSIÓWKA (KZ WARSCHAU)

I

5 sierpnia 1994 została odsłonięta w Warszawie przy ulicy Mordechaja Anielewicza 34 tuż naprzeciwko wejścia do cmentarza żydowskiego tablica pamiątkowa dla upamiętnienia 50 rocznicy uwolnienia w Powstaniu Warszawskim obozu koncentracyjnego dla Żydów, popularnie zwanego „Gęsiówką”. Napisy na tablicy, polski i hebrajski, głoszą, że „5 sierpnia 1944 roku harcerski Batalion „Zośka” Zgrupowania „Radosław” Armii Krajowej zdobył niemiecki obóz koncentracyjny „Gęsiówka” i uwolnił 348 więźniów Żydów obywateli różnych krajów Europy. Wielu z nich walczyło i poległo w Powstaniu Warszawskim”. W spontanicznym przemówieniu Waław Micuta, jedyny z pozostałych jeszcze przy życiu oficerów Batalionu „Zośka”, przypomniał obecnym harcerskie hasło „człowiek człowiekowi bratem” i ubolewał nad wciąż istniejącym w Polsce antysemityzmem i jego odbiciem w pewnych kołach żydowskich — „antypolonizmem”.

Tablica umieszczona jest w miejscu, które w 1944 roku znajdowało się w obrębie „Gęsiówki”. Anielewicz był jednym z przywódców Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB) i zginął w wieku lat 24 w maju 1943 w bunkrze ŻOB przy ulicy Miłej, walcząc z Niemcami „Za naszą i waszą wolność”. Dzieje powstania w getcie warszawskim doczekały się wszechstronnej dokumentacji. Natomiast ściśle z nimi związana historia „Gęsiówki” i niezwykley epizod uwolnienia resz-

tek uwięzionych tam Żydów jest wciąż jeszcze mało znanym wydarzeniem.

II

Wyrok śmierci na getto warszawskie wydany został przez szefa SS Himmlera 16 lutego 1943. Rozkazem Himmlera nakazane zostało „zniszczenie zamieszkałej przez pół miliona *Untermenschen* dzielnicy żydowskiej... przy zużytkowaniu wszystkich elementów nieruchomości przedstawiających jakąkolwiek wartość... Zniszczenie ma być także środkiem do zmniejszenia Warszawy, stałego ogniska rozkładu i rewolty...” 16 maja 1943 generał SS Jürgen Stroop w sławetnym raporcie doniósł Himmlerowi, że „nie ma już żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej w Warszawie”. Stroop podejrzewa, że w ruinach ukrywają się jeszcze tysiące Żydów („gruzowcy”), wobec czego należy ruiny odizolować od reszty miasta, a przede wszystkim stworzyć w nich obóz koncentracyjny dla wydobycia i zużytkowania na pożytek Niemiec wszystkiego, co się do zużytkowania nadaje¹.

19 lipca 1943 powstaje w ruinach getta między ulicami Zamenhofs, Wołyńską, Okopową i Gęsią *KZ Warschau*, po krótkim czasie nazwany popularnie „Gęsiówką”. Na około 180 hektarach byłego getta ma powstać po ukończonej eksploatacji widocznych i ukrytych zasobów — park. Wykonanie projektu powierzone zostaje czterem niemieckim przedsiębiorstwom w ramach przewidzianego na 150 milionów marek kosztorysu. Ciekawy szczegół: roboty mają być zakończone 1 sierpnia 1944!

Komendantem obozu zostaje *Obersturmbahnführer* Goecke ze znanego *KZ Mauthausen*, który przywozi ze sobą 300 dobranych wśród uwięzionych kryminalistów Niemców, przeznaczonych na „blokowych” i nadzorców („*Kapo*”). Niemcy obawiają się, że Żydzi polscy mogą porozumiewać się z miejscową ludnością polską i, co gorsza, z ukrytymi jeszcze w ruinach współbraćmi. Stąd mają być wyłączeni z „za-

1. Dane dotyczące historii „Gęsiówki” do wybuchu Powstania Warszawskiego są oparte głównie na artykule Adama Rutkowskiego „Le camp de concentration pour Juifs à Varsovie” w *La revue du Centre de documentation juive contemporaine* Nr. 119, Paryż, lipiec-wrzesień 1985, str. 87-107.

mówionych” w Auschwitz transportów. I rzeczywiście przy-
słani stamtąd do końca 1943 roku Żydzi pochodzą z trans-
portów belgijskich, francuskich, greckich i holenderskich. A
jednak: w jednym z transportów jest 50 polskich Żydów,
włączonych wobec chwilowego braku „cudzoziemców”. Wśród
tych ostatnich są także tacy, którzy w różnym czasie
wyemigrowali z Polski na Zachód. Jednym z nich był Chaim
(Charles) Goldstein, który opuściwszy Warszawę w r. 1929
dla Paryża, „wrócił” do niej *via* Auschwitz i „Gęsiówka”.
Goldstein, autor przetłumaczonej na wiele języków książki²
walczył pod nadanym mu w Powstaniu pseudonimem „War-
szawiak” na Starym Mieście i ukryty wraz z 6 towarzyszami
niedoli (między nimi katolickim księdzem) przetrwał w ru-
inach do oswobodzenia w styczniu 1945.

Podstawowym zadaniem robotników było niwelowanie
zniszczonych bombardowaniem niemieckim i w większości
wypalonych budynków. Starano się uzyskać jak najwięcej
zdalnych do ponownego użytku cegieł. Zgodnie z dyrektywą
Himmlera wydobywano z ruin złom i wszelkiego rodzaju
metale. Specjalne ekipy przeszukiwały piwnice i schowki za
ukrytymi „skarbami”. Wydobyte materiały po oczyszczeniu i
segregacji ładowano na specjalnie zbudowanej bocznicy i
wysyłano do Niemiec. W ruinach położono prawie 30 km
szyn, na których poruszały się 22 lokomotywy i tabor 565
wagonetek. Przy burzeniu i niwelowaniu obok więźniów pra-
cowało 9 mechanicznych (głównie parowych) koparek.

Przedsiębiorstwa niemieckie, którym powierzono roboty,
zatrudniały licznych Polaków jako personel techniczny. Inni
Polacy przebywali w ruinach za specjalnymi pozwoleniami w
związku ze sprzedażą materiałów wyłączonych z wysyłki do
Rzeszy. W ten sposób bardzo wcześnie doszło do bezpo-
średnich kontaktów między polską ludnością Warszawy a wię-
źniami „Gęsiówki”. Więźniowie byli co parę dni poddawani
ściślejszej rewizji w poszukiwaniu ukrytych a znalezionych w
ruinach kosztowności i pieniędzy. „Winnych” rozstrzeliwano.
Mimo to więźniom udawał się handel wymienny z polskimi
załogami, które dostarczały żywność. To ratowało sytuację,
bo pomimo nieludzkich warunków ciężkiej pracy, „oficjalne”
wyżywienie w obozie było gorsze niż nawet w innych obo-
zach koncentracyjnych. Nie zawsze żywność wymieniana była

2. Goldstein Charles: „Sept dans un bunker”, Gallimard, Paryż,
1967 (francuskie tłumaczenie oryginału w jidysz, 1959).

za kosztowności. Goldstein opowiada, jak przy przejeździe grupy więźniów przez dzielnicę „aryjską”, młodzi przekupnie Polacy mimo pogroźek konwojentów SS rzucali więźniom chleb i jabłka. Zatrudniony w ruinach Polak, o którym Goldstein wie tylko, że miał na imię Stach, pomagał wycieńczonemu w pracy i przynosił bezinteresownie nie tylko jedzenie, ale i trudną do zdobycia chininę.

Nadzór lekarski nad obozem należał do lekarzy sąsiadującego z „Gęsiówką” sławetnego więzienia „Pawiak”. Członek tej ekipy dr Felicjan Loth opowiada w swoich wspomnieniach, jak komendant „Gęsiówki” zażądał od niego pewnego dnia, aby skontrolował użębienie wszystkich więźniów i wyrwał im złote zęby i mostki. Dr. Lothowi udało się uchylić od tej misji pod pretekstem konieczności uzyskania zgody naczelnego lekarza Gestapo, któremu podlegał. Dr Loth pisze, że tym niemniej każdego dnia komendant i jeden z jego zaufanych wyszukiwali kilku więźniów z większymi złotymi użębieniami, prowadzili ich w ruiny i rozstrzelali jako „usiłujących uciec”.

W końcu 1943 r. wybuchła w obozie epidemia tyfusu plamistego, która trwała do wiosny 1944 r. Chorzy nie otrzymywali żadnej pomocy lekarskiej. Zaledwie trzecia część przeżyła. W rezultacie komenda obozu zmuszona była do żądania ciągle nowych uzupełnień. Ponieważ w tym czasie rozpoczęły się właśnie masowe deportacje Żydów z Węgier, problem został rozwiązany bez trudności.

Bardziej trudnym do rozwiązania był problem usuwania zwłok. Chodziło nie tylko o umarłych lub rozstrzelanych więźniów. Na terenie „Gęsiówki”, głównie pod murem kościoła Św. Augustyna rozstrzeliwano codziennie dziesiątki i setki ludzi. W małej części byli to Żydzi wyłowieni z ukrycia „po aryjskiej stronie”. W większości Polacy: 2.10.1943 gubernator Frank wydał rozporządzenie „W sprawie zwalczania zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w Generalnej Guberni” (!). Tym rozporządzeniem Polacy wyjęci zostali spod prawa tak jak przed nimi Żydzi. Według źródeł niemieckich³ począwszy od daty tego rozporządzenia i do wybuchu powstania stracono w Warszawie w 46 publicznych egzekucjach 2705 osób. Niezależnie od tego w tajnych egzekucjach rozstrzelano na rozkaz Gestapo w ruinach getta dal-

3. Broszat Martin: „Nationalsozialistische Polenpolitik 1939-1945”, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart 1961, str. 191.

sze 4000 ofiar. 20-osobowa grupa (*Leichenkommando*) więźniów „Gęsiówki” zajęta była dniami i nocą w podwórzu przy ulicy Gęsiej 45 paleniem zwłok. Wobec wciąż rosnącej ich liczby Niemcy postanowili „zracjonalizować” palenie przez budowę krematorium. Peter Lebovic jako 18-latek dołączony do obozu w maju 1944 w jednym z transportów węgierskich opowiada, że każdy więzień przy zakończeniu pracy musiał codziennie zabierać ze sobą cztery cegły i przynosić je na miejsce budowy krematorium⁴. Pod koniec istnienia obozu krematorium było gotowe do użytku. Zmagazynowano już nawet odpowiedni zapas węgla. Do uruchomienia już jednak nie doszło...

Lebovic był jednym z 3000 młodych Żydów przybyłych do obozu z Węgier *via* Auschwitz. Dzięki odnowionej w ten sposób załodze roboczej osiągnięto w ciągu niespełna dwu miesięcy w planie zużytkowania ruin wyniki przewyższające często wyniki poprzedzającego półrocza. Z zaplanowanych 12 milionów kubometrów rozbiórki wykonano 10 milionów, zebrano i oczyszczono 34 miliony cegieł, 6004 tony złomu, 1310 ton żelaza i 805 ton metali nieżelaznych. Nie daje się ustalić, ile pieniędzy i kosztowności dostało się w niemieckie ręce w czasie istnienia obozu. W kwietniu 1944 dotychczas „samodzielny” *KZ Warschau* podporządkowany został *KZ Lublin* (Majdanek). W ocalonych archiwach jest niewiele dokumentów świadczących o przekazywaniu tylko małych i nieznacznych kosztowności przez komendanturę warszawską do lubelskiej centrali. Wyżej wspomniany dr Loth pisał, że wkrótce po jego meldunku naczelnemu lekarzowi Gestapo o „dentystycznych praktykach” komendanta obozu, ten ostatni i dwu jego pomocników zostali aresztowani i odesłani do Niemiec⁵. Jak ich tam osądzono, nie wiadomo. Jeżeli, to z pewnością nie za zabijanie Żydów, a za przywłaszczenie należącego do skarbu *Reichu* złota. Bardziej charakterystyczny był długotrwały i zacięty spór między SS, „rządem gubernialnym w Krakowie” i różnymi centralnymi władzami Rzeszy o to, kto i ile ma płacić za wykonane w Warszawie roboty, i w jakim stopniu uprawniony jest do korzystania z wydobytych z ruin getta dóbr. Tylko koniec wojny i kapitulacja położyły kres tej kłótni...

4. Lebovic Peter: „Als Trümmerjude im Ghetto-KZ. Ein wenig bekanntes Kapitel”, *Israelitisches Wochenblatt*, Zürich, Nr 15, 16.04. 1993.

5. Loth Dr Felicjan: „Byłem lekarzem na Pawiaku” w „Pamiętniki lekarzy”, Czytelnik, Warszawa 1964, str. 359.

III

W drugiej połowie lipca 1944 Szef SS i Policji w Gen. Guberni gen. Wilhelm Koppe zarządził ewakuację zarówno „Gęsiówki” jak i „Pawiaka”. W „Gęsiówce” było w tym czasie około 4400 więźniów, w większości pochodzących z Węgier. W nocy z 26 na 27 lipca obóz został jasno oświetlony reflektorami z „Pawiaka”. Nad ranem uformowano więźniów w grupy po sto ludzi. Ogłoszono, że mają wymaszerować piechotą i przebywać po 60 km dziennie. Ci, którzy nie czują się na siłach do dokonania takiego wysiłku, mają zgłosić się na izbę chorych (*Revir*). Zgodnie z najlepszą niemiecką tradycją obozową był to nędzny podstęp: 180 więźniów, którzy zgłosili się, zostało razem z około 250 już wcześniej tam przebywającymi chorymi jeszcze tego samego wieczoru zastrzelonych, wielu przez komendanta obozu Umschmitza, następcę Goecke osobiście...

28 lipca kolumna więźniów pod silną eskortą SS ruszyła na Zachód. W sobotę 29 lipca po południu kolumna osiągnęła Sochaczew, w niedzielę Łowicz, w poniedziałek Żychlin. Tam był dwunocny postój. W środę 2 sierpnia 1944 więźniów załadowano w Kutnie w grupach po 100 do wagonów towarowych. W niedzielę 6 sierpnia 1944 ci, którzy przeżyli ten transport, zostali wyładowani w obozie koncentracyjnym Dachau pod Monachium.

Wspomnienia Lebovica: „nie jestem w stanie nawet w przybliżeniu opisać trzydniowego marszu śmierci i podróży do Dachau. Już przed wymarszem wygłodzeni i wyczerpani fizycznie więźniowie, w większości w drewnianych sabotach, bezlitośnie pędzeni i bici, w spiekocie ostatnich dni lipcowych bez wody i jedzenia, wystawieni byli na nie dające się opisać cierpienia albo na okrutną śmierć... W Sochaczewie pozwolono nam pić z rzeki mętą śmierdzącą wodę. Straż SS zabroniła oddalać się od brzegu... Głuchawy więzień poszedł kilkanaście kroków w poszukiwaniu bardziej czystej wody. Został natychmiast postrzelony. Żył jeszcze, kiedy starszawy SS-man wcisnął mu głowę pod wodę dopóki nie wzionął ducha...”

W ciągu czterodniowej podróży kolejną do Dachau umierało w każdym wagonie co najmniej 15 więźniów. Licząc tych, którzy zginęli w trzydniowym marszu, do Dachau nie dotarła nawet trzecia część ich początkowej liczby. Dla przy-

kładu: wedle danych holenderskiego Czerwonego Krzyża z 1050 holenderskich Żydów wysłanych z Auschwitz w r. 1943 do „Gęsiówki” doczekało oswobodzenia 29 kwietnia 1945 w Dachau zaledwie 15!⁶.

Z wymarszu na zachód komendant „Gęsiówki” wyłączył i pozostawił „pod opieką” swego zastępcy około 400 uważanych jeszcze za w pełni zdolnych do pracy więźniów. Do nich dołączono około 120 żydowskich więźniów, w tym 24 kobiety, z opróżnionego w tym samym czasie „Pawiaka”. Ich zadaniem miało być załadowanie i wysyłka pozostałego jeszcze sprzętu i łupu i możliwe zatarcie bardziej widocznych śladów niemieckich przestępstw. A ostatecznym przeznaczeniem, zgodnie z ustaloną względem niewygodnych świadków SS rutyną: egzekucja. Na przeszkodzie tym jasno sformułowanym planom stanął, jak się niebawem okazało, wybuch Powstania Warszawskiego.

IV

W przeddzień wybuchu powstania „Gęsiówka” i „Pawiak” znalazły się w planie operacyjnym dowództwa Armii Krajowej w rejonie 4 obwodu Śródmieście ze stykiem na północnym zachodzie z rejonem 2 obwodu Wola⁷. Zgodnie z ustalonym planem działania przewidującym atak na niemieckie gniazda oporu, w pierwszym dniu powstania 1 sierpnia 1944 r. ugrupowanie powstańcze znane jako „Batalion im. Łukasińskiego” próbowało zaatakować „Gęsiówkę” i „Pawiak”. Natarcie nie powiodło się.

Lepiej działało się na styku z Wolą w zasięgu działania zgrupowania „Kedywu” pod dowództwem „Radosława” (ppłk Jan Mazurkiewicz). Należące do tego zgrupowania harcercy bataliony „Parasol” i „Zośka” zaatakowały z powodzeniem ugrupowania niemieckie, obsadziły cmentarze żydowski i ewangelicki oraz przedpole należące już do „Gęsiówki”, do której schroniła się większość wypartych z innych stanowisk

6. Reitlinger Gerald: „The Final Solution”, Valentine, Mitchel, London 1953, str. 281.

7. Przebieg działań wojennych oparty na: Kirchmayer Jerzy: „Powstanie Warszawskie”, Książka i Wiedza, Warszawa 1959; Stachiewicz Piotr: „Parasol”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1981; „Pamiętniki żołnierzy Baonu 'Zośka'”, Nasza Księgarnia, Warszawa 1986 oraz relacje uczestników.

Niemców. Dalszy postęp został wstrzymany zaporowym ogniem umieszczonego na 75 m wysokiej wieży kościoła Św. Augustyna niemieckiego gniazda CKM-ów. W ręce powstańców wpadł przejeżdżający przypadkiem samochodem zastępca komendanta „Gęsiówki” Umschmitza, pozostawiony przez niego dla dopilnowania ostatecznej likwidacji obozu. Od niego dowiedziano się, że w obozie znajduje się jeszcze kilkaset więźniów żydowskich.

Ta sama wiadomość znalazła bezpośrednie potwierdzenie na innym odcinku „Kedywu”, gdzie oddział pod dowództwem por. Stanisława Sosabowskiego („Stasinek”) opanował wielkie magazyny żywnościowe i mundurowe przy ul. Stawki, szkołę SS oraz stację benzynową na boczniczy kolejowej Dworca Gdańskiego, dawny *Umschlagplatz*, z którego wysyłano Żydów do obozu zagłady w Treblince. W tym miejscu pracowała przy ładowaniu wagonów grupa 50 więźniów „Gęsiówki”. Na wiadomość o wybuchu powstania wartownicy SS zamknęli ich w składzie grożąc rozstrzelaniem. Zrzuceniem losu w pół godziny po wybuchu powstania i latach niewoli znaleźli się na wolności.

W oswobodzonej grupie znalazł się między innymi Chaim Goldstein, z którym por. Sosabowski wdał się w dłuższą rozmowę. W wyniku tej rozmowy Goldstein ogłosił nie znającym polskiego towarzyszom, że są wolni i mogą opuścić teren. Ale mogą też zgłosić się ochotniczo do powstania. Z wyjątkiem kilku chorych, wszyscy wybrali powstanie. Por. Sosabowski dał Goldsteinowi pseudonim „Warszawiak”. Z zapadnięciem nocy dowódca wysłał 5-osobowy patrol dla zbadania położenia w obrębie byłego getta. „Warszawiak” zgłosił się na ochotnika jako przewodnik, otrzymując jako uzbrojenie kilka granatów. Patrol powrócił, przynosząc broń i amunicję dwu zabitych SS-manów i meldując, że zarówno „Gęsiówka” jak i „Pawiak” pozostały w rękach Niemców i wydają się być silnie obsadzone.

2 sierpnia „Kedyw” i batalion „Zośka” odniosły nowy sukces: zdobyto dwa czołgi, które jeszcze tego samego dnia udało się doprowadzić do stanu używalności. Z nich został sformowany pluton pancerny pod dowództwem por. Wacława Micuty („Wacek”) podporządkowany bezpośrednio „Radosławowi”. Na czołgach wymalowano polskie biało-czerwone szachownice oraz harcercykie lilijki. Zdobycie czołgów wywołało powszechny entuzjazm i nawet naczelny dowódca Armii Krajowej gen. Bór-Komorowski znalazł wolną chwilę i zjawił

się, aby je osobiście obejrzeć... Następnego dnia dowódca zgrupowania „Broda”, w skład którego wchodził batalion „Zośka”, kpt. Jan K. Andrzejewski („Jan”) chce sprawdzić wartość bojową nowej broni i daje rozkaz ostrzelania gniazda CKM na wieży Św. Augustyna. „Wacek” i jego załoga naceLOWują starannie działo i oddają dwa strzały. Pierwszy okazuje się niewypałem, ale drugi niszczy gniazdo doszczętnie. Do końca powstania nie ma Niemców na wieży. 4 sierpnia rano planowany jest ponowny atak na „Gęsiówkę”: bataliony „Miotła” i „Zośka” przy wsparciu obydwu czołgów mają zaatakować od zachodu, a jednocześnie oddziały obwoDU „Śródmieście” — od wschodu. Wobec spowodowanego silnym nalotem niemieckim opóźnienia i brakiem koordynacji z grupą „Śródmieścia” natarcie nie udało się. W obliczu oczywistego silnego skoncentrowania dobrze uzbrojonych i umocnionych Niemców na „Pawiaku” i w „Gęsiówce”, dowództwo skłaniało się do taktyki odizolowania i obejścia tych obydwu gniazd oporu, pozostawiając ich „oczyszczenie” do więcej sprzyjającego czasu i okoliczności... Taktycznie uzasadniony pogląd oznaczał prawie pewną śmierć dla pozostałych jeszcze przy życiu więźniów żydowskich. Codziennie widziano, jak Niemcy nie wahali się pędzić przed czołgami jako zabezpieczenie przed ogniem powstańców zebranych bez żadnego wyboru grup polskiej ludności cywilnej. Na pewno nie można było oczekiwać, że w stosunku do Żydów zachowają się bardziej humanitarnie.

W tej sytuacji grupa harcerzy-weteranów ze zgrupowania „Broda” i batalionu „Zośka”: Jan Kajus Andrzejewski („Jan”), Ryszard Białous („Jerzy”) i Waclaw Micuta („Wacek”), nie ustawała w wysiłkach przekonania „Radosława”, że uwolnienie „Gęsiówki” jest możliwe i pożądane. W końcu „Radosław” wyraził zgodę na nową próbę natarcia pod warunkiem, że będzie wykonane wyłącznie przez ograniczoną liczbę ochotników przy wsparciu jednego tylko czołgu. Ryzyko wysłać obydwu wydawało się zbyt wielkie! Jasne też było, że atak ma szansę powodzenia tylko przy zastosowaniu elementu zaskoczenia.

5 sierpnia 1944 okazało się, że szczęście było tym razem po stronie śmiałych. Ochotnicy plutonu „Alek” ulokowawszy się w ruinach na prawo od zabarykadowanego wjazdu do „Gęsiówki” otworzyli ogień na barykadę. Ściągnęło to i zaabsorbowało natychmiast całą uwagę Niemców. Tymczasem czołg „Wacka” posuwał się na tyłach ulicy Gęsiej, a ochot-

nicy plutonu „Felek” podchodzili cicho po stronie lewej na odległość szturmową od bramy. Na wysokości obozu czołg skręcił nagle prawie pod kątem prostym i zjawił się przed barykadą. Zaskoczenie było zupełne do tego stopnia, że Niemcy nie zwracając uwagi na biało-czerwoną szachownicę i harcerską lilię, uważali, że czołg jest niemiecki i przychodzi im na odsiecz. Celne strzały do obsadzonych CKM-ami „bocianów” (wieżyczek strażniczych) wyprowadziły ich szybko, jednak za późno, z błędu. Czołg sforsował pierwszą potężną barykadę i wjeżdżał już na drugą, wprawdzie mniejszą, ale w planie natarcia nie przewidzianą. Jednocześnie ochotnicy z „Felka” ruszyli do ataku wręcz, wspierani nieustającym i celnym ogniem załogi czołgu na każde objawiające się gniazdo oporu. W niecałe pół godziny „Gęsiówka” była w rękach powstańców.

V

Pozostała po ewakuacji obozu 28 lipca grupa więźniów „Gęsiówki” żyła w następnych dniach w zupełnej niepewności co do swoich losów. Pierwsze dwa dni upłynęły na sprzątanii opróżnionych baraków i porządkowaniu narzędzi. W tym czasie dołączyła do obozu grupa przeszło 100 więźniów przyprowadzonych pod silną eskortą z sąsiedniego „Pawiaka”. Od uczestników tej grupy dowiedziano się o ewakuacji „Pawiaka”. Przy wyprowadzaniu z „Pawiaka” powiedziano im, aby nie zabierali swoich rzeczy, bo im nie będą potrzebne. Według powszechnego doświadczenia było to równoznaczne z prowadzeniem na stracenie w ruinach getta. Przekazanie do „Gęsiówki” było więc zupełnie niezwykle niespodzianką. Drugą niespodzianką było włączenie do grupy i przekazanie do obozu 24 kobiet. Zostały one przyjęte przez więźniów ze zdumieniem i gotowością okazania wszelkiej możliwej w tych warunkach pomocy.

1 sierpnia stało się jasne, że na zewnątrz obozu dzieje się coś niezwykłego. W bezpośredniej bliskości słyszano po południu silną i trwałą strzelaninę. 50 więźniów wyprowadzonych przez straż rano do roboty na *Umschlagplatz* nie powróciło na noc do obozu. Współwięźniowie skłonni byli przypuszczać raczej, że zginęli niż wyobrazić sobie ich uwolnienie przez powstańców. Kiedy rano niemieccy *Kapo* otrzymali broń i mundury, zrozumiano, że w mieście wybuchły walki.

Wobec dochodzących z dala odgłosów kanonady uważano, że Rosjanie są na przedpolu. Parę następnych dni minęło dla więźniów w niesłychanym napięciu. Zamknięci w barakach słyszeli odgłosy toczących się dookoła walk. Ich bezpośrednia bliskość budziła nadzieje na zbliżające się oswobodzenie. Ale terror uzbrojonych po zęby SS i *Kapo* utrzymywał groźbę natychmiastowej egzekucji. To, że do takiej egzekucji nie doszło, tłumaczy się najprawdopodobniej nieobecnością odpowiedzialnego rozkazodawcy: więźniowie nie wiedzieli, że p.o. komendanta, zastępcą Umschmitza, wpadł w ręce powstańców na przedpolu „Gęsiówki” 2 sierpnia.

5 sierpnia po południu odgłosy walki przybliżyły się z przedpola do bramy obozu, a następnie do jego wnętrza. Tak, jak Niemcy zaskoczeni zostali zjawieniem się czołgu, tak więźniowie w pierwszej chwili struchleli widząc przez zakratowane okna i zaraz także w drzwiach baraków żołnierzy w niemieckich hełmach i mundurach. Kiedy zobaczono biało-czerwone opaski i usłyszano *Jesteście wolni!*, nagromadzone przez lata cierpienia emocje zamieniły się w niesłychany entuzjizm. Nikt z więźniów „Gęsiówki”, którym udało się przeżyć wojnę nie zapomniał nigdy zdarzeń tego niezwykłego dnia...

A niespodziankom nie było końca: kiedy „Wacek” po kapitulacji niemieckiej załogi wygramolił się z czołgu, aby odetchnąć świeżym powietrzem, zobaczył ze zdumieniem na placu apelowym obozu sformowany wojskowo dwuszereg „pasiaków”. Na jego zbliżenie się padła po polsku komenda „Bacność!” i „W lewo patrz!” i więzień w pasiakach głośno zameldował: „Panie poruczniku, podchorąży Henryk Lederman melduje batalion żydowski, gotowy do boju!”. Okazało się, że większość oswobodzonych więźniów zgłasza się ochotniczo do służby w powstaniu. „Radosław” zadowolony ze zwycięstwa, w wyniku którego także dotychczasowe wąskie połączenie ze Starym Miastem zostało znacznie poszerzone, wyraził swoją zgodę. Kilkunastu mechaników i elektryków włączono do plutonu pancernego, innych do batalionów „Parasol” i „Zośka”, większą liczbę do kwatremistrzostwa „Fila” (por. Ludwik Michalski).

Między oswobodzonymi było także kilku uczestników powstania w getcie 1943, członków Żydowskiej Organizacji Bojowej (ŻOB). Na wiadomość o wybuchu powstania ŻOB wydała 3 sierpnia odezwę wzywającą Żydów do zgłaszania się do oddziałów powstańczych. Liczący kilkadziesiąt osób

oddział ŻOB pod dowództwem „Antka” Cukiermana bronił do ostatka barykadę na ulicy Rybaki na Starym Mieście⁸. 17 sierpnia wysłano do Londynu na ręce inżyniera Anzelma Reissa, ówczesnego przedstawiciela Żydowskiego Kongresu Światowego (JWC), a po wojnie długoletniego prezydenta Światowej Federacji Żydów Polskich depezę: „Bierzemy udział w walkach. Armia Krajowa oswoodziła kilkuset więźniów — Żydów węgierskich, czeskich, greckich, francuskich; dano im wolność i możliwość pracy i walki dla wspólnej sprawy. Pozdrowienia z walczącej Warszawy. Oczekujemy szybkiej pomocy. Józef” (pseudonim Szymona Gottesmana z ŻOB)⁹.

Oswobodzeni więźniowie „Gęsiówki” walczyli w oddziałach zarówno Armii Krajowej jak i Armii Ludowej na Woli, na Starym Mieście, w Śródmieściu, na Żoliborzu i na czeraniakowskim przyczółku mostowym. Walczyli i ginęli obok swych polskich towarzyszy broni „za waszą i naszą wolność”. Ginęli z rąk okrutnego zwyrodniałego wroga jakim były operujące w Warszawie oddziały SS i zbrodnicze bandy Dirlewangera i Kamińskiego. Niestety, byli także i tacy, którzy zginęli zastrzeleni przez własnych towarzyszy broni, tylko dlatego, że byli Żydami¹⁰.

Przeżyła Powstanie Warszawskie i Drugą Wojnę Światową tylko niewielka garstka. Po 50 latach Batalion „Zośka” jako pierwszy i dotąd jedyny uczcił pamięć swoich żydowskich żołnierzy poległych na polu wspólnych zmagania. Udział Żydów w tych zmaganiach i to nie tylko tych z obozu „Gęsiówka” wymaga oddzielnego historycznego opracowania.

Edward KOSSOY

8. Dodatek tygodniowy do dziennika *Haarec*, Jerozolima, 12.8.94, str. 42-46.

9. „Ludność cywilna w Powstaniu Warszawskim”, Państw. Instytut Wydawniczy, tom III, Warszawa 1974, str. 151.

10. Między innymi, według relacji Bronisława Anlena 3 więźniów „Gęsiówki” wystawiających się po niemiecku zostało rozstrzelanych przez powstańców uważających ich za przebranych w pasiaki Niemców (*Gazeta Wyborcza* 29-30 stycznia 1994).

Andrzej GRZYWACZ, Grzegorz MAZUR

RUCH PROMETEJSKI W POLSCE

W zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego (CAW) w Warszawie przechowywany jest dokument omawiający powstanie i funkcjonowanie „ruchu prometejskiego” w Polsce międzywojennej. Było to zjawisko stosunkowo mało znane: jedyna właściwie praca o nim, Sergiusza Mikulicza, ukazała się już dość dawno temu¹, natomiast ostatnio wiele ciekawych szczegółów na ten temat można znaleźć w pracy poświęconej postaci Tadeusza Hołównki, jednego z czołowych działaczy „ruchu prometejskiego”². Trzeba przypomnieć, że — najogólniej rzecz biorąc — działalność „prometejska” polegała na wspieraniu niepodległościowych dążeń narodów Związku Sowieckiego.

Autorem tego dokumentu był jeden z promotorów tego ruchu w Polsce, Stanisław Siedlecki. Urodził się on 19 II 1877 r. we wsi Simie w guberni włodzimierskiej. Od młodych lat zaangażował się w działalność patriotyczną, za organizowanie w gimnazjum w Złotopolu kółka młodzieżowego w duchu narodowo-niepodległościowym został wyrzucony z „wilczym biletem” ze szkół rosyjskich na Ukrainie. W latach 1897-1900 studiował na Politechnice Lwowskiej, uzyskując tytuł inżyniera chemika. Był współzałożycielem tajnej organizacji „Pro-

1. S. Mikulicz, „Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej”, W-wa 1971.

2. I. Werschler, „Z dziejów obozu belwederskiego. Tadeusz Hołównko — życie i działalność”, W-wa 1984.

mień”, współtwórcą w grudniu 1898 r. (wraz z inż. Kazimierzem Odrzywolskim, Wacławem Wolskim i bratem Ludwikiem) i współredaktorem wydawanego przez nią pisma *Promień*, w którym artykuły zamieszczali wybitni działacze PPS, m.in. Feliks Perl. Wspomnienie o powstaniu „Promienia” S. Siedlecki opublikował potem na łamach *Niepodległości*³. W 1899 (według innych danych w 1898 r.) związał się z Polską Partią Socjalistyczną i początkowo w latach 1901-1904 działał na wsi w Galicji. Od 1905 r. do 1908 r. kierował pracą tajnej drukarni partyjnej PPS w Warszawie. Przez pewien czas był członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego PPS, a po rozłamie wszedł w skład PPS — Frakcja Rewolucyjna. Używał wtedy pseudonimów „Eustachy”, „Erazm” i „Stach”. W sierpniu 1914 r. znalazł się w szeregach oddziałów strzeleckich, potem przez kilka dni sprawował funkcję cywilnego komisarza na Starachowice i Ostrowiec Świętokrzyski oraz współpracował w Kielcach z Legionami, gdzie po 1915 r. współdziałając z PPS organizował Komitet Narodowy. Związał się ściśle też z Polską Organizacją Wojskową. W latach 1916-1919 był dyrektorem firmy gazowej w Kałuszu (woj. stanisławowskie), ale już w 1919 r. przeniósł się do Warszawy. W 1920 r. został redaktorem tygodnika *Przymierze* (od 23 I 1921 r. z podtytułem: „Czasopismo Związku Zbliżenia Narodów Odrodzonych”), który ukazywał się do końca 1921 r. Należał też do założycieli Związku Zbliżenia Narodów Odrodzonych (ZZNO) w 1921 r.: 10 I 1921 r. został zalegalizowany statut tego stowarzyszenia, a 15 I odbyło się pierwsze walne zgromadzenie ZZNO i Siedlecki znalazł się w jego sekcji polskiej (obok m.in. Aleksandra Bogusławskiego, Antoniego Bolesława Dobrowolskiego, Ireny Kosmowskiej, Witolda Kamienieckiego, Bohdana Kutylowskiego, Jędrzeja Moraczewskiego, Stanisława Stempowskiego, Jana Woźnickiego, Włodzimierza Wakara — również faktycznego redaktora naczelnego *Przymierza*, Ludwika Waszkiewicza, Joachima Wołoszynowskiego). Po upadku w 1923 r. ZZNO założył w początkach 1925 r. Instytut Wschodni w Warszawie i prezesował mu przez 10 lat. Jesienią 1928 r. został członkiem (obok Leona Wasilewskiego, S. Stempowskiego, Stanisława J. Paprockiego, Adama Koca i Janusza Jędrzejewicza) otwartego wtedy w Warszawie „Klubu Prometeusza” (filii

3. S. Siedlecki, „Założenie 'Promienia'”, *Niepodległość*, 1931, t. 4; materiały Redakcji Słownika Biograficznego Działaczy Polskiego Ruchu Robotniczego w Warszawie.

powstałej w 1926 r. w Paryżu organizacji „Prometeusz”). Jednocześnie w latach 1925-1932 przewodniczył zarządom dwóch spółdzielni mieszkaniowych w Warszawie, a następnie Towarzystwu „Nasz Dom” na warszawskich Bielanach. Piastował mandat senatora I kadencji (1922-1927) z listy PPS, wybrany w województwie poleskim i IV kadencji (1935-1938) z ramienia BBWR, z województwa tarnopolskiego. W latach 1937-1938 był przewodniczącym obwodu Warszawa-Praga okręgu stołecznego Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZN). W 1932 r. został odznaczony Krzyżem Niepodległości. Dalsze losy S. Siedleckiego pozostają nieznane⁴.

Prezentowany dokument przechowywany jest w CAW, w zespole Oddziału II Sztabu Głównego pod sygnaturą: 1774/89/214 i składa się z 10 stron maszynopisu. Publikujemy go w całości, poprawiając jedynie błędy maszynowe, rozwijając nietypowe skróty oraz opatrując tekst niezbędnymi przypisami objaśniającymi. Memoriał ten znajdował się przez długi czas w Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i dopiero około drugiej połowy lat 80-tych wraz z wieloma innymi dokumentami został przeniesiony do CAW⁵.

„RUCH PROMETEJSKI” WŚRÓD NARODÓW PODROSYJSKICH NA EMIGRACJI W POLSCE⁶

Przygotowanie materiału dla ruchów dywersyjnych u sąsiada, z którym przypuszczalnie możemy prowadzić wojnę, jest, jak wiadomo, zadaniem bardzo ważnym dla każdego państwa.

4. „Kto był kim w II Rzeczypospolitej”, pod red. J.M. Majchrowskiego przy współpracy G. Mazura i K. Stepana, W-wa, 1994; I. Werschler, s. 117-120, 238-239; W. Pobóg-Malinowski, „Najnowsza historia polityczna Polski”, t. I: 1864-1914, Londyn 1984, s. 341-342; S. Siedlecki, s. 71-80; S. Mikulicz, s. 204; materiały Redakcji Słownika Biograficznego Działaczy Polskiego Ruchu Robotniczego w Warszawie.

5. S. Mikulicz, s. 230; obszernie wykorzystał on w swej pracy zawarte w nim informacje.

6. W tym miejscu odręczna adnotacja: „Oddać gen. Kasprzykiemu. M.”, a obok pieczęć treści następującej: „Minister Spraw Wojskowych Tadeusz Kasprzycki, generał dywizji” oraz nieczytelna adnotacja. Na odwrocie ostatniej strony dwie pieczętki: „Biuro Inspekcji GISZ 26 V 1939” oraz „Adiutantura I Wiceministra Spraw Wojskowych 10 VI 1939”, świadczące o datach wpływu do tych instytucji.

W Polsce od chwili powstania państwowości było to robione tak, jak i w innych państwach, prowadzących mniej lub więcej samodzielną politykę.

Przygotowania te u nas inicjowane były na polecenie Marszałka Piłsudskiego i organizowane z niezwykłym rozmachem. Wielki Marszałek przywiązywał do nich szczególną wagę i sam osobiście interesował się nimi niemal do końca swego życia. W dodatku Marszałek podchodził do sprawy ruchów dywersyjnych z wyjątkową szlachetnością, mianowicie w formie popierania szczerego i zupełnie bezinteresownego ruchów wyzwolenicznych narodów podbitych przez Rosję.

Na dowód, jak Marszałek Piłsudski interesował się tymi sprawami przytoczę, że wszyscy prawie czołowi przedstawiciele narodów podrosyjskich, będący na emigracji, byli przyjmowani na osobistych audiencjach przez Marszałka, jako to — szereg osób z emigracji gruzińskiej, szereg osób z emigracji ukraińskiej, przedstawiciel Tatarów krymskich, Dżafar bej Sejdamet, kilkakrotnie oraz przedstawiciele innych narodów.

Kiedy swego czasu Marszałek Piłsudski usunął się do Sulejówka, sprawa tych przygotowań przestała interesować czynniki rządowe ówczesne. Tak Sztab Główny, w osobie gen. St. Hallera, jak i MSZ powoli likwidują „zbyt rozbudowane”, ich zdaniem, agendy Oddz. II Sztabu i Wydziału Wschodniego MSZ.

Po maju 1926 roku robota na tym odcinku nie tylko powraca do dawnego napięcia, ale się rozbudowuje znacznie, zmieniając jednak swą postać zgodnie z wymaganiami chwili. Rzeczą prowadzą tacy wybitni ludzie, jak Tadeusz Hołówko w MSZ⁷ i płk Tadeusz Schaetzel⁸ w Sztapie Głównym.

Jak się te prace przedstawiają ze strony oficjalnej, nie mogę dokładnie powiedzieć, jednak jako przedstawiciel organizacji społecznych, które zostały powołane do współdziałania w ciągu ostatnich 18 lat z czynnikami oficjalnymi, wiem stosunkowo bardzo wiele.

Dlatego bowiem, że sprawa przygotowania materiału do ewentualnych ruchów dywersyjnych na terenie państwa rosyjskiego była w Polsce postawiona szeroko, nie w formie ordy-

7. T. Hołówko (1889-1931), polityk i publicysta, w latach 1927-1930 naczelnik Wydziału Wschodniego w MSZ.

8. T. Schaetzel (1891-1971), płk dypl., żołnierz Legionów i POW, po wojnie m.in. szef Oddziału II Sztabu Generalnego (1926-1928), dyplomata i polityk, wicemarszałek sejmu 1935-1938.

narnej dywersji za pieniądze, ale w formie szczerego i uczciwego popierania dążeń narodów podbitych do wolności i niepodległości, musiała się ona oprzeć również o społeczeństwo polskie, jako takie, oraz o instytucje naukowe, polityczne i społeczne, reprezentujące to społeczeństwo.

Takimi instytucjami od roku 1920 były:

1) Czasopismo *Przymierze*, które wychodziło od 15/VIII 1920 do końca roku 1921-go. Redaktorem pisma był niżej podpisany, szereg artykułów umieścił w nim Tadeusz Hołowko i inni wybitni politycy, interesujący się sprawą Wschodu.

2) Klub pod nazwą — „Związek Zbliżenia Narodów Odrodzonych”, który istniał od r. 1921 do 1923-go. Należeli doń, poza Polakami, przedstawiciele narodów następujących: Finlandii, Estonii, Litwy, Białejrusi, Ukrainy, Tatarów Krymu, Kozaków Kubańskich, Gruzji, Azerbejdżanu, Górali Północnego Kaukazu i Finnów wschodnich. Członkami klubu ze strony polskiej byli m.in. Tadeusz Hołowko z żoną, Tadeusz Schaetzel, Konrad Libicki⁹ z żoną, Tytus Komarnicki¹⁰, Tadeusz Kornilowicz, dr H. Kołodziejski¹¹, dr M. Stępowski¹², Kaz[imierz] Dłuski¹³, Melchior Wańkowicz i inni.

Lata 1924 i 25-ty były najtrudniejsze, bowiem czynniki rządowe nie wykazywały żadnego zainteresowania w tej sprawie, a tym samym nie udzielały żadnego poparcia instytucjom i pismom, zajmującym się sprawą „Narodów Odrodzonych”.

3) Na początku roku 1925-go został założony Instytut Wschodni w Warszawie, na razie w charakterze kursów języków wschodnich. Dopiero jednak po maju 1926 roku instytut zaczął należycie się rozwijać, uzyskując moralne i finansowe poparcie Rządu, jak również po wciągnięciu go do całokształtu polityki popierania ruchów wolnościowo-niepodległościowych na terenie Rosji.

9. K. Libicki (23 IX 1891-25 XII 1980), legionista, oficer, dyplomata, od 1935 r. prezes spółki akcyjnej „Polskie Radio”.

10. T. Komarnicki (15 I 1896-9 IX 1967), prawnik i dyplomata.

11. Henryk Kołodziejski (13 VII 1884-18 IV 1953), działacz polityczny, ekonomista, 1920-1939 współzałożyciel i członek kierownictwa Instytutu Gospodarstwa Społecznego, 1921-1939 założyciel i dyrektor Biblioteki i Archiwum Sejmu i Senatu, po wojnie poseł do KRN, a od 1947 poseł na Sejm, 1948-1953 członek Rady Państwa PRL.

12. Prawdopodobnie chodzi o Stanisława Stępowskiego.

13. K. Dłuski (1 XI 1855-6 IX 1930), lekarz, działacz socjalistyczny.

W r. 1927 został założony, z inicjatywy czynników rządowych, klub „Prometeusz”¹⁴, którego członkami zwyczajnymi zostają wyłącznie przedstawiciele narodów podrosyjskich, zaś Polacy mogą być jedynie członkami honorowymi.

Do klubu „Prometeusz” należą:

Karelczycy, Ingermanlandzi, Komowie (i inne narody wschodniofińskie), Ukraińcy, Azerbejdżanie, Gruzini, Górale Północnego Kaukazu, Turkiestańczycy oraz Wolni Kozacy i inni.

Klub wspomniany ściśle współpracuje z Instytutem Wschodnim. Przy instytucie istnieje również Orientalistyczne Koło Młodych ze swym organem naukowo-propagandowym *Wschód*. Kwartalnik ten redagowany jest po polsku, daje jednak angielskie i niemieckie streszczenia swych artykułów.

Nie wspominam tu o Instytucie Badań Mniejszości Narodowych (założony przez T. Hołowkę), zajmuje się on bowiem mniejszościami wewnętrznymi w Polsce (i gdzie indziej), czym my się nie zajmujemy. Do instytucji pokrewnych należałoby raczej zaliczyć Instytut Wschodni w Wilnie, jednak zainteresowania Instytutu tego bardziej skłaniają się do studiowania i badania Rosjan jako takich oraz ZSSR jako takiego, nie traktując terenu Rosji ze stanowiska tak czy inaczej „dywersyjnego”.

W ciągu kilkunastu lat pracy po maju, dążenia niepodległościowe omawianych narodów podrosyjskich na terenie Polski uporządkowały się, pogłębiły [i] nabrały uzasadnień ideowych.

Przyjął też on bardzo efektowną, w Polsce powstałą nazwę. Nazwaliśmy go mianowicie ruchem „Prometejskim”, zaś dążenie do wolności po prostu „Prometeizmem”.

Obecnie „Prometeizm” ma już popularność międzynarodową, zaś fascynująca nazwa przyłgnęła bezapelacyjnie do idei wyzwolenia w rozumieniu i interpretacji polskiej. Przy tym wśród narodów podrosyjskich Warszawa jest znana i uznana, jako ośrodek ruchu „prometejskiego”. Wobec tego wystarczy, by na przykład Tatarzy na terenie Rosji Sowieckiej w Kazaniu dowiedzieli się, że ich znany przywódca, Ajas Ischaki, mieszka w Warszawie, by wiedzieli z wszelką pewnością, że należą do „prometeistów”.

Do pogłębienia, koordynacji i uporządkowania działań

14. S. Siedleckiego zawiodła tu pamięć, klub powstał w 1928 r.; S. Mikulicz, s. 212-213.

ności niepodległościowej narodów „prometejskich” wiele przyczynił się szereg prac historyczno-naukowych, które pod wpływem oraz pod dyskretnym kierownictwem czynników polskich podjęli i ogłosili przedstawiciele tych narodów. Między innymi Instytut Wschodni w Warszawie wydał po polsku następujące książki w tym zakresie:

a) „Gruzja w zarysie historycznym”, napisana przez Gruzina, Jana Kawtaradze (porucznika WP);

b) „Krym” — zarys historyczno-informacyjny, napisany przez Dżafara Sejdamera, byłego ministra republiki Krymu.

c) „Moskwa i narody podbite”, zarys historyczny, napisany, po samodzielnym i źródłowym opracowaniu, przez Ignacego Meszega, przedstawiciela na emigracji narodów fińskich, rozlokowanych w dorzeczu środkowej Wołgi, Kamy i Peczory.

Nadmienię, że Instytut Wschodni wydał również szereg prac, poświęconych zagadnieniom wschodnim, pióra polskich uczonych i działaczy, jak prof. Włodz[imierz] Dzwonkowski¹⁵, prof. Adam Lewak¹⁶, dr St. Widerszal¹⁷, prof. Vetulani¹⁸ i inni.

Powołał również Komisję Kaukaską, w składzie 5 Polaków i 11 Kaukazczyków, która po kilku latach pracy ogłosiła w czasopiśmie *Wschód* i innych — zunifikowany alfabet dla narodów Północnego Kaukazu, oparty na podstawie łacińskiej.

Do książek historyczno-informacyjnych, ogłoszonych przez Instytut Wschodni należy dodać dwie książki, wydane w r. 1938-ym przez dane narody. Są to:

a) „Azerbejdżan w walce o niepodległość”, pióra wybitnego przywódcy Turków Azerbejdżanu, Mechmed Emina Rasul Zade, oraz

b) „Achuł — Guch” — obrona twierdzy Achulgo przez imama Szamila, pióra pułkownika polskiego Sztabu Głównego, Emira Baħa Eddina Chursza, w języku rosyjskim. Instytut Wschodni przygotowuje obecnie tłumaczenie polskie tej niezwykle ciekawej pracy wojskowo-historycznej.

15. W. Dzwonkowski (4 II 1880-28 II 1954), historyk, profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej w okresie międzywojennym.

16. A. Lewak (3 IX 1891-25 VI 1963), historyk, m.in. w latach 1938-1956 dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.

17. Drobna omyłka — doc. dr hab. Widerszal (24 VI 1909-13 VI 1944), świetnie zapowiadający się historyk, miał na imię Ludwik.

18. Adam Vetulani (20 III 1901-25 IX 1976), historyk prawa, prof. UJ.

Jeśli dodamy do dzieł wymienionych cały szereg czasopism i broszur, wydawanych przez poszczególne narody „Prometeusza” z pomocą czynników polskich bardziej oficjalnych, to otrzymamy obraz ogromnej roboty.

Te ostatnie wydawnictwa wymienię jedynie wrywkowo. Mianowicie emigracja gruzińska wydaje szereg czasopism w języku gruzińskim i innych. Emigracja ukraińska wydaje pisma *Tryzub*, *Szlachom Niezależności*, *Tabor*, pismo fachowo-wojskowe i inne. Emigracja Górali Północnego Kaukazu wydaje pismo rosyjsko-tureckie pt. *Siewiernyj Kawkaz*, rozchodzące się wśród starej emigracji kaukaskiej w Syrii, Transjordanii i Egipcie. Emigracja Azerbejdżanu pisma po turecku alfabetem łańskim i arabskim. Wszystkie trzy emigracje kaukaskie wydają w imieniu swego związku pt.¹⁹ „Konfederacja Kaukaska” — pismo po francusku p.n. *Prométhée*. Wolni Kozacy — pismo *Wolnoje Kozacziestwo*. Tatarzy Krymu, Kazania, jak również Turkiestanu oraz Kałmucy — swoje czasopisma. Ciekawe, że Dżafar Sejdamet na terenie rumuńskiej Dobrudży rozpoczął z dużym powodzeniem organizowanie tamtejszych Tatarów, wzorując się w tym zupełnie na przedwojennej pracy Marszałka Piłsudskiego w Galicji.

Czynniki polskie, mając stosunki ze wspomnianymi narodami od samego początku istnienia Państwa Polskiego i rozbudowując je bardzo systematycznie a wcale nie biurokratycznie, miały możliwość wyłowienia i przyciągnięcia na swoją stronę najlepszych i najbardziej wpływowych działaczy z poszczególnych emigracji narodów podrosyjskich. Mianowicie:

1) Gruzja. Mamy silny kontakt z rządem Noego Żordania, dotąd uznanym przez Zachód rządem gruzińskim na emigracji.

2) Ukraina. Były rząd Petlury²⁰ i cała jego organizacja jest z nami w ścisłym kontakcie, ma również w Polsce swój ośrodek organizacyjny.

Poza petlurowcami, najbardziej popularnymi nawet obecnie na terytorium Ukrainy sowieckiej, istnieje były rząd hetmana Skoropadskiego²¹, ciężący ku Niemcom. Jest to organi-

19. Winno być: pod nazwą.

20. Semen Petlura (5 V 1877-25 V 1926), jeden z przywódców wojskowych i politycznych ukraińskich, dążył do utworzenia niepodległej Ukrainy w latach 1917-1920. Zamordowany w Paryżu.

21. Paweł Skoropadski (15 V 1873-26 IV 1945), carski generał, w 1918 r. narzucony przez Niemców hetman Ukrainy, obalony w grudniu tego roku emigrował do Niemiec.

zacja dość znana, szczególnie na terenie Kanady, ale w Europie zupełnie słaba i na obecne czasy zanadto konserwatywna.

3) Kaukaz Północny. Mamy „po polskiej stronie” najwybitniejsze jednostki czerkieskie na czele z Saidem Szamilem, prawnukiem wielkiego Szamila. Trzeba zaznaczyć, że w świecie muzułmańskim rodzina Szamila uważana jest „za świętą”.

4) Azerbejdżan. Tu współpracujemy z wybitnymi działaczami tego narodu, jak Emin Rasul Zade, b. przewodniczący konstytuandy Azerbejdżanu, Mustafa Vekili, Mir Jakub, Azer Tekin i inni.

5) Tatarzy Krymu. Reprezentuje ich już wspomniany wybitny polityk, patriota i ideowiec krymski, Dżafar bej Sejdamet. Marszałek Piłsudski cenił Sejdameta i kilka razy z nim konferował.

6) Tatarzy Kazania, tak zwanego Idel Uralu. Przewodzi im wybitny polityk, a również dramaturg i pisarz tatarski (o kulturze czysto muzułmańsko-tatarskiej — bez szkół rosyjskich), Ajas Bej Ischaki.

Niedawno oddał on duże usługi sprawie prometejskiej, wyjeżdżając na daleki Wschód i organizując tam dość liczną emigrację tatarską i uświadamiając Japończyków o postawie i rozmiarach mniejszości podrosyjskich.

7) Finnowie Wschodni. Reprezentuje ich wielki przyjaciel Polski, autor książki „Moskwa”, Ignacy Meszeg.

8) Wolni Kozacy. Kieruje nimi Kozak kubański, ataman Ignacy Biłyj, od r. 1921 współpracujący z Polską. Jest przedstawicielem odwiecznego dążenia wśród Kozaków do utworzenia niepodległego państwa kozackiego. Sprawa przyciągnięcia Kozaków na swoją stronę jest bardzo ważną. Po pierwsze można przez posiadanie Kozaków kubańskich „po polskiej stronie” skutecznie szachować jakieś wygórowane dążenia Ukrainy. Po drugie — znane jest wyrażenie jednego z polityków rosyjskich — „kto chce zwyciężyć na południu Rosji, musi mieć Kozaków po swojej stronie”.

Do tego wszystkiego dodam, że w wojsku polskim służy cały szereg Gruzinów, Ukraińców, Azerbejdżanów, Czerkiesów, jak gen. Zachariadze, gen. Szandruk²², płk Chursz, płk Bagration, płk Kazumbek, major Kumus Hussein i inni.

Przez kilkanaście lat pracy i stosunków polskich z

22. Pawło Szandruk nie był w WP generałem; w kampanii wrześniowej walczył w stopniu ppłk. dypl.

przedstawicielami wymienionych narodów, żyli się oni z Polską i Polakami, wielu z nich ukończyło tu wyższe wojskowe i cywilne studia, poznało kulturę polską, na literaturze naszej nauczyło się prawdziwego patriotyzmu — po prostu ideowo zasymilowało się z Polską. Toteż związek Polski z narodami frontu prometejskiego był dotąd niezwykle trwały i serdeczny.

Od roku jednak 1936-go, a szczególnie 1938-go nastąpił okres wielkiej próby wytrzymałości tych naszych kontaktów i stosunków dlatego mianowicie, że naprzód Włochy, interesując się głównie zagadnieniami Kaukazu, a następnie Niemcy na terenie przede wszystkim ukraińskim — wykazały niezwykle intensywną działalność w kierunku przygotowania ruchów dywersyjnych na terenie Rosji na swoją korzyść.

Jeszcze w roku 1934 mieliśmy w Polsce wizytę włoskiego profesora Insabatto, który zwiędzał nasz Instytut, interesując się sprawami Wschodu i wykazując wielką erudycję w sprawach Kaukazu. Powoływał się on zresztą na tradycję genueńskich faktoryj na brzegach Morza Czarnego i tym tłumaczył swoje zainteresowanie. W r. 1936 przyjechał do Warszawy z Paryża wybitny publicysta rosyjsko-kaukaski, z pochodzenia Czerkies, Gajdar Bamat, i starał się nawiązać kontakt z naszymi Czerkiesami. Po paru zaś miesiącach ukazał się w Paryżu, w miesięczniku *Kaukaz*, redagowanym przez tegoż Gajdara Babata²³ artykuł ostro krytykujący polską orientację Kaukazyków oraz starający się odciągnąć ich od nas. Argumenty Gajdara są bardzo mocne. Twierdzi on, że Polska dla poparcia aspiracji niepodległościowych Kaukazu nie będzie się nigdy chciała angażować czynnie — zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z państwami, dążącymi do rewizji mapy po traktacie wersalskim.

Ukazały się również broszury i jednodniówki w języku francuskim i innych, redagowane przez tę samą grupę ludzi. Ostatnio widać w tych poczynaniach wielki rozmach organizacyjny, poparty poważnymi funduszami.

Działalność strony niemieckiej, zwrócona przede wszystkim na zagadnienie ukraińskie, rozpoczęta w ostatnich miesiącach, nie da się jeszcze bliżej sprecyzować, bo jest zbyt nowa, wiemy jednak, że ma być prowadzona na wielką skalę. Dowodem tego jest organizacja Rusi Karpackiej, ukraińskie audycje we Wrocławiu, Wiedniu itp.

23. W tym miejscu albo wcześniej nazwisko przekreślone.

Jeżeli porównamy obecnie organizację, dobór ludzi oraz życie się z narodowymi ośrodkami — polskie i włoskie oraz niemieckie, to strona polska wygląda o całe niebo lepiej. Na prz[ykład] Kaukazczycy, zgrupowani koło proitalskiego pisma *Kaukaz*, to ludzie zrusyfikowani, mający małą styczność ze swymi rodakami, zaś Gajdar Bamat, lub jakiś Awaliszwili z *Kaukazu* nie może być nawet porównany z Saidem Szamilem, lub Noemi Żordania. To samo tyczy się strony niemieckiej. Posługiwali się oni na odcinku ukraińskim takim Konowalcem (obecnie nieżyjącym), typowym zabójcą i raczej grasantem, niż dywersantem w najgorszym znaczeniu. Obecnie mają Skoropadskiego i jego adherentów, opierających się na terenie Ukrainy sowieckiej o elementy „chliborobskie”, tj. średniej własności chłopskiej. Takich elementów obecnie na Ukrainie nie ma²⁴.

Istnieje jednak poważne niebezpieczeństwo, że za pomocą przekonywających argumentów o aktywności działania strony włosko-niemieckiej, z drugiej strony przez forsowanie pracy wydawniczej, naukowo-politycznej i propagandy, popartej większymi środkami finansowymi, mogą te świeże organizacje odciągnąć od orientacji polskiej szereg wybitnych osobistości, na razie na kaukaskim i ukraińskim odcinku, o ile strona polska nie przystąpi do poważnego ożywienia akcji na „froncie prometejskim”.

Tymczasem właśnie w Polsce akcja ta wybitnie osłabła. Przedstawiciele narodów prometejskich są przekonani, że nastąpiło to na skutek śmierci Marszałka Piłsudskiego i że, gdy nie stało orędownika i przyjaciela, nigdy już Polska nie wróci do dawnych metod i dawnego rozmachu. Jest to oczywiście mniemanie błędne, jednak potwierdza się, na razie, osłabieniem akcji właśnie od roku 1935-go.

Dość przytoczyć, że Instytut Wschodni w Warszawie musiał z braku dostatecznego poparcia właściwych czynników Ministerstwa Oświaty oraz na skutek dokuczliwych szykan Ubezpieczalni Społecznej, zwinąć od jesieni 1938 r. Szkołę Języków Wschodnich, instytucję znaną już na terenie wschodnoznanstwa międzynarodowego.

Jeżeli porównamy przy tym budżety Instytutu Wschodniego w Wilnie lub Instytutu Bałtyckiego z takimże budżetem Instytutu Wschodniego w Warszawie, to zobaczymy, że

24. Z kontekstu wynikałoby, że w momencie pisania tego memoriału na Ukrainie nie było już właśnie elementów „chliborobskich”.

budżety tamtych instytutów wahają się w dochodach około sumy 150.000 zł, kiedy Instytut w Warszawie, szczególnie po ostatnich okrojeniach, nie będzie miał dochodu rocznego więcej, jak 35.000 zł. Budżetu tego już zupełnie nie można porównywać z milionowym budżetem na prz[ykład] Instytutu Wschodniego w Berlinie.

A jednak ten o tak skromnych dochodach Instytut Wschodni w Warszawie poza zadaniami „prometejskimi” ma również i liczne zadania w ogóle wschodnie na oku i na „głowie”. Tu w lokalu Instytutu na Miodowej mieszczą się przecież liczne towarzystwa przyjaciół z państwami wschodnimi niepodległymi, jak Tow. Polsko-Chińskie, Tow. Polsko-Tureckie, Polsko-Perskie, Polsko-Rumuńskie, Polsko-Jugosłowiańskie, Polsko-Bułgarskie, zbiera się tu Komitet Budowy meczetu w Warszawie itp.

Narody „prometejskie”, po śmierci Marszałka Piłsudskiego, nie mają już bezpośredniej styczności ze szczytami hierarchii polskiej. Obecnie najwyższą osobą oficjalną, która się z nimi styka i rozmawia, jest szef Oddz. II Sztabu i naczelnik Wydziału Wschodniego MSZ, kiedy dotąd rozmawiali osobiście i mieli nadzieję rozmawiać w przyszłości — z Marszałkiem Piłsudskim. Dla nich tedy jest jasne (i nie da się im ze strony polskiej wyperswadować, że tak nie jest), że w Polsce nastąpiła dekadencja ruchu prometejskiego, jasne się dla nich staje, że poczęto ich traktować nie jak przedstawicieli ideowej irredenty swoich krajów, ale jak normalny materiał dywersyjny, opłacany gotówką.

Toteż należałoby pomyśleć, by ktoś z osób oficjalnych, stojących na stanowisku czołowym, wziął tę tak ważną sprawę do serca i zechciał osobiście nawiązać stały kontakt z przedstawicielami narodów „prometejskich”.

W ten sposób nada się z powrotem ruchowi omawianemu cechy ideowości, bezinteresowności i szlachetności — słowem cechy „prometejskości”, które były tak atrakcyjne i przyciągające dla narodów podrosyjskich.

Warszawa, 14/I 1939 r

St. SIEDLECKI
b. senator²⁵

Opracowali: A. Grzywacz i G. Mazur.

25. Podpis odręczny.

Bohdan SKARADZIŃSKI

„TELEFONY” LENIN-PIŁSUDSKI

Prawdziwa polityka, w odróżnieniu od politycznego gawędziarstwa i gry pozorów, ma zawsze swą warstwę rzeczową, fundamentalną, na której dopiero daje się poważnie osadzić słowa oświadczeń i porozumień oraz formalnych gestów i procedur. W 1919 roku, w polityce wschodniej, taką warstwę rzeczową stanowiło opanowanie siłą przez Polaków Galicji i Wołynia, a także Wileńszczyzny i trzonu Białorusi. Należało do niej również dysponowanie przyzwoleniem zachodnich aliantów, gdyż inaczej nie dałoby się nam tamtych ziem zająć oraz ich utrzymać; poparcie było rzeczywiste na tyle, na ile miało wyraz rzeczowy... Wreszcie, w tenże zakres wchodziła akceptacja społeczna; mniejsza o wieści i gazety, lecz bez społecznej skłonności do — na określonym poziomie — ofiar i wyrzeczeń, osobistych oraz rzeczowych, nie byłoby kim ani czym jakiegokolwiek polityki prowadzić. Na takim fundamencie na różne sposoby dawała się rozwijać aktywność werbalna i dyplomatyczna, mylna jakże często z polityką *sensu stricto*.

Naszej wschodniej pozycji latem oraz jesienią minimalnie tylko zagrażali bolszewicy. Pobici byli walnie, a w głębi Rosji doświadczali klęski za klęską z rąk „białych”. I teraz to ci ostatni stanowili narastającą groźbę dla polskiego stanu posiadania i polskich zamysłów. Groźbę tym większą, iż popieraną przez Zachód bardziej, aniżeli nasze plany oraz marzenia. Alianci pomagali nam ot tyle, byśmy wiązali bolszewików, bo służyło to „białym”; ani jotę więcej... Ci zaś

nie kryli wcale, że polską niepodległość „szanują”, lecz wszelkie szczegóły i konkrety — z naszą granicą wschodnią włącznie — będzie mógł ustalić dopiero... rosyjski parlament, jeśli takowy kiedykolwiek się zbierze.

Subtelna musiała być polska gra wobec „sojusznika naszych sojuszników”. Brytyjski prof. Norman Davies wyjaskrawia i upraszcza, gdy pisze: „Na pewno był (Piłsudski) zdolny do przyjęcia pomocy wojskowej aliantów i użycia jej na cele, których kategorycznie zabraniali. Kiedy tylko próbowali określić warunki swojej pomocy, odpowiadał, że Polska może się bez niej obejść. Francja i Wielka Brytania przekonały się na własnej skórze, że Piłsudski nie toleruje żadnego wtrącania się, a najmniej przemądrzałych sojuszników...” Gdybyż to tak, z całą konsekwencją, można było sobie poczynać.

Istniała przecież w kraju opinia publiczna, czuła zarówno na kwestię rosyjską, jak i na „przyjaźń” Zachodu. I był w niej nurt, iż „pokorne cielę dwie matki ssie”. Skromność alianckich „zasilków” wobec polskich potrzeb oraz oczekiwań, wielokroć tłumaczona była słabościami naszej politycznej „wdzięczności”. Polskim, jak to dzisiaj się mówi, podskakiwaniem. A należało teraz znaleźć sposób, aby jakoś utemperować ciągoty „białych” do Rosji „jednej i niepodzielnej”. Tak, aby z aliancką wyrozumiałością nie przeciągać struny. I aby nie dezorientować własnego społeczeństwa; nie składało się ono nigdy wyłącznie z entuzjastów Piłsudskiego — tego doczekał się on dopiero w 60 lat po śmierci — i niezadowolenie oraz zamęt w głowach łatwo mogły wzmoczyć opozycję.

Nie wiadomo, kiedy zrodziła się myśl, aby do polskich politycznych „matactw” włączyć... bolszewików. Z całą ostrożnością. I przy założeniu, iż bolszewickiej szczerości oraz dobrej woli zawsze będzie tyleż, „co kot napłakał”, ale mają oni przecież swoje interesy. Na próbę generalną umówiono się w Baranowiczach i Białowieży, jeszcze w lipcu.

To drugie zwłaszcza miejsce bije swymi walorami na głowę współczesną nam Magdalenkę. „Cudna jest Puszcza Białowieska — notuje polski delegat, Michał Kossakowski. Niebywałej piękności są jej dęby, sosny, graby, jesiony, świerki... Przy drogach dużo mógł uchodźców, las cichy, milczący, jak tajga syberyjska. Z żubrów zostało 6, może 7, jedna już tylko samica chodzi na dziko z cielęciem, mało pozostało łosi, więcej dzików, jeleni, sarn, wilków i rysi”. Ale to nie względy ekologiczne i estetyczne decydowały. Na tak in-

tymne spotkanie potrzebne było absolutne pustkowie. A i teren, nad którym najściślej nawet kontrola żandarmerii nie zwróciła by niczyjej w kraju uwagi.

Pretekstem były sprawy zakładników polskich w Rosji, aresztowanych w Polsce komunistów, jeńców... Bolszewików reprezentował Julian Marchlewski; wysokość rangi od razu wskazywała, że idzie u nich nie o żaden humanitaryzm, lecz o dużą politykę, bo — jak wiadomo — był to późniejszy „białostocki prezydent”, czyli wprost protoplasta Bolesława Bieruta. Ze stosownym więc rozmachem podjął negocjacje. Mówił, iż „rząd sowiecki obawia się, że Polacy pod naciskiem koalicji mogą pójść dalej niż Berezyna, dalej niż Dniepr, dalej nawet niż Smoleńsk... Zakładnicy, to szczególnie łatwy do załatwienia, nie warto o nich długo mówić... Lenin wyraźnie powiedział: gdyby Polacy mieli zamiar przeprowadzić plebiscyt na Litwie i Białorusi, nie rozejdziemy się o to... nie rozejdziemy się również co do losów Białorusi”. On, Marchlewski, ma upoważnienie Lenina do „daleko idących pertraktacji w sprawie pokoju”. Lecz takimi pełnomocnictwami nie dysponują Polacy.

Staje na tym, że delegaci zreferują wszystko w Warszawie, czytaj — w Belwederze. Wkrótce nastąpi spotkanie ponowne obu stron, lepiej zamaskowane, jako „okrągły stół” delegacji Czerwonego Krzyża; bolszewicy zakomunikują swą gotowość na falach wojskowej radiofonii.

Piłsudski akceptował pomysł z Czerwonym Krzyżem. Ale nie kwapił się z wytycznymi poza opiekuńczą i humanitarną problematykę. Dał w zamian naszym delegatom wgląd w swoją politykę wschodnią. „Zapałił się — czytamy — gdy mówił o naszym braku wiary we własne siły, o naszej trwodze, nieustannym strachu, czy ktoś się nie zagniewa, czy się komu nie narazimy. Tak polityki prowadzić nie można... Mamy takie nieocenione chwile, taką wspaniałą okazję dokonania na wschodzie wielkich rzeczy, zajęcia miejsca Rosji, tylko z odmiennymi hasłami... Boimy się dokonać czynów śmiałych, choćby wbrew koalicji, podczas gdy tylko tą drogą możemy sobie dać radę wobec takich wrogów, jak Niemcy i mafia żydowska w Republice Sowieckiej”.

Historia, oczywiście, się nie powtarza; ale lubi czasem ciąć po oczach analogiami...

Na miejsce obrad wybrano tym razem Mikaszewicze, stację kolejową w poleskiej guszy, dobre jeszcze 100 km za Pińskiem na wschód. Węzeł Łuniniec był tu oknem w sze-

roki świat. Tuż przy ówczesnym froncie, co ułatwiało bolszewikom dojazd i łączność, a Polakom utrzymanie tajemnicy i ochronę. Wojenne gospodarstwo płk. Władysława Sikorskiego. Garść chałup poleskich nie stanowiła minimalnej nawet bazy, rolę takowej pełnił więc wojskowy pociąg sanitarny; wspierał go pociąg pancerny, którego lokomotywa, uzbrojona, służyła również za dyliżans dla poczty, prasy i łączników. Pięć dni zużyli Polacy, aby dostać się tu z Warszawy. „Komendantem placu” był ppor. Stanisław Baczyński z kontrwywiadu, ojciec późniejszego wielkiego wojennego poety, Krzysztofa Kamila, lecz bez synowskiej wrażliwości oraz taktu... A otoczenie nie było banalne. „Dookoła czarujący krajobraz — notuje M. Kossakowski. Niezmierne łąki stogami zastawione, moczary łożą i brzozą pokryte, lasy od starych sosnowych do karłów nad bagnami... tylko na niebie cisza martwa, na próżno wzrok myśliwego szuka na nim przelotów kaczek... Cisza, tylko gdzieś daleko słychać grzmącą armatę”.

Ciekawy był skład bolszewickiej delegacji. Marchlewski tym razem zjawił się z żoną, Bronisławą, na oficjalnym statusie, oraz z córką, Zofią którą chciał umieścić na studiach w Polsce. Aleksander Stanisławowicz Sonie zaś, to syn „naturalny” polskiego adwokata i ministra... Stanisława Patka. Podobnie, jak bolszewicki kurier specjalny, J. Jabłoński, jest synem głośnego działacza endecji z łomżyńskiego. Miało być jeszcze dwóch Rosjan, specjalistów prawa międzynarodowego, profesorów, lecz niestety zaplątali się w coś tuż przed wyjazdem, „Czerezwyczejka” więc musiała ich aresztować i ponoć rozstrzelać. Cóż, w mikaszewickiej scenerii nie prawo było artykułem pierwszej potrzeby.

Toteż i „czerwonokrzyskiej” problematyki nie dało się utrzymać tylko w roli „przyzwoitki” względem polityki. Przeplatało się to.

Uzgodniona dwustronnie, imienna lista opiewa na 1574 osoby (zakładników i „jeńców cywilnych”), których wydania z Rosji domagali się Polacy oraz 307 osób, które Polska miała przekazać bolszewikom (w tym 99 polskich komunistów). Interes więc ekwiwalentnym nie był. Marchlewski utrzymywał, że to strona rosyjska świadomie czyni akt dobrej woli. Z obu stron szło o ludzi specjalnego znaczenia; nie sposób było ich wymienić zwyczajnie, głowa za głowę. Dla Polaków byli takimi — przede wszystkim — ks. abp Edward Ropp z Mohylewa, najwyższy katolicki hierarcha w

Rosji, baron Józef Dangieli oraz niemiecki duszpasterz z Wilna ks. F. Muckermann. Tu Marchlewski nie popisał się dialektyką; dziwił się wobec swej żony, iż obydwaj księża, ledwo wydobyli z takich opresji, zabiegają z miejsca o prawo powrotu do Rosji.

Bolszewikom zależało najwięcej na Romanie Pilarze von Pilchau, wysoko urodzonym... komuniście z Wileńszczyzny, organizatorze ich podziemia i czełkowie; *nota bene*, Polacy oddali go tak zbitego, że i Czerezwyczajka takiej roboty by się nie powstydziała... Chcieli też gwarantowanego przejazdu z niemieckiego więzienia przez Polskę Karola Radka. Polacy uznali taką wymianę za całkiem dla siebie zyskową.

Mniej skomplikowane — lecz bodaj bardziej pracochłonne — były indywidualne sprawy interwencyjne, uchodźców polskich w Rosji, osób zaginionych bez wieści.

Jednak istotę pertraktacji podejmuje w cztery oczy z Marchlewskim — kpt. Ignacy Boerner, szef kontrwywiadu Frontu Litewsko-Białoruskiego i co ważniejsze, bezpośredni pełnomocnik Piłsudskiego. Przyjeżdża do mikaszewickiego „zadupia” w połowie października. Akurat, kiedy w wielkim świecie gruchnęły pogłoski, że gen. Judenicz odbił bolszewikom Petersburg. Zaś gen. Denikin rzeczywiście wziął Orzeł i zbliżył się do Tuły pod Moskwą... Piłsudskiemu z Paryża raportował gen. Rozwadowski: „Obecne sukcesy („białych”) ... wpłynęły natychmiast na stosunek tutejszych Rosjan do kwestii polskiej. Nie ulega wątpliwości, że o ile Moskalom idzie trochę lepiej, to zaraz podnoszą oni dawno znane rewindykacje co do Galicji wschodniej...nawet Chełmszczyzny — a kto wie, czy wkrótce nie zaczną oni mówić... nawet o 'priwiślańskim' kraju”. Przesłanie osobiste Piłsudskiego do Lenina, via Marchlewski-Boerner, według relacji tego ostatniego miało w danej sytuacji brzmieć:

„...Wspomaganie Denikina w jego walce z bolszewikami nie może być polską racją stanu. Uderzenie... na Mozyrz bezsprzecznie dopomogłoby Denikinowi... a nawet mogłoby być decydującym momentem zwycięstwa. Polska na froncie poleskim miała i ma wystarczające siły, aby to uderzenie wykonać. Czy wykonała? Czy ten moment nie powinien być otworzyć oczu bolszewikom?” Naczelnik deklaruje, iż Wojsko Polskie nie ruszy się dalej na Wschód; będzie trzymać tylko swój aktualny stan posiadania. Piłsudski jedynie żąda, aby bolszewicy pozostawili w spokoju atamana Petlurę, Łotyżom zaś oddali Dyneburg; no, i zaprzestać mają komunistycz-

nej agitacji w armii polskiej.

Marchlewski bez zwłoki pośpieszył z tym do Moskwy. Kossakowski zaś, dla wytchnienia, ku ministerialnym i dyplomatycznym gabinetom Warszawy, nie zaniedbując swej rodziny, a i zapewne — tego bądź owego z wielkomięjskich uciech.

Lecz obaj szybko wracają do Mikaszewicz, gdzie lenińską odpowiedź Piłsudskiemu odbiera kpt. Boerner. Jest ona wykrętna, co zaś tyczy się Ukraińców i Łotyszy — grzecznie odmowna. Nie dziwota, bolszewicy właśnie pobili „białych” pod Orłem. W trzy dni później kapitan referuje w Belwederze; i tu zaostrenie tonacji, bo kłęski Judenicza i Denikina oddalają widmo „pogłębionej przyjaźni” rosyjskiej kontrrewolucji z europejskimi wielmożami znad Tamizy i Sekwany.

Introdukcje Piłsudskiego — tak dla Kossakowskiego, jak i Boenera — formułowane były w języku zgoła niedyplomatycznym: „Zarówno bolszewikom jak i Denikinowi jedno jest tylko do powiedzenia: Jesteśmy potęgą, a wyście trupy... dławcie się, bijcie się, nic mnie to nie obchodzi, o ile interesy Polski nie są zahaczone. A jeśli gdzie zahaczycie je, będę bił. Jeśli gdziekolwiek.. was nie biję, to... dlatego, że ja nie chcę. Lekceważę, pogardzam wami. Jesteście pogrążeni (sic!) w rękach Żydów i junkrów niemieckich, nie wierzę wam, waszemu gatunkowi ludzkiemu. O jakichkolwiek tedy stosunkach... dyplomatycznych mowy być nie może, bo ich warunkiem podstawowym są wiara i dyskrecja, a wy nie zasługujecie na jedno, nie znacie drugiego, zdradzacie cywilizację, własny kraj i jeden drugiego... Dla celu konkretnego, dla ratunku naszych ludzi w Rosji zgodziłem się, by Czerwony Krzyż z ich Czerwonym Krzyżem rozmawiał”.

Przekaz bezpośrednio dla Lenina — via Marchlewski — zredagowany był oględniej. Lecz nie zmieniało to jego praktycznej wymowy. W szczególności jednoznacznie stawiał kwestie ukraińską oraz łotewską; „jeżeli Łotysze zażądają oddania Dźwińska (Dyneburga), to (Piłsudski) będzie ich wszelkimi środkami popierać”; i że on „absolutnie nie godzi się na to, aby Petlurę bito i przeto zaczepionego będzie bronić siłą”. W konkluzjach uogólniano: „...wobec intencji rządu sowieckiego wciągnięcia Naczelnika Państwa w daleko idące pertraktacje, a nawet umowy, o gremialnym przeprowadzeniu pertraktacji... nie może być mowy... Naczelnik Państwa raz jeszcze oświadcza, że wojować z Sowietami nie chce. Jeżeli zaś

rząd sowiecki chce z Polską wojować, to rękawicę tę podejmie”.

Marchlewski, jak zawsze, poinformował osobiście Lenina, lecz kpt. Boerner więcej w Mikaszewiczach się nie pojawił. W drugiej połowie listopada oddziały polskie, daleko na południu, przekraczają Zbrucz, aby obsadzić — na wniosek władz petlurowskich — legendarny Kamieniec Podolski. Miasto płk. Michała Wołodyjowskiego... Tym razem idzie o zabezpieczenie ukraińskich archiwów i szpitali; tak przed Rosjanami „czerwonymi”, jak i „białymi”. Najpierw ci ostatni staną z bronią i pogroźkami wobec polskich placówek. Ale atakować ich już nie będą; po Nowym Roku, pobici przez Armię Czerwoną, złożą tu Polakom broń. Symboliczne sceny i miejsce. W naszych dziejach po raz ostatni zapisuje się Kamieniec Podolski.

W Mikaszewiczach panują teraz „nudy na pudy” — porządkowanie papierów. Szczęśliwie, już w listopadzie spadł porządny, poleski śnieg i zaraz ścisnęły mrozy. Delegacja polska jęła przemyśliwać o... zapołowaniu na wilki, pięknie w wojenny czas rozmnożone i łatwe do tropienia na śniegu. Urozmaiceniem są też odłączenia od pociągu pancernych lokomotyw dla zadań kurierskich. Ustaje wtedy ogrzewanie „pociągu sanitarnego nr 15” i, jak na złość, albo wybucha za oknami wściekła, śnieżna zamieć, albo na dobre iskrzyć zaczyna mróz. Cóż za rozkosz, gdy lokomotywa pojawia się od Łunińca, dostarczając nie tylko zaopatrzenia i poczty, ale i ciepła.

Przez swych politycznych wrogów był Piłsudski ciągle podejrzewany, z racji socjalistycznej przeszłości, o konszachty z bolszewikami na polską zgubę; radykałowie utrzymywali nawet, iż kontaktuje się z Leninem przez bezpośredni telefon. Zaprzeczano kategorycznie i gniewnie. Coś jednak na rzeczy było — okazuje się — tyle że słuchawki i mikrofony stanowili Kossakowski z Boernerem oraz Marchlewski. W rok później, w szczytowym okresie sierpniowego, wojennego kryzysu — indagowany był o to sam Piłsudski. Przyznał, iż w Mikaszewiczach, „przy kawie”, rozmawiano z bolszewikami „o tym i owym”; skromnie powiedziane, lecz nie kłamał, iż żadnych umów nie zawarto.

Bohdan SKARADZIŃSKI

Tomasz MIANOWICZ

ARCHIWA, MEDIA, POSTKOMUNIZM (Uwagi historyka)

Być może niedalekie jest jutro, kiedy z historii zostanie to tylko, co ukaże się na ekranie telewizora, natomiast prawda, jako zbyt skomplikowana, zostanie pogrzebana w archiwach, jeżeli w ogóle nie zostanie unicestwiona.

Czesław Miłosz

Wydarzenia związane z ujawnieniem w 1992 r. tzw. „listy Macierewicza” zapoczątkowały serię polemik, dotyczących udziału byłych współpracowników tajnych służb PRL w życiu politycznym III R.P. Podczas gdy w czerwcu '92 wspomniana lista spowodowała konkretne konsekwencje polityczne, choć raczej nie zamierzone przez jej autorów, kolejne publikacje prasowe i książkowe nie wywołały już podobnych skutków, pomimo tego, że i dalsze rewelacje miały służyć walce politycznej skłóconych stronnictw. Narzędziem instrumentalizacji tych sporów są, jak przystało na medialną demokrację (niemiecki politolog prof. Motschmann używa określenia „mediakracja”) — właśnie środki przekazu.

Sprawa agentów, czy też modne ostatnio w części czasopism demaskowanie krypto- lub neokomunistów, to w wypadku Polski imitacja roli mediów jako „czwartej władzy”, która w warunkach zachodniego modelu służy selekcji człon-

ków establishmentu politycznego, poprzez kompromitację poszczególnych osób. Wysiłki te są w Polsce jak na razie mało skuteczne, co odnosi się nie tylko do odkrywania powiązań z dawnym aparatem bezpieczeństwa, lecz również do ujawniania udziału w skandalach politycznych, gospodarczych czy obyczajowych. W piątym roku istnienia III R.P. zaiste trudno odpowiedzieć na pytanie, jaka rewelacja mogłaby doprowadzić do dymisji któregoś z członków najwyższych władz państwowych — może ludożerstwo lub praktykowanie kultu szatana.

Ów stan rzeczy wynika z samych zasad tego dziwnego systemu politycznego, który powstał w Polsce w wyniku transformacji ustrojowej w 1989 r. Postkomunistyczne instytucje, wzorowane na zachodnim modelu demokracji parlamentarnej, nie hamują postępującego *désintéressement* politycznego obywateli. Jest to winą nie tyle samych instytucji, co raczej rezultatem genezy obecnego systemu, który powstał w wyniku poufnych układów dawnej władzy z wybranymi przez nią samą przedstawicielami dawnej opozycji. Ograniczyło to praktycznie rolę rzeczywistego podmiotu politycznego — obywateli, uniemożliwiło skuteczne wyrażanie opinii publicznej, zredukowanej do „opinii opublikowanej” przez prasę, która sama uwikłana jest przy tym w walkę polityczną. Łatwo dostrzec mankamenty obecnej sytuacji, porównując ją z okresem 1980-81, kiedy obywatele — pomimo braku regulacji prawnych i odpowiednich zasad ustrojowych — mieli świadomość wpływu na decyzje polityczne i czuli się odpowiedzialni za losy kraju. Tak jak „Solidarność” w swym pierwszym okresie dawała swym członkom możliwość partycypowania w życiu politycznym, tak obecny system ogranicza tę możliwość do udziału w wyborach, zaś rzeczywiste decyzje pozostają domeną nowej, liczebnie ograniczonej klasy politycznej. System jest zatem repliką zachodniego „państwa partij”. Pojęcie *Parteienstaat* powstało w RFN w latach 70-tych dla określenia modelu, w którym życiem politycznym zawładnęły partie, redukując rolę rzeczywistego podmiotu — ludu — do możliwości zastąpienia przy kolejnych wyborach partii rządzącej partią opozycyjną. Obie należą przy tym do tej samej oligarchii konsumującej słodki owoc władzy. Nie jest rzeczą przypadku, że we Włoszech na fali zapoczątkowanych „rewoltą sędziów” przemian, karierę zrobił termin *partitocrazia*, definiujący system zdeformowanej przez omnipotencję partij demokracji.

Przywódca brytyjskich torysów — lord Bolingbroke — opisywał już w XVIII w. antynomię rząd-opozycja jako przeciwstawienie *court-party* (partii dworskiej) i *country-party* (partii kraju). Pierwsza dysponowała wpływami na dworze, druga zaś — jako bliska ludowi — była wyrazicielką jego własnie roli i poglądów. Zmiana ról pomiędzy rządem a opozycją gwarantowała konieczną dla żywotności systemu politycznego samoregulację. Tak rozumiane życie polityczne to — z jednej strony stabilne ramy systemu, a z drugiej — jego ciągła odnowa. Obserwacja postkomunizmu w Polsce prowadzi do wniosku, że partie polityczne, z niewielkimi wyjątkami, chcą pełnić wyłącznie rolę *court-party*, natomiast *country-party* w ogóle nie powstała.

W XVIII w. nie istniały jednak środki masowej informacji (i dezinformacji), nie bez podstaw zwane „czwartą władzą”. Jeszcze przed powstaniem telewizji Ortega y Gasset przepowiadał instrumentalizację polityki: ten kto kontroluje media i w ten sposób może manipulować opinią publiczną — dysponuje polityczną władzą¹. „Mediakracja” osiągnęła do tychczas najbardziej zaawansowane stadium w USA. Robert Altman w znakomicie zrealizowanym filmie „Tanner '88” przedstawił anatomię systemu medialnej demokracji (obraz ukazuje autentyczne kulisy amerykańskiej kampanii prezydenckiej na przykładzie fikcyjnego kandydata Partii Demokratycznej — Tannera); sędzę, że pokazanie tego filmu w Polsce wydatnie przyczyniłoby się do zrozumienia wielu wprowadzanych także u nas mechanizmów politycznego spektaklu. Również ostatnia kampania wyborcza we Włoszech była jakościowo nowa — z uwagi na nieporównywalny z uprzednim okresem udział mass mediów.

Właśnie poprzez mediatyzację nowożytny model demokracji przedstawicielskiej uległ nieodwracalnej, jak się zdaje, deformacji². Głęboki kryzys systemów parlamentarnych w całym świecie — od Japonii poprzez Europę Zachodnią po Stany Zjednoczone — nie jest, wbrew pozorom, wynikiem korupcji polityków. Przeciwnie: korupcja i demoralizacja — to symptomy strukturalnego kryzysu systemu, opartego na

1. por. J. Ortega y Gasset: „Bunt mas i inne pisma socjologiczne” (tłum. P. Niklewicz i J. Woźniakowski). Warszawa 1982, s. 149n.

2. Czytelnikom zainteresowanym tematem można polecić materiały z sympozjum „Media, Power and Democracy” (Paryż, 15-17.5.1987), wydane w formie książkowej przez Institut International de Géopolitique.

władzy partij i mass mediów. Ów kryzys w najmniejszym stopniu dotknął Szwajcarię, z uwagi na najbardziej rozbudowany w tym kraju element demokracji bezpośredniej. Natomiast w Polsce importowi zachodniego modelu nie towarzyszy praktycznie żadna refleksja w dziedzinie filozofii politycznej. „Demokracja”, „kapitalizm” a także hasło „powrotu do Europy” zdają się tworzyć nową ideologię postkomunizmu, która ma legitymować poczynania władz. To stawianie się w roli uboższego krewnego wyidealizowanego Zachodu sięga tak daleko, że w czasie kampanii prezydenckiej kandydat Unii Demokratycznej nie zdobył się na nic więcej, niż na powtórzenie sloganu Mitterranda z wyborów w 1974 r. — „siła spokoju”.

Wydaje się, że czas, który minął od turbulencji wywołanych „listą Macierewicza”, banalizacja dalszych rewelacji i obniżenie emocjonalnej temperatury towarzyszącej wzajemnym oskarżeniom politycznych ugrupowań stwarzają warunki do historycznej refleksji nad problemem roli tajnych służb w okresie PRL i w fazie transformacji ustrojowej. Historycznej analizy opublikowanych do tej pory informacji na razie nie podjęto a mediatyzacja „sprawy agentów” skutecznie utrudnia nawet sformułowanie pytań, którymi winien zająć się badacz dziejów najnowszych. Uwzględnić trzeba również fakt, że ujawniono do tej pory niewiele i to w dodatku według określonego klucza politycznego, że najciekawsze archiwa są *de facto* niedostępne i że wiele czynników, nie tylko w Polsce, zainteresowanych jest w utrzymaniu tego stanu rzeczy. Niemniej jednak nawet przy braku materiałów źródłowych historyk może stawiać hipotezy lub chociażby formułować problemy badawcze, ze świadomością, że jego ustalenia zrewiduje czy uzupełni przyszła historiografia. Przekonanie Tukidydesa, że historię prawdziwą winni pisać właśnie jej świadkowie, nabiera w epoce nowych mediów i masowej propagandy dodatkowej aktualności; w przeciwnym razie grozi nam niebezpieczeństwo, na które zwrócił uwagę Miłosz w przytoczonym jako motto cytacie.

Już sama realizacja niezbyt szczęśliwej „uchwały lustracyjnej” stała się w Polsce medialnym ewenementem. Oprawa propagandowa, o którą dbały środki przekazu, zepchnęła na dalszy plan pytania o fakty i ich rolę w historii najnowszej. Nawet ogłoszenie w mediach „listy Macierewicza” nosiło znamiona politycznej taktyki, opublikowano bowiem same nazwiska „agentów”, nie podając najważniejszych danych —

o jaki rodzaj współpracy z UB czy SB chodziło. Wyjątkiem był *Najwyższy Czas!*, zamieszczając — oprócz nazwisk — również konkretne informacje. Czym innym było udostępnienie mieszkania bezpiece, która obserwowała sąsiada, czym innym był tajny współpracownik, który składał doniesienia na osoby ze swojego środowiska, czym innym „kontakt operacyjny”, który w czasie wyjazdów za granicę inwigilował dla wywiadu PRL emigrację, czym innym agent, którego zadaniem było kształtowanie polityki podziemnej Solidarności w sposób korzystny dla władzy a jeszcze czymś innym agentka, uwodząca na polecenie UB znanego pisarza. Czym innym był tajny współpracownik akceptujący werbunek dla pieniędzy czy innych apanaży, czym innym człowiek zmuszony do współpracy z MSW szantażem, czym innym wreszcie była współpraca z aparatem bezpieczeństwa w roku — dajmy na to — 1949, a czym innym w roku 1980. Wydaje mi się mało prawdopodobne, aby w oparciu o uchwałę Sejmu można było przeprowadzić lustrację z uwzględnieniem wymienionych różnic.

Sprawa odsunięcia od udziału we władzy byłych współpracowników aparatu bezpieczeństwa — to aktualny problem polityczny, mniej istotny dla historyka badającego przeszłość. Dotychczasowe publikacje nie ułatwiają mi zadania, chodziło w nich bowiem albo o osiągnięcie celów politycznych poprzez eksponowanie nazwisk agentów, bądź też o dziennikarski *scoop* i związane z tym względy komercyjne. W polemiczno-propagandowym ferworze przeoczono jakoś szereg paradoksalnych zjawisk związanych z „ujawnianiem agentów”. Wystarczy przyjrzeć się sprawom „Bolka” i „Zapalniczki”, czyli dwóch osób, których roli politycznej w ostatnich latach nie sposób nie docenić. Fakt współpracy Lecha Wałęsy czy Zdzisława Najdera ze Służbą Bezpieczeństwa stał się wydarzeniem dopiero i wyłącznie dzięki propagandowemu rozgłosowi, nadanemu „ujawnieniu”. Natomiast same fakty były już uprzednio znane, lecz zdawały się nikogo nie interesować. Wywołanie sensacji było jedynie fragmentem walki politycznej zwaśnionych stronnictw, przy czym sami jej uczestnicy dostarczyli w nie zamierzony sposób elementów z pogranicza groteski. Prezydent RP demaskując „niebezpiecznego agenta „Zapalniczkę”” jakoś zapomniał o tym, że „Zapalniczka” z jego, prezydenta nadania, kierował Komitetem Obywatelskim i był jednym z jego najbliższych współpracowników, co — już samo w sobie — wystarczyłoby w

normalnych warunkach do dymisji głowy państwa. Premier Olszewski, zapewniając w patetycznym przemówieniu sejmowym że podjął lustrację aby „móc ludziom spojrzeć w oczy”, zdawał się również nie pamiętać o tym, iż szefem swoich doradców mianował nie kogo innego jak Zdzisława Najdera, nb. aktywnego na „niewidzialnym froncie” jeszcze w czerwcu '92 — jeśli wierzyć rzecznikowi Prezydenta RP. Sam Olszewski przyznając w jednym z wywiadów prasowych, że wiedział o współpracy Najdera z SB przemienił *ex post* patos swego przemówienia w fałsz. Specjalne prawa, przyznane „Zapalnicze” przez animatorów lustracji, były zapewne związane z „opcją proamerykańską”, przeciwstawianą „opcji prorosyjskiej” politycznych konkurentów. Pracami rządu Republiki Środkowoafrykańskiej kieruje *de facto* pułkownik francuskiej DGSE (*Direction Générale de la Sécurité Extérieure*) — Jean-Claude Mantion, ale to fakt powszechnie znany i nikt w Środkowej Afryce nie domaga się przeprowadzenia lustracji.

Pomimo dość osobliwych rezultatów „demaskowania agentów” w 1992 r. sprawę tę można porównać — *toutes proportions gardées* — z analogicznymi zjawiskami w zachodnim systemie politycznym. O konsekwencjach ogłaszanych przez prasę skandali decyduje nie tyle znaczenie ujawnionych faktów (z reguły były już one publikowane), lecz ich odpowiednia mediatyzacja. Najważniejsza jest przy tym pozycja pisma, które ogłasza „rewelacje”. Polityczno-medialna scena RFN dostarcza tutaj licznych przykładów; zwłaszcza w ostatnich latach mnożą się dymisje polityków, spowodowane korupcją, czy raczej jej nagłośnieniem w prasie. Premier Badenii-Wirtembergii — Lothar Späth — ustąpił ze stanowiska w 1992 r., gdy tygodnik *Der Spiegel* opublikował artykuł o jego licznych podróżach „służbowych” i urlopach, finansowanych przez potężne firmy i koncerny. Tymczasem sprawę tę opisano szczegółowo już w 1987 r., co nie spowodowało żadnych konsekwencji. Równie szybko poszła w zapomnienie podobna publikacja dziennika *Frankfurter Rundschau* w 1990 r. Dopiero *Spiegel* — do niedawna monopolista w dziedzinie ogłaszania brzemiennej w skutki afer — zdołał położyć kres karierze Spätha³.

Jeszcze bardziej typowy był przypadek gwiazdy telewi-

3. Więcej szczegółów podaje O. Hürtgen: „Wenn die Putzfrau zum Megastar wird”. *Criticon* Nr. 140, November/Dezember 1993, s. 298-9.

żyjnego dziennikarstwa — Wernera Höfera (porównanie ze skandalami polityków jest jak najbardziej uzasadnione, z uwagi na funkcję mediów jako „czwartej władzy”). Jego błyskotliwa kariera jako „gorliwego antyfaszysty” zaczęła się w 1959 r., gdy przedstawił w programie telewizyjnym sprawę malowania swastyk na murach domów w Kolonii. Tenże sam Höfer chwalił jednak w 1943 r. egzekucję młodego pianisty Karlroberta Kreitena, którego jedyną zbrodnią były wyrażone w prywatnym kręgu wątpliwości w ostateczne zwycięstwo hitlerowskich Niemiec. O publikacjach Höfera z okresu narodowego socjalizmu pisał w 1973 r. *Bayernkurier* a w 1984 r. *Die Welt*, nie wywołując jednak żadnych reakcji. Dopiero gdy sprawę podjął *Der Spiegel* w 1987 r., Höfer zniknął bezpowrotnie z ekranu telewizora⁴. Ponad 80 % skandali „ujawnionych” przez ten tygodnik dotyczy spraw publikowanych już uprzednio przez inne media, jednakże bez żadnych konsekwencji dla zainteresowanych⁵.

W Polsce medialna oprawa „demaskowania agentów” przesłoniła zagadnienie o wiele istotniejsze, którego wagę docenić powinien nie tylko historyk. Oto w piątym roku istnienia III Rzeczypospolitej wiemy o naszej najnowszej historii niewiele więcej, niż w czasach komunistycznej cenzury. „Sprawa agentów” jest interesująca przede wszystkim dlatego, że mogłaby i powinna przyczynić się do szukania odpowiedzi na pytanie, w jakim stopniu kierownictwo PRL poprzez wyspecjalizowane służby kierowało rozwojem sytuacji politycznej w Polsce w ostatnich latach. Mówiąc inaczej: mniej interesuje mnie pytanie, czy X albo Y był tajnym współpracownikiem SB i jaki miał kryptonim, niż kwestia, jakie efekty polityczne chciały osiągnąć władze poprzez działanie agencji resortu MSW. Dopóki archiwa będą dostępne jedynie dla wybranych przedstawicieli nowego establishmentu politycznego, historyk będzie skazany na spekulacje. W najlepszym wypadku może jedynie stawiać pytania, by kwestionować propagandowo-utylny obraz wydarzeń. Taki charakter ma wersja o „rewolucji” 1989 r. Chwalił ją m.in. prezydent Bush w czasie krótkiego pobytu w Warszawie w lipcu '92, choć kilka dni wcześniej *quasi-urzędowo* ujawniono fakt, że wielu

4. j.w.

5. Podaję za: M. Jach: *Focus*. „Das erste 3/4 Jahr — eine Bilanz” (Referat wygłoszony w ramach „13. Publizistische Runde” we Frankfurcie nad Menem 9.10.1993).

czołowych „rewolucjonistów” współpracowało z tajną policją. Jednakże tzw. „czynniki polityczne”, nie tylko polskie, z pewnością nie są zainteresowane w odsłonięciu wszystkich kulis „pierestrojki” i „Nowego Światowego Ładu” oraz ich roli w przygotowaniu transformacji ustrojowej w obozie sowieckim.

W Polsce na dobrą sprawę nie ujawniono dotychczas niczego, co mogłoby zapoczątkować badania w duchu właściwie pojętego rewizjonizmu historycznego. Pod tym względem sytuacja w Związku Posowieckim jest o wiele ciekawsza. Otwarte (nie wiadomo na jak długo) archiwa, to — w porównaniu z Polską — prawdziwy raj dla historyków. W stosunkowo krótkim czasie opublikowano szereg wartościowych prac, dotyczących właśnie sprawy agentów. Thierry Wolton w wydanej w Paryżu książce „Wielki werbunek” zajmuje się rolą sowieckich agentów w życiu politycznym Francji. Sensację wywołały dwa nazwiska: Pierre Cot z partii radykalnej — minister rolnictwa w przededniu wojny i Jean Moulin — dyrektor gabinetu Cota a w czasie wojny przywódca francuskiego ruchu oporu. Jak podkreśla Michał Heller w recenzji książki, jej wyjątkowe znaczenie polega właśnie na tym, że powstała ona w oparciu o sowieckie archiwa⁶.

Podobną genezę ma „Nowosybirska inscenizacja” fińskiego historyka Hannu Rautkallio, który analizuje tajną operację KGB, prowadzącą do ponownego wyboru Kekkonena na prezydenta Finlandii w 1962 r. Sowieci posłużyli się bluffem, zwanym przez fachowców dezinformacją: W okresie zaostżenia kryzysu berlińskiego w 1961 r. Moskwa wystosowała specjalną notę, żądając od Finów konsultacji wojskowych w ramach „układu o przyjaźni”, w celu omówienia gotowości obronnej obu państw na wypadek grożącego rzekomo ataku ze strony RFN. Finlandia stanęła w obliczu przymusowego udziału w ewentualnym konflikcie zbrojnym. Negocjacje fińsko-sowieckie nie przyniosły rezultatu. Sytuację „uratował” dopiero Kekkonen, spotykając się z Chruszczowem w Nowosybirsku. „Zbawienie ojczyzny” zapewniło Kekkonenowi ponowny wybór na prezydenta, gdyż posiadający uprzednio zdecydowanie większe szanse Olavi Honka wycofał swoją kandydaturę. W oparciu o sowieckie archiwa Rautkallio wykazuje, że Kekkonen świadomie uczestniczył w opracowanej przez KGB manipulacji, opartej na sfingowanej

6. por. „Szpiony i razwiedziki”, *Russkaja Mysl* no. 3971, 19-25.3.1993.

nocie kryzysowej. Sztab wyborczy fińskiego prezydenta zażądał zresztą od Moskwy pomocy finansowej, co w porównaniu z rozmiarami przeprowadzonej dezinformacji strategicznej było już tylko nieistotnym szczegółem. Zwolennicy Kekkonena (nie tylko fińscy, zważywszy na popularność idei „finlandyzacji”) uzyskali ciekawy materiał do refleksji i zadumy...

Podobne zadanie czeka również Węgrów, skonfrontowanych z sensacyjnym faktem, że Imre Nagy był agentem NKWD (kryptonim „Wołodia”). Jedyne François Fejtö mógł nie bez podstaw twierdzić, że nie był zaskoczony tą rewelacją; już w jednym ze wstępnych rozdziałów swej „Historii demokracji ludowych” pisał, że po jałtańskim podziale kontynentu na strefy wpływów polityka w krajach Europy Środkowo-Wschodniej stała się domeną agentów wielkich mocarstw⁷.

Również w Niemczech dzięki otwarciu komunistycznych archiwów, udało się odsłonić kulisy „rewolucji” 1989 r. w NRD i upadku Honeckera. Opublikowane na ten temat książki⁸ w niewielkim jednak stopniu wpłynęły na propagandową wersję wydarzeń, nadal kultywowaną dla celów politycznych. NRD-owską „pierestrojkę” mieli realizować „reformatorzy” — Krenz, Modrow, Schabowski i co szczególnie ciekawe — Mielke, wspierani przez funkcjonariuszy *Staats-sicherheit* powiązanych z „Miszą” Wolfem (Stasi inspirowała demonstracje uliczne). Usunięcie Honeckera było wynikiem sterowanego z Moskwy spisku i — jak się zdaje — jego strategiczne konsekwencje Sowietci uzgadniali z Waszyngtonem. Istniał nawet plan radykalnej pierestrojki, przewidującej objęcie władzy przez ludzi Gorbaczowa, jednakże przy zachowaniu nienaruszonych struktur Stasi.

Historia prawdziwa jest z reguły bardziej skomplikowana (i o wiele ciekawsza), niż to, co ukazuje się na ekranie telewizora lub drukowane jest w gazecie. Odnoszę wrażenie, że zapominają o tym niekiedy rodzimi demaskatorzy zawzięcie tropiący wśród nowej elity politycznej krypto-, neo-, ex- i półkomunistów (a czasami rodzinne powiązania komunistyczne w drugiej lub trzeciej generacji). Z tych rzekomych sensacji wynika bowiem niewiele dla zrozumienia historii najnowszej (a także obecnej, niezbyt budującej sytuacji). „Rewe-

7. por. „Histoire des démocraties populaires”, t. I, Paris 1969, s. 33.

8. Najwięcej szczegółów zawiera: R.G. Reuth, A. Bönke: „Das Komplott. Wie es zur deutschen Einheit kam”. München 1993.

lacje” mają, jak się zdaje, ilustrować bardziej lub mniej wyraźnie wypowiedaną tezę, że przemiany w Polsce, czy raczej w całym obszarze sowieckim — to wynik spisku komunistów, oszukujących demokratyczny Zachód. Wyznawcy tej teorii nadali propagandzie wartość rzeczywistości politycznej i zdają się nie dostrzegać, że rzekomo oszukiwany Zachód, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, konsekwentnie wspierał „pierestrojkę”. Było to kontynuacją od dawna prowadzonej polityki: unikania konfrontacji i postulowania w obozie sowieckim reform, przestrzegania praw człowieka i propagowania tzw. zachodniego systemu wartości. W 1987 r. podjęto poufne kontakty między CIA i KGB, które doprowadziły do pierwszej oficjalnej wspólnej konferencji w Santa Monica we wrześniu 1987 r. Już w styczniu tego roku szef CIA Webster zapowiedział w wywiadzie prasowym, że oczekuje współpracy z Sowietami w walce z terroryzmem. W tym samym okresie ambasador Stanów Zjednoczonych w ZSSR Matlock spotkał się z przewodniczącym KGB Kriuczukowem. W październiku '89 bezprecedensową wizytę w Moskwie złożył prokurator generalny USA Thornburgh. Omawiał — jak głosiły oficjalne komunikaty — problemy prawa międzynarodowego, walkę z handlem narkotykami i zorganizowaną przestępczością. A 2-3 grudnia na Morzu Śródziemnym w pobliżu Malty konferowali panowie Bush i Gorbaczow⁹.

Za początek polityki Zachodu polegającej *de facto* na zapobieganiu destabilizacji w obozie sowieckim można zapewne przyjąć rok 1961: odpowiadając na dramatyczny apel o pomoc ówczesnego burmistrza Berlina Zachodniego, Willy Brandta, wysłany z miasta otaczanego przez Ulbrichta murem, prezydent Kennedy oświadczył: „musimy pogodzić się z rzeczywistością polityczną”.

Nawet w jednej z książek wydanych w Polsce, a typowych dla pseudosensacyjnych produkcji ostatnich lat, można znaleźć dane na temat rzeczywistych stosunków Wschód-Zachód: chodzi o prawdziwą informację o podjętych już w 1984 r. przez amerykańską dyplomację poufnych kontaktach z władzami PRL, przy utrzymywaniu oficjalnie bojkocie Jaruzelskiego¹⁰. Znanych jest więcej faktów dotyczących aktyw-

9. Więcej danych o współpracy amerykańskich i sowieckich służb specjalnych w: J. Brewda i in. (red.): „American Leviatan”, Wiesbaden 1990 (zwłaszcza rozdz.: The Secret Services „Fraternize”, s. 65n).

10. por. H. Piecuch: „Wojciech Jaruzelski tego nigdy nie powie”, Warszawa 1992, s. 157n.

nego udziału Stanów Zjednoczonych w realizacji „pierestrojki”, czy raczej „Nowego Światowego Ładu”, popierania komunistycznych reformatorów lub udziału w przygotowaniu kadr dla wprowadzenia reform gospodarczych. Operowanie kategoriami rzekomego konfliktu Wschód-Zachód czy komunistycznego oszustwa — to obracanie się w świecie fikcji.

Sensacyjne tytuły książek wydawanych w Polsce przyciągają czytelników i zapewne niejeden wkracza przy lekturze na obszar ziemi nieznaney. Wynika to jednak z faktu, że metody i struktury służb specjalnych to temat w polskim piśmiennictwie uprzednio praktycznie nieobecny. Zastanawiałem się od dawna, dlaczego przez cały okres istnienia „drugiego obiegu” sprawa infiltracji opozycji czy późniejszej „Solidarności” zdawała się nikogo nie interesować. Artykuły na ten temat można było policzyć na palcach jednej ręki. Przepominam sobie jedynie ujawnienie w prasie krakowskiego Studenckiego Komitetu Solidarności faktu, że jeden z jego działaczy, nazwiskiem Nowak, był funkcjonariuszem SB. A przecież chodzi o wiedzę zupełnie elementarną: resort układał życiorysy werbowanym współpracownikom, fingował małżeństwa, agenci pisali donosy na własne rodziny, bezpieka zakładała „opozycyjne” organizacje i wydawała „podziemne” pisma, infiltrowany był Kościół i organizacje katolickie. To klasyczne metody tajnej policji, znane od dawna. Frederick Forsyth w jednym z wywiadów ujawnił, że 95 % informacji, które wykorzystuje w swoich powieściach, pochodzi ze źródeł ogólnie dostępnych.

Jednym z najciekawszych tekstów źródłowych opublikowanych po 1989 r. jest „Protokół z konferencji najwyższego aktywu MBP z listopada 1954 r.”¹¹. Z poprzedzającej go noty można wywnioskować, że redakcja *Kultury* zamieściła ten tekst z uwagi na polityczną wagę działalności niezwykle rozbudowanej agentury resortu bezpieczeństwa. Również dla autora Komentarza do „Protokołu” a równocześnie uczestnika konferencji — Leona Winiawskiego — sprawa agentów odgrywała, jak się zdaje, główną rolę. Historyka powinny jednak zainteresować również inne fragmenty tekstu, które wnoszą istotne szczegóły do politycznego obrazu lat 50-tych.

Jeden z najciekawszych elementów „Protokołu” to duch „pierestrojki”, obecny w wystąpieniach „reformatorów z MBP” — Hakmana, Pawlak-Finderowej czy Andrzejew-

11. *Kultura* (1992), nr 11, s. 3-35.

skiego: krytyka wypaczeń, apel o powrót do czystej ideologii marksizmu-leninizmu i socjalistycznej praworządności. „Pierestrojka” nie była bowiem wynalazkiem Gorbaczowa (w jego czasach stała się propagandowym sloganem, bodaj najskuteczniejszym w całej historii komunizmu), lecz jedynie kolejnym wydaniem idei, towarzyszącej władzy sowieckiej od początku. Bezpośrednio po objęciu władzy bolszewicy przystąpili do „przebudowy” („pierestrojki”) społeczeństwa i kraju. Towarzysz Stalin, porównując system sowiecki do maszyny a jego kadry i aparat do trybów, podkreślał, iż „potrzeba dźwigni, aby dokonać pierestrojki trybów w maszynie”¹².

Uczestnicy konferencji MBP wspominają dwukrotnie „słynne wypadki w Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1950/51”. Chodziło o strajki w kopalniach, ale — o ile mi wiadomo — nic bliższego dotychczas na ten temat nie opublikowano. Pozostaje jedynie nadzieja, że historycy dotrą do odpowiednich materiałów archiwalnych.

Niezwykle ciekawe faktograficznie jest wystąpienie płk. Brystygierowej, choć i ono pozwala raczej postawić nowe pytania, niż znaleźć na nie wyczerpujące odpowiedzi. W sprawie KPP konieczne wydaje się dotarcie do archiwów sowieckich, jak również zbadanie zachowanych materiałów X departamentu MBP. Wersja działalności Piaseckiego, przedstawiona przez Brystygierową, odpowiada w zasadzie tezie Józefa Mackiewicza, który w stworzeniu PAXu widział głównie koncepcję polityczną — nadania opozycji narodowo-katolickiej orientacji prosowieckiej¹³. Samego Piaseckiego traktował jedynie jako wykonawcę koncepcji a nie jej twórcę, wykonawcę powolnego NKWD, co potwierdza pośrednio Brystygierowa.

Głosy prasowe po opublikowaniu „Protokołu” dowodzą, że reakcje mają charakter głównie emocjonalny¹⁴. Potwierdza to pośrednio tezę, że w prasie krajowej trudno prowadzić rzeczową dyskusję o nieznanym kartach z dziejów PRL a zwłaszcza na temat resortu bezpieczeństwa.

Sprawa ma wiele aspektów: politycznych, moralnych,

12. cyt. za: M. Heller: „Le 7e Secrétaire”. Paris 1990, s. 263.

13. por. „Zwycięstwo prowokacji”, wyd. 2., Londyn 1983, rozdz. „Jak i z czego powstał PAX”.

14. por. L. Winiawski: „Końcowy głos uczestnika Konferencji Aktywu MBP w 1954 r.”, *Kultura* (1993), nr 5., s. 29-34.

prawnych i historycznych. W tej ostatniej dziedzinie „Protokół” wnosząc nowe elementy pozostawia wiele spraw otwartych; ciekawe byłoby na przykład poznać nazwiska ministrów i członków Rady Państwa, którzy byli agentami UB. Pytanie o prawne konsekwencje działalności resortu MBP i MSW wydaje mi się aktualne o tyle, że nie widzę powodów, dla których funkcjonariusze winni zbrodni przeciw życiu i zdrowiu obywateli mieliby pozostać bezkarni.

Na zorganizowanej w listopadzie '92 przez monachijską Fundację Hannsa Seidla konferencji na temat tworzenia w Europie państwa prawa, sędzia Trybunału Konstytucyjnego prof. Andrzej Zoll oświadczył, że zbrodnie komunistyczne w Polsce uległy przedawnieniu. Spotkało się to z pewnym zdziwieniem ze strony niemieckich uczestników sympozjum, którzy przypomnieli regulacje prawne, hamujące przedawnienie i umożliwiające do dziś ściganie zbrodni narodowych socjalistów. Przyjmijmy jednak, że owo „przedawnienie”, o którym mówił sędzia Trybunału Konstytucyjnego, to nie tyle praworządny akt legislacyjny, co wynik pewnych ustaleń, zawartych jeszcze przed „okrągłym stołem”; na ten temat nie wiemy do tej pory wszystkiego. Pytania o konsekwencje prawne dotyczą jednak w mniejszym stopniu tajnych współpracowników MSW. Pozostają kwestie polityczne i moralne.

W swej drugiej publikacji¹⁵ Winiawski świadomie bądź nieświadomie miesza przeszłość z teraźniejszością. Informacje na temat pracy w MBP w 1. poł. lat 50-tych mają służyć uzasadnieniu tez na temat współpracowników SB w ostatnim okresie, choć takiego *inunctim* — w sensie, w jakim chciałby go widzieć autor — po prostu nie ma. Myli przeto już sam nagłówek tekstu, którym opatrzył on „Protokół” („Uwagi do komentarza”). Ani z „Protokołu”, ani z „Komentarza” nie można wyprowadzić tezy, że Lech Wałęsa był „agentem kapturowym, bez zobowiązań i własnoręcznego podpisu”. Teza ta jest wątpliwa również dlatego, iż sam zainteresowany w swym pierwszym wystąpieniu „w temacie” agentów jeszcze w czerwcu '92 niedwuznacznie dał do zrozumienia, że w latach 70-tych podpisał zobowiązanie do współpracy¹⁶.

Mnie interesuje jednak analiza tekstu zamieszczonego w *Kulturze*, a nie sprawa „Bolka”. Tę ostatnią nagłaśniała dla celów politycznych część mediów, tak jak gdyby dopiero dos-

15. j.w.

16. Konferencja prasowa L. Wałęsy 11-6.1992.

sier „Bolka” miało świadczyć o wątpliwych kwalifikacjach obecnego prezydenta R.P.

Leon Winiawski przedstawił w *Kulturze* jeszcze jedną tezę, która już w konfrontacji z faktami okazuje się błędna. Otóż teczek „prawdziwych agentów” nie zniszczono a również ten fakt znany jest od dawna. Samo pojęcie „prawdziwych agentów” jest mylące, zwłaszcza że autor wprowadza osobliwą i nie popartą rzeczywistymi kryteriami resortu kwalifikację. Wszystkie cztery kategorie („agent kapturowy”, „jednorazowy”, „agent-patriota”, „agent bierny”) obejmują zatem agentów „nieprawdziwych” a jeśli uwzględnimy, że mieliby oni być „najbardziej opozycyjni w stosunku do władzy”, dochodzimy do wniosku, iż współpraca z UB to działalność słuszna politycznie i nobilitująca moralnie. Również w „Końcowym głosie” Winiawski stara się usprawiedliwić agentów; kierowali się oni bądź pobudkami patriotycznymi, bądź też — jak w wypadku przewodniczących komisji rzeczoznawców sądowych — działalność ich była nieskuteczna a zatem nieszkodliwa.

W obecnym przyspieszeniu historii, dla którego trudno znaleźć precedensy, najbardziej frapujące i niepokojące zarazem wydaje mi się zawrotne tempo dewaluacji oczywistych uprzednio systemów wartości i moralnych kryteriów. Jeszcze do niedawna współpraca z tajną policją uchodziła za czyn haniebny. Zdzisław Najder przedstawia natomiast współpracę z SB jako działalność wymagającą poświęceń a w złożonych warunkach socjalistycznej rzeczywistości — nie pozbawioną cech szlachetności. Obszerne wynurzenia „Zapalniczki”, zawierające — zapewne nie zamierzone przez autora — elementy humorystyczne, publikowały wysokonakładowe, bynajmniej nie satyryczne dzienniki. Wypowiedzi Najdera do złudzenia przypominają deklaracje Manfreda Stolpe — obecnego socjaldemokratycznego premiera Brandenburgii, zaś uprzednio wysokiego rangą urzędnika Kościoła ewangelickiego i wieloletniego agenta Stasi (kryptonim „Sekretarz”), odznaczonego za wierną służbę orderem zasługi NRD. Na zlecenie Stasi Stolpe sondował m.in. w czasie podróży do RFN w 1981 r. nastawienie tamtejszych polityków wobec ewentualności wprowadzenia w Polsce stanu wojennego i zbrojnej interwencji „bratnich państw”. Sprawa „Sekretarza” stała się w Niemczech punktem zwrotnym; uprzednio ujawniony fakt współpracy z komunistyczną tajną policją nieomal automatycznie eliminował byłego agenta z życia politycznego. Stolpe

pozostał na stanowisku a zainteresowanych w takim obrocie sprawy było wiele czynników — od parlamentarnej komisji dochodzeniowej, po nieznanych sprawców, którzy napadali na niewygodnych dla „Sekretarza” świadków.

Pewne podobieństwo do sytuacji w Polsce widziałbym także w tym, że *establishment* polityczny w RFN stara się konsekwentnie tuszować *ex post* bliską a realizowaną głównie przez poufne kanały i służby specjalne współpracę z NRD, sprzeczną z oficjalnymi deklaracjami Bonn z okresu istnienia dwóch państw niemieckich.

Opiniom Stolpego, Najdera czy tezom Winiawskiego z „Uwag do komentarza” można jednak przeciwstawić inny pogląd:

Wspólną cechą działalności wszystkich agentów jest zdrada. Obojętne czy zdradzają państwo, czy tajemnicę, innych ludzi czy siebie samych, agenci są zdrajcami, niezależnie od motywów ich działania¹⁷.

„Zapalniczka” składał m.in. meldunki na Jana Józefa Lipskiego. Po jego śmierci Zdzisław Najder ogłosił w *Tygodniku Solidarność* „Wspomnienie o przyjacielu”. Czyż przykład ten nie uzasadnia konieczności otwarcia archiwów MSW przede wszystkim dla ofiar oszustwa, nikczemności, zdrady? Pomińmy „wielką politykę”; nie sposób przecież kwestionować prawa każdego człowieka do poznania prawdy o własnym losie. Przypominał o tym wielokrotnie Jan Paweł II jeszcze w czasach komunizmu, podkreślając, że jest to prawo naturalne; jest ono zatem w mocy niezależnie od politycznych układów. Po słowie debatujący nad „lustracją” jakoś nie zadbali o utworzenie w Polsce na wzór działającego (jeszcze) w RFN tzw. urzędu Gaucka¹⁸, instytucji udostępniającej zainteresowanym ich akta, tak aby każdy mógł ustalić, czy ktoś z kręgu jego rodziny, krewnych lub przyjaciół zbierał dla UB informacje.

17. D. Weber: „Agenten leben einsam”. NZZ Folio, Nr 11, November 1992, s. 43.

18. Oficjalna nazwa urzędu brzmi: „Federalny Pełnomocnik d/s Akt Państwowej Służby Bezpieczeństwa byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej”. W związku z ujawnieniem przez Pełnomocnika danych kompromitujących wielu przedstawicieli elity politycznej zjednoczonych Niemiec, partii, Kościołów, związków zawodowych itp. mnożą się postulaty likwidacji urzędu. Za jego zamknięciem opowiedział się w listopadzie '93 także kanclerz Kohl.

Wydaje mi się również, że nie potrzeba skomplikowanych deliberacji, aby dojść do wniosku, iż jest po prostu lepiej dla państwa i jego obywateli, jeżeli od udziału we władzy zostaną odsunięci ludzie, którzy w pewnym momencie swego życia zdecydowali się na współpracę z aparatem represji. Istnieje niepisana reguła, w myśl której osoby pełniące odpowiedzialne funkcje w państwie spełniać muszą określone wymagania etyczne. Ignorowanie tej prawdy w wypadku byłych współpracowników policji politycznej PRL, wydatnie utrudnia otrząśnięcie się z komunistycznych miazmatów. W Polsce po 1989 r. nie pojawiła się świadomość rzeczywistego przełomu, a pozbawionemu moralnych autorytetów społeczeństwu nowe władze potrafią zaproponować jedynie importowaną ideologię konsumpcji i hedonizmu, przed którą ostrzega akurat „polski Papież”. Współpraca z tajną policją to jakościowo coś innego, niż urzeczzenie marksizmem czy konformistyczny udział w PZPR, to inny wymiar, swoiste „jądro ciemności”, do którego w Polsce nikt na razie nie próbuje dotrzeć.

Obecna sytuacja stwarza dla historyka ryzyko. Osobiście uważam, że duchowni i historycy nie powinni zajmować się działalnością polityczną. Ci pierwsi, aby nie znaleźć się w sytuacji prałata Seipla, który jako kanclerz Austrii musiał (?) zatwierdzić wyroki śmierci na uczestników puczu i zamachu z 1927 r. Ci drudzy — aby niezależnie od partyjnych swarów i dezinformacyjnego szumu mediów wykonywać swoje zadanie: szukać prawdy, czyli badać fakty by zrozumieć, dlaczego historia przebiega tak a nie inaczej i przekazać tę wiedzę innym.

Charakterystyczny jest fakt, że do tej pory w pokomunistycznej Polsce nie powstało pismo, już nie tyle dorównujące poziomem *Zeszytom Historycznym*, ale choćby przypominające je pod względem charakteru¹⁹. Niezliczone tomy

19. Jeśli chodzi o pisma historyczne w Polsce — to sytuacja wydaje się niezbyt wesoła. W 1990 r. *Polityka* reklamowała „nową formułę” i „nowe formy wyrazu” pisma *Mówią Wieki*, którego redakcję objął Stefan Meller („W nowej skórce”, *Polityka* 25.8.1990). Pierwszy w ramach „nowej formuły” numer przyniósł m.in. „List Borysa Sawinkowa do Marszałka Piłsudskiego”, poprzedzony artykułem wstępnym M. Hellera. Oba teksty udostępniłem już uprzednio czytelnikowi polskiemu, tłumacząc je z rosyjskiego i publikując najpierw w 14. nr. *Orientacji na Prawo* w październiku '87 a następnie w wydanej przez Institute for Democracy in Eastern Europe książce „Sowietskij Sojuz”. Redakcja

wspomnień, wyznań i wywiadów polityków aktywnych i emerytowanych oraz byłych funkcjonariuszy PZPR i MSW otaczają jedynie prawdę historyczną dymną zasłoną rzekomych rewelacji. To, co powiedział lub czego nie powiedział sekretarz X albo generał Y, nie jest jednak historiografią lecz jedynie komercyjnym towarem a tony papieru zadrukowanego pseudosensacjami nie zastąpią ani rzetelnego dziennikarstwa, ani naukowych opracowań.

Sposób, w jaki w Polsce potraktowano sprawę byłych współpracowników resortu MSW, stwarza niebezpieczeństwo podporządkowania historiografii polityce. Straty poniosą jednak nie tylko historycy, narodu nie można bowiem pozbawić prawdy o własnych losach. Nie może on również uchylać się od konfrontacji z własną historią; chodzi o to, aby była to historia prawdziwa.

II '93 — III '94

Tomasz MIANOWICZ

Mówią Wieki wykorzystała to właśnie tłumaczenie a nawet zamieściła „Przypisy tłumacza”, usuwając jednak jego nazwisko, za to wprowadzając do tekstu błędy ortograficzne i interpunkcyjne. Ani M. Hellera, ani mnie, ani wydawców „Sowieckiego Sojuza” redakcja *Mówią Wieki* nawet nie poinformowała o publikacji. Wspominam o tym przypadku, prawdopodobnie nie jedynym na postkomunistycznym rynku prasowym w Polsce, bowiem dotyczy on pisma historycznego o bodajże największym nakładzie, wydawanego przez Ministerstwo Edukacji Narodowej.

Stanisław Sławomir NICIEJA

POŚMIERTNE ŻYCIE POLSKIEGO LWOWA

Wyrok polityków w Jałcie, potwierdzony w Poczdamie, był jednoznaczny — Polska miała kończyć się na Bugu w jego środkowym i górnym biegu z małą korektą na jej niekorzyść, bo przecież Lwów za Bugiem nie leży. Tu lord George Curzon, zaliczany w poczet sprawców polskiego nieszczęścia, nie miał nic do powiedzenia. Lwów — od czasów Kazimierza Wielkiego ośrodek kultury polskiej, a na przełomie XIX i XX wieku duchowa stolica Polski — miał być ewakuowany na zachód. I decyzję tę wykonano.

Z samego Lwowa i najbliższych jego okolic, wytrzebionych już w znacznej mierze z polskiej i żydowskiej inteligencji w czasie okupacji stalinowskiej i hitlerowskiej, tylko w latach 1944-1946 wywieziono około 125 tys. Polaków. Osiedli oni głównie w pasie południowym, ze szczególną koncentracją między Bytomiem a Wrocławiem, z tym że we Wrocławiu osiadł przede wszystkim Lwów inteligencki, w Bytomiu — robotniczy. Dynamiczny rozwój wrocławskiego środowiska naukowego i kulturalnego byłby niemożliwy, gdyby nie przyjął się tam przeszczep lwowski, bo przecież potencjał intelektualny nie zależy od ilości sal teatralnych, muzealnych, wykładowych, laboratoriów, bibliotek, klubów. Muszą być ludzie, którzy tę infrastrukturę materialną wypełnią odpowiednim duchem i stylem, ludzie, którzy mają liczące się w kraju osiągnięcia naukowe i kulturalne oraz nazwiska o odpowiednim prestiżu i autorytecie.

Kurtyna milczenia

W czasach PRL nie tylko strzeżono stabilności granic wykreślonych w Poczdamie — co jest zrozumiałe. Próbowano też zamknąć kulturę oraz historię Polski w obrębie tych granic — czego nie da się obronić. W tym procederze brały udział również wybitne autorytety intelektualne. Tak dla przykładu: w pięknie edytorsko wydanej książce albumowej w 1986 r. w trzech wersjach językowych pt. „Polska, naród a sztuka. Dzieje polskiej świadomości narodowej i jej wyraz w sztuce”, którą przygotowali i opiniowali do druku dwaj ogólnie szanowani luminarze polskiej nauki i kultury, wśród setek ilustracji nie ma fotografii Ostrej Bramy w Wilnie, Liceum Krzemienieckiego, gmachu Uniwersytetu Jana Kazimierza czy też katedry Łacińskiej we Lwowie. Są natomiast zdjęcia niewiele mających wspólnego z kulturą polską: katedry we Fromborku, kościołów w Strzegomiu i Wambierzycach czy też ratusza we Wrocławiu. Było to myślenie życzeniowe. Skoro jakiś zabytek jest na terytorium obecnego państwa polskiego, to automatycznie jest on związany z kulturą Polski. Jeżeli inny, np. zamek Żółkiewskich w Żółkwi, albo Sobieskich w Olesku, znalazł się na terytorium Republiki Ukrainskiej, należy go również wyrugować ze świadomości polskiej i zastąpić choćby zamkiem Hochbergów w Książu koło Wałbrzycha, retuszując mu nieco metrykę, nazywając go zamkiem piastowskim.

Tego typu zabiegi wytwarzały tematy tabu. Największe spustoszenie wywołało to w historiografii ziem zabużańskich. Przez całe dziesięciolecie nie powstawały w kraju w ogóle książki o przeszłości i zabytkach polskiej kultury na Kresach Wschodnich. Lwów, Wilno, Stanisławów, Nowogródek, Krzemieniec, Tarnopol czy też Grodno oficjalnie nie istniały. O tym mówiło się w prywatnych domach, z pietyzmem przechowywano stare książki i albumy, w czasie zjazdów rodzinnych i świąt wracało się tam wspomnieniami, ale w masowej produkcji poligraficznej, w radiu, telewizji wszystko co dotyczyło utraconych w następstwie wojny ziem kresowych przesłaniała kurtyna milczenia.

Gwoli prawdy trzeba pamiętać, że szczelność tej kurtyny nie była absolutna, gdyż nawet w okresie rządów Bieruta czy Gomułki jakimś cudem wprowadzono na rynek księgarski — choć w minimalnych nakładach — „Wspomnienia Ossoliń-

skie” prof. Stanisława Łempickiego (1948), „Pamiętniki galicyjskie” Kazimierza Chłędowskiego (1951), a ze współczesnych pisarzy Jana Parandowskiego „Niebo w płomieniach” i „Zegar słoneczny” (1953), Stanisława Lema „Wysoki Zamek” (1966), Witolda Szolgini „Dom pod Żelaznym Lwem” (1971). Autorzy mieli jednak świadomość, że słowem Lwów muszą posługiwać się bardzo oszczędnie i raczej go unikać bądź uciekać się do kamuflażu, gdyż w przeciwnym razie maszynopisy trafią do szuflady. Dowodem na to może być książka Andrzeja Stojowskiego pt. „Podróż do Nieczajny”, w podtytule „Opowiadania leodyjskie” (Czytelnik, 1968).

Pęknięcie tamy

Gdy wreszcie w połowie lat osiemdziesiątych zaczął krużyć się gmach cenzury, pierwszy z niezwykłą mocą wypłynął Lwów. Odczułem to bezpośrednio, bo dość niespodziewanie znalazłem się w szpicy, która nadwężyła szczelność zastłony. Książka o cmentarzu na Łyczakowie, która w trzech kolejnych nakładach osiągnęła gigantyczną jak na tego typu publikację ilość 200 tys. egzemplarzy, ujawniła, jak wielki istniał głód wiedzy o Kresach Wschodnich. A był to rok 1988. Kilka miesięcy później „okrążył stół” i gorbaczowowska *glasnost* kładą kres cenzurze i wtedy okazuje się, jak silną intelektualnie jest lwowska diaspora i jej emanacja na pojałtańskie pokolenia Polaków. Rynek księgarski zostaje zarzucony falami nowych publikacji o tematyce przede wszystkim miasta, które jako jedyne w Polsce nosiło dumny przydomek — Semper Fidelis i było odznaczone krzyżem „Virtuti Militari”.

W pierwszym rządzie zaczęły się ukazywać reprinty książek o Lwowie wydawanych przed wojną i uważanych za „białe kruki”, takich jak Stanisława Wasylewskiego „Lwów” z cyklu „Cuda Polski”, Łucji Charewiczowej „Historiografia i miłośnictwo Lwowa”, Franciszka Jaworskiego „Lwów stary i wczorajszy”, czy też reprint liczącej ponad 30 tomów „Biblioteki lwowskiej” oraz źródeł do monografii „Obrona Lwowa”, a także broszury Adama Próchnika, Stanisława Nilskiego i Aleksandra Krona.

Równocześnie poczęto wznawiać w kraju bądź wprowadzać do oficjalnego obiegu ważne książki o Lwowie powstałe na emigracji, a wśród nich Józefa Wittlina „Mój Lwów”, Mariana Hemara „Chlib kulikowski”, Stanisława Vincenza

„Dialogi lwowskie”, Andrzeja Chciuka „Ziemia księżycowa”, Jerzego Lerskiego „Emisariusz Jur”, czy też Kazimierza Schleyena „Gawędy lwowskie” i Mariana Hełm-Pirgo „Zew Lwowa”. Wrócił też do księgarni przedrewolucyjny „Uśmiech Lwowa” Kornela Makuszyńskiego, „Wiersze lwowskie” Henryka Zbierzchowskiego i w różnych wydaniach dialogi Szczepka i Tońka z „Lwowskiej Wesolej Fali”.

Fala wspomnień

Prawdziwa jednak eksplozja nastąpiła w sferze nostalgicznych wspomnień o mieście swojej młodości. I tu na czoło wysunęli się dwaj dawni sąsiedzi z ulicy Łyczakowskiej we Lwowie Jerzy Janicki i Witold Szolginia.

Janicki — reporter, pisarz, autor słuchowisk, scenarzysta filmowy, namiętny zbieracz leopolitanów, już w latach sześćdziesiątych w radiowej powieści „Matysiakowie” — bardzo wówczas popularnej — dyskretnie począł wprowadzać co pewien czas dialogi pisane bałakiem (postać wuja Feliksa). Tą samą metodą posłużył się we wczesnym serialu telewizyjnym pt. „Akcja V”. Jednak wątek lwowski w jego twórczości z całą siłą wypłynął dopiero po roku 1986. Wtedy to wspólnie z Marianem Bekajło zrealizował film dokumentalny „4 lipca o świcie we Lwowie” o kulisach wymordowania profesorów lwowskich w 1941 roku na Wzgórzach Wuleckich. Nieco później zrealizował film „Tońko, czyli ballada o ostatnim batiarze”, którego bohaterem był jeden ze słynnych komików z Lwowskiej Wesolej Fali Henryk Vogelfänger. Film ten wyświetlony w wieczór wigilijny 1988 r., mając wielomilionową widownię, poruszył nie tylko całą lwowską diasporę rozsianą po kraju, a skupiającą się w tym czasie w dziesiątkach nowo tworzonych kół Towarzystwa Miłośników Lwowa (TML). Dwa najsilniejsze z tych kół — wrocławskie i warszawskie weszły z czasem na drogę niepotrzebnej w tym wypadku rywalizacji o to, które z nich powinno stanowić centrum stwarzające ramy organizacyjne dla wygnańców i wychodźców z kresów południowo-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej.

Jerzy Janicki był wówczas pomysłodawcą i uczestnikiem wielu audycji telewizyjnych o Lwowie, jego kulturze i historii, m.in. głośnych reportaży Stanisława Auguścika „Podróże na kresy” oraz wspólnie z dyrektorem lwowskiego oddziału

Energopolu Józefem Bobrowskim i doc. Ryszardem Brykowskim inspiratorem renowacji Cmentarza Orłąt. Począł też celować w filmach biograficznych o Lwowie („Tylko dla Orłąt” — o lotnikach lwowskich z udziałem dra Emila Niedźwirskiego i „A do Lwowa daleko, że strach” z udziałem Władzy Majewskiej — muzy Hemara). Jest też autorem trzech uroczych książek o Lwowie: „Ni ma jak Lwów” (1991), „Cały Lwów na mój głów” (1993), „Towarzystwo weteranów” (1994), w których mieszają się konwencje gawędy, reportażu, antologii dowcipów i powiedzonek oraz not encyklopedycznych. Książki te, serdeczne w tonie, nostalgiczne w treści są opowieściami o wędrówkach po utraconym mieście, o ludziach stamtąd, ich potomkach i lwowskich pasjonatach, których można spotkać w różnych zakątkach świata i których o dziwo nie ubywa.

Podobnie dynamiczną „lwowską” działalność rozwinął Witold Szolginia, człowiek wielu pasji i zawodów — architekt, pisarz, poeta, rysownik — absolutny Larousse tematyki lwowskiej. W oparciu o swoje zadziwiające zbiory leopolitanów przy okazji przygotowań do cotygodniowych radiowych gawęd w III programie Polskiego Radia począł tworzyć wielksiąg pt. „Tamten Lwów”. Jest to swoiste *silva rerum* — las rzeczy, zawierający najrozmaitsze wiadomości, w których autor nie ogranicza się tylko do swoich wspomnień, a obficie uzupełnia je tekstami i długimi cytatai innych lwowian od XVII-wiecznego Bartłomieja Zimorowicza do tęskniącego dziś za Lwowem w Oxfordzie Tymona Terleckiego. Dotychczas ukazało się już pięć tomów tego wieloksięgu będącego próbą zdefiniowania fenomenu polskiego Lwowa, a równocześnie zapisem jego niezwykłego kolorytu w całej gamie zjawisk — od poważnych studiów o architekturze do rejestru zachowanych w zbiorowej pamięci różnych typów batiarów i świrków łyżakowskich. Warto tu choćby przywołać świetny opis mieszkańców poszczególnych kamienic na lwowskim Corso, czyli ulicy Akademickiej. W ogóle Witold Szolginia ma na swym koncie 12 książek o Lwowie i udział w dziesiątkach spotkań autorskich.

Na przełomie lat 80-tych i 90-tych wydają swe lwowskie wspomnienia: aktor i piosenkarz Jerzy Michotek — „Tylko we Lwowie”; twórca powieści *science-fiction* i redaktor „Fantastyki” Adam Hollanek — „Ja z Łyczakowa” i „Zobaczyć Lwów”; wybitny historyk lwowsko-krakowski prof. Marian Tyrowicz — „W poszukiwaniu siebie” (dwa tomy) i „Wspom-

nienia o życiu kulturalnym i obyczajowym Lwowa 1918-1939”; wybitny geograf lwowsko-lubelski i kompozytor prof. Jan Ernst — „Dwie linie życia” (dwa tomy); wybitny geograf lwowsko-wrocławski prof. Alfred Jahn — „Z Kleparowa w świat”; świetny lwowsko-krakowski jurysta prof. Stanisław Edward Nahlik — „Przesiane przez pamięć”; wybitny konstruktor samolotów Stanisław Makowiecki — „Nad Pełtwią i nad Mozą”; wrocławski wydawca Eugeniusz Adamczak wprowadza na rynek księgarski antologię wspomnień pt. „Portrety Ossolińskie” — o dyrektorach lwowskiego Ossolineum. Ukazują się też wspomnienia tropiciela przestępców wojennych lwowianina Szymona Wiesenthala — „Krystyna”, wybitnego lwowskiego adwokata Bogusława Longchamps de Bérier — „Ochrzczony na szablach powstańczych”, publicystki i działaczki oświatowej w Londynie Barbary Mękarskiej-Kozłowskiej — „Burza nad Lwowem”, Edmunda Romera o lwowskich latach jego ojca — „Geograf trzech epok”, lwowskiej pianistki Zofii Ottawa-Rogalskiej — „Lwy spod ratusza słuchają muzyki” i pamiętniki Zofii z Fredrów Szeptyckiej, matki Andrzeja Szeptyckiego — głowy kościoła grekokatolickiego, w opracowaniu prof. Bogdana Zakrzewskiego.

Nie można też pominąć renesansu poezji i prozy o Lwowie. Poza powrotem z emigracji wierszy lwowskich Mariana Hemara i Kazimierza Wierzyńskiego niezwykłą popularność zyskał wiersz Adama Zagajewskiego „Jechać do Lwowa” i piosenka Ryszarda Marka Grońskiego z muzyką Włodzimierza Korcza w wykonaniu „Gawędy” — „Orlęta”: „Jest takie miasto co zwie się Lwów, znów wolno o nim dziś pamiętać”. Pojawiły się w prasie i nowych wydaniach wiersze lwowskie Zbigniewa Herberta, Jarosława Marka Rymkiewicza, Tadeusza Śliwiaka i Jerzego Hordyńskiego. Danuta Łomaczewska (znany fotografik) zafascynowana Lwowem wydała antologię wierszy pt. „Semper Fidelis”. Powstały też nowe tomiki poezji Aurelii Mikulińskiej-Korczyńskiej („Aby nie zapomnieć miłości i tęsknot do Lwowa”) i Jerzego Masiora („Tyle cię wszędzie — wiersze lwowskie”) oraz pisany bałakiem Witolda Szolgini pt. „Krajubrazy syrdeczny”. Ossolineum wydało uhonorowaną nagrodą londyńskich *Wiedomości* prozę Janiny Kościalkowskiej pt. „Łódź bukowa”. Ukazały się także „Opowiadania lwowskie” Marii Koniecznej.

Jeszcze w roku 1987 Janusz Wasylkowski — obecny redaktor „Rocznika Lwowskiego” — jako pierwszy wydał we wrocławskim „Kalamburze” antologię piosenki lwowskiej uli-

cy, która święciła później swoje triumfy w inscenizacji Wojciecha Dzieduszyckiego na wielu scenach w skupiskach lwowskich przesiedleńców. Tym szlakiem poszli też językoznawca prof. Zofia Kurzowa i muzykolog Jerzy Habela wydając dwa lata później obszerną, świetnie udokumentowaną, z zapisami nutowymi, antologię „Lwowskie piosenki uliczne, kabaretowe i okolicznościowe do 1939 roku”. Wcześniej lwowianka prof. Zofia Kurzowa wydała bardzo ważne studium pt. „Polszczyzna Lwowa i kresów południowo-wschodnich do 1939 roku”.

Powróciła też tematyka lwowska do historiografii polskiej. Za znaczące osiągnięcia ostatnich lat należy uznać m.in. monografie: prof. Jerzego Węgierskiego („W lwowskiej Armii Krajowej”, „Lwów pod okupacją sowiecką”), prof. Zbysława Popławskiego („Dzieje Politechniki Lwowskiej”), prof. Urszuli Jakubowskiej („Lwów na przełomie XIX i XX wieku”), dra Bartłomieja Kaczorowskiego („Zabytki starego Lwowa”), dra Leszka Podhorodeckiego („Dzieje Lwowa”), prof. Czesława Halskiego („Polskie Radio Lwów”), dra Macieja Kozłowskiego („Między Sanem a Zbruczem”), dra Zbigniewa Frasa („Florian Ziemiałkowski — pierwszy prezydent Lwowa”), prof. Zygmunta Alberta („Każń profesorów lwowskich”), dr Barbary Winklowej („Boy we Lwowie 1939-1941”).

Ten nie wyczerpujący zagadnienia wykaz należy uzupełnić o książki eseistyczne jak choćby Adama Wiercińskiego „Przywracanie pamięci” z rozdziałem „Renesans lwowski”, czy Andrzeja Kuśniewicza „Mieszaniny obyczajowe” oraz dziesiątki artykułów publikowanych w różnych czasopismach społeczno-kulturalnych i naukowych, wśród których znajdują się m.in. Tymona Terleckiego „Rodowód — Lwów” (*Odra*), Jacka Kolbuszewskiego „Legenda kresów w literaturze” (*Odra*), Tadeusza Chrzanowskiego „Kresowe tęsknoty” (*Akcent*). Od początku powstania *Twojego Stylu* stały felieton lwowski prowadzi tam Mirosław Żuławski. Również w publicystyce Stanisława Lema co pewien czas pojawia się Lwów. „Bo ja jestem — czytamy w jednym z jego esejów — wypędzony ze Lwowa. Wypędzono mnie i podczas kiedy Niemcy, niemieccy ślązacy buńczucznie tupali, śpiewali, herbami miast ongiś niemieckich, a przez Polaków zawłaszczonych, wywijali i głośno się pp. Hupka, Czaja, Koszyk rewindykacji domagali, miałem, mieliśmy gęby mocno zawarte. Pisnąć nie można było. Toteż zaczynam każdy wywiad udzielany Niemcom, ich telewizji, radiu, gazetom niemieckim od słów: «Ich bin ein Vertriebener». Zostałem wypędzony i nikt mi tego,

ani tego milczenia prawie już półwiekowego z ojczyzny mojej nie zdoła zrekomensować nijak. To była rana i to jest rana nie zablizniona”.

Obecność Lwowa

Od ponad pięciu lat polskie dziedzictwo kulturowe we Lwowie jest już stale obecne w najrozmaitszych wydawnictwach periodycznych i seryjnych, w rodzaju *Przeglądu Wschodniego* poświęconego w całości historii i współczesności Polaków na Wschodzie; *Rocznika Lwowskiego*; *Kresów* (lubelskich), *Kresów Literackich* (chełmskich); *Spotkań z Zabytkami*. Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa we Wrocławiu wydaje nieregularny miesięcznik *Semper Fidelis* poświęcony głównie przeszłości Lwowa. W rocznikach tego pisma znajduje się dziesiątki artykułów wspomnieniowych różnej wartości, ale gdyby nie było tego forum wypowiedzi, wiele tekstów wymierającej lwowskiej diaspory nigdy by nie zaistniało. Od trzydziestu lat w Londynie wychodzi kwartalnik *Lwów i Kresy*, na początku noszący nazwę *Biuletyn Koła Lwowian*, a od czterech lat we Lwowie, po dziesięcioleciach przerwy, ukazuje się *Gazeta Lwowska* pod redakcją Bożeny Rafalskiej. W Krakowie poświęcono Lwowowi specjalne numery *Ilustrowanego Kuriera Codziennego* i *Przekroju*.

Nastąpił też renesans zainteresowania lwowskim bałakiem. Dawne piosenki lwowskiej ulicy można spotkać na stoiskach z kasetami obok najnowszych przebojów rockowych. Do wypożyczalni kaset wideo trafiły filmy ze Szczepkiem i Tonkiem „Będzie lepiej” i „Włóczęgi”.

Obraz ten należy uzupełnić o organizowane co pewien czas wystawy fotografii dawnego Lwowa, z najwspanialszą i najgłośniejszą z nich w warszawskiej „Zachęcie” pod hasłem „Lwowiacy i ich miasto” zorganizowaną przez Aleksandrę Garlicką. Od roku istnieje też przy Muzeum Niepodległości w Warszawie „Kolekcja Leopoldis” gromadząca zabytki dokumentujące i upamiętniające dzieje miasta i społeczeństwa Lwowa, jego historię, kulturę duchową i materialną. Zbiory kolekcji tworzone są z przekazów i darowizn osób prywatnych i instytucji, a także poprzez zakupy. Muzeum Niepodległości zorganizowało też wystawę „Lwowskie cymelia”.

Lwów nie jest miastem polskim od pięćdziesięciu lat, ale gdy porównamy literaturę polską i ukraińsko-rosyjską o tym

mieście, powstała w ciągu ostatnich pięciu lat, to Polacy mają tu przytłaczające osiągnięcia. Na jedną pozycję ukraińsko-rosyjską przypada kilkanaście polskich, a przewagę ma tutaj nie tylko wymiar ilościowy. Czym to tłumaczyć? Zaryzykuję twierdzenie, że jest to pochodna faktu, iż ukraińsko-rosyjski Lwów nie wytworzył elity humanistycznej tej klasy, jaką miał i ma jeszcze w diasporze polski Lwów. Dla przykładu: Uniwersytet Jana Kazimierza był uczelnią o poziomie europejskim, lwowska szkoła matematyczna ze Stefanem Banachem na czele miała sławę światową. Podobnie było z poziomem medycyny. Tam pracował przecież Ludwik Rydygier. Bliski Nobla był Rudolf Weigl. Liczyły się w Europie lwowska filozofia, filologie i historiografia. Obecny ukraiński Uniwersytet im. Iwana Franki był i nadal jest uczelnią prowincjonalną — skostniała ideologicznie, poza nielicznymi jednostkami, bez uczonych o kontaktach europejskich. Podobnie rzecz ma się z czasopiśmiennictwem i historiografią sowieckiego, a od kilku lat narodowo-ukraińskiego Lwowa. Polski Lwów, ten wysiedlony znad Pełtwi, żyje w literaturze i historiografii Polski i nie da się go stamtąd wyrugować; nawet wówczas, gdy przekroczą Styks ostatni polscy jego mieszkańcy. Dzięki przywołanej tutaj literaturze będzie żył w świadomości nie tylko ich potomków.

Stanisław Sławomir NICIEJA

DOKUMENTY

Andrzej ESSEN

ROZMOWA BENES — BECK 3 lutego 1933 r. w Genewie

Stosunki polityczne polsko-czechosłowackie w okresie międzywojennym doczekały się wielu opracowań, w których autorzy przeprowadzali analizę zarówno bilateralnych kontaktów RP-CSR jak i próbowali badać koncepcje polityków w Warszawie i Pradze odnośnie stosunku swych państw do południowego (czy północnego) sąsiada¹. W Polsce, z racji szczupłości ocalałego zasobu akt przedwojennego MSZ, od stworzenie zrębu faktów dotyczących stosunków Polski z Czechosłowacją natrafiało na znaczne trudności i choć autorzy prac temu tematowi poświęconych w znacznym stopniu przewyżczyli te problemy, jest oczywiste, iż niezbędne dla pełnego obrazu jest wykorzystanie także archiwaliów czechosłowackich, szerzej po 1989 roku udostępnionych. Uwagę historyków obu krajów, jeśli chodzi o dzieje kontaktów RP-CSR przyciągał zwłaszcza okres 1932-1933, ponieważ w tych latach właśnie zgłoszono projekty ich rozwoju w innym kierunku, niż opartym dotąd na powściągliwej poprawności².

1. Wymienić tu należy prace: W. Balceraka, J. Kozeńskiego, K. Lewandowskiego, M. Pułaskiego, A. Szklarskiej-Lohmannowej, J. Tomaszewskiego, J. Valenty, P.S. Wandycza.

2. Chodzi zwłaszcza o propozycję zawarcia układu o przyjaźni między CSR a RP złożoną wówczas przez Beneša. Zob.: J. Tomaszewski,

Prezentowany poniżej zapis rozmowy Beneš-Beck z 3 lutego 1933 roku był zapewne sporządzony *pro memoria* przez sekretarza czechosłowackiego ministra i został podyktowany najprawdopodobniej bezpośrednio po jej odbyciu. Dokument ten jest ważny, ponieważ pozwala zweryfikować informacje na ten temat zawarte w pamiętnikach obu polityków, które w poważnym stopniu wpłynęły na treść prac poświęconych stosunkom polsko-czechosłowackim³.

Ważny jest również czas w jakim do tego spotkania doszło. Kilka dni wcześniej Adolf Hitler został kanclerzem Niemiec, konferencja rozbrojeniowa w Genewie znajdowała się w kryzysowej fazie, w grudniu 1932 r. mocarstwa uznały prawo Niemiec do równych zbrojeń „w ramach systemu zapewniającego bezpieczeństwo wszystkim państwom”, kraje Małej Ententy porozumiewały się co do zawarcia paktu mającego umocnić front antyrewizjonistyczny w Europie Środkowej, w grudniu 1932 roku ratyfikowano polsko-sowiecki pakt nieagresji. W literaturze przedmiotu owe miesiące na przełomie lat 1932/1933 dość powszechnie przedstawiane są jako okres przełomowy.

J. Valenta, „Polska wobec Czechosłowacji w 1933 roku”. *Przegląd Historyczny* 70 1979/4; oraz ostatnio: P. Wandycz, „Trzy próby poprawy stosunków polsko-czechosłowackich 1921-1926-1933”. [w] „Z dziejów polityki i dyplomacji polskiej. Studia poświęcone pamięci hr. Edwarda Raczyńskiego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej na wychodźstwie”. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1994.

3. Nie było to pierwsze spotkanie Beneša z Beckiem. Kilka dni wcześniej 26 stycznia, na śniadaniu u Becka spotkali się: Beneš, Joseph Avenol zastępca sekretarza generalnego Ligi i Rudolf Künzel-Jizerský delegat CSR przy Lidze Narodów, ale spotkanie miało charakter kurtuazyjno-towarzyski i na pewno nie prowadzono tam poufnych rozmów. Twierdzenie Beneša, że rozmawiał z Beckiem we wrześniu 1932 roku i tam zaproponował zawarcie umowy politycznej między obu krajami („Paměti. Od Mnichova k nové válce a k novemu vítězství”. Praha 1948, s. 11), obalił Kozeński („Czechosłowacja w polskiej polityce zagranicznej 1932-1938”, Poznań 1964, s. 48 przyp. 19). J. Tomaszewski i J. Valenta, (op.cit. s. 700 przyp. 23), przyjmują za prawdziwą tę informację Beneša, zastrzegając, że chodzi o spotkanie obu polityków w listopadzie tr. Istotnie, obaj ministrowie spotkali się pierwszy raz po nominacji Becka na szefa MSZ RP 26 XI 1932 r. w Genewie (*Gazeta Polska* z 28 XI 1932). Beneš nie złożył wówczas swej propozycji paktu, a o stosunkach RP-CSR zaledwie wspomniano. Zapis tej rozmowy odnalazł dr J. Dejmek z Uniwersytetu Karola w Pradze, któremu zawdzięczam tę informację.

Notatka o rozmowie min. dr. Beneša z polskim ministrem spraw zagranicznych Beckiem w hotelu Beau-Rivage dnia 3 II od 5.30 do 7.20 wieczorem.

Dr B[eneš]⁴ zaprosił ministra Becka na herbatę z zamiarem omówienia z nim szczegółowo i od podstaw stosunków polsko-czechosłowackich. (Zaletą Becka w porównaniu z Zaleskim jest jego gadatliwość, ale inteligencja wcale nie nadzwyczajna). Beck dał sam zresztą okazję. Narzekał na posła Osusky'ego w Radzie i na jego wypowiedź w Komitecie ds. reorganizacji wyborów do Rady⁵, a dalej także na to, że dr B[eneš] nie poparł w Komisji Ogólnej polskiego wystąpienia przeciw mocarstwom⁶. Dr B[eneš] wytłumaczył mu wszystkie uwarunkowania i wskazał na oczywiste nieporozumienie; Dr Osusky miał jak najlepszą wolę iść z Polską a nie przeciw niej, a jego wystąpienie jest niewłaściwie interpretowane (Polacy w końcu sami Osusky'ego usprawiedliwili). Dr B[eneš] wykorzystał jednak tę sposobność, aby pomówić o stosunkach między obu państwami. Beck z powodów taktycznych, czy innych, długo mówił o tych sprawach, podkreślał zwłaszcza, że nikt jeszcze nie występował przeciw Niemcom tak otwarcie jak on; jawnie całą sprawę rozdmuchiwał⁷. Dr B[eneš] dopiero potem przeszedł

4. W kwadratowych nawiasach zawarte są uzupełnienia i dopiski uściślające mniej jasne fragmenty tłumaczonego tekstu.

5. Chodziło o wypowiedź posła CSR w Paryżu i jednocześnie delegata CSR w Komisji ds. reformy wyborów do Rady Ligi Narodów, który na posiedzeniu Komisji rano 3 lutego, podczas omawiania projektu przygotowanego przez lorda Cecila we fragmencie o zasadach wyboru niestałych członków Rady, zadał pytanie, dlaczego projekt angielski nie traktuje nic o sposobie wybierania półstałych członków Rady. Z oczywistych powodów wypowiedź ta była nie na rękę delegacji polskiej (i hiszpańskiej także), jako że przyrównywała status niestałego miejsca w Radzie Ligi do miejsca niestałego z prawem reelekcji, które posiadały Polska i Hiszpania.

6. Możemy domniemywać tylko, iż chodzi o wystąpienie delegata Polski w Komisji Ogólnej Konferencji Rozbrojeniowej w dyskusji na temat Planu powszechnego rozbrojenia i organizacji pokoju, przedłożonego przez rząd francuski 14 listopada 1932 roku. Jednakże Beneš wziął udział w dyskusji plenarnej na ten temat dopiero 4 lutego, a delegat Polski Edward Raczyński 6 lutego. Być może więc chodzi tu o kuluarowe wypowiedzi Becka 2 lutego na posiedzeniu Komisji Ogólnej Konferencji Rozbrojeniowej przeciw deklaracji mocarstw z 11 grudnia 1932 roku w sprawie równouprawnienia Niemiec w zbrojeniach.

7. Beck zabierając głos na posiedzeniu Rady Ligi Narodów 1 lutego po-

do właściwego tematu rozmowy; stwierdził, że już dawno pragnął spowodować szczerą wymianę poglądów między Polską a Czechosłowacją o wzajemnych stosunkach. Przy czym dr B[eneš] uznał za jej podstawę fakty, uzyskane od niektórych czechosłowackich dziennikarzy niedawno bawiących w Polsce, którzy tam otrzymali z pewnych źródeł informacje o tym co Polacy przeciw nam mają⁸.

W naszych wzajemnych stosunkach [mówił Beneš] są trzy kategorie spraw: 1. kwestie wynikające z przeszłości i rekryminacje do tego się odnoszące, 2. dzisiejsze rozbieżności, lub to co się za nie uważa, o których dr B[eneš] sądzi, iż są to raczej nieporozumienia bez głębszego podłoża, 3. nasza ogólna polityka w europejskich sprawach w ogóle, w których mimo szeregu punktów w pełni zbieżnych są również rozbieżności. Obie strony powinny przeanalizować te trzy grupy spraw, wyeliminować co się da i porozumieć się co do wspólnej polityki.

Pierwsza grupa spraw dotyczy raczej przeszłości — w dzisiejszych okolicznościach nie ma sensu do nich wracać. Są teraz [ważne] inne sprawy a nie rekryminacje, ale dr B[eneš] zawsze chętnie o tej przeszłości może mówić, gdyby Polacy tego chcieli. Może też powiedzieć jak dziś patrzy na sprawę ówczesnej walki o Cieszyn, na blokowanie przewozu uzbrojenia podczas polskich walk z bolszewikami, o kwestii ukraińskiej emigracji itd. Także my mamy pewne zastrzeżenia do Polski z tych czasów, ale zostawiamy przeszłość przeszłości.

święconemu rozpatrzeniu skargi niemieckiej na sposób realizacji reformy rolnej w Polsce, wypowiedział się ostro przeciw nadużywaniu traktatu mniejszościowego dla spraw politycznych i stwierdził, iż rząd RP będzie się w przyszłości stanowczo przeciwstawiał udzielaniu pewnym grupom swych obywateli niesprawiedliwych przywilejów w oparciu o ten traktat. Wystąpienie Becka obszernie omówiono w: *Gazeta Polska* z 2.II.1933 r., wywiad z Beckiem na ten temat, zob.: tamże, nr z 3.II.

8. W dniach 15–17.I.1933 odbyła się w Warszawie Konferencja Porozumienia Prasowego Polski i Czechosłowacji z udziałem dziennikarzy z CSR (m.in. J. Pichl, V. Svichovský, V. Fiala, H. Ripka i szef wydziału prasowego MSZ J. Hajek). Obrady były zyczliwie komentowane w prasie polskiej (*Gazeta Polska* z 15 i 16.I.). Przy tej okazji mówiono o przeszkodach w rozwoju dobrych stosunków między CSR a RP. Przypominano gościom z CSR o blokadzie transportów broni do Polski w 1920 r., o niesprawiedliwym podziale Śląska Cieszyńskiego oraz ubolewano, iż Czechosłowacja nie wykorzystuje możliwości portu w Gdyni dla tranzytu swych towarów. Zob.: Archiv ministerstva zahraničních věcí, Praha, (dalej AMZV) Křoftové vyklady na poradách. č. 3/33 z 26.I.

W drugiej grupie spraw idzie właściwie tylko o nieporozumienia i to zdaje się wzajemne. Tu należy na przykład sprawa mniejszości: polskiej u nas i naszej w Polsce, kwestie Rusi Podkarpackiej i polskich domysłów co do naszej tam polityki, sporadyczne zarzuty [w Polsce] o naszym rusofilstwie. Nasze zarzuty wobec Polski dotyczą: polskiej emigracji do CSR, madziarofilstwa, akcji polskiej mniejszości u nas itd. Ale i te sprawy zniknęłyby, gdybyśmy o nich otwarcie rozmawiali. Dr B[eneš] uważa, że właśnie na to przyszedł czas i jest do tego gotów.

W trzeciej grupie spraw istnieją rzeczywiście rozbieżności. Mogą być one większe czy mniejsze, ale mogłyby też ewentualnie całkowicie zniknąć, gdy razem sprecyzujemy swe poglądy na europejską politykę w ogóle i kiedy określimy, gdzie mamy wspólne interesy, gdzie idziemy równolegle i gdzie, tu czy tam, nasze interesy są przeciwstawne. Tych ostatnich dr B[eneš] widzi bardzo mało — może zresztą ich w ogóle nie ma. Ważną jest też kwestia, jakie są nasze wyobrażenia o polityce naszych państw. Dr B[eneš] myśli, że byłoby dobrze mówić całkiem otwarcie i szczerze i właśnie on to teraz czyni. Nie trzeba niczego między nami ukrywać. Dr B[eneš] wspominał już niejednokrotnie Grzybowskiemu w Pradze, jak on te sprawy widzi. Szczególnie chętnie określiłby dwie zasady naszej polityki wobec Polski. Ze względu na to jak się rozwinie sytuacja w Europie, w Niemczech, we Włoszech, w Europie Środkowej oraz w związku z usiłowaniami mocarstw powrotu do przedwojennej politycznej metody samowolnego rozstrzygania o małych państwach⁹. Trzeba by to wspólnie z Polską sobie uświadomić i ustalić wytyczne wspólnej polityki. (Pierwszą zasadą byłoby: CSR i Polska w swej polityce międzynarodowej nawzajem nie czyniłyby niczego co drugiej stronie mogłoby szkodzić. Jest to zasada negatywna, ale ma pozytywne znaczenie. Tam gdzie wyraźnie nie mielibyśmy interesu występować razem, musimy się zawsze wystrzegać wszystkiego co by drugiemu państwu mogło szkodzić. Drugą zasadą tej polityki byłoby to, iż Polska i Czechosłowacja zawarłyby pakt wieczystej przyjaźni w

9. Beneš nawiązuje do deklaracji pięciu mocarstw z 11.XII.1932 r. w sprawie równouprawnienia Niemiec w kwestii zbrojeń. Być może posiadał również pewne informacje o poufnych kontaktach między mocarstwami w sprawie nowych zasad ich współdziałania, co zaowocowało później projektem Paktu Czterech.

którym, według tego co było postanowione już w roku 1924¹⁰, zobowiązalibyśmy się, że żaden z krajów nie musi mieć na wspólnej 1000-kilometrowej granicy ani jednego żołnierza, ani podczas pokoju, ani wówczas gdy jedno lub drugie państwo znalazłoby się w konflikcie z państwem trzecim. Na tej granicy nic nikomu by nie groziło. Dr B[eneš] podkreślił, że nie jest to oferta, ale po prostu głośno myśli; dalej zależy od Polaków aby przeanalizowali to ze swego punktu widzenia i według tego postępowali¹¹).

Dr B[eneš] powiedział też, że nie widzi powodu, aby nie wspomnieć Beckowi o tym, co w Polsce jest czasem uważane za przeszkodę naszego ściślejszego zbliżenia. Przypuszcza się tam bowiem, że nasz stosunek do Niemiec nie jest dość stanowczy ze względu na naszą niemiecką mniejszość. Dr B[eneš] w związku z tym wskazuje na dwa fakty: 1) od 6 lat u nas mamy dwóch Niemców w rządzie¹², a jednak nigdy z ich strony nie było sprzeciwu wobec polityki dr B[eneša], mimo że jesteśmy uważani za wasala Francji, mimo że polityka dr. B[eneša] przeciw Anschlussowi była bardziej radykalna niż polityka Brianda i że w końcu wystąpił on [Beneš] przeciw Austrii i Węgrom ostrzej niż Polska. 2) W Polsce nie ocenia się prawidłowo sytuacji. Nasz stosunek do Niemiec jest inny niż Polski, dlatego że fakty i okoliczności są inne. Między nami a Niemcami nie ma sporu podstawowego, nie ma żadnego granicznego konfliktu. Niemcy właściwie od nas nic nie chcą i nie znajdziemy się nigdy z Niemcami w konflikcie *lokalnym* (podkreślenie w tekście — AE). Nasz stosunek do Niemiec określony jest innymi czynnikami niż

10. Beneš nawiązuje do rozmów z Aleksandrem Skrzyńskim, ówczesnym polskim ministrem spraw zagranicznych, które poprzedziły jego wizytę w Warszawie i podpisanie umów regulujących stosunki dwustronne. O jakichkolwiek porozumieniach dotyczących redukcji obsady wojskowej granicy polsko-czechosłowackiej, o czym Beneš dalej wzmiankuje, nic nie wiadomo.

11. Zaznaczony nawiasami fragment opublikował Robert Kvaček w pracy, „Nad Evropou zataženo. Československo a Evropa 1933–1937”. Svoboda, Praha 1966 s. 29.

12. Ministrowie ci to: R. Mayr-Harding, w latach 1926–29 minister sprawiedliwości; F. Spina, minister pracy 1926–29, minister zdrowia 1929–1933 i w kolejnych rządach do 23.III.1938 minister bez teki; L. Czech minister opieki społecznej 1929–1934 i 1935–1938, minister robót publicznych 1934–1935. Po 1926 r. w skład kolejnych rządów CSR wchodziło po dwóch przedstawicieli aktywistycznych ugrupowań politycznych mniejszości niemieckiej w Czechosłowacji.

terytorialne. Dlatego napięcia w stosunkach polsko-niemieckich będą zawsze większe niż między CSR a Berlinem. Stosunki czechosłowacko-niemieckie są definiowane dwoma elementami: a) ekonomiczną ekspansją Niemiec i stałą recydywą pewnych kręgów niemieckich do [koncepcji] gospodarczej Mitteleuropy. To właśnie stanowi główną oś sporu między nami a Niemcami. Nie pozwolimy nigdy na to, i nigdy dzięki nam ani wbrew nam Niemcy się do Mitteleuropy nie dostaną. Od dawna jest to wszak stała rywalizacja i będzie trwać, póki będzie się utrzymywał stan stałej penetracji gospodarczej i konkurencji. Politycznie nie jest to niebezpieczne dla pokoju. Obecna organizacja Małej Ententy, którą właśnie przygotowujemy, będzie nową przeszkodą na drodze tych niemieckich planów¹³. b) Drugim elementem jest sprawa Anschlussu, ale od ostatniego rozstrzygnięcia haskiego w sprawie o unię Curtius-Schrober, CSR pozostawiła tę sprawę Francji i Włochom¹⁴. Obawiamy się Anschlussu (nawet gdyby do niego doszło) znacznie mniej niż się sądzi. Poza tym błędne jest określanie tej kwestii jako problemu wyłącznie czechosłowackiego. Daleko bardziej jest to problem francuski, włoski, a także polski. My sami mamy już dość stałego głoszenia, że jesteśmy przeciwnikami Anschlussu. Jesteśmy przeciw niemu w takim stopniu i tylko takim, jak inni. Nie jest to konflikt niemiecko-czechosłowacki kat.[egorii] exohén. Dr B[eneš] dał także Beckowi trochę zwięzłych informacji o Małej Entencie¹⁵ i zgodził się z nim, że w sprawach polityki europejskiej mocarstw jesteśmy razem z Polską i zgadzamy się z Polską, że rozstrzygać o nas bez nas w jakiegokolwiek formie nie można.

Względem poglądów, aby stosunek Czechosłowacji do Polski dawał się określić dwoma wzmiankowanymi zasadami. Dr B[eneš] nie składa *oferty* (podkreślenie w tekście — AE), a sądzi tylko, że trzeba przemyśleć i zdecydować się, czy ma się coś w tym kierunku robić czy nie. Dr B[eneš] nie wie jak się sytuacja rozwinie, czy nie poniosą nas wydarzenia w kierunku

13. Chodzi o Pakt Organizacyjny Małej Ententy uzgodniony w grudniu 1932 roku w Belgradzie, a podpisany w kilka dni po tej rozmowie 16 lutego 1933 r. przy okazji konferencji ministrów spraw zagranicznych Małej Ententy w Genewie.

14. Beneš wspomina tu o werdykcie Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej z września 1931 roku w sprawie projektu niemiecko-austriackiej unii celnej.

15. Zapewne wspominał o planowanym podpisaniu Paktu Organizacyjnego Małej Ententy w najbliższych dniach.

ku zacieśnienia tych stosunków, a zwłaszcza do wspólnej polityki ekonomicznej. Wszystko zależy od rozwoju sytuacji. Pierwszym krokiem będzie jasne, wyraźne określenie rzeczywistych stosunków i ścisłych interesów. W kwestii rewizjonizmu nasze interesy są ewidentnie zgodne.

Dr B[eneš] miał wrażenie, że Beck został trochę zaskoczony, a także że odpowiedzi których udzielił wywarły na Benešu wrażenie niezdecydowanych. Bardzo starał się uspokajać w sprawie Węgier. Przyznał, że u nich jest jakaś sentymentalna sympatia do Węgier, ale on bardzo jasno dał do zrozumienia właściwym czynnikom, że Polacy w żadnym razie nie mogą popierać rewizjonizmu niemieckiego, który nawzajem popiera rewizjonizm węgierski i vice versa¹⁶. Przypuszcza jednak, że dobre stosunki polsko-węgierskie mogłyby być przydatne, gdyby pomogły polepszyć stosunki Węgier z Rumunią i innymi sąsiadami. (Dr B[eneš] zaraz nadmienił, że w sukces tej próby nie wierzy). Beck wracał kilka razy do tego, jak ostro odpowiedział Niemcom w Radzie, kiedy się rozmawiało o polskiej reformie agrarnej. Dodał, że w pełni zgadza się z taką polityką, abyśmy we wzajemnych stosunkach się nie ścierali i sobie nie szkodzili i że on ostatnio pracuje w tym kierunku dlatego, że to jest dobra zasada. Kiedy dr B[eneš] zauważył, że Beck, jako żołnierz, winien ocenić co to oznacza mieć 1000-kilometrową granicę bezpieczną w każdej sytuacji, Beck odpowiedział, że już teraz, właśnie niedawno, odwołali z Karpat ostatnie pułki górskie. Na co dr B[eneš] odrzekł, iż jest to niezwykle interesująca wiadomość¹⁷. Teraz znowu wrócił [Beck] do tematu o mocarstwach. Dr B[eneš] zauważył, że dążenie Małej Ententy do większej samodzielności dotyczy również jej stanowiska wobec Francji, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Zostaniemy wobec Francji lojalni i przyjaźni ale przez podkreślenie swej samodzielności pomożemy i jej. Francuska lewica uświadomi sobie wtedy, że nie tylko Francja pomaga nam, ale i my jej.

Ogólnie wypowiedź Becka była nieokreślona, dużo słów, mało konkretnych faktów. Bardzo nań oddziaływała wypowiedź dr. B[eneša], że my się z Niemcami nigdy nie znajdziemy w lokalnym konflikcie. Znaleźlibyśmy się jedynie w wojnie

16. Tu chyba przestawione wyrazy. Winno być „(...) popierać rewizjonizm węgierskiego, który nawzajem popiera rewizjonizm niemiecki (...)”

17. Ta informacja Becka jest trudna do weryfikacji.

francusko-polsko-niemieckiej ponieważ byłyby to wojna europejska, w której także Włochy i Węgry nie zostałyby na boku¹⁸. Beck zgodził się, że trzeba o tym pomyśleć i że rozmowa była bardzo interesująca, *et qu'il allait réfléchir*. Dr B[eneš] zapewnił go, że jest zawsze do dyspozycji, że byłoby dobrze aby pozostawali w kontakcie i przy okazji do swej rozmowy wracali. W sumie Beck był powściągliwy, nie chciał powiedzieć i nie powiedział nic istotnego o planach i zamysłach polityki polskiej na przyszłość; „Nie otrzymałem nic prócz deklaracji w kwestiach mniej ważnych (Węgry, opór wobec mocarstw), zaś do bardziej podstawowych spraw i szerszego rozwinięcia jego poglądów i koncepcji nie doszło i [Beck] pozostał w ścisłej dyplomatycznej rezerwie”. Nie było szczerzego rozwinięcia wypowiedzi co do polityki polskiej w tym stopniu jak to uczynił dr B[eneš]. Dr B[eneš] rad by widział, gdyby Beck mówił otwarcie i obszernie i gdyby ewentualnie odważył się otwarcie sformułować zastrzeżenia jakie Polacy przeciw nam wysuwają, jak na przykład przy ostatniej wizycie naszych dziennikarzy¹⁹. Rozmowa potwierdziła w całości dotychczasowe polskie doświadczenia dr. B[eneša].

Archiv Ministerstva Zabraničnich Veci, Praha, Trezorove spisy II/1 1933, č. 29081/33.

Lektura powyższego dokumentu pozwala na wyciągnięcie kilku wniosków. Ze strony czechosłowackiej niewątpliwie ze spotkaniem wiązano pewne nadzieje. Beneš, prócz rozmowy na temat polityki międzynarodowej i stosunków bilateralnych, pragnął zapewne poznać swego nowego kolegę i zorientować się w nowych elementach polityki polskiej, które Beck wniósł na Wierzbową. Charakterystyczne jest, iż podczas rozmowy niewiele mówiono o sprawach wywołujących dotąd nieporozumienia w stosunkach dwustronnych. Zaledwie wspomniano o sytuacji mniejszości polskiej w CSR, kwestii ukraińskiej, tendencjach rusofilskich w CSR i madziarofilskich w Polsce, o problemach handlowych. Beneš, bez wątplenia inicjator

18. W oryginale: „Hodně nan pusobilo konstatování Dra B., že my se z Němci v lokálním konfliktu neoctneme, ale podle evropské situace, že bychom se dostali do války francouzsko-polsko-německé, neboť to by pak byla válka evropská, v níž ovšem také ani Italie ani Madarsko nezustaly stranou”.

19. Zob. zprypis nr 8.

rozmowy, zachował podczas jej biegu inicjatywę i skoncentrował się raczej na kwestiach wielkiej polityki, a nie na trudnościach w stosunkach bilateralnych. Miał widać nadzieję, że o tych sprawach wspomni Beck z własnej inicjatywy. Najważniejsze elementy w wypowiedzi Beneša to podkreślenie niezadowolenia CSR z rysującej się współpracy czterech mocarstw na konferencji rozbrojeniowej, które lekceważyły interesy mniejszych państw, wskazanie na możliwość zawarcia paktu wieczystej przyjaźni między Polską a CSR, zapowiedź zawarcia Paktu Organizacyjnego Małej Ententy oraz obszerny wykład o stosunku CSR do Niemiec i ewentualności Anschlussu. Beck z kolei, zadeklarował lojalność polityki Polski wobec sporów czechosłowacko-węgierskich, zgodził się, iż dialog między obu państwami należy prowadzić dalej i nieprzychylnie wypowiedział się kilkakrotnie o polityce mocarstw. W sumie, jako rozmówca, zawiódł raczej Beneša — „gadatliwość” polskiego ministra okazała się jednak zbyt mała aby go zadowolić.

W historiografii zarówno polskiej jak i czeskiej i słowackiej sprawa zawarcia paktu przyjaźni między obu państwami w 1933 r. budziła duże zainteresowanie. Sądono, że oferta Beneša dotycząca zawarcia paktu, spotkała się kontrpropozycją polską, w której wysunięto myśl zawarcia układu sojuszniczego, z gwarancjami granic itp. Publikowany zapis rozmowy, nie zawiera wzmianki, że taka propozycja została przy tej okazji wysunięta przez Becka, lub że Warszawa wystąpiła z nią wcześniej. W starszych pracach, autorzy z racji ograniczonego dostępu do źródeł opierali się raczej na przekazach pamiętnikarskich obu polityków, lub na współczesnej literaturze publicystycznej²⁰, prace wydane później uwzględniały już materiał archiwalny w większym stopniu, ale przekonanie o polskiej ofercie co do zawarcia układu sojuszniczego między

20. Np. K. Lewandowski, „Stosunki polsko-czechosłowackie w latach 1918–1939”, [w] Przyjaźnie i antagonizmy. Stosunki Polski z państwami sąsiednimi w latach 1919–1939, red. J. Żarnowski, Wrocław 1977, s. 243; Duży wpływ, jak się zdaje, miała praca F. Kahánka, „Beneš contra Beck. Réportaže a dokumenty”, Praha brw (1938), który pisze, iż na przełomie lat 1932/33 w Pradze spodziewano się oferty ze strony Polski w sprawie zawarcia układu sojuszniczego. Chcąc tę propozycję uprzedzić i uczynić dla CSR mniej kłopotliwą i zobowiązującą, Beneš sam wystąpił wobec Polski z mało konkretną propozycją zawarcia paktu przyjaźni. Kahánek przekazał więc tylko stan nastrojów panujących w Pradze jeśli chodzi o przyszłość stosunków polsko-czechosłowackich.

RP a CSR funkcjonowało nadal w literaturze historycznej. Tymczasem brak potwierdzenia tego faktu w powyższym dokumencie, pozwala na wysunięcie supozycji, iż polskiej oferty w istocie nie było, lub jedynie była to propozycja sondażowa²¹. Analizując treść zapisu rozmowy Beneš-Beck z 3 lutego 1933 r. i porównując z nią wnioski wysnute na jej podstawie i obecne w historiografii, musimy stwierdzić, iż mamy do czynienia z pewną nadinterpretacją źródła historycznego. Czy istotnie bowiem możemy twierdzić, że Beneš złożył 3.II Beckowi ofertę podpisania paktu polsko-czechosłowackiego skoro zapis rozmowy zawiera fragment wypowiedzi Beneša, że „nie jest to oferta, lecz on głośno myśli...”. Wydaje się, że lepiej byłoby pisać ostrożniej, iż Beneš mówił o pakcie przyjaźni jako o pewnej możliwej opcji do zrealizowania w stosunkach obu państw w przyszłości, a nie składał wyraźną propozycję w tej sprawie. Charakterystyczna była bowiem forma wypowiedzi czechosłowackiego ministra, który najpierw wspominał o możliwości podpisania paktu wieczystej przyjaźni, a później zaraz zaznaczył, iż „sami Polacy będą wiedzieli co robić” i według tego postępować. Można więc stwierdzić, iż Beneš nie oferował Polsce paktu o przyjaźni ale stwierdził tylko, iż Polska i Czechosłowacja mogą być związane takim paktem, o ile Polska uzna to za stosowne. Inicjatywa znalazła się po tej rozmowie po stronie polskiej i od Warszawy zależało teraz ustosunkowanie się do wypowiedzi Beneša. Biorąc pod uwagę jej treść, a także obszerny jego „wykład” na temat stosunków CSR-Niemcy, można sądzić, iż strona polska nie była zainteresowana taką formą współ-

21. H. Bułhak, badając współpracę wojskową między dwoma państwami w oparciu o materiały z Centralnego Archiwum Wojskowego („Z dziejów stosunków wojskowych polsko-czechosłowackich w latach 1927–1936, *Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej*, XI 1975), również nie znalazł informacji o tej polskiej propozycji. Tym niemniej, wspomina o niej Girsza w raporcie z 1.X.1932 r. AMZV. Politicke zpravy Varšava 1932, č. 74. Być może spotkał się z mało zobowiązującymi sugestiami na gruncie nieoficjalnym. Z kolei Beneš rozmawiając z MacDonaldem i Simonem w Genewie 13 i 17 marca 1933 r. stwierdził dwukrotnie, iż w rozmowie z Beckiem odrzucił propozycje sojuszu z Polską. (Documents on British Foreign Policy, Second series, vol. IV, dok. nr 298, vol V, Enclosure in no. 42). Jak ustalił Wandycz („Trzy próby...” s. 230), informacje podobnej treści przekazywał Beneš dyplomatom brytyjskim także w kwietniu i maju 1933 r. Sprawa wymaga dalszych badań.

pracy politycznej²².

Dla Becka ważne niewątpliwie były wypowiedzi Beneša o niezadowoleniu CSR z polityki mocarstw oraz niejasna deklaracja „iz Czechosłowacja i Niemcy nie znajdują się nigdy w konflikcie lokalnym”. To ostatnie mogło znaczyć, że elementy sporne w stosunkach między obu państwami są zbyt małe aby doprowadzić do konfliktu. Beneš potwierdził swe dotychczasowe stanowisko, iż CSR poza rywalizacją ekonomiczną z Niemcami w basenie Dunaju nie ma innych punktów spornych z Berlinem²³. Deklaracje czechosłowackiego ministra w sprawie Anschlussu są bardzo charakterystyczne. Wzmianka, iż po upadku projektu austriacko-niemieckiej unii celnej z 1931 roku, problem Anschlussu stał się sprawą interesującą Francję i Włochy, czy nawet Polskę, miała przekonać jego rozmówcę, iż polityka RP mająca na celu podkreślenie powstałych przy tej okazji głębokich rozbieżności niemiecko-czechosłowackich była błędem, gdyż CSR w istocie nie obawia się wchłonięcia Austrii przez Niemcy²⁴. Beneš usiłował więc dowodzić, iż forma nacisku na Pragę przy użyciu tych instrumentów nie będzie mieć powodzenia. Dla Becka dużą wartość miała negatywna wypowiedź Beneša o polityce mocarstw w ostatnich miesiącach, a zwłaszcza krytyka ich dążeń do rozstrzygnięcia ważnych spraw europejskich poza Ligą Narodów i Konferencją Rozbrojeniową, bez udziału państw mniejszych²⁵. Ponieważ było to zbieżne z ocenami tych działań w Warszawie, raczej na tej płaszczyźnie mógł

22. Beneš w kwietniu 1933 r. informował stronę francuską, że podczas rozmów z Beckiem nie występował ani z propozycją przystąpienia Polski do Małej Ententy, ani z ofertą sojuszu polsko-czechosłowackiego. Documents diplomatiques français, 1 série, Vol III, Rapport Noël do Paryża z 4.IV.1933.

23. Czechosłowacki minister poprzez tę wypowiedź zniechęcił chyba Becka do badania sprawy, w jakiej sytuacji CSR może stać się dla Polski sojusznikiem przeciw Niemcom.

24. Chodzi o politykę Polski w czasie dyplomatycznej rozgrywki wokół projektu austriacko-niemieckiej unii celnej w 1931 roku. Szerzej: A. Essen, „Stanowisko Polski wobec projektu austriacko-niemieckiej unii celnej z marca 1931 roku”. *Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Prace Historyczne nr 91, Studia polono-danubiana et balcanica III, Kraków 1988.

25. Zapewne chodziło o deklarację z 11.XII.1932 r. w sprawie przyznania Niemcom równych praw w dziedzinie zbrojeń i być może o pogłoski o prowadzonych dyskusjach w sprawie nowych form współpracy mocarstw.

Beck poszukiwać możliwości zbliżenia obu państw, a nie budować na „głośnym myśleniu” Beneša o pakcie przyjaźni między CSR a RP. Zgłoszony miesiąc później projekt Paktu Czterech był okazją do weryfikacji stanowczej postawy czechosłowackiego ministra w tej kwestii²⁶.

Pozornie dziwić może zupełne pominięcie w rozmowie bardzo istotnego faktu, który miał miejsce w Niemczech cztery dni wcześniej. Objęcie funkcji kanclerza przez Adolfa Hitlera 30 stycznia 1933 r. nie było tematem rozmowy obu ministrów. Zapewne był to fakt zbyt świeży. Z pewnych względów nawiązanie do aktualnych wydarzeń w Niemczech było dla obu polityków niewygodne. Narodowi socjaliści słusznie uchodzili za konsekwentnych wrogów ładu wersalskiego, jawnie umieszczając w swych programach postulat jego obalenia. W prasie europejskiej przewidywano, iż Hitler, jako kanclerz, będzie bardziej energicznie realizował pretensje niemieckie na wschodzie. „Korytarz” i Gdańsk uważano za najbliższe cele niemieckich rewindykacji pod nowym kierownictwem. Czy nie wyciągnie on jednak ręki po czeskie Sudety zamieszkałe przez ponad 3 mln. Niemców? Na to pytanie nie umiano sobie odpowiedzieć. Stąd też brak wzmianki w rozmowie o zmianach wewnętrznych w Niemczech raczej nie dziwi.

26. Przy tej okazji należy wspomnieć, iż w cytowanym już artykule Tomaszewskiego i Valenty (s. 702, przyp. 26) zaproponowano nową interpretację wydarzeń z marca 1933 r. w stosunkach polsko-czechosłowackich. Autorzy sugerują, iż podczas sesji Rady Ligi Narodów w marcu 1933 roku, Beck i Beneš kontynuowali swą rozmowę z lutego. Informacja ta oparta jest wyłącznie na pamiętnikach Beneša (op.cit. s. 15), który pisze, iż „wiosną 1933 r.” omawiał z Beckiem sposoby współdziałania przeciw Paktowi Czterech, uzgodnił wizytę polskiego ministra w Pradze i ponowił swą propozycję zawarcia paktu przyjaźni między obu państwami. Beck bawił w Genewie do 16 marca, projekt Paktu Czterech zgłoszono dwa dni później, tak więc nie mógł on być tematem rozmowy obu ministrów. Mogli oni jedynie dyskutować, podobnie jak 3 lutego, o tendencjach w polityce mocarstw zmierzających do rozstrzygnięcia spraw kontynentu we własnym gronie. Możliwe, iż przy okazji rozmowy Beneš powrócił do swej koncepcji paktu przyjaźni. Jednakże brak potwierdzenia faktu tej rozmowy zarówno w korespondencji MSZ CSR z Girsą, jak i polskiego MSZ z Grzybowskim. Brak też o niej wzmianki w prasie. Informacja Beneša o uzgodnieniu wizyty Becka w Pradze w świetle zachowanych źródeł archiwalnych wydaje się nieprawdziwa. Autorzy nie uwzględnili treści rozmów Beneša z MacDonaldem, Simonem i Noëlem. Zob. przyp. 21 i 22.

Spotkanie Beneš-Beck z 3 lutego 1933 roku jest drugim z trzech, które się odbyły i które poświęcono omówieniu sytuacji politycznej²⁷. Do kolejnego doszło w styczniu 1934 r., tuż przed podpisaniem polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji²⁸. Relacja Becka o rozmowach z Benešem w jego pamiętnikach różni się zasadniczo od treści zawartych w opublikowanym dokumencie²⁹. Również pamiętniki Beneša nierzetelnie przedstawiają ten fakt³⁰. Z tych właśnie powodów opublikowanie czechosłowackiego zapisu rozmowy obu ministrów wydaje się celowe.

Andrzej ESSEN

27. Nie wymieniamy tu spotkań obu ministrów, które miały miejsce w Genewie przy okazji sesji Rady Ligi Narodów (np. 26.I.1933 r.). Chodzi o spotkania podczas których omawiano stosunki dwustronne i kwestie związane ze współpracą obu państw na arenie międzynarodowej.

28. Czechosłowacki zapis tej rozmowy opublikował W. Balcerak: „Legenda bez pokrycia”. *Studia z dziejów ZSRR i Europy Środkowej*, IX 1973. Niektóre fragmenty wypowiedzi Beneša w rozmowie z Beckiem z 20.I.1934 r. są identyczne z tymi, których użył rozmawiając z polskim ministrem rok wcześniej (np. w kwestii niemieckiej), co dowodzi, iż nie reagował na zmiany sytuacji międzynarodowej. J. Kozeński podaje (op. cit. s. 63), że obaj ministrowie spotkali się jeszcze raz, 2 września 1933 r. w Genewie. Jest to informacja mylna, gdyż na początku września Beck był w Warszawie – 2.IX rozmawiał z Laroche’em.

29. J. Beck (Preliminaria polityczne do wojny 1939 roku. [w] „Polska polityka zagraniczna w latach 1926–1939”. Na podstawie tekstów min. Józefa Becka opracowała Anna M. Cienciała, Instytut Literacki Paryż 1990, s. 98–99) pisze, iż przy okazji rozmowy obszernie wytuńczył zastrzeżenia Polski wobec CSR. Miał wspomnieć o polityce władz CSR wobec polskiej mniejszości na Zaolziu, wskazać na antypolską działalność komunistyczną w Pradze, wspomnieć też o emigracji ukraińskiej. Ponieważ znamy treść rozmów Becka z Benešem w Genewie 26.XI.1932r., 3.II.1933 r. i 19.I.1934 r., możemy przypuszczać, iż chodzi o przebieg spotkania w marcu 1933 r., choć sam fakt jego odbycia wydaje się wątpliwy. Zob. przyp. 26.

30. Zob. przypisy: 3, 8, 11, 22, 26, 29.

RECENZJE

Tadeusz WYRWA

ZESZYTY HISTORYCZNE WiN-u (Z dziejów poakowskiego podziemia)

Do nie tak dawna można było mieć obawę, że po konspiracyjnym ruchu oporu z okresu stalinowskiego niewiele zostanie oprócz protokołów i różnych dokumentów z procesów bezpieki, oraz nielicznych wspomnień, jakie zachowały się przeważnie na użytek najbliższego grona znajomych i rodziny. Ogromnie zniekształcony byłby to obraz historii powojennego podziemia, jego walk, ofiar i rozmaitych powiązań krajowych i zagranicznych. Z myślą o uratowaniu tego, co da się jeszcze uratować, żeby odtworzyć w oparciu o źródłowy materiał dzieje poakowskiego podziemia, nieliczny zespół b. żołnierzy AK i WiN-u zaczął wydawać w 1992 roku *Zeszyty Historyczne WiN-u* („Wolność i Niezawisłość”), jedynej organizacji konspiracyjnej, która po wojnie miała rozgałęzienia w skali ogólnokrajowej. Zanim przejdę do problemów zawartych w opracowaniach zamieszczonych na łamach tych *Zeszytów*, niezbędne jest krótkie wprowadzenie do sytuacji, w jakiej tworzone WiN.

W chwili rozwiązania AK rozkazem gen. Okulickiego z 19 stycznia 1945, potwierdzonym przez prezydenta Raczkiewicza w jego przemówieniu radiowym z 8 lutego, istniały zręby organizacji „Niepodległość” pod kryptonimem NIE, przewidzianej przez gen. Bora-Komorowskiego na wypadek okupacji sowieckiej, o czym donosił komendant AK w raporcie do gen. Sosnkowskiego z 26 listopada 1943 roku. Na

czelu NIE stanął płk August Emil Fieldorf „Nil”, o pięknej karcie żołnierskiej, dotychczasowy dowódca „Kedywu”¹, a jej szefem sztabu został ppłk Ludwik Muzyczka „Benedykt”, odwołany w tym celu ze stanowiska Szefostwa Biur Wojskowych (kryptonim „Teczka”). NIE miała być organizacją elitarną, o charakterze polityczno-wojskowym, tworzoną poza strukturami AK². Jej pierwsze zawiązki powstały wiosną 1944 roku w okręgach wschodnich, ale w następnych miesiącach niewiele wyszła poza wstępne stadium przygotowań. Gdy wybuchło w Warszawie powstanie płk Fieldorf był już od jakiegoś czasu wyłączony z działań bojowych. Awansowany 28 września 1944 roku do stopnia generała brygady, Fieldorf znalazł się po Powstaniu w Częstochowie, wezwany tam przez gen. Okulickiego, który tworzył nowe kierownictwo Armii Krajowej i zaproponował Fieldorfowi stanowisko zastępcy dowódcy AK, czekając samemu na definitywne załatwienie w Londynie swojej nominacji na komendanta AK, co nastąpiło dopiero 21 grudnia 1944, ale bez potwierdzenia Fieldorfa na zastępcę.

W ogólnym chaosie odbudowy dowództwa AK po Powstaniu Warszawskim, spotęgowanym zwlekaniem przez rząd polski z nominacją gen. Okulickiego na stanowisko komendanta, oraz załamaniem się akcji „Burza”, przystąpiono również do odtwarzania organizacji NIE. W rozróżnieniu NIE z okresu przed Powstaniem, o kryptonimie pisanyymi dużymi literami, spotyka się kryptonim „Nie” z małej litery dla określenia tej organizacji po Powstaniu, kiedy podlegała Okulickiemu, jako komendantowi AK (dla uproszczenia używam tylko kryptonimu NIE). W odtwarzanym dowództwie AK w Częstochowie, szefem sztabu został płk Janusz Bokszczanin „Sęk”, a zadaniem gen. Fieldorfa było rozbudowanie organizacji NIE, która — według statutu wówczas opracowanego — miała być organizacją o charakterze wojskowo-cywilnym³, elitarnym, o zapleczu ideowo-politycznym⁴.

1. „Kedyw” kryptonim kierownictwa dywersji specjalnych oddziałów dywersyjno-sabotażowych.

2. Zob. Maria Fieldorf, Leszek Zachuta, „Generał 'Nil' August Emil Fieldorf. Fakty, dokumenty, relacje”. Pax, Warszawa 1993, str. 113 i nast.

3. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 99, str. 228 i nast.

4. Zob. „Wywiad z Adamem Bieniem” w *Zeszytach Historycznych* nr 87, str. 122.

Dnia 19 stycznia 1945 Okulicki rozwiązuje AK i w depeszy do Londynu pisze, że „sam z mocno zredukowanym sztabem, przechodzę do konspiracji rozwijając ją na 'Nie'”. W lutym, Okulicki, zajęty rozmowami z przedstawicielami partii przed posiedzeniem Rady Jedności Narodowej w Leśnej Podkowie pod Warszawą, przekazuje Fieldorfowi kierownictwo siatki AK z zaleceniem rozwijania organizacji NIE na bazie struktur byłych sztabów AK, czyli o szerszym już założeniu. Dnia 7 marca Fieldorf jest przypadkowo aresztowany przez NKWD, ale nie rozpoznany zostaje wywieziony do Rosji⁵, a 28 tego samego miesiąca NKWD aresztuje Okulickiego, wraz z piętnastoma przywódcami Polski Podziemnej. Przed aresztowaniem Okulicki wyznaczył na swojego następcę płk. Jana Rzepeckiego-„Ożóg”, który w pierwszej dekadzie lutego powrócił z niewoli, gdzie był wzięty po upadku Powstania.

Rozkazem z 7 maja 1945 roku, gen. Anders p.o. naczelnego wodza mianuje Rzepeckiego delegatem Sił Zbrojnych na Kraj, a więc nie komendantem b. AK, jakim był Okulicki, ale z jego uprawnieniami. Rzepecki wyznacza z kolei na swego następcę, gdyby został aresztowany, płk. Janusza Bokszczanina-„Sęk”. Wcześniej już, bo depeszą z 11 kwietnia, rząd w Londynie upoważnia Stefana Korbońskiego-„Nowak”, „Zieliński” do czasowego zastępowania delegata rządu Janковского, aresztowanego w Pruszkowie⁶. Korboński zrezygnował z tego stanowiska 27 czerwca i funkcję p.o. delegata rządu złożył na ręce Jerzego Brauna, przewodniczącego Rady Jedności Narodowej⁷.

W raporcie do gen. Andersa z 15 kwietnia 1945, Rzepecki proponuje zlikwidowanie organizacji NIE, co następuje z dniem 7 maja. Rzepecki działa w dalszym ciągu jako szef

5. Gen. August Emil Fieldorf dzięki temu, że nie został rozpoznany, wrócił z Rosji w październiku 1947. Nie włączył się w działalność organizacji WiN, przewidując że spowoduje zagładę tysięcy niewinnych ludzi. Zostaje jednak ponownie aresztowany i stracony 22 lutego 1953 roku w więzieniu na Mokotowie. Zob. Andrzej M. Kobos (opr.), „Gen. Fieldorf 'Nil' (Wspomnienia żony)” w *Zeszytach Historycznych* nr 101, str. 91-114.

6. Zob. Stefan Korboński, „Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939-1945”, Instytut Literacki, Paryż 1975, str. 226 i nast.

7. Zob. Kazimierz Braun, „Jerzy Braun (1901-1975)” w *Zeszytach Historycznych* nr 98, str. 193-199.

Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ), organizacji o charakterze ściśle wojskowym, opartej na strukturach AK i NIE⁸, orężnej jeszcze walki rozproszonych po kraju oddziałów leśnych.

Dnia 1 lipca 1945 roku rozwiązuje się Rada Jedności Narodowej i wydaje odezwę „Testament Polski Walczącej”, który jest ostatnim aktem rozbrojonego już kilka miesięcy wcześniej, w wyniku „Burzy”, Państwa Podziemnego. W raporcie z 12 czerwca 1945 do gen. Bora-Komorowskiego, który po przybyciu do Londynu objął 28 maja stanowisko naczelnego wodza, Rzepecki pisał: „Powszechna woła oporu przeciw sowiecko-lubelskiej rzeczywistości przeradza się wśród byłej AK i związanych z nią kół w opór przeciw rozwiązaniu szeregów”. Dnia 15 lipca Rzepecki potwierdza: „Społeczeństwo nasze jest dzisiaj zdezorientowane, rozżalone na rząd RP w Londynie i na Anglosasów...”. Trzy tygodnie później, Rzepecki wydaje 6 sierpnia rozkaz likwidacyjny DSZ i zwalnia żołnierzy do rezerwy⁹. W instrukcji do Rzepeckiego z sierpnia 1945 (bez dokładnej daty) Bór-Komorowski aprobował rozwiązanie DSZ (a nic nie zmieniłoby postaci rzeczy, gdyby nie akceptował), podkreślając że rząd „nie ma zamiaru prowadzić walki zbrojnej jak to miało miejsce w czasie okupacji niemieckiej¹⁰”.

Rozwiązanie DSZ, organizacji o charakterze czysto wojskowym, było logicznym skutkiem ewolucji poglądów Rzepeckiego, który w odezwie z 24 lipca 1945 nawoływał żołnierzy „do jawnej pracy” a we wskazaniach do oddziałów leśnych z 31 tego samego miesiąca pisał, że należy „jak najenergiczniej dążyć do niezwłocznego zakończenia wszelkiej działalności partyzanckiej... że nie jest dziś czas na walkę zbrojną¹¹”. Rzepecki liczył na pomoc Mikołajczyka w rozładowaniu podziemia, pisał do niego listy, które zostały bez odpowiedzi¹². Na domiar wszystkiego 1 sierpnia zostaje

8. Zob. Janusz Kurtyka, „Na szlaku AK (NIE, DSZ, WiN)” w *Zeszytach Historycznych* nr 94, str. 24 i nast. Zob. również uwagi i uzupełnienia do tego artykułu: Henryk Kozłowski-„Kmita” w *Zeszytach Historycznych* nr 96 str. 228-231.

9. Zob. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”. Studium Polski Podziemnej, Londyn 1989, tom VI „Uzupełnienia”, str. 471, 472, 484, 485.

10. Supra, tom V, str. 493.

11. Supra, tom VI, str. 477-478.

12. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 95, str. 194 i nast.

aresztowany płk Jan Mazurkiewicz „Radosław”, b. szef „Kedywu” (po gen. Fieldorfie), później komendant obszaru centralnego NIE i DSZ. Mazurkiewicz, poparty przez również uwięzionych dowódców okręgów, wydaje z więzienia podwładnym żołnierzom rozkaz ujawnienia się¹³. Jak przypomni po latach ppłk Józef Rybicki, wybitny działacz Podziemia: „Radosław jeździ po więzieniach łódzkich, lubelskich itd. Namawia wszędzie do ujawniania się... ujawnił cały swój sztab, który rozsyłał, żeby ujawniali innych... następuje w kraju potworne rozbitcie polityczne¹⁴”.

Działacze Podziemia znaleźli się na rozdrożu, należało wybrać: ujawnienie i próba współdziałania w życiu politycznym kraju czy dalsza konspiracja? Wybrano drogę pośrednią, usiłując połączyć obydwie tendencje, czego wyrazem było utworzenie dnia 2 września 1945 w Warszawie¹⁵ Zrzeszenia pod nazwą „Wolność i Niezawisłość” (WiN). W swoich założeniach WiN miała być organizacją polityczną, społeczno-wychowawczą, ale w rzeczywistości miała charakter polityczno-wojskowy, chociażby z uwagi na fakt, że w dużym stopniu oparta była na organizacyjnej sieci AK, NIE, DSZ. Grupa założycielska WiN-u składała się z wojskowych wyższych stopni: płk J. Rzepecki, płk A. Sanojca, płk J. Bokszczanin, płk F. Niepokólczycki, płk J. Szczurek-Cergowski, ppłk L. Muzyczka i ppłk J. Rybicki.

Dzieje WiN-u, bohaterskie do końca 1947 i tragiczne od tej daty do stycznia 1953 roku, nie są jeszcze opracowane tak, jak na to zasługują. Panująca wokół nich zmowa milczenia została przerwana w 1978 roku publikacją książki Stanisława Kluz¹⁶. Autor tej książki, członek AK i WiN-u, ksiądz, więziony w latach pięćdziesiątych, po wydostaniu się z Polski w 1961 roku osiadł w Anglii, gdzie zmarł w 1982 roku. Książka pisana jest z pasją, z emocją i z goryczą po tym wszystkim, co się stało z Podziemiem w Polsce i co autor widział na emigracji. Kluz nie ustrzegł się od błędów i

13. Zob. Tomasz Lenczewski, „Deklaracja płk. Jana Mazurkiewicza-’Radosława’ z 8 września 1945r.” w *Zeszytach Historycznych* nr 93, str. 188 i nast.

14. Józef Rybicki, „Rok 1945” w *Zeszytach Historycznych* nr 82, str. 34.

15. Zob. Stanisław Salmonowicz, „Ludwik Muzyczka 1900-1977. Polityk i żołnierz”, Instytut Historii PAN, Warszawa 1992, str. 30.

16. Stanisław Kluz, „W potrzasku dziejowym. WiN na szlaku AK”, Veritas, Londyn 1978.

pomyłek, ale książka jego, oparta w dużym stopniu na zagranicznych zbiorach archiwalnych, jest pracą pionierską w całym tego słowa znaczeniu. Polemizował z nim Tadeusz Żenczykowski¹⁷, lecz nadto nikt nie zabrał głosu z osób zamieszkałych na Zachodzie i bezpośrednio związanych z działalnością WiN-u.

Chwalebną ze wszech miar inicjatywę przedsięwzięło w Krakowie małe grono osób, członków b. AK i WiN-u, tworząc Komisję Historyczną Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, która podjęła się wydawania, dwa razy w roku, *Zeszytów Historycznych WiN-u*. Dotychczas ukazały się cztery numery: pierwszy wyszedł w marcu 1992 a czwarty w grudniu 1993. Duszą tego wydawnictwa jest jego redaktor naczelny (do 4 numeru włącznie) Andrzej Zagórski, który zgromadził już imponujące archiwum i — jak mi pisze Andrzej Kobos, który z kolei je oglądał — nadal otrzymuje nowe relacje i różne dokumenty dotyczące WiN-u. Sekretarzem Redakcji do 3 numeru włącznie był, zmarły w 1993 roku, Ludwik Naleziński. Do zespołu redakcyjnego należą nadto: Tomasz Biedroń, Mieczysław Huchła, Andrzej Kostrzewski, Ludwik Kubik, Zbigniew Lazarowicz, Czesław Naleziński i Zbigniew K. Wójcik¹⁸. Ostatnio redaktorem naczelnym został Czesław Naleziński.

We wstępnym słowie do pierwszego numeru *Zeszytów Historycznych WiN-u* Redakcja pisze, że celem czasopisma jest „ocalenie od zapomnienia tych wszystkich wydarzeń z lat 1945-1956, które składają się na walkę z dyktaturą komunistyczną”. Redakcja pragnie, czytamy dalej, publikować dokumentację historyczną i relacje „uczestników podziemia z lat 1945-56, zarówno tych z WiN-u jak i innych organizacji... ujawnić i napiętnować winnych zdrady narodowej”. Redakcja zapowiada, że będzie się jednocześnie starać o przedstawienie struktury WiN-u i w miarę otrzymywanych materiałów również innych organizacji antykomunistycznych.

Pierwszy numer *Zeszytów* zawiera m.in. przedruk z książki S. Kluzza, opublikowanego także w paryskich *Zeszytach*

17. Tadeusz Żenczykowski w *Zeszytach Historycznych* nr 48, str. 209-217. Stanisław Kluz w *Zeszytach Historycznych* nr 51, str. 224-227. T. Żenczykowski, supra, str. 227-229. S. Kluz w *Zeszytach Historycznych* nr 52, str. 237-238. T. Żenczykowski w *Zeszytach Historycznych* nr 53, str. 190-191.

18. Adres redakcji: Czesław Naleziński, ul. Opolska 19 m. 74, 31-276 Kraków.

Historycznych (nr 48) red. Giedroycia, tekstu wytycznych ideowych z 15 września 1945 r., zatytułowanych „O wolność obywatela i niezawisłość państwa”. Wytyczne te zostały zredagowane przez „Główny Komitet Wykonawczy WiN-u” i zatwierdzone na zebraniu w Warszawie 9 września. Po zapoznaniu z ich treścią, przez A. Sanojcę i L. Muzyczkę, arcybiskupa krakowskiego Adama Sapiehy, wytyczne rozesłano do Obszarów (okręgów)¹⁹. Autorzy tych wytycznych podkreślali, że zagraniczną politykę Polski „musi cechować trzeźwy realizm” i konieczne jest utrzymanie dobrych stosunków ze Związkiem Sowieckim, ale konieczne jest też „by te stosunki układały się przy pełnej równorzędności i niezawisłości Polski”, podobnie jak ze wszystkimi innymi sprzymierzeńcami.

Następnie mowa jest o likwidacji rządu polskiego na obczyźnie, któremu przez 5 lat wojny Polska Podziemna lojalnie się podporządkowała. Moc tego rządu jednak wygasła „przez cofnięcie (mu) uznania międzynarodowego²⁰”. Rada Jedności Narodowej Polski Podziemnej rozwiązała się 1 lipca, „aby wchodzącym w jej skład stronnictwom demokratycznym dać możliwość wyjścia na drogę jawnej współpracy z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej (TRJN) i jawnej walki o swe cele. W ślad za tym Delegat Sił Zbrojnych na Kraj (płk Rzepecki) rozkazem z dnia 6 sierpnia br. zarządził likwidację sieci organizacyjnej...”. W wytworzonej sytuacji „głównym następstwem likwidacji rządu na obczyźnie jest ostateczne i niedwuznaczne skoncentrowanie się w kraju kierownictwa nad losami narodu”. Fakt ten „muszą zrozumieć emigracyjne koła polityczne i rzesze Polaków na obczyźnie... Żądamy więc szybkiego powrotu emigracji wojennej do kraju...”. Organizatorzy WiN-u stwierdzają jednocześnie w swoich wytycznych, że istniejące oficjalnie ugrupowania polityczne „znajdują się pod totalistyczną dyktaturą jednej partii” a Polska rządzona jest przez „nieodpowiedzialne organy bezpieczeństwa”. Wytyczne kończą się żądaniem przeprowadzenia wolnych wyborów kontrolowanych „przez rządzące świat mocarstwa”, oraz nadzieją, wyrażoną w hasle: „Wyborów sfałszować nie damy”.

19. Zob. Janusz Kurtyka, op.cit., str. 31.

20. Wraz z cofnięciem uznania rządowi polskiemu w Londynie, rząd gen. de Gaulle'a i rząd Szwecji uznały TRJN 29 czerwca 1945, a USA i Wielka Brytania 5 lipca.

Ideowe wytyczne WiN-u, o których wyżej jest mowa, nie pozostawiały żadnych wątpliwości odnośnie stosunku wobec emigracji, co było powodem różnych ujemnych następstw z obydwu stron. Publikacja tych wytycznych na łamach *Zeszytów Historycznych WiN-u* została poprzedzona wprowadzeniem Ludwika Kubika, członka Redakcji, zatytułowanym: „Po 47 latach...”, gdzie autor stara się złagodzić — co już nie zmienia postaci rzeczy — zajęta przez WiN postawę. W związku z tym pisze, że Zrzeszenie WiN-u „w swym programie działania z roku 1945 nie odcinało się od polskiego rządu emigracyjnego... ale uważało, że prowadzenie walki o Polskę suwerenną winno skoncentrować się w kraju”.

Zrzeszeniem WiN-u kierował Zarząd Główny (potocznie zwany również Komendą Główną), na czele którego stał wybieralny prezes (komendant). Prezesem 1-go Zarządu Głównego został płk Jan Rzepecki, a jego zastępcami byli: płk Janusz Bokszczanin i płk Antoni Sanojca. Terytorialnie kraj podzielony był na trzy Obszary podlegające poszczególnym prezesom: Zachodni — płk Jan Szczurek-Cergowski, Centralny — ppłk Józef Rybicki, Południowy — płk Antoni Sanojca. Na przełomie września/października 1945 roku, płk Bokszczanin został wysłany do Londynu w charakterze emisariusza WiN-u. Dnia 5 listopada Rzepecki jest aresztowany, ujawnia współpracowników i wydaje fundusze organizacyjne, około 1 miliona dolarów. Cała Komenda jest rozbita, gdyż w więzieniu znajdują się również: A. Sanojca, J. Rybicki, L. Muzyczka i inni.

Nowym prezesem Zarządu Głównego zostaje płk Jan Szczurek-Cergowski-„Sławbor”, ale wkrótce jest aresztowany i miejsce jego zajmuje płk Franciszek Niepokólczycki „Halny”. Na ogół, bardzo krótkiej prezesury Szczurka-Cergowskiego nie uważa się za drugi Zarząd WiN-u, którym w rzeczywistości, od końca listopada 1945 roku, był Zarząd na czele którego stał Niepokólczycki. Zastępcą jego został ppłk Kazimierz Rolewicz (*vel* Z. Solski).

Okres prezesury płk. Niepokólczyckiego, aresztowanego w drugiej połowie listopada 1946 roku, charakteryzował się m.in. wzmocnionym wysiłkiem uświadamiania Zachodu o sytuacji w Polsce i dążeniem do uregulowania kontaktu z rządem polskim w Londynie. Zanim będzie o tym mowa warto wspomnieć o „Ramowym planie działania Ruchu WiN-u”, jaki został zredagowany w 1946 roku (bez dokładniejszej daty) i który jest zamieszczony w nr 3 *Zeszytów History-*

cznych WiN-u (str. 118-131). Plan ten rozważa różne warianty, jeśli chodzi o przyszłość kraju, które trudno tutaj streszczać. Na wstępie do tych rozważań mowa jest, że na przestrzeni kilku ostatnich lat nie przygotowane społeczeństwo polskie znalazło się dwukrotnie pozostawione własnemu losowi. Rząd emigracyjny „cały wysiłek użytkowuje na utrzymanie się przy władzy, zatracając jednocześnie kontakt z rzeczywistością międzynarodową i w Kraju”. Zbolełe społeczeństwo polskie „potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek, wskazań i wytycznych. Tych nie dadzą nam Anglosasi... Niestety nie otrzymujemy ich również od emigracji... Jesteśmy zdani na własne siły... Rząd emigracyjny, którego legalność uznawać musimy, 'kostnieć' będzie coraz bardziej, a polityką swoją postawi się wreszcie poza biegiem wydarzeń”. Błądzą ci, „którym wydaje się, że przyszłość naszą wywalczą nam Anglosasi. Przyszłość Polski zależy od zwycięstwa Anglosasów — to prawda — niemniej zależy ona przede wszystkim od nas samych, od naszego wysiłku mózgowego i od naszych czynów”.

W marcu 1946 roku przystąpiono do tworzenia Komitetu Porozumiewawczego Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej (KPODPP), w skład którego weszli przedstawiciele WiN-u, narodowców, socjalistów i piłsudczyków. Komitet ten, o zbliżonym charakterze do dawniej istniejącej Krajowej Rady Jedności Narodowej, miał na celu koordynowanie działalności ugrupowań o różnej orientacji. Z jego współudziałem został opracowany — głównie przez ppłk. Wacława Lipińskiego — i następnie ostatecznie zredagowany przez Zarząd Główny WiN-u, „Memoriał WiN-u do Rady Bezpieczeństwa ONZ”. „Memoriał”, sygnowany przez „Polski Ruch Oporu²¹”, zawierał opis sytuacji w Polsce i apel o interwencję Rady Bezpieczeństwa na pogwałcenie w Polsce przez ZSSR podstawowych zasad Karty Narodów Zjednoczonych. Chodziło przede wszystkim o postawienie na forum międzynarodowym, głosem walczącego Kraju, sprawy agresji sowieckiej wobec Polski i uświadomienie Zachodowi, że agresja ta staje się zarzewiem nowej wojny. „Memoriał” został przekazany na Zachód za pośrednictwem ambasadora USA w Warszawie A. Bliss-Lane'a, oraz przy pomocy kanału dyplomatycznego ambasady belgijskiej.

W tym samym czasie wysłano do Londynu nowych emi-

21. Zob. *Zeszyty Historyczne WiN-u* nr 2, str. 50-83.

sariuszy WiN-u. Wcześniej, pierwszym emisariuszem, w październiku 1945 roku był płk Bokszczanin, a w lipcu 1946 roku dotarli do Londynu emisariusze w osobach: ppłk. K. Rolewicz i ppor. W. Bnińskiego, mając za zadanie nawiązanie łączności z wojskowymi władzami polskiego Londynu, gdzie gen. Bór-Komorowski, gen. Pełczyński i inni byli nadal przeciwni tworzeniu WiN-u, organizacji paramilitarnej. Płk Niepokólczycki wysłał przeto kolejną delegację złożoną ze Stefana Rostworowskiego i ppłk. Józefa Maciołka (w delegacji mieli brać również udział, ale nie dotarli do Londynu: Karol Chmiel i kpt. Jerzy Seweryn Cichalewski). Głównym zadaniem Maciołka było zorganizowanie Delegatury zagranicznej WiN-u w oparciu o wypracowane wówczas „Wytyczne dla delegacji”. Według tych wytycznych delegacja miała na celu: nawiązanie łączności z legalnymi władzami RP; przedłożenie „Memoriału” do ONZ, do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze, do prezydenta Trumana i do Rozmarka, prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, oraz uzyskanie funduszy na prowadzenie pracy w kraju i działalności propagandowej w kierunku ogólnej konsolidacji.

Gdy Maciołek i Rostworowski, ukryci na statku brytyjskim wyjeżdżali z Gdyni do Anglii, gdzie przybyli 1 września 1946 roku, WiN była w pełnym rozwoju. Miała stałe kontakty z całą jawną opozycją antykomunistyczną i utrzymywała łączność z ambasadami amerykańską i belgijską, za pośrednictwem których wysyłała wiadomości wywiadowcze na Zachód²². Wokół niej koncentrowała się działalność konspiracyjna innych ugrupowań, łącznie z utworzonym KPODPP, o którym była już mowa. WiN wydaje liczne ulotki, odezwy i około 15 tajnych czasopism²³. Większość oddziałów partyzanckich uznaje zwierzchnictwo WiN-u, organizację którą osamotnione społeczeństwo brało na ogół za spadkobierczynię AK, kierowaną przez rząd polski z Londynu. W pierwszej fazie swej działalności, WiN była nastawiona na popieranie legalnej opozycji antykomunistycznej z myślą o jej zwycięstwie w wyborach.

Jesienią 1946 roku rozpoczął się okres aresztowań i likwidacji podziemia, a tym samym tracenia złudzeń co do

22. Zob. *Zeszyty Historyczne WiN-u* nr 3, str. 8-9.

23. O jednym z tych czasopism pisze Ludwik Naleziński w artykule „Od 'Na posterunku' do 'Orla Białego'” w *Zeszytach Historycznych WiN-u*, nr 2, str. 34-42.

możliwości działania legalnej opozycji. Dnia 22 października 1946 roku zostaje aresztowany płk Niepokólczycki i kilkunastu oficerów²⁴. Funkcję prezesa objął ppłk Wincenty Kwieciński, tworząc trzeci Zarząd Główny WiN-u, ale z kolei i on jest aresztowany 5 stycznia 1947 roku. Miejsce po nim zajmuje ppłk Łukasz Ciepliński, prezes IV Zarządu Głównego²⁵ WiN-u. Znany z bojowej działalności gdy dowodził Inspektoratem Rzeszów do rozwiązania AK, a później w Organizacji NIE, „Ciepliński wprowadza WiN na najwyższy szczebel w historii jego istnienia, tak pod względem organizacyjnym, jak i ideowym²⁶”.

A był to już okres b. ciężki, po sfałszowanych wyborach w styczniu 1947 roku, szalejącym coraz bardziej terrorze, oraz poważnie nadszarpniętej odporności psychicznej społeczeństwa. Ciepliński, zdolny organizator, odbudował nadwątłone struktury WiN-u, usprawnił funkcjonowanie wywiadu, łączność z zagraniczną Delegaturą WiN-u i przekazywanie informacji za granicę. Niestety i on został aresztowany dnia 28 listopada 1947 roku i po trzyletnim śledztwie i wyroku śmierci zamordowany w więzieniu na Mokotowie 1 marca 1951 roku²⁷.

W wyniku ogłoszonej 22 lutego 1947 roku „amnestii”, ujawniło się „około 23 tysięcy członków WiN-u, co stanowiło zakończenie działań partyzanckich na masową skalę²⁸”. Podobnie też stało się rok później z niezależną działalnością WiN-u, gdyż istniejący od wiosny 1948 roku V Zarząd Główny, z niejakim prezesem Kowalskim, był całkowicie spenetrowany przez agentów UB i w tej formie przetrwał do stycznia 1953, kończąc swoje istnienie wielką prowokacją, rozpracowaniem wszystkich struktur WiN-u i bilansem licznych ofiar. Nie był natomiast spenetrowany agentami komunistycznymi skład Delegatury WiN-u za granicą, zwią-

24. Zob. „Wyrok wojskowego sądu rejonowego w Krakowie w sprawie przeciwko członkom II Zarządu Głównego WiN-u” w *Zeszytach Historycznych WiN-u* nr 1, str. 89-130.

25. Schemat organizacyjny WiN-u w latach 1945-1948, wraz ze starymi opracowanymi przez Andrzeja Zagórskiego przypisami i biogramami, znajduje się w nr 1 *Zeszytów Historycznych WiN-u*, str. 7-21, oraz w nr 2, str. 50-52.

26. Stanisław Kluz, op.cit., str. 75.

27. Zob. Andrzej Zagórski w *Zeszytach Historycznych WiN-u* nr 2, str. 130-132.

28. Janusz Kurtyka, op. cit., str. 38.

zanej z wywiadem brytyjskim i amerykańską CIA.

Pionierskie pod wieloma względami opracowanie na temat Delegatury WiN-u za granicą w latach 1946-1948 ukazało się na łamach 3 numeru *Zeszytów Historycznych WiN-u*²⁹. Autor tego opracowania, z którego niżej korzystam, oparł się na nieujawnionym dotąd zbiorze dokumentów, jaki zostawił jego stryj Stefan Rostworowski, który wraz z ppłk. Józefem Maciołkiem znalazł się we wrześniu 1946 w Anglii, gdzie do 1948 roku był członkiem Delegatury.

Pierwsze trzy tygodnie po przybyciu do Londynu Maciołek i Rostworowski byli przesłuchiwani przez funkcjonariuszy wywiadu brytyjskiego. Przebieg tych przesłuchań nie jest znany. Następnie zostali przyjęci przez szefa sztabu NW gen. Stanisława Kopańskiego, który oddał ich pod opiekę płk. Stanisława Gano, szefa Oddziału II NW i kpt. Andrzeja Pomiana³⁰ z Komitetu do spraw Kraju (dawny Oddział VI), o kryptonimie „Zbiornica”. Początkowo stosunek polskiego Londynu do emisariuszy WiN-u był pełen rezerwy, nieufny jeśli chodzi o działaczy Stronnictwa Narodowego i rządu polskiego, a raczej przychylny ze strony ugrupowania „Niepodległość i Demokracja” (NiD), przy pomocy którego i w sojuszu z WiN-em Anglicy mieli widzieć możliwość powołania „Rady Polskiej”, instytucji nierządowej, bardziej według nich odpowiadającej ówczesnym warunkom niż rząd w Londynie.

W listopadzie 1946 r. Komitet do spraw Kraju przyznał na dotację WiN-u 20.000 dolarów przeznaczone dla żołnierzy z oddziałów leśnych przechodzących do życia cywilnego, oraz 6.000 dolarów na działalność bieżącą, co emisariusze wzięli za pewnego rodzaju zmianę stosunku Bora-Komorowskiego i sztabu głównego na bardziej przychylny wobec WiN-u. Pozostała jednak ciągle otwarta kwestia uznania WiN-u przez rząd polski, o co płk Niepokólczycki polecił starać się w instrukcjach dla emisariuszy. Sprawa ta była już postawiona w pierwszych dniach października 1946 r. przez funkcjonariuszy *Intelligence Service*, którzy odradzali emisariuszom ubieganie się o uznanie WiN-u przez rząd polski, gdyż wówczas rząd ten będzie kierował działalnością w Polsce, czego wywiad

29. Zob. Stanisław Jan Rostworowski, „Delegatura WiN za granicą (1946-1948)” w *Zeszytach Historycznych WiN-u* nr 3, str. 5-27.

30. Andrzej Pomian przyjechał z Warszawy do Londynu pierwszym „mostem lotniczym” w nocy z 15 na 16 kwietnia 1944 roku i pracował w Oddziale VI (krajowym) sztabu naczelnego wodza.

brytyjski sobie nie życzył. „Ppłk Maciołek natomiast ze stanowiskiem brytyjskim musiał się liczyć”, gdyż, jak rozumował, gdyby nawet „uzyskał pełne poparcie polskich środowisk emigracyjnych w Londynie, to mimo wszystko środowiska te nie będą w stanie przyznać dotacji finansowych, jakie zaspokoiliby najniezbędniejsze potrzeby działalności WiN-u w kraju. Znaczniejsze środki finansowe można było uzyskać ze strony brytyjskiej, ale wówczas nie wolno było lekceważyć wysuwanych przez nią uwag i zaleceń”. Dlatego też emisariusze wstrzymywali wtedy starania o uznanie WiN-u przez rząd polski.

Dnia 28 listopada 1946 roku prezydent Raczkiewicz przyjmuje Stefana Rostworowskiego, a nazajutrz prezydent udziela audiencji ppłk. Maciołkowi. Charakterystyczne w tym jest to, że emisariusze są przyjmowani osobno i podobną metodę zastosował gen. Anders, przyjmując Rostworowskiego 30 listopada a 2 grudnia Maciołka. W rozmowie z Maciołkiem prezydent Raczkiewicz obiecał poprzeć starania emisariuszy o zwiększenie dotacji na konspiracyjną działalność WiN-u. W sumie, w okresie od końca grudnia 1946 do 8 kwietnia 1947 roku zostało przetrzuconych do kraju 51.000 dolarów.

Aresztowanie w październiku 1946 płk. Niepokólczyckiego, a w styczniu 1947 roku ppłk. Kwiecińskiego i objęcie prezesury przez ppłk. Ciepłińskiego otwiera nowy etap w zagranicznym przedstawicielstwie WiN-u. Ciepłiński decyduje pozostanie emisariuszy za granicą i utworzenie tam stałej Delegatury, której szefem zostaje Maciołek. Delegatura WiN-u za granicą otrzymuje kryptonim „Dardanele”, zwierzchnictwo nad nią sprawuje Centrala WiN-u w kraju, pod kryptonimem „Concordia”. Odbiorem sprawozdań przycho-dzących z kraju i wysyłanych zza granicy do Polski zajmuje się Rostworowski, przebywający wtedy na stałe w Belgii.

Między Delegaturą i *Intelligence Service*, a chyba i brytyjskim ministerstwem spraw wewnętrznych, toczą się rozmowy na temat roli WiN-u, którą wywiad brytyjski jest coraz bardziej zainteresowany w zaczynającym się już wówczas okresie zimnej wojny. Brytyjczycy są skłonni do zawarcia z Delegaturą umowy, w której wyznaczają stałe kwoty za otrzymywane z Polski informacje. Środowisko władz polskich w Londynie jest przeciwne zawieraniu tej umowy. Wkrótce śmierć prezydenta Raczkiewicza 9 czerwca 1947 roku wywołuje permanentny kryzys w politycznym życiu emigracji. Nowy rząd, powołany przez Augusta Zale-

skiego, następcę Raczkiewicza, którego premierem zostaje Bór-Komorowski, a naczelnym wodzem Anders, nie jest w stanie zażegnać pogłębiającego się kryzysu. W tej atmosferze Delegatura WiN-u mniej się już liczy z opinią rządu polskiego i we wrześniu 1947 roku ppłk Maciołek zawiera z wywiadem brytyjskim umowę o współpracy, a później, w tym samym miesiącu umowę z brytyjskim ministerstwem spraw wewnętrznych.

W tym samym czasie Stefan Rostworowski pisze do premiera Bora-Komorowskiego, że „rząd, który nie może suwerennie wykonywać swych funkcji, nie może również pretendować do prawa oddziaływania na kraj”. Problemy kraju „powinny być wyłączone z gestii rządu” i przejęte „przez działający tajnie Komitet do spraw krajowych”. W dalszym ciągu Rostworowski podkreśla, że „rząd nie uznawany przez inne państwa nie może prowadzić polityki zagranicznej” i dla prowadzenia oraz reprezentowania interesów polskich „winno się utworzyć Polski Komitet do Spraw Międzynarodowych”. Poglądy Rostworowskiego wyrażały częściowo krytyczne nastawienie do rządu polskiego w środowiskach winowskich, a częściowo „były refleksem nacisków wywiadu brytyjskiego, który chciał polskie środowiska emigracyjne wyłączyć spod władzy rządu i podporządkować uzależnionej od siebie 'Radzie Polskiej'”.

Później, w styczniu 1948 roku, w memoriale nazwanym „Tezami Ignacego” (pseudonim Stefana Rostworowskiego), Rostworowski powracał do tych problemów, stwierdzając z naciskiem, że „rząd polski na emigracji utracił źródła swego autorytetu i możliwość wypełniania funkcji władczych”, ale „winien on pozostać, jako wyraz ciągłości legalnej władzy... Kraj uznaje symbol najwyższej władzy Polski Niepodległej w stanowisku prezydenta”, lecz prezydent nie powinien „liczyć na to, że kraj odbuduje jego prestiż”.

Odmienne stanowisko wobec rządu polskiego w Londynie zajął ppłk Maciołek, który dążył do zalegalizowania WiN-u przez rząd i co osiągnął 19 września 1947 roku. W dniu tym odbyła się konferencja z udziałem prezydenta Zaleskiego, premiera Bora-Komorowskiego, Andrzeja Pomiana i szefa Delegatury ppłk. Maciołka. Na konferencji tej prezydent Zaleski oświadczył: „Uznaję WiN jako jedno z zasadniczych pręseł frontu Polski Walczącej o niepodległość”. W wyniku tego oświadczenia zostały później ustalone formy współpracy WiN-u z rządem polskim. Ironią losu było to, że

uznanie przez rząd polski WiN-u nastąpiło dopiero kilka miesięcy przed roz biciem przez UB organizacji WiN-u w Kraju, ale nie jego Delegatury za granicą, która działała w nowym układzie stosunków z emigracją i z ekspozyturami wywiadów anglosaskich. Z Delegatury odszedł wówczas Stefan Rostworowski i na tym okresie kończy się opracowanie zamieszczone w nr 3 *Zeszytów Historycznych WiN-u*, z którego czerpałem powyższe dane.

Delegatura z siedzibą w Londynie miała zespół współpracowników w Szwecji, Niemczech Zachodnich, a w Paryżu osiedliło się dwóch jej członków, b. emisariuszy z Polski: płk Janusz Bokszczanin i ppłk Kazimierz Rolewicz (Solski). Wspierana była finansowo przez rząd polski w Londynie. Nie jest wiadome, jakie korzyści materialne przyniosły jej zawarte umowy z wywiadem brytyjskim. Pomoc z funduszy polskich — z których duże sumy przekazano władzom PRL³¹, a te jakie zostały były źle gospodarowane — coraz bardziej się zmniejszała. Od końca 1950 roku pomoc finansowa przychodzi z USA w ramach umowy między ppłk. Maciołkiem, szefem Delegatury WiN-u a przedstawicielami amerykańskiej CIA³².

W Polsce, V Zarząd Główny WiN-u, jedynie z nazwy, gdyż złożony z funkcjonariuszy UB i nadzorowany przez NKWD — a podobno „już w drugiej Komendzie (Zarządzie) WiN-u były wtyczki³³ — przesyła na Zachód, w charakterze kurierów WiN-u, swoich agentów i materiały „informacyjne”, preparowane przez Ministerstwo Bezpieczeństwa w Warszawie. Jednocześnie odbiera przysyłane zza granicy duże sumy pieniędzy i sprawozdania z działalności Delegatury, opartej na strategii amerykańskiej, co było oczywiście cenne dla wywiadu sowieckiego.

Zakończenie tej podwójnej gry — bardzo zrzęcznie, trzeba przyznać, prowadzonej przez bezpiekę — miało nastąpić na rozkaz Stalina³⁴. Gra ta nie była już zapewne potrzebna i po rewelacyjnych komunikatach z dnia 27 grudnia 1952 roku w radiu warszawskim i w prasie o „zgłoszeniu się” do władz bezpieczeństwa dwóch członków z kierow-

31. Zob. Marian Utnik, „Likwidacja Oddziału VI” w *Zeszytach Historycznych* nr 62, str. 201-205.

32. Zob. Stanisław Kluz, op.cit., str. 230-231 i 397-398.

33. Józef Rybicki, op.cit., str. 38.

34. Supra, str. 39.

nictwa WiN-u, Kowalskiego-„Kos” i Sienki-„Wiktor” z archiwami i milionem dolarów, rozpoczęły się masowe aresztowania rozpracowanych wcześniej członków WiN-u. W styczniu 1953 roku rozwiązuje się Delegatura WiN-u za granicą, nie mając już dłużej żadnej racji bytu. Ostatnim emisariuszem WiN-u z Polski, w grudniu 1952 roku, miał być ks. Stanisław Kluz, aresztowany w wyniku przygotowanej prowokacji³⁵.

Do czasu, kiedy nie będą otwarte archiwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie i NKWD w Moskwie, prowokacyjna, prawie pięcioletnia działalność V Zarządu Głównego WiN-u nie może być bliżej znana. Nie są też jeszcze wyczerpująco opracowane dzieje Delegatury WiN-u za granicą, ofiary tej prowokacji³⁶. Archiwum Delegatury miał u siebie ppłk Maciołek, a po jego śmierci w 1973 roku przejął je i wykorzystał w swojej książce o WiN-ie ks. Stanisław Kluz, który z kolei zmarł w 1982 roku i archiwum, zapewne niekompletne, zostało zdeponowane, po różnych perypetiach³⁷, w Studium Polski Podziemnej w Londynie. Nie wiem jak tłumaczyć wzmiankę w przypisie przytoczonego już artykułu: „Po śmierci ks. Kluz zagięło w drodze do kraju jego archiwum, zawierające m.in. całą dokumentację książki³⁸”, z czego można wnioskować, że w Studium Polski Podziemnej znajduje się tylko część dawnego archiwum Maciołka. Do odtworzenia działalności Delegatury niezbędna jest również znajomość archiwów wywiadów brytyjskiego i amerykańskiego, które w dalszym ciągu są niedostępne.



Oprócz wykorzystanego materiału z *Zeszytów Historycznych WiN-u*, na którym dotychczas się opierałem, chciałbym przynajmniej zasygnalizować, bo nie sposób je już omówić, inne obszerniejsze opracowania zamieszczone w czterech numerach tych *Zeszytów*. Treść każdego numeru

35. Zob. Zbigniew K. Wójcik, „Ksiądz Stanisław Kluz” w *Zeszytach Historycznych WiN-u* nr 2, str. 27-33.

36. Zob. Janusz Kurtyka, „Rozbicie IV Zarządu Głównego WiN i początek prowokacji w świetle dokumentów z archiwum Delegatury zagranicznej WiN” w *Zeszytach Historycznych WiN-u* nr 4, str. 130-140.

37. Zob. Mieczysław Kluz (brat ks. Stanisława Kluz), „O archiwum Delegatury WiN” w *Zeszytach Historycznych WiN-u* nr 4, str. 241-244.

38. Zbigniew K. Wójcik, op. cit., str. 33.

podzielona jest na poszczególne działy, które stopniowo są coraz liczniejsze i czwarty zawiera: „Opracowania i artykuły”, „Wspomnienia”, „Z dokumentów WiN-u”, „Z dziejów komunistycznego terroru”, „Materiały do 'Słownika biograficznego uczestników walk z komunizmem' (Biogramy)”, „Recenzje”, „Polemiki”, „Listy do Redakcji”, „Bibliografia. Materiały do bibliografii Zrzeszenia WiN”.

W numerze 1 znajdują się m.in. opracowania: Jerzy Węgiński, „'Lwowskie' Okręgi WiN-u”; Jerzy Woźniak, „Byłem medykiem więziennym”; Mieczysław Chojnacki, „Mokotowskie więzienie. Wspomnienia z celi śmierci”. W numerze 2: Tomasz Biedroń, „Narodowe Zjednoczenie Wojskowe w powiecie krakowskim (1946-1949)”; Andrzej Zagórski (opr.), Dokumenty wyroku w sprawie plut. AK Bolesława Płachcińskiego i w sprawie członków Zarządu Wrocławskiego WiN-u. W numerze 3: Jerzy Węgiński, „Tło i zarys historii lwowskiej organizacji NIE” (z której wielu przedostało się później na ziemie zachodnie i włączyło w działalność WiN-u); Tomasz Biedroń, „Okręg Krakowski Narodowych Sił Zbrojnych w latach 1945-1946”; Zbigniew Lazarowicz, „'Klamra' Mój ojciec” (część I, cz. II w nr 4) — Wspomnienie o mjr. Adamie Lazarowiczu „Aleksandrze”, zastępcy prezesa IV Zarządu Głównego WiN-u, zamordowanym w więzieniu na Mokotowie w 1951 r; Andrzej Zagórski (opr.), Dokumenty wyroku kary śmierci na Adama Gajdka i w sprawie Adama Wohańskiego oraz Mirosława Bilińskiego; Janusz Kurtyka, Recenzja o książce Zygmunta Woźniczki pt. „Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość” (polemika Kurtyki z autorem tej książki w nr 4). W numerze 4: Jerzy Węgiński, „Odtwarzanie dowództw organizacji NIE w Małopolsce Wschodniej po akcji 'Burza'”; Ryszard Śmietanka-Kruszelnicki, „Zbrojne podziemie poakowskie na Kielecczyźnie 1945-1947”; Grzegorz Ostasz, „Z dziejów samoobrony konspiracji niepodległościowej w Rzeszowie”; Tomasz Biedroń, „Schemat organizacyjny WiN-u (1945-1947). Obszar Południowy WiN”; Stanisław Boroń, „Działalność Zrzeszenia WiN w Skale i okolicy (1945-1948); Dokumenty wyroku w sprawie Jana Władyki, komendanta Obszaru Lwowskiego AK-NIE”. Na końcu każdego numeru znajdują się, przejrzyste opracowane przez Andrzeja Zagórskiego, materiały do bibliografii WiN-u.



Autorami prawie wszystkich artykułów są b. członkowie AK i WiN-u. Piszą przeważnie w oparciu o bezpośrednią znajomość faktów, jakie sami przeżywali, a robią to bez samochwały, dość często dzisiaj spotykanej wśród kombatan-
tów, zwłaszcza akowskich, których trudne niejednokrotnie do udokumentowania dzieje ułatwiają puszczanie wodzy fantazji. Autorzy starannie wydawanych *Zeszytów WiN-u* ustrzegli się na ogół od emocjonalnego podejścia do opisywanych faktów; tu i ówdzie przebija gorycz po bezowocnej walce, poniesionych ofiarach i nieludzkich torturach w więzieniach PRL. Wszystko to stanowi razem niezastąpione źródło wiedzy z nie zbadanych obszarów najnowszej historii.

We wstępnym słowie do numeru 2 *Zeszytów Historycznych WiN-u* Redakcja pisze, że pismo „chwyciło”, wzbudziło zainteresowanie, ale jednocześnie zaznacza, że „pracujemy w warunkach chałupniczych i przy trudnościach finansowych, niemniej tkwimy w uporze, by po udanym starcie wydawanie pisma kontynuować”. W rezultacie tego uporu wyszły następane dwa numery, w żadnym jednak z nich nie ma wzmianki o pomocy materialnej, subwencji jakiejś instytucji czy fundacji (a namnożyło się ich wiele).

Podczas festiwalu rocznicowego z okazji 50-lecia „Burzy” i Powstania Warszawskiego nadal się nic nie słyszało o organizacji WiN, a przecież ona zamknęła konspiracyjno-ideową działalność AK, która w odmiennym kształcie i pod inną, bo winowską nazwą przetrwała do końca 1947 roku, do aresztowania ppłk. Łukasza Ciepłińskiego i rozbicia przez UB IV Komendy (Zarządu) WiN-u. Późniejszy okres, to lata „socjalizmu z nieludzką twarzą”, którego ofiarami stali się w pierwszym rządzie żołnierze z powojennego Podziemia, ostatni Mohikanie akowsko-winowskiego rodowodu, okrutnie zdradzeni, opuszczeni a dziś świadomie zapomniani.

Dzieje AK, WiN-u i rządu polskiego w Londynie, z decydującym często wpływem czynników obcych, są nierozzerwalnie ze sobą związane. Brak jest ciągle globalnej wizji, syntetycznego ujęcia problemów, jakie nurtowały i kształtowały te dzieje. Wymownym tego przykładem jest fragmentaryczna dotychczas wiedza o kolejach losu WiN-u. Jak napisał jeden z uczestników Podziemia: „Nikt nie mógł zatrzymać walk. Po Powstaniu nadal walka, bo nikt nie wytłumaczył o co chodzi³⁹”.

39. Ks. Juliusz Piątkowski w książce Stanisława Kluza, op.cit., str. 267.

Do dzisiaj jeszcze nie jest dokładnie wytłumaczone o co w tym wszystkim chodziło i wydawany materiał na łamach *Zeszytów Historycznych WiN-u* przyczynia się w dużym stopniu do wyjaśnienia i zrozumienia spraw okrytych swoistą złą złą milczeniem.

Tadeusz WYRWA

Józef ŁAPTOS

PRZYCZYNEK DO BIOGRAFII A. MÜHLSTEINA

Anatol Mühlstein, dyplomata polski, sekretarz, radca a w 1927 r. *chargé d'affaires* Poselstwa Polskiego w Brukseli, przeniesiony został w 1930 do Ambasady RP w Paryżu na stanowisko radcy ambasady. W lutym 1931 r. uzyskał tytuł posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego III kl. Na placówce pozostał do 1936. Jego marzenia o uzyskaniu nominacji na ambasadora w Paryżu były bliskie realizacji po klęsce wrześniowej 1939 r.

Burzliwe życie a także niepoślednia rola jaką odegrał w wielu ważnych sprawach dotyczących polskiej polityki zagranicznej powodują, że spotykamy o nim wzmianki w licznych pamiętnikach polityków z okresu międzywojennego. Jego nazwisko pojawia się także często w raportach dyplomatów francuskich udostępnionych przez nas ostatnio polskiemu czytelnikowi¹. Jako jeden z nielicznych dyplomatów został wysoko oceniony przez wielce niechętnego ekipie Becka — L. Noëla². Wszyscy podkreślali jego inteligencję i szerokie koneksje polityczne, towarzyskie i rodzinne wynikające z przyjaźni z Piłsudskim, zażyłości z wieloma działaczami II Międzynarodówki i z

1. J. Łaptos, „Dyplomaci II RP w świetle raportów Quai d'Orsay”, IW Pax, Warszawa 1993, s. 54-56, 64, 93, 134-137, 199-201, 255.

2. L. Noël, „Polonia Restituta. La Pologne entre deux mondes”, Paris 1984, s. 158, 183.

przynależności do wielkiej rodziny bankierskiej poprzez małżeństwo z Dianą de Rothschild.

Niewątpliwie jest to postać zasługująca na większe zainteresowanie ze strony historyków i zapewne doczeka się kiedyś obszernej biografii.

Wbrew pozorom autor takiej biografii nie będzie miał łatwego zadania. Wokół działalności Mühlsteina narosło tyle nie-domowień i przejawskawień, których zachowany we fragmentach i częściowo opublikowany przez *Zeszyty Historyczne* pamiętnik (nr 43/1978 ss. 44-100) nie tylko nie rozstrzyga lecz pogłębia. Przeglądając zbiory archiwum belgijskiego udało nam się, jak sądzimy, wyjaśnić jeden z fragmentów jego życiorysu, który ubrany w sensacyjną i wielce fantastyczną formę dość mocno zakorzenił się w literaturze wspomnieniowej.

Chodzi o pobyt Mühlsteina w Belgii w okresie I wojny światowej. K. Morawski we wspomnieniach opublikowanych w 1958 i przypomnianych powtórnie w 1978 r. w *Zeszytach Historycznych* (nr 43) twierdzi, że w czasie niemieckiej okupacji Belgii właśnie Mühlstein był założycielem i wydawcą tajnego pisma *Le Flambeau*, które w latach 1916-1917 redagował w zamurowanej piwnicy a drukował, dzięki znowie z kolejarzami, w tenderze lokomotywy kursującej między Gandawą a Brukselą. Świeże komunikaty Ententy miał on odbierać ukrytym w dziupli starej wierzby telefonem, który — jak pisze — „Bóg wie jak przeciągniętym drutem połączony był z tamtą stroną frontu”. Wiarygodności podanym informacjom dodawał Morawski zapewniając swoich czytelników, że słyszał tę historię z ust przełożonego Mühlsteina — polskiego posła w Brukseli — Władysława Sobańskiego. Miała ona stanowić dla niego potwierdzenie podsłuchanej w 1917 rozmowy dwóch oficerów niemieckich zdumionych tą akcją belgijskiego ruchu oporu.

W tych samych prawie słowach ów fragment życiorysu Mühlsteina przedstawia L. Gocel, dodając że nasz bohater regularnie wysyłał podziemne pismo „okrutnemu generalnemu gubernatorowi Belgii — baronowi von Bissingowi, którego te komunikaty doprowadzały do wściekłości”³. Obydwaj autorzy wspomnień przypominają o przyznanej Mühlsteinowi po wojnie wysokim belgijskim odznaczeniu „bojowym”.

Mimo przytaczanych świadectw wszystko zdaje się wskazywać na to, że informacje powyższe, znajdujące echo w prawie każdej notce biograficznej Mühlsteina pochodzą z jednego źródła, a mianowicie z artykułu opublikowanego przez anonimo-

3. L. Gocel, „Przypadki jej Królewskiej Mości Książki”, Ossolineum, Wrocław 1963, s. 37-38.

wego autora w *Naszym Przeglądzie* z 25 maja 1932 r. pt.: „Kariera Anatola Miłsztejna”.

Artykuł ów wzbogaca przedstawiony wyżej wizerunek o dalsze szczegóły. Oto bowiem Mühlstein miał przywdziać już na początku wojny mundur belgijski, a po odniesionych ranach uzyskać pierwsze odznaczenie wojskowe. Po nawiązaniu kontaktów z ruchem oporu pozwolił się zamurować w krypcie katedry brukselskiej, gdzie mając do dyspozycji maszynę drukarską wydawał broszury, ulotki i wspomniane już wyżej *Le Flambeau* kontaktując się jedynie z kardynałem i organistą (sic!). W chwili wyzwolenia kraju nasz biedny, blady bohater wychodzi na światło dzienne. Oddziały belgijskiej armii prezentują broń. Mühlstein obsypany odznaczeniami wznosi okrzyk: Niech żyje Belgia, Niech żyje Polska!

Artykuł ten dotarł, zapewne poprzez posta belgijskiego w Polsce, do MSZ, które uważało za stosowne sprawdzić na jakiej podstawie faktograficznej został on oparty.

Rezultaty tej ankiety zawiera przytoczony niżej dokument.



Biblioteka Główna MSZ
Bruksela 25 VI 1932

Notatka dla P...

Aby uzyskać dokładne wiadomości na temat działalności A. Mühlsteina podczas wojny, zwróciłem się dziś, za zgodą p. de Riddera, do p. Oscara Grojeana, dyrektora biblioteki w Ministerstwie Nauki i Sztuki, o którym wiedziałem, z niżej wymienionych powodów, że jest jedyną osobą będącą w stanie udzielić mi wiarygodnych informacji.

Otóż Oscar Grojean należał wraz z Henri Grégoirem⁴ — prof. Wolnego Uniwersytetu w Brukseli i Anatolem Mühlsteinem, podającym się wówczas za polskiego literata, do grona założycieli czasopisma noszącego tytuł *Le Flambeau*. To podziemne pismo ukazywało się w okresie od kwietnia do listopada 1918. Po zakończeniu wojny zostało wznowione i wychodziło nadal pod redakcją Grojeana i Grégoire'a. Grojean po przeczytaniu wręczonego mu przeze mnie francuskiego tłumaczenia artykułu jaki ukazał się w czasopiśmie polskim *Nasz Przegląd* z 25 maja br. wybuchnął śmiechem i wzruszył ramionami zapewniając mnie, że nie ma prawie ani słowa prawdy w

4. H. Grégoire (1881-1964), filolog belgijski, m.in. założyciel katedry języków i literatur słowiańskich przy Wolnym Uniw. Brukselskim (1926) w czym dużą rolę odegrał także A. Mühlstein.

tej historyjce, która zresztą dla każdego kto zna trochę zwyczaj naszego kraju wydawać się powinna od razu dziwaczna.

Według Grojeana Mühlstein nigdy nie był w armii belgijskiej. Urodzony w Warszawie 22 sierpnia 1889 r. rozpoczął przed wojną studia w Brukseli. Tam też zastała go wojenna zawierucha. Kilka lat wcześniej musiał uchodzić z kraju z powodu działalności politycznej, za którą w 1908 r. groziło mu carskie więzienie. Od wczesnej młodości zaangażowany był w walkę o niepodległość Polski.

Podczas wojny Mühlstein znalazł się w trudnej sytuacji materialnej i nawiązał kontakt z Hermanem Dumontem, adwokatem i pracownikiem Urzędu Stanu Cywilnego w St. Gilles (dzielnica Brukseli — J.Ł.). P. Dumont zaopiekował się nim i udzielił niezbędnej pomocy. Młody Polak zakochał się w jego córce (Susanne — J.Ł.), którą ostatecznie poślubił 1 października 1919 r. W tym okresie mieszkał przy ul. Capouillet pod nr. 53 naprzeciwko domu Dumontów. To właśnie w domu Dumontów Mühlstein miał przyjemność poznać Grojeana. Inteligentny Polak, władający dobrze językiem francuskim, przypadł do gustu Grojeanowi, który nie omieszczał poinformować go o podjętym z Grégoirem zamiarze wydawania konspiracyjnego pisma i zaprosić do współpracy. Mühlstein rzeczywiście chętnie uczestniczył w redagowaniu tego periodyku⁵.

W siedmiu kolejnych numerach *Flambeau*, jakie ukazały się podczas okupacji, można znaleźć osiem artykułów jego autorstwa podpisanych pseudonimem „Saint Georges”. Po wojnie Mühlstein pozostał w Brukseli znajdując zatrudnienie w Poselstwie Polskim.

12 maja 1919 r. Henri Grégoire i Oscar Grojean zwrócili się do MSZ z wnioskiem o przyznanie Mühlsteinowi krzyża kawalerskiego Orderu Leopolda dla uhonorowania jego zasług dla naszej sprawy podczas tragicznych lat wojny.

Prośba ta została uwzględniona dopiero po upływie roku. J.W. Król „w uznaniu dla zasług poczynionych wobec narodu belgijskiego przez Anatola Mühlsteina redaktora czasopisma *Flambeau* mianował go kawalerem Orderu Leopolda ze złotą wstęgą (rozp. królewskie nr 3430 z 2 VI 1920 r.).

Po kilku latach Mühlstein został oficerem orderu Leopolda (rozp. kr. z 12 XI 1923 r.) a następnie komandorem tego samego

5. W świetle tych danych wiarygodnie brzmią informacje (liczne) o Mühlsteinie zawarte we wspomnieniach K. Błęzyńskiego, „O mnie i nie o mnie”, Łódź 1961, s. 109 i n., z tym, że ich autor uważa się za czwartego współredaktora *Flambeau*.

orderu⁶ (rozp. kr. z 11 VI 1930 r.) — tym razem jako zasłużony dyplomata.

Wiadomo mi także, że Mühlstein rozwiódł się kilka lat temu z córką Dumonta i poślubił niedawno w Paryżu Dianę de Rothschild.

Bibliotekarz Balteaux (podpis)
Archives du Ministère des
Affaires Etrangères (belge), vol. 13 539

Józef ŁAPTOS

6. Order Leopolda ustanowiony w 1832 r. za zasługi dla Ojczyzny. Jego dewizą jest „W jedności siła”. Król jest Wielkim Mistrzem orderu i do niego należy decyzja o nominacji. Posiadał początkowo cztery klasy a następnie (od 1838) pięć klas: 1 — Grand Cordon, 2 — Grand Officier, 3 — Commandeur, 4 — Officier, 5 — Chevalier.

OKRUCHY HISTORII

JERZY STEMPOWSKI O ŻYDACH

Bern, 18 lipca 1957.

Kochany Panie Jerzy,

Z wielkim zainteresowaniem czytałem prospekt antologii Winczakiewicza. Można mu pogratulować pomysłu. Jest w nim coś pomnikowego. W antologii znajdzie się wiele rzeczy mało znanych, bo w takich okolicznościach powoływano się dotąd zawsze na prozaików. Będzie to w każdym razie bardzo interesująca publikacja.

Nie wiem natomiast czy będzie miała jakieś skutki pozaliterackie i zamierzony przez Pana wpływ kojący na powstałe znów dookoła Żydów zaognienia. Nie wszystkim Żydom się podoba, bo trudno im wszystkim dogodzić; znajdują się zapewne i tacy, którzy dojrzą w niej jeszcze jeden dowód polskiego antysemityzmu. Być może zostanie Panu po niej mała grupa żydowskich przyjaciół, i rzeczy potoczą się własnym trybem. Piszę to na podstawie długiego doświadczenia, bo byłem zamieszany w różne sprawy żydowskie, zawsze z zamiarem łagodzenia konfliktów i odwracania niebezpieczeństw. Kiedy dziś patrzę na te rzeczy z oddalenia, uderza mnie przede wszystkim bezużyteczność moich ówczesnych poczynań.

Nie wiem też wcale czy do leczenia powstałych w kraju zaognień maść mówiona będzie lepsza od maści milczącej. Wątpliwości powstają tu z samej natury tych zaognień, które zresztą wydają się teraz mniej ostre. Najbardziej zagrożeni

byli zapewne Żydzi znajdujący się w liczbie 150000 zwolnionych pracowników U.B., ale i tym, zdaje się, w tej chwili nic już nie grozi. Największym niebezpieczeństwem dla Żydów jest ich własna skrajność i nietolerancja, spadająca potem na wszystkich i najbardziej ciężąca bezbronnym i niewinnym. Na to nie widzę żadnego lekarstwa. Społeczeństwo żydowskie jest zbyt podzielone, zbyt zróżniczkowane wewnętrznie, aby mogła się znaleźć recepta ważna dla wszystkich. Antysemityzm, gotowy do gromienia wszystkich po równu, jest nieznośnym prostactwem uczuć i myśli. Coś podobnego tkwi jednak także w filosemityzmie, który też nie robi żadnych odróżnień. Jest to uczucie raczej na prywatny użytek. Mego własnego filosemityzmu nie potrafiłbym w obecnym stanie rzeczy uzasadnić żadnymi rozumnymi argumentami.

Z dzieciństwa przypominam sobie następujący epizod. Gdzieś w 1903 czy 1904 władze carskie zorganizowały pogrom w Siedlcach, po którym paru pociągami gromiłów przywieziono do Warszawy, gdzie widziałem ich, łatwych do rozpoznania, przechadzających się po Nowym Świecie. Reakcja ludności była natychmiastowa i jednoznaczna. We wszystkich kamienicach zamieszkałych przez Żydów stanęły w bramach gojowskie warty. Pamiętam ojca biorącego rewolwer, gdy szedł na swoją zmianę. Po kilku dniach gromiłów odwieziono tam skąd przyjechali. W Warszawie nie brakło wówczas endeków i chadeków, ale miejscowi antysemita nabrali wody w usta wobec postawy reszty ludności.

W czasach ONR i OZN zastanawiałem się nieraz nad tym epizodem, zadając sobie pytanie, czy i wówczas znalazłoby się ludzie gotowi wartować na Muranowskiej. Może bym się na to i zdecydował, ale nie widziałem do tego partnerów, bo nawet w bojówce PPS, która w kwietniu 1928 przyszła bronić swych posłów przed sejmem, nie widziałem gotowości do takiej inicjatywy. Między 1904 i 1930 zaszły, zarówno wśród Polaków jak wśród Żydów, niepowrotne zmiany. Po stronie polskiej były to skutki endeckiej koncepcji państwa narodowego, ciężącej na całym dwudziestolecu. Lecz i po stronie żydowskiej zmiany były równie głębokie. Czy w 1904 widział kto Żydów strzelających na wszystkie strony z naganów, eskortujących z karabinami w rękę aresztowanych lub ćwiczących się w rzucaniu granatów? Nie. Nikt by nawet w takie możliwości nie uwierzył. Tymczasem w 1917-1918 te dziwne obrazy stały się rzeczą powszednią na całym obszarze objętym rewolucją rosyjską i przenikły do wyobraźni nie tyl-

ko Polaków ale i innych ludów. Była to rzecz nowa i niepowrotna, bo postać Berka Joselewicza przechowała się tylko w pamięci polskich filosemitów, powołujących się nań w uroczystych okazjach z myślą, że przebrani za ułanów Żydzi wydadzą się bardziej swojscy.

Do zmian zaszytych w tym okresie dodać wreszcie należy antysemityzm Zachodu, bo dlaczego nie mielibyśmy o nim mówić? Poza paru prywatnymi ochotnikami, Polacy nie pomagali ostatecznie Hitlerowi w eksterminacji Żydów. Robiła to Anglia i Ameryka pełniąc rolę nagonki i pilnując, aby nikt się nie wymknął z kociołka. Robiły to ich parlamenty, aprobuując politykę i uchwalając ustawy, kiedy wszyscy wiedzieli już o co chodzi. Sami Żydzi amerykańscy patrzyli biernie, uważając widocznie rzeź Żydów europejskich za mniejszą klęskę niż ich masowy przyjazd do Ameryki. A Palestyna? Mam wrażenie, że kierownicy i uczestnicy tego przedsięwzięcia nie zaniedbali niczego dla wytworzenia tam sytuacji, z której żadnego wyjścia nie widać. Do sytuacji tej przyczyniły się wprawdzie wszystkie mocarstwa Zachodu, ale obywatele ich nie zamierzali mieszkać w Palestynie. Wszystko to są wypadki i zjawiska nie do pomyślenia w 1904, które zmieniły zasadnicze dane tzw. sprawy żydowskiej. Przed powstałymi stąd zagadnieniami czuję się bezradny i samotny, nie widząc dla siebie żadnej inicjatywy, której użyteczność dla obu stron byłaby dla mnie oczywista.

Ponieważ w przedmowie do antologii nie potrafię napisać tego co myślę, nie widzę dobrze, co mógłbym tam innego napisać. Wydaje mi się zresztą, że antologia mówi sama za siebie, mówi — jak pomniki — o rzeczach mających dłuższe trwanie, i że lepiej do nich przemijających aktualiów nie dodawać.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

J.S.

Bern, 27 października 1957

Kochany Panie Jerzy,

Przedwczoraj wróciłem z Włoch, gdzie prześladowały mnie deszcze i chłody (...)

Pierwszą rzeczą, która mi nieprzyjemnie wpadła w oko po powrocie, była wzmianka wydrukowana na ostatniej stronie LE MONDE z 26 października o bankiecie à *Cercle militaire* z okazji 30-lecia procesu Szwarcbarta.

Sam Szwarcbart, który najlepiej wiedział jak i przez kogo morderstwo Petlury zostało zorganizowane, znikł po procesie bez śladu; można przypuszczać, że nie był dumny ze swego wyczynu. Spodziewałem się, że i społeczeństwo żydowskie nie będzie wracało do tego niesławnego epizodu, w którym, niby w mikrokosmosie, skupiły się wszystkie odmiany podłości ludzkiej i plugastwa naszych czasów. Niczego tam nie brakło: ani współpracy między GPU i nacjonalistami żydowskimi, ani całkowitego przeinaczenia historii na potrzeby propagandy — historia ruchu niepodległościowego ukraińskiego, napisana z tej okazji przez publicystów żydowskich, musiała być wzorem dla Stalina — ani buntu zorganizowanego przez polityków motłochu przeciw elicie społeczeństwa żydowskiego, która właściwie nigdy już nie podniosła się z tej klęski. Ponieważ organizacje żydowskie w USA nie dały się przestraszyć krzykaczom i odmówiły pomocy finansowej, całe koszty światowej propagandy anty-ukraińskiej opłacone były ze składek najbiedniejszej ludności żydowskiej w Polsce, doprowadzonej do stanu zbiorowej hysterii przez politycznych przywódców, znajdujących się wówczas w sojuszu z endekami i próbujących w ten sposób osiągnąć Piłsudskiego. Dzienniki endeckie pisały o wyprawie kijowskiej, dzienniki żydowskie o zbrodniach Petlury. Chcąc zrozumieć sens tej imprezy, miałem przed procesem długą rozmowę z Grynbaumem, głównym organizatorem nagonki. Rozmowa ta utkwiała mi głęboko w pamięci. W swej hysterii, demagogii i chorobliwym pociągu do krwi i przemocy, Hitler nie był do nikogo tak podobny jak do Grynbauma, różniąc się odeń tylko rozmiarem środków. Grynbaum i inni nazi żydowscy musieli nad kimś się znęcać, kogoś szarpać — w tym, jak Hitler, widzieli sens swego życia — i obrali sobie na ten cel ofiarę na miarę ich środków, całkowicie bezbronną. Pamiętam też osłupienie Ukraińców na widok zorganizowanej przeciw sobie światowych rozmiarów nagonki. Paru z nich wróciło wówczas na Ukrainę, nie widząc dla swego kraju żadnej przyszłości poza symbiozą z Moskwą. Podobne refleksje musi budzić u nich dziś bankiet w *Cercle militaire*.

Zdawało się, że po wymordowaniu 6 milionów Żydów przyszedł czas na inną ocenę fanatyzmu. Po wojnach religij-

nych XVI i XVII w. Shaftesbury napisał słynną rozprawę „Przeciw entuzjazmowi”, od której rozpoczął się wiek oświecenia, pogardzającego fanatyzmem religijnym. Niemcy wyleczyli się z swego zbrodniczego delirium. Ulegałem złudzeniu, że i społeczeństwo żydowskie wyrosło z swego kompleksu prześladowanych-prześladujących. Byłem, jak widzę, w błędzie. Zaledwie Niemcy przyznały Izraelowi odszkodowanie, zaledwie wszyscy dobrzy ludzie zaczęli piszczeć słysząc słowo „antysemityzm”, kiedy znów rozległo się „hurra-ha, ryka-ha”, i fanatyczna tłuszcza znalazła się znów na wierzchu, terroryzując całe społeczeństwo żydowskie. Przypuszczam, że na widok tego okropnego bankietu rozsądniejsi ludzie milczą znów, jak podczas procesu Szwarcbarta. Co zresztą mówić na widok szumowiny 4-ej Republiki, zbratanej w *Cercle militaire* z szumowiną żydostwa, prócz tego chyba, że jest to doskonały temat dla publicystów z Kairu?

Człowiek zabijający i znęcający się nad innym z fanatyzmu jest najbardziej przygnębiającym widokiem. Równie wstrętny jest widok ludzi chwalejących to na bankiecie. Nawet widok człowieka, który zabił za 10 złotych nie jest tak beznadziejny, bo zostawia otwarte przypuszczenie, że dając mu 10 zł. można było powstrzymać go od zbrodni. Fanatyk nie zostawia nawet tego złudzenia.

Z tych zjawisk wyciągam na razie dla siebie jeden wniosek: nie chcę zabierać publicznie głosu w żadnej sprawie żydowskiej. Fanatycy nie mają skrupułów ani sumienia. Każde wystąpienie publiczne, chociażby najśluszniesze, staje się elementem ich nieuczciwej gry; każdy człowiek dobrej woli staje się pionkiem na ich brudnej szachownicy. To nie jest rola dla osób dobrej woli. Dopóki fanatycy i kłamcy zawodowi są górą, dopóki społeczeństwo żydowskie nie zrzuci ciężącego na nim pomiotu Hitlera, musi sobie dawać rady samo. Nikt mu zresztą z zewnątrz tu nie pomoże, bo gwałt rodzi gwałt, a bezczelność kłamstwa budzi słuszną urazę. W obronie przyjaciół Żydów będę mógł występować tylko prywatnie, unikając rozgłosu.

Jak Pan się czuje, kochany Panie Jerzy? (...)

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła serdecznie oddany

J.S.

Wybór z korespondencji między Jerzym Stempowskim i Jerzym Giedroyciem jest przygotowywany do druku przez Andrzeja S. Kowalczyka.

1944: JAK ZDOBYĆ „BRYTYJSKIE INFORMACJE” Z POLSKI?*

4 stycznia 1944 Armia Czerwona rozpoczęła dzieło „wyzwalania” Polski budząc najgorsze obawy wśród wyzwolanych, które szybko znalazły uzasadnienie. 21 lutego premier Mikołajczyk zwrócił się do Churchilla z prośbą o wysłanie do Polski misji brytyjskiej, która będzie „łącznikiem między władzami brytyjskimi i polskim Podziemiem czyli pełnomocnikiem rządu i dowódcą Armii Krajowej, co zapewni bardziej bezpośredni i bliższy kontakt i współpracę między Wielką Brytanią i władzami Polski Podziemnej, w dziele zwycięstwa nad Niemcami”¹.

W niejasnej sytuacji, przy braku polsko-sowieckiego porozumienia czy choć współpracy Podziemia z sowieckim dowództwem, adresat zwlekał z odpowiedzią, a sprawę przekazał do rozważenia do Foreign Office i władz wojskowych. Prośba Mikołajczyka wzbudziła zainteresowanie Lorda Selborne, szefa Special Operations Executive (Kierownictwo Specjalnych Operacji współpracujące z ruchami oporu w okupowanej Europie), które utrzymywało kontakt z AK, przewoziło z i do Polski kurierów i broń. Teraz Selborne oświadczył, że SOE chętnie wyśle taką misję, jeśli rząd i szefowie sztabu zgodzą się, ale FO orzekło, że choć byłaby przydatna gdyby udało się zawrzeć porozumienie z ZSSR w sprawie Polski, to z jego braku niczego ona nie osiągnie i, co gorzej, „jej obecność mogłaby okazać się bardzo kłopotliwa dla stosunków angielsko-sowieckich i angielsko-polskich”. Na zebraniu szefów sztabu 29 lutego padło zdanie, że nie można tego robić bez sowieckiej zgody. Cadogan oświadczył Raczyńskiemu, że ostateczna decyzja zależy od porozumienia polsko-sowieckiego. Ale czas płynął, korespondencja Churchilla ze Stalinem nie rokowała żadnej nadziei i wreszcie 7 kwietnia odpisał Mikołajczykowi, że „długo rozważano tę

* Artykuł oparty na materiałach Public Record Office.

1. PREM 3 352/2: karty 39–40.

sprawę i gruntownie przemyślano ją ze wszystkich stron. W obecnej sytuacji Rząd JKM z żalem postanowił, że nie może zgodzić się na sugestię Waszej Ekscelencji”².

Sprawa odżyła podczas Powstania i znów spotkała się z życzliwością Selborne’a, który podczas jego trwania kilkakrotnie nalegał na Churchilla o pomoc dla Warszawy i już 1 sierpnia pisał doń, że „szefowie sztabu omawiają tę sprawę i SOE przedstawia im swoje zdanie, a co do mnie, to nie muszę mówić, że będę bardzo szczęśliwy jeśli okaże się, że można spełnić polskie prośby. Od pięciu lat ich siły zbrojne walczą obok nas i są dobrymi towarzyszami broni. Nie sądzę, że z wojskowego punktu widzenia byłoby za trudno wysłać teraz do Polski część polskiej Brygady Spadochronowej. Taka wyprawa jest w zasięgu samolotów otrzymanych przez SOE dla polskich zadań, a teraz działają one na tym odcinku z Włoch... Nasze stosunki z polską armią podziemną przez ostatnie cztery lata są dokładnie takie same jak z francuską, a z tych dwu polska jest z pewnością najlepiej zorganizowana i najbardziej kompetentna. Właśnie miał miejsce najnowszy przykład jej sprawności: lotnisko w Polsce, skąd w zeszłym tygodniu SOE wywozła części tajnej rakiety niemieckiej, zostało zajęte i utrzymane przez oddział polskiej armii podziemnej w tym właśnie celu, a do ranka tego dnia używali go Niemcy”³.

26 sierpnia Selborne pisał do Churchilla wyrażając radość, że premier tyle czasu poświęca sprawie pomocy dla Warszawy i dodał: „może Pan być pewien, że jeśli da im narzędzia, to dzieło doprowadzą do końca. Ich akcja jest wspaniała”⁴. Jednocześnie SOE wystąpiło do FO z propozycją wysłania do Warszawy dwu angielskich oficerów z radionadajnikami, twierdząc że gdyby już tam byli, to nie byłoby tak ciężkich strat w samolotach dostarczających pomocy i byłoby dokładnie wiadomo co jest najpotrzebniejsze. Należy więc zrzucić ich pod Warszawą, żeby nawiązali kontakt z Anglią i bazą we Włoszech i pełnili rolę obserwatorów przy AK donoszących o jej stanie i potrzebach, co pozwoli SOE lepiej rozpoznać sytuację i organizować zrzuty⁵. Mikołajczyk też ze swej strony nalegał na Edena o wysłanie misji do Polski.

2. tamże, k. 14–38.

3. PREM 3 352/3: k. 57–59.

4. tamże, k. 52.

5. FO 371/39430: C 11213.

Sprawę, jak zwykle, przekazano do rozpatrzenia przez Centralny Departament FO, gdzie 26 sierpnia Frank Roberts zanotował swoje uwagi: „1. Raporty naszych własnych ludzi potwierdzają, że zachowanie Rosjan jest takie złe, jak już wiemy. 2. Obecność misji brytyjskiej mogłaby być hamulcem na Rosjan w ich postępowaniu z Polakami. Gdybyśmy zamierzali konfrontację z Rosjanami w sprawie polskiej lub choć mieli nadzieję, że zdołamy skutecznie bronić Polaków od Rosjan, byłoby to dobrym powodem do wysłania misji. Zakładam jednak, że jest to ostatnią rzeczą jakiej chcemy i że będziemy zmuszeni udawać, że nie dostrzegamy wielu nieprzyjemnych rzeczy, które już dzieją się w Polsce i jeszcze się nasilą. Jeśli to założenie jest słuszne, to czym więcej polegamy na Polakach i mniej na własnych obserwatorach w Polsce — tym lepiej”. Jeszcze jaśniej rzecz ujął kolega Roberts, Harrison: „jest jasne, że obecność brytyjskiej misji w Warszawie będzie kłopotliwa... dla stosunków angielsko-rosyjskich. Cała ta polska sprawa i bez tego dostatecznie komplikuje angielsko-rosyjskie stosunki, bez dodawania nowych trudności. Co by się, dla przykładu, stało gdyby Rosjanie uwieźli czy nawet zlikwidowali naszą misję, jak oni to potrafią? Nie moglibyśmy tego zwyczajnie zignorować”.

Z tą opinią rzecz poszła do decyzji i 30 sierpnia Eden obszernie pisał o niej do Churchilla. W ślad za Robertsem podkreślił korzyści, ale dodał że i teraz władze brytyjskie są na bieżąco informowane o sytuacji przez Polaków, których „obraz nam dostarczany jest zasadniczo prawdziwy. Nigdy nie przyłapaliśmy Polaków [na kłamstwie], a nasze sprawdzenie często potwierdza ich dane. Wystani przez nas oficerowie łącznikowi musieliby całkowicie polegać na Polakach jeśli chodzi o informacje, a nawet o swe własne życie, i w tych warunkach byłoby wątpliwe o ile byliby obiektywni”. Co więcej, „w kilka tygodni cała Polska może być w rękę sowieckich wojsk i będzie dostatecznie złe jeśli władze sowieckie wezmą się do likwidacji polskiego ruchu podziemnego, a byłoby jeszcze gorzej gdyby brytyjscy oficerowie byli tam obecni, gdy to się będzie działo” [tu dopisana uwaga Churchilla: „Dlaczego?”] „Rozważywszy sprawę widzę, że lepiej nie posyłać brytyjskich oficerów do Warszawy i, jeśli Pan się zgadza, proponuję po raz drugi odrzucić te wnioski”. W tym miejscu Churchill dopisał: „uważam, że powinni

6. tamże.

pojechać⁷”, ale więcej tym się nie interesował, a podwładni zdecydowali, jak zwykle, czekać aż polska sytuacja wyjaśni się.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym właśnie czasie Litauer przypomniał w *News Chronicle* (30.VIII), o konferencji prasowej dla zagranicznych dziennikarzy w Lublinie, na której Osóbka-Morawski stwierdził, że „proponowaliśmy już dawno Sir Archibaldowi Kerrowi i p. Averellowi Harrimanowi [ambasadorzy w Moskwie], żeby Wielka Brytania i Ameryka wysłały wojskowe misje do Polski dla zdobycia wiadomości o sytuacji z pierwszej ręki. Było to w pierwszej dekadzie lipca, ale tych misji nie wysłano⁸”.



W tym czasie inne źródło brytyjskie, a więc wiarygodne choć zależne od Polaków, nadsyłało bieżące wiadomości z samego serca walczącej Warszawy. John Ward, sierżant RAFu (nr 542939), który zbiegł z niewoli niemieckiej i znalazł się pod opieką AK, wkrótce po wybuchu Powstania nawiązał kontakt z SOE. Tu już o nim wiedziano od kaprala Jefferysa, który był z nim razem w Warszawie i dotarł do Anglii. Teraz Ward doniósł, że „od trzech lat działam w polskim Podziemiu i pełnię obowiązki porucznika Armii Krajowej oraz korespondenta wojennego. Wszystkie moje telegramy wysyła się bez ocenzurowania”.

Te telegramy płk Perkins z polskiego działu SOE przysyłał do FO. Poczynając od 11 sierpnia, nadchodziły prawie codziennie, czasem kilka na dzień i dopiero we wrześniu ilość się zmniejszyła. Donosił w nich na gorąco co widział — np. 13 sierpnia „w Alejach Jerozolimskich Niemcy czołgiem wieźli zaopatrzenie do jednego ze swych wysuniętych stanowisk i gnali przed nim 500 kobiet i dzieci, by uniemożliwić akcję żołnierzom AK. Było wśród nich wiele zabitych i rannych. O podobnych wypadkach donoszą z wielu części miasta”.

Telegram z 17 VIII adresowany jest do Churchilla: „Dysproporcja między hojnymi zapewnieniami pomocy z Londynu i ledwo dostrzegalna pomoc dostarczona, a szczególnie długie przerwy między zrzutami, wywołuje krytyczne

7. PREM 3 352/2: k. 14–16; FO 371/39430: C 12914.

8. FO 371/39493: C 11586.

9. FO 371/39494: C 11443.

uwagi ludności oraz wrogość wobec aliantów i rządu. Umęczona niemieckimi bestialstwami, a zwłaszcza systematycznym niszczeniem całych dzielnic przy pomocy min, Warszawa zaczyna rozumieć, że wszystko zależy od jej własnych sił". A jeszcze poprzedniego dnia donosił, że „ludność polska żywi niezłomną wiarę w Wielką Brytanię jako wyzwoliciela”. 19 VIII donosi: „bruki Warszawy zmieniono w cmentarze. W wielu miejscach nie można przejść ulicą bez deptania świeżych grobów¹⁰”.

W FO te teksty łądowały na biurku Roberta, który poradził, żeby Eden pokazał je sowieckiemu ambasadorowi Gusiewowi, zaznaczając że pochodzą z angielskiego źródła. Sporządzono ich osobną kopię przykrojoną *ad usum Delphini*, z usunięciem zdania o ufności w Anglię jako wybawcę. Ten dokument opatrzony jest notką: „pokazane sowieckiemu ambasadorowi przez sekretarza stanu¹¹”. Tę samą wersję Churchill przesłał Rooseveltowi. Miało to zachęcić ZSSR i USA do udzielenia pomocy Warszawie. Sześć telegramów Warda, z 18-20 VIII, i jeden gen. Bora wydano z polecenia Edena jako tajny druk na użytek Gabinetu. Onże 20 VIII przesłał teksty Warda Gusiewowi, z notką: „spodziewam się, że te nowe doniesienia, które otrzymaliśmy od naocznego brytyjskiego świadka, zainteresują Waszą Ekscelencję¹²”.

6 września Ward zwrócił się do Perkinsa: „Sir, widziałem radiogram, który twierdzi, że 4 do 7 samolotów co dzień dokonuje zrzutów nad Warszawą, Sir, stwierdzam, że ta pomoc nie spada do centrum miasta, gdzie jest najpotrzebniejsza, i nie słyszałem żeby coś spadło pod miastem”. Następnego dnia donosi: „Warszawa straciła nadzieję na zrzuty od aliantów i sowieckie natarcie, które by ją wyzwoliło¹³”. 10 IX: „W ciągu ubiegłych 24 godzin obszedłem wszystkie linie frontu i większość zbombardowanego śródmieścia Warszawy. Widziałem wiele pięcio- i sześciopiętrowych domów w ruinie. Ludzie, którzy schronili się w piwnicach, są zabici albo złapani bez żadnej nadziei pod setkami ton gruzu... Pomoc jest tu niemożliwa... Na wszelkich możliwych kawałeczkach wolnego terenu są groby cywilów i żołnierzy. Najgorszy ze wszystkiego.. jest odór gnijących zwłok, który przenika całe Śródmieście”. 11 IX: „Walka trwa dzień

10. tamże, C 11443.

11. tamże.

12. tamże: C 11512.

13. tamże: C11621.

i noc. Olbrzymie pożary szaleją bez przerwy¹⁴”. I tak dalej, a tylko raz z dobrą wiadomością o dużych zrzutach 19 IX po południu: „pierwsza pomoc od aliantów, którą zobaczyli, wywołała ogromny entuzjazm wśród cywilnej ludności i żołnierzy... Trzeba pamiętać, że poprzednie zrzuty miały miejsce w nocy, więc samoloty były niewidzialne¹⁵”.

Te telegramy nie były jedyną daremną przysługą, którą Ward wyświadczał Warszawie. 23 sierpnia Churchill zwrócił się do ministra informacji Brackena z pytaniem czemu prasa milczy o agonii Warszawy (choć z drugiej strony „nie ma potrzeby wspominać o zachowaniu się Sowieców¹⁶”). W odpowiedzi Bracken zaproponował, że „jeśli rząd zgodzi się udostępnić raporty otrzymane od Warda, to myślę że zdołam zachęcić gazety do ich ogłoszenia¹⁷”. W ślad za tym SOE poradziło Wardowi żeby został korespondentem *Timesa*¹⁸, ale zanim zdołał odpowiedzieć, 30 VIII *Times* ogłosił depezę z Warszawy otrzymaną od anonimowego „zbiegłego lotnika”. Dalsze depeze ukazały się 4, 7, 8 i 14 września — przeważnie teksty telegramów otrzymywanych przez SOE. Korespondencja z 7 IX donosi o głodzie w mieście, „co jest największą tragedią w wypadku małych dzieci pozbawionych mleka i odpowiedniego pokarmu. Ludzie z wygłodniałą zadróżnością słuchają o wyzwoleniu Paryża po czterech dniach walki. Słyszą, że armia brytyjska pospiesznie dostarczyła tysięcy ton żywności i medykamentów dla francuskiej ludności, gdy Warszawa przez kilka dni na początku powstania otrzymała trochę bardzo potrzebnej pomocy w formie amunicji zrzuconej przez RAF, a przez ostatnie 2 czy 3 tygodnie nie dostała w ogóle nic”. 15 IX *Times* ogłosił dłuższy wywiad Warda z gen. Borem, w którym autor m.in. podkreśla konieczność pomocy od aliantów i pyta generała o słuszność krytyki, że powstanie wybuchło przedwcześnie, na co ten odpowiada wymijająco, że „niestety nie zdołaliśmy skoordynować naszej akcji z dowództwem sowieckim. Kroki podjęte w tym kierunku nie dały pozytywnych wyników”. Zaznacza też konieczność szybkiego przybycia alianckiej misji.

14. FO 371/39497: C 12195.

15. FO 371/39499: C 12939.

16. FO 371/39493: C 11400.

17. FO 371/39494: C 11444.

18. tamże: C 11621.

17 października odnotowano: „sierżant Ward bezpiecznie wydobył się z Warszawy, ale jeszcze nie udało się wywieźć go z Polski. Wiadomości otrzymane od niego mówią tylko o tragicznym położeniu ludności Warszawy po kapitulacji¹⁹”. I tu ślad po nim urywa się na kilka miesięcy. 23 lutego w FO odnotowano, że „miejsce przebywania sierżanta Warda jest nadal nieznan²⁰” i dopiero 23 marca sprawa się wyjaśniła, gdy SOE przesłało sprawozdania z przesłuchania kilku angielskich jeńców, którzy wydobyli się z Polski. Był wśród nich Ward („zaginiony 10 maja 1940”).

Brak wyjaśnienia, gdzie podziewał się po wyjściu z Warszawy, ale w końcu dotarł do 7 dywizji AK okręgu kieleckiego i tu 15 stycznia 1945 usłyszał o przybyciu w te strony angielskiej misji wojskowej, której głową był płk Hudson, a towarzyszyli mu (nie nazwani) major, kapitan, porucznik i sierżant, zaopatrzeni w radionadajniki i ubrani w angielskie mundury (!). Nawiązali kontakt z gen. Kobrą (Okulickim) i dowódcą okręgu kieleckiego gen. Mieczysławem. Z niewyjaśnionego powodu polskie dowództwo na wszelkie sposoby przeszkadzało Wardowi w nawiązaniu kontaktu z rodakami, choć łatwo mógłby ich znaleźć, bo poruszali się swobodnie i rozmawiali z chłopami w (nie wymienionej) wiosce. Niemcy również wiedzieli o ich obecności i trzykrotnie atakowali miejsce ich pobytu, ale eskorta 200 żołnierzy AK chroniąca Anglików ich odparła. Pod koniec stycznia Hudson z kolegami zgłosił się do sowieckiego dowódcy w Częstochowie. Przedstawili mu swe dokumenty i oświadczyli, że są przystąpi do Polski w specjalnym celu. Mocno ich zaskoczyła reakcja Sprzymierzeńców żądających oddania broni. Hudson odmówił twierdząc, że są angielskimi obywatelami, papiery mają w porządku, i zażądał traktowania należnego aliantom. Następnego dnia widziano go z towarzyszami prowadzonych pod zbrojną strażą na stację, gdzie ich wepchnięto do bydłowych wagonów i wysłano ponoć do Moskwy.

Ok. 22 lutego Ward otrzymał via gen. Kobra rozkaz od brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa żeby zgłosił się do najbliższego sowieckiego dowódcy z prośbą o transport do Moskwy, gdzie brytyjska ambasada i władze sowieckie są już uprzedzone o jego przybyciu. Przekreślało to jego plany pozostania w polskim Podziemiu jako obserwator i zbieracz

19. PREM 3 352/14: k. 827.

20. FO 371/47709: N 1903.

informacji w oczekiwaniu na przybycie angielskiej misji, do której zamierzał się zgłosić. Przekonany, że Sprzymierzeńcy na pewno nie ułatwią mu powrotu do Anglii, a nawet mogą go „drastycznymi środkami” uniemożliwić, usłuchał jednak rozkazu. „Skamieniały z przerażenia” — jak mówi — zgłosił się do sowieckiego dowództwa w Warszawie i, skoro Anglicy już podali Sprzymierzeńcom jego nazwisko, nie mógł ukryć się pod fałszywym, choć wolałby dołączyć do grup angielskich jeńców odprawianych do Odessy²¹. I tu ślad się urywa. Nie udało się wydobyc informacji o jego dalszych losach w RAF Personnel Management Centre w Gloucester, gdzie ponoć jest zarejestrowanych ponad 400 członków RAF-u o tym imieniu i nazwisku, choć pewnie o innych numerach i życiorysach niż „niezależne” brytyjskie źródło z walczącej Warszawy.

Hanna ŚWIDERSKA

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

TO NIE SZTUKA ZROBIĆ KUK-a

Sytuacja byłego AK-owca w szczytowym okresie stalinizmu w Polsce nie należała do godnych pozazdrosczenia. Jeśli udało mu się uniknąć najrozmaitszych pułapek, jakie na niego zastawiano — od ideologicznych pokus przyłączenia się do „Pokolenia” spod znaku Romana Bratnego aż po prowokowane przez UB naszeptywania o wstąpienie do nowej, bliżej niesprecyzowanej konspiracji, co z reguły kończyło się aresztowaniem — dwudziestoparoletni człowiek często stawał po prostu wobec groźby bezrobocia, gdy kolejne biuro personalne kolejnej instytucji mniej lub więcej nieuprzejmie odrzucało jego podanie o pracę.

21. FO 371/47710: N 3354.

Moja własna historia regułę tę potwierdzała o tyle, że choć po powrocie z sowieckiego obozu w 1947 r. udało mi się znaleźć zatrudnienie w drukarni Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, a więc instytucji na ową czasę niemal prywatnej, potem, gdy przenieśliem się na krótki okres do Przedsiębiorstwa Państwowego „Uzdrowiska Polskie” dostałem tam pracę dzięki temu tylko, że szefem personalnym tej instytucji był obozowy kolega, a w różnych jej oddziałach i placówkach odnaleźć było można całe tuziny AK-owców, którzy po powrocie z rosyjskich obozów starali się jakos urządzać „w nowej rzeczywistości”.

Rozpocząwszy jednak studia zdecydowany byłem pozostać głuchym na propozycje Tadeusza Borowskiego, który dowiedziawszy się o jakichś moich młodzieńczych próbach literackich zaczął namawiać mnie do wstąpienia do organizującego się w tym czasie tzw. „Koła Młodych” ZLP, a gdy Uniwersytet Warszawski z hukiem usunął mnie ze studiów z powodu nieprzestrzegania „socjalistycznej dyscypliny studiów” (trzy opuszczone wykłady i ćwiczenia powodowały automatyczną relegację), postanowiłem kontynuować zainteresowania wydawnicze głęboko przekonany, że skoro nie można pisać książek, to trzeba je przynajmniej robić. Zmieniwszy jeszcze trzykrotnie pracę, jesienią 1949 r. próbowałem zatem dostać się do prawdziwego wydawnictwa, a nie namiastek takich, jak drukarnia czy reklama, w których pracowałem dotychczas. Nauki „nowej rzeczywistości” osaczające zewsząd pokusami, pogroźkami, dyscyplinarnymi akcjami i zwyczajną propagandą podpowiadały, że pracy szukać powinienem w pionie technicznym, możliwie wolnym od wszelkich ideologicznych nacisków.

Ostrożność była tu podwójnie zalecana, ożeniwszy się bowiem z byłą ziemianką, dwukrotnie wypędzoną z rodzinnego majątku i jako „klasowo obcą” bezskutecznie szukającą pracy lub próbującą dostać się na studia, wiedziałem dobrze pod jaką znajdujemy się lupą kontroli i pod jakim prężeniem naszych ankiet personalnych. W znalezieniu pracy dopomógł, jak to często bywa, szczęśliwy przypadek, nie pozbawiony ironicznych i zgoła zabawnych konsekwencji.

Ojciec mój, który z daleka choć z sympatią śledził moje próby ustalenia się po wojennych perypetiach i dopomagał, jak mógł, m.in. wystarawszy się dla nas o mieszkanie w świeżo odbudowanym domu TNW na Śniadeckich, wspominał kiedyś o mnie spotkanemu w „Oficynie Księgarskiej” Piotra Hniedziewicza redaktorowi Antoniemu Trepieńskiemu,

byłemu więźniowi Majdanka i autorowi konspiracyjnej broszury o tym obozie wydanej przez AK jeszcze w 1943 r. Trepieński, który do tych samych co ja mądrości doszedł znacznie wcześniej i zamiast bawić się jak poprzednio w dziennikarstwo kierował redakcją techniczną Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, z miejsca wysunął ofertę pracy i zażartował, że skoro ma już u siebie Czachowskiego (istotnie, pracował tam Adam Czachowski, syn znanego historyka literatury) znajdzie się tam miejsce i dla Krzyżanowskiego, pod tym oczywiście warunkiem, że przejdę przez ucho igielne wydziału personalnego PZWS.

Była to moja pierwsza wizyta w dużej instytucji państwowej okresu stalinowskiego, toteż gdy wszedłem do szarego budynku na rogu Kredytowej i Placu Dąbrowskiego bez większego zdziwienia odnalazłem w biurze personalnym atmosferę i akcesoria tak dobrze mi znane z okresu badań w NKWD i z niezliczonych biur śledczych w kolejnych obozach: opryskliwa sekretarka w zielonej koszuli i czerwonym krawacie ZMP, obite ceratą drzwi, półmrok gabinetu i nieodczowny „trzeci”, milczący świadek mojej rozmowy z personalnym. Ten ostatni, niewiele ode mnie starszy, drobny, szczupły, o powierzchowności fryzjerczyka z Gęsiej czy Nalewek, przedstawił się jako Józef Kowalski, chociaż wszystko w jego wyglądzie i zachowaniu wyraźnie wskazywało, że musiało to być kolejne *nom de guerre*. Spotykałem w Rosji wielu Żydów na podobnych stanowiskach, toteż rozpoznałem pana Kowalskiego od razu i od razu wiedziałem, że nasza krótka, lodowato uprzejma rozmowa na temat mojej przeszłości okupacyjnej i obozowej zakończyć się musi odpowiedzią negatywną. Ale nie wiedziałem, że los płała figle nawet najszczelniejszym systemom.

Dyrektorem PZWS był wtedy dr Stanisław Pazyra, przedwojenny jeszcze wydawca z lwowskiego „Ossolineum” a potem konspiracyjny działacz Delegatury Rządu, człowiek, który dla ocalenia książki polskiej i polskiej kultury zrobił zapewne więcej niż cały PKWN i Rząd Tymczasowy. Wstąpiwszy po wojnie do PPS automatycznie „złany” został wraz ze swoją partią z PPR w 1948 r., obecnie zaś, mimo okupacyjnej przeszłości trzymany był na dyrektorskim stanowisku jako fachowiec niezastąpiony i w owych czasach ogromnie rzadki. Przydano mu, co prawda, dla ideologicznej poprawności wicedyrektora — niejaką towarzyszkę Kostecką, repatriowaną stosunkowo niedawno z Francji wraz z grupą naj-

rozmaitszego kalibru „Kowalskich”, baba jednak pilnowała tylko tego, na czym udawała, że się zna, to znaczy czystości linii partyjnej i polityki personalnej, prowadzenie wydawnictwa pozostawiając Pazyrze, którego zresztą kontrolował naczelny redaktor wydawnictwa, zasłużony działacz Związku Patriotów Polskich z moskiewskich jeszcze czasów, Henryk Wolpe. Gabinety obu dyrektorów łączył malutki pokój sekretariatu, gdzie urzędowała sekretarka dyrektora, towarzyszkę wice pozostawiając na razie jej własnemu losowi i stałym wizytom Kowalskiego, Wolpego i innych, im podobnych.

Dyrektor Pazyra znajdował jednak czas na inną jeszcze pracę, a mianowicie na kierowanie Biurem Wykonawczym Komitetu Upowszechniania Książki (KUK) przy Prezydium Rady Ministrów, a więc instytucją niejako superpaństwową, powołaną do życia specjalnym dekretem a mającą zająć się nie tylko upowszechnianiem książki, ale także nasyceniem masowymi nakładami przetrzebionego przez wojnę rynku, rozprowadzaniem ich i zareklamowaniem. Wbrew dyrektor-skim modom na gigantomanię Pazyra postanowił całą operację KUK prowadzić najprostszymi środkami: całe Biuro Wykonawcze miało składać się z dyrektora, jego dwóch doradców, trzech zatrudnionych w PZWS fachowców (redaktora technicznego, księgowego, zaopatrzeniowca) i brakującego jeszcze do kompletu sekretarza biura. Usłyszawszy od Trepieńskiego o mojej niefortunnej wizycie w wydziale personalnym Pazyra bez trudu załatwił w Prezydium Rady Ministrów sprawę przyjęcia mnie do Biura Wykonawczego KUK i oto w dwa dni po rozmowie z tow. Kowalskim siedziałem przy własnym biurku w sekretariacie obu dyrektorów PZWS, położywszy na widocznym miejscu czarną legitymację mówiącą każdemu, kogo to mogło interesować, że ob. Jerzy R. Krzyżanowski jest etatowym pracownikiem Prezydium Rady Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Sądzę, że tylko twardy trening w szeregach UB uchronił tow. Kowalskiego od ataku serca, gdy wszedł z kolejną wizytą do tow. Kosteckiej i musiał się u mnie zameldować, tak się bowiem złożyło, że sekretarka dyrektora poprosiła akurat o zwolnienie z pracy i ktoś z konieczności musiał czasowo przejąć jej najprostsze obowiązki.

Spełnianie tych obowiązków doprowadzało niejednokrotnie do sytuacji co najmniej oryginalnych. W dniach, gdy Pazyra wyjeżdżał na kolejne posiedzenia i konferencje miałem dostęp do jego gabinetu, gdzie obok dwóch telefonów, miejskiego i wewnętrznego, stał także aparat tzw. telefonu rzą-

dowego, włączonego do specjalnej sieci abonentów zajmujących najwyższe stanowiska partyjne i państwowe. Podniósłszy kiedyś słuchawkę zorientowałem się, że na linii odbywa się właśnie rozmowa dwóch takich panów, więc zamiast się dyskretnie wyłączyć postanowiłem posłuchać o czym to się rozmawia w kręgach „decydentów”. I oto dokładnie zapamiętany cytat z tej pouczającej konwersacji: „Towarzyszu, dajcie jej już ten Krzyż Zasługi, przecież spała z nami wszystkimi...”.

Biuro Wykonawcze KUK podlegało bezpośrednio Komitetowi, który był oczywiście ciałem najzupełniej fikcyjnym, a jego przewodniczący, Minister Oświaty Stanisław Skrzyszewski, jeden z ponurych twórców PKWN zasłużonych na polu niszczenia kultury polskiej i w latach lubelskich gorliwy adwokat stosowania metod terroru politycznego wobec opozycji, nie interesował się działalnością Komitetu w najmniejszym stopniu i wątpię czy nawet czytał przesyłane sprawozdania. Inni członkowie, czołowi prominenci ówczesnej władzy, Henryk Kołodziejski z Rady Państwa, Stefan Ignar przewodzący nowym, pomikołajczykowskim ludowcom, marszałek sejmu Władysław Kowalski i ilu ich tam jeszcze nie było, pilnowali tylko poprzez swoje sekretarki, ażeby egzemplarz każdej wydanej przez nas książki trafiał do ich prywatnych zbiorów, choć nie sądzę, że pogrążali się w fascynującej lekturze dzieł tak cennych jak powieść Jana Wilczka „Nr 16 produkuje” czy „Ani kroku w tył” Konstantina Simonowa. Toteż cała działalność KUK praktycznie spoczywała w rękach trzech ludzi stanowiących kierownictwo Biura Wykonawczego KUK i samodzielnie prowadzących akcję upowszechniania książki: dra Pazyry, dra Józefa Zarembę i niejakiego towarzysza Biegańskiego z Prezydium Rady Ministrów.

Wysoki, z lekka przygarbiony lecz pełen energii Pazyra, który przez pokój sekretariatu przebiegał zwykle w pośpiechu, był zewnętrzeńnie zupełnym przeciwieństwem spokojnego, a nawet dystygowanego Zarembę. Ten zaś, mając na swym koncie większe zasługi niż to tylko, że był, jak to mawiano, „mężem od Ewy Szelburg-Zarembiny”, podobnie jak Pazyra zapisał piękną kartę w okresie okupacji działając w dziedzinie kultury, a zwłaszcza konspiracyjnego księgarstwa, po wojnie zaś, jako doskonały a przy tym lewicujący fachowiec czynnie włączył się w najrozmaitsze akcje wydawnicze, a w okresie, gdy go poznałem, był bodajże wicedyrektorem Centralnego Urzędu Wydawniczego, w dwa lata później — gdy szaleństwo centralizowania wszystkiego w kraju przybrało rozmiary

zastraszające — przemianowanego na Centralny Urząd Wydawnictw, Przemysłu Graficznego i Księgarstwa. Na razie jednak były to dopiero pierwsze w tym kierunku kroki i Zaremba znajdował czas na wiele innych zajęć, m.in. bliską współpracę z KUK-iem.

Współpraca ta polegała przede wszystkim na pobieraniu wysokiego uposażenia, cały bowiem triumwirat był na liście płacy Biura Wykonawczego, a ponieważ obrót czekowy był wtedy w Polsce sprawą całkowicie nieznaną, jedną z moich pierwszych funkcji jako sekretarza było podejmowanie w PKO ogromnych sum pieniędzy i rozwożenie ich raz w miesiącu po rezydencjach naszego „naczalstwa”. Od skromnego, służbowego mieszkania Pazyry na najwyższym piętrze budynku PZWS, poprzez fiński domek Biegańskiego w Ogrodzie Ujazdowskim, aż po piękną willę Zarembów na ulicy Malczewskiego miałem więc możliwość zobaczenia życia prominentów PRL od podszewki, przy czym przyjmowany byłem przez nich różnie — od serdeczności Pazyry, który był człowiekiem wielkiego uroku, poprzez gładką uprzejmość Zaremby, aż po podejrzliwą obojętność Biegańskiego, do którego, mimo mojej wspaniałej legitymacji, trzeba było dostawać się poprzez łańcuch cerberów i goryli z ochrony rządu. Później, gdy panowie ci poznali mnie nieco bliżej, zaczęli traktować bardziej otwarcie i nieraz zdarzało mi się otrzymywać telefony z Krynicy czy Zakopanego z prośbą o natychmiastowe przesłanie zaliczki na „umowę o pracę zleconą”, jakiś fikcyjny artykuł czy referat na temat upowszechniania książki, rzecz, która oczywiście nigdy nie została napisana. Ale dotacja Prezydium Rady Ministrów regularnie wpływała na konto Komitetu, trzeba było pieniądze rozchodować, tym bardziej, gdy uderzyła niespodziewana wymiana i pieczołowicie przez niektórych gromadzone tysiące złotych stały się niewiele więcej warte niż papier do tapetowania ścian rezydencji. Wczorajsi bohaterowie okazali się być może, jak to sugerował tytuł granego wówczas w Warszawie francuskiego filmu, po prostu zmęczeni, a może postanowili wziąć odwet za stracone lata i używać życia — nie wiem, nie miałem możliwości ich o to spytać, wiem tylko, że robiąc solidną robotę odbudowy polskich wydawnictw świadomie lub nieświadomie kładli podwaliny pod system komunistycznego niszczenia wszelkiej inicjatywy, obłędnej centralizacji i podporządkowania każdego odruchu odgórnie kierowanemu systemowi, napychając przy tym własne kieszenie bez najmniejszego skrępowania. Opubli-

kowana w wiele lat później książka wspomnień Zaremby świadczy dobitnie o jego smutnej roli w organizowaniu centralnego „Domu Książki”, co stało się początkiem dobijania samodzielności wydawnictw a na długą metę doprowadziło w konsekwencji do ruiny polskiej książki w latach dziewięćdziesiątych.

Kiedy przyszedłem do KUK-u instytucja ta istniała już od półtora roku, w praktyce zaś działała nieco krócej. Powołany do życia Uchwałą Rady Państwa z marca 1948 r., po wrocławskiej mowie Bieruta na temat upowszechniania kultury z listopada roku poprzedniego, KUK utworzony został jako osobny komitet przy Komitecie Rady Ministrów do Spraw Kultury, przy czym, rzecz jasna, w skład obu komitetów weszli ci sami ludzie i ci sami ludzie czerpali z nich wysokie dochody. Na mocy uchwały KUK wydać miał w okresie 1948-1951 trzydzieści pięć tytułów książek w masowym nakładzie po 50.000 egzemplarzy, przy czym cena egzemplarza ustalona została na złotych 100, a więc równość wartości mniej więcej paczki papierosów. Po wymianie pieniędzy latem 1950 r. cena ta zmieniła się na 3 zł za egzemplarz. Nakład każdego tytułu rozprowadzany był bezpłatnie do 18.000 punktów bibliotecznych finansowanych z funduszy KUK, reszta zaś rozchodziła się w prenumeracie, do której zachęcała prasa, radio, afisze, ulotki itp. Chodziło tu nie tylko o złamanie wysokiej dotychczas ceny książki i próbę rzucenia na rynek tanich, masowych nakładów, ale także o nasycenie rynku pewnym typem literatury, na etapie rosnącej stalinizacji kultury najbardziej pożądanym propagandowo i mającym kształtować gusty masowego odbiorcy. Zanim spojrzymy bliżej na listę tytułów wydawanych przez KUK wspomnieć jeszcze należy, że z punktu widzenia wydawniczego impreza była wzorem prostoty rozwiązań: KUK zamawiał u wydawców nowy nakład uprzednio wydrukowanych przez nich pozycji, co sprowadzało się w praktyce do przedruku gotowego tekstu pod nową okładką, płacił pełny koszt, po czym nakład rozprowadzał nowo stworzony „Dom Książki” według uprzednio przygotowanego rozdzielnika czy listy prenumeratorów. W rezultacie, jak to słusznie potem zauważył jeden z ówczesnych potentatów wydawniczych, Adam Bromberg, powstała od 1950 r. „zasada masowych nakładów (i ukrytych deficytów)”, ujmując bowiem sprawę praktycznie koszty pokrywało państwo z kieszeni każdego podatnika i głodującego niejednokrotnie pracownika. A „panowie w stolicy palili cygara”, jak to dawno już przed

powstaniem PRL zauważyła ironicznie rewolucyjna pieśń.

I nie tylko to. W nowym, powojennym państwie uderzające były wśród nowych dygnitarzy ciągotki do powtarzania przedwojennych fasonów, oficjalnie potępianych i wyśmiewanych, po cichu zaś kultywowanych z przejęciem. Wspominam dziś z uśmiechem jak tuż po Nowym Roku 1951 Zaremba wypożyczył od Pazyry dyrektorską „demokratkę”, tzn. czarny, służbowy Chevrolet wraz z szoferem, zażądał, żebym ubrał się w ciemny garnitur (na szczęście miałem bardzo elegancki, ślubny jeszcze, oczywiście z darów UNRRA) i pojechaliśmy składać władcom PRL wizyty noworoczne — dr Józef Zaremba występujący w imieniu Komitetu nie mógł ceremonii tej dopełnić nie mając przy boku sekretarza, nawet tak skromnego, jak ja z moją ideologicznie podejrzaną przeszłością. Najzabawniejsza z tych wizyt miała miejsce u ówczesnego prezesa CUW, Adama Bromberga, który przyjął dwóch byłych AK-owców w pełnej gali pułkownikowskiego munduru z I Armii Berlinga, z orderami, a jakże, tylko szabli mu brakowało... Ale protokołowi stało się zadość, tak bowiem wyglądała w praktyce „nowa rzeczywistość”.

Lista trzydziestu pięciu tytułów, jakimi KUK obdarzył przetrzebiony przez wojnę i okupację rynek składała się z 15 pozycji klasycznej literatury polskiej, 10 tytułów rosyjskich, 6 pozycji polskiej literatury międzywojennej i pojedynczych tylko książek autorów nie należących do tych zasadniczych działów, a właśnie dostępnych u wydawców, takich jak Victor Hugo czy czeski Jan Olbracht, autor powieści „Anna Proletariuszka”. Prawdopodobnie zabiegom wszechmocnej wówczas władczyni „Czytelnika”, tow. Wilczkowej, zawdzięczać należy umieszczenie na liście KUK-u owego „klasycznego” produkcyjniaka pióra jej szeroko reklamowanego małżonka. Klasykę polską reprezentowali jednak pisarze z prawdziwego zdarzenia: Mickiewicz, Kraszewski, Jeź, Sienkiewicz, Prus i Orzeszkowa, przy czym dobór tytułów Sienkiewicza był wysoce charakterystyczny: byli to przede wszystkim „Krzyżacy”, jako nie tylko pierwsza po wojnie pozycja wydana w masowym nakładzie, ale także jako ważne w okresie stalinowskim ostrzeżenie przed „niemieckim rewizjonizmem”, podczas gdy czytelnikowi mniej politycznie wyrobionemu lub po prostu młodszemu serwowaliśmy „W pustyni i w puszczy”, na ówczesnym etapie lekturę pozbawioną późniejszych „wydźwięków” powiązanych z sytuacją na Bliskim Wschodzie i Afryce. Orzeszkowa — to oczywiście

„Bene nati”, ponury obraz nierówności klasowych w burżuazyjnym społeczeństwie, czego inną, nie mniej przekonującą ilustracją były opowiadania Prusa, z „Antkiem” na czele. O wydaniu Trylogii nie można było wtedy jeszcze marzyć, dopiero później, gdy okazało się, że „chorąży pokoju” w czasie bezsennych nocy czytuje sobie „Ogniem i mieczem”, pozwolono na wydanie powieści tych w zbiorowym wydaniu Dzieł, ale nie w serii KUK-u.

W sumie jednak profil wydawniczy KUK ocenić dziś można jako stosunkowo wolny od propagandy chociaż wspierający wyraźnie określoną ideologię „postępową”. Biorąc pod uwagę fakt, że wydawanie pierwszej serii książek rozpoczęto już po szczecińskim zjeździe ZLP, a więc w okresie ogólnie obowiązującego standardu realizmu socjalistycznego, działalność KUK nie była wyraźnie szkodliwa dla kultury polskiej, z całą zaś pewnością przyczyniła się do rozwoju czytelnictwa. I choć wątpię, czy którykolwiek z działaczy KUK-u, od prezesa Komitetu począwszy, a na skromnym sekretarzu Biura Wykonawczego skończywszy, odwiedził kiedykolwiek choćby jeden z 18.000 punktów bibliotecznych, zaopatrywanych w nasze książki, faktem pozostaje, że punkty te lepiej lub gorzej, ale działały, udostępniały książki czytelnikom w gminnych spółdzielniach i szkołach, przy czym dopiero dzisiaj, po lekturze powieści typu „Kamienia na kamieniu” Wiesława Myśliwskiego, widać wyraźnie jak sprawy te „w terenie” wyglądały. Z upływem lat i wyschnięciem państwowych dotacji punkty biblioteczne zmarły śmiercią naturalną.

W początkach 1951 r. misję KUK uznano na jakimś wyższym szczeblu za skończoną, a notatkę służbową Biura Kontroli i Nadzoru Prezydium Rady Ministrów ówczesny premier, Józef Cyrankiewicz, opatrzył ironiczną uwagą o konieczności „wtykania” książki do innych środowisk czego „KUK i tak nie robi”; wkrótce potem ogłoszono komunikat o rozwiązaniu Komitetu. Jeden tylko bodajże krakowski *Przekrój* zareagował na tę nowinę zgrabnym wierszykiem zatytułowanym „To nie sztuka zabić KUK-a” i upomniął się o kontynuowanie pozytywnej akcji wydawniczej i czytelniczej. Kiedy towarzysz prezes Skrzyszewski wezwał członków Biura Wykonawczego KUK na pierwsze w całym okresie działalności i zarazem ostatnie zebranie, spotkanie to zaczął wymachując egzemplarzem popularnego tygodnika i podniesionym głosem dopytując, jak można było do „czegoś takiego” dopuścić, przy czym dla nikogo z obecnych nie

było jasne, czy miał na myśli rozwiązanie KUK, czy też tak jawne pogwałcenie zasad cenzury i wydrukowanie wierszyka krytykującego państwową decyzję. Powtarzając z oburzeniem „a cóż to za sztuka świeża” dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie jest mu obca następna, rymująca się linia porzekadła wielce popularnego wśród uczniów szkół podlegających panu ministrowi, a implikacja ta była zupełnie jasna. Dopiero chłodne wystąpienie Biegańskiego, drobnego bądź co bądź urzędnika, ale przecież reprezentanta wyższego szczebla władzy, wyjaśniło zaskoczonemu ministrowi sprawę obciążenia budżetu przeznaczonego na ten cel przez Prezydium Rady Ministrów, a tym samym automatyczną likwidację działalności Komitetu.

KUK zniknął z rynku wydawniczego równie szybko, jak się na nim uprzednio pojawił, pozostawiając kilkaset tysięcy egzemplarzy tanich i nie najgorszych książek, wprowadziwszy nowy typ wydawnictwa w „miękkiej okładce”, a więc prototyp późniejszych masowych serii wydawniczych najrozmaitszych „bibliotek” i „klubów książki”, wzorowanych na zachodnich *paperbacks* choć ustępujących im jakością. Wydaje się, że spełnił swoją skromną rolę i mimo leżących u jego podstaw założeń popularyzacji literatury ideologicznie i propagandowo wspierającej politykę partii umiał wywiązać się z zadania uczciwie.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

Bibliografia:

1. Lucjan Biliński, „Zarys rozwoju ruchu wydawniczego w Polsce Ludowej”, Warszawa, 1977.
2. Adam Bromberg, „Książka i wydawcy”, Warszawa, 1966.
3. Stefan Dippel, „O księgarzach, którzy przeminęli”, Wrocław, 1976.
4. Stanisław Adam Kondek, „Władza i wydawcy. Polityczne uwarunkowania produkcji książek w Polsce w latach 1944-1949”, Warszawa, 1993.
5. Stanisław Pazyra, „Z dziejów książki polskiej w czasie Drugiej Wojny Światowej”, Warszawa, 1970.
6. „Sprawozdanie z działalności Komitetu Upowszechniania Książki za lata od 1948 r. do 1952 r.”, Archiwum Akt Nowych, zespół akt PRM, sygn. 20/105.
7. Józef Zaremba, „Było i tak. Wspomnienia”, Wrocław, 1976.

PANNA MARIA, TEKSAS — CZYLI POLACY NA URANIE

(140 lat pierwszej polskiej osady w Ameryce)

Sto czterdzieści lat mija właśnie od chwili, kiedy franciszkanin rodem ze Śląska, ks. Leopold Moczygemba, postanowił sprowadzić do Ameryki pierwszych 150-ciu chłopów polskich z własnej wsi rodzinnej — Płużnica Wielka w powiecie strzeleckim, i osiedlić ich w Teksasie, gdzie sam przebywał od kilku lat jako duszpasterz emigrantów z Alzacji. Jego intencje były jak najlepsze, a chęć uczynienia ziomków szczęśliwymi szczerą.

Niezwykłe są dzieje odysei Ślązaków spod Opoła, którzy zabrawszy wielki krzyż przydrożny z rozwidlenia dróg i dzwon kościelny, udali się niemieckim żaglowcem na drugi koniec świata. Żaglowiec o nazwie „Antoinette” wypływał z Bremy, a podróż trwała dziewięć tygodni¹ i była prawdziwą męką — szczególnie dla kobiet i dzieci. Towarzyszyły jej tak gwałtowne sztormy, że nienawykli do morza podróżni opadali całkiem z sił i nadziei na szczęśliwy finał swego przedsięwzięcia. Kilkoro z nich zmarło już na statku. Gdy mogli wreszcie zejść na stały ląd w porcie Galveston nad Zatoką Meksykańską — do końca wędrówki było jeszcze bardzo daleko. Należało przebyć pieszo dodatkowe osiemset mil (ok. 1200 km) drogą lądową w pobliże San Antonio, gdzie w odległości pięćdziesięciu mil na południowy wschód od miasta znajdowało się zaplanowane przez ks. Moczygembę miejsce osiedlenia.

Na ziemi obiecanej czyhała żółta febra, brak wody, nieznane drapieżniki, napady Indian i bandytów. Szok klimaty-

1. Druga grupa osadników, która przybyła w roku 1855, podróżowała po morzu jeszcze dłużej, bo 14-cie tygodni. Wraz z tą grupą przybył do Panny Marii dziennikarz Stefan Nesterowicz, którego „Notatki z podróży”, opublikowane w Toledo (Ohio) w 1909 roku, są bezcennym źródłem informacji naocznego świadka i uczestnika wydarzeń tych dni.

czny mnożył liczbę chorych. Zakupione u lichwiarzy w porcie trzy wozy pionierskie nie mogły już pomieścić osłabłych z gorączki i dzieci. Reszta szła piechotą po niekończącej się, spękanej od słońca równinie, tak różnej od stron rodzinnych — łąnow złocistych i lasów zielonych, których już nigdy nie dane im było ujrzeć.

Gdy nasi wędrowcy przybyli do Galveston, był akurat początek grudnia 1855 roku. W Teksasie jest to czas pory deszczowej — pora roztopów, nocnych przymrozków, zaś w dzień — upałów dochodzących do 30-tu stopni Celsjusza, a także czas żółtej febry roznoszonej przez moskity, które szczególnie natrętne stają się w porze deszczu. Podróż łądem trwała około miesiąca i pozostawiła po sobie kolejne groby. Toteż spotkanie z ks. Moczygembą, które nastąpiło w Alamo City, nie należało do wesółych ani optymistycznych. Lecz nie byli już sami. Dokładnie 24 grudnia 1854 roku dotarli już wspólnie na dzikie pustkowie, gdzie jedynym większym drzewem pośród stepowej roślinności był wielki, stary dąb teksański — nawet podobny trochę do tych, jakie rosną w Polsce. Pod tym dębem właśnie rozbito obozowisko i przy naprędcie ustawionym ołtarzu odprawiono wieczorem pierwszą, polską mszę świętą — była to Pasterka w Wigilię Bożego Narodzenia. Nie trzeba mieć zbyt wielkiej wyobraźni, by wczuć się w nastrój tej nocy i odszyfrować, co działo się w sercach tych ludzi zbitych w gromadkę na obcym pustkowi...

Płaska porośnięta wysoką trawą i ostrokrzewami, gorąca preria miała być odtąd ojczyzną przybyszy ze Śląska. Z czasem, obok dębu wybudowano skromny, wiejski kościół, w którym zamiast posadzki było zwykłe klepisko. Był to pierwszy polski kościół na lądzie amerykańskim. Niedługa była jego egzystencja, bo wkrótce spłonął, lecz po przebudowie i powiększeniu go, służy ludziom po dziś dzień i zaliczony został przez władze amerykańskie do pierwszej klasy zabytków. Stoi też troskliwie pielęgnowany stary dąb, a w cieniu jego konarów znajduje się grób Pierwszego Patriarchy Polaków i założyciela pierwszej polskiej osady na ziemi amerykańskiej — ks. Leopolda Moczygemby, który zmarł w 1891 roku.

Osadę nazwano *Panna Maria* na pamiątkę pięknej polskiej świątyni w Krakowie, której pamięć chciano zachować na zawsze. Kościół Mariacki był także szczególnym miejscem dla ks. Moczygemby, któremu objawiał się nawet w snach w

postaci wizji, o czym wspominają pamiętnikarze². W następnym, 1855 roku, osada powiększyła się o kolejnych 700 osadników, przybyłych z Płūznicy i jej najbliższych okolic, m.in. ze wsi Toszek. W rok później (1856) do Teksasu przybyło jeszcze dalszych 500 Ślāzaków. Większość z nich przybywała w odpowiedzi na zachęcające listy ks. Moczygemby, co potwierdzają liczne źródła³. Wszyscy przybywający mieli bardzo niejasne pojęcie o tym, co czeka ich za oceanem i w jakich warunkach przyjdzie im zmagać się z losem.

Ziemia pod osadę Panna Maria została zakupiona przez ks. Moczygembę od bankiera z San Antonio, Irlandczyka o nazwisku John Twohig. Znany filantrop i bohater narodowy Teksasu wystawił Polakom iście lichwiarską cenę: \$ 10.80 za akr, podczas gdy ta sama ziemia w tej samej okolicy kosztowała innych osadników od \$ 1.00 do \$ 2.00 za akr. Polacy musieli — z niejasnych do dziś powodów — zapłacić dziesięciokrotnie drożej, a nawet więcej, gdyż za ziemię w pobliżu rzeki p. Twohig życzył sobie po \$ 25.00 za akr. W dodatku okazało się, że ziemia jest — jak to w Teksasie — bardzo nieurodzajna, a sprytnie sformułowana umowa o kupnie daje nowym nabywcom prawo własności jedynie na 99 lat. To wszystko wyjaśniło się znacznie później, doprowadzając do gwałtownego konfliktu osadników z ks. Moczygembą⁴.

Pamięć ludzka ma to do siebie, że szybko się zaciera. Coraz bardziej też zaciera się nasza świadomość o tym, że pierwszy skrawek ziemi amerykańskiej, gdzie osiedliła się pierwsza, wielka i zorganizowana grupa Polaków⁵, to wcale

2. Zob. Edward J. Dworaczyk, „The First Polish Colonies of America in Texas”, San Antonio (Texas) 1936, s. 6.

3. Zob. T. Lindsay Baker, „The Polish Texans”, San Antonio (Texas) 1982, s. 20-21; Adolf Bakanowski, „The Polish Circuit Rider”, Cheshire (Connecticut) 1971, s. 3-5; Edward J. Dworaczyk, „The First Polish Colonies of America in Texas”, s. 1, 15.

4. Zob. Adolf Bakanowski, „My Memoires — Texas Sojourn (1866-70) (w) „Polish American Studies” 1968 nr 25, s. 106-124; T. Lindsay Baker, „The Polish Texans”, The University of Texas — San Antonio 1982, s. 38; Edward J. Dworaczyk, „The First Polish Colonies of America in Texas”, s. 7.

5. Panna Maria w Teksasie była pierwszą osadą, w której skład wchodziła wyłącznie polska ludność, przybyła do Teksasu jako zorganizowana grupa osadnicza. Tym niemniej, Polacy pojawili się w Ameryce znacznie wcześniej, np. już w 1608 roku Anglicy sprowadzili do Jamestown grupę polskich, wysoko kwalifikowanych fachowców, którzy założyli pierwszą hutę szkła na kontynencie amerykańskim. Po nich

nie Chicago czy Detroit, lecz spalona słońcem teksańska glina, która nigdy nie miała zamiaru rodzić ludziom pożywienia, do jakiego wcześniej przywykli w kraju rodzinnym. Nie poddawała się ona także żadnym tradycyjnym metodom uprawy, jakie stosuje się w klimacie polskim. Pierwsze, co spotkało Polaków w Pannie Marii, to 14-miesięczna susza, w czasie której nie spadła ani jedna kropla deszczu i nie weszły żadne zasiewy. Za baryłkę wody trzeba było płacić od 25 do 35 centów, zaś najbliższa rzeka znajdowała się w odległości dwóch mil od osady. W pierwszym roku pobytu zmarło 60 osób, wśród nich największą liczbę stanowiły znów kobiety i dzieci.

Nie przystosowani do gorącego klimatu chłopci ze Śląska — w swoich grubych kaftanach i ich kobiety w tradycyjnych, wielowarstwowych spódnicach i niepraktycznych tutaj drewnianych chodakach — umierali od porażenia słonecznego, ukąszeń jadowitych węży, rozszarpywani przez kryjące się w wysokiej trawie dzikie pумы. Nie znane dotąd skorpiony i panoszące się wszędzie tropikalne robactwo zbierały także swoje żniwo.

W licznych zapiskach pamiętnikarskich z tamtych dni znajdujemy wstrząsające relacje: „nie było dnia bez płaczu chorych dzieci i zawodzenia zrozpaczonych kobiet⁶. Rozpacz była tym większa, że pierwsi przybysze polscy do Teksasu nie cierpieli na Śląsku aż tak skrajnej biedy. Byli oni dość zamożnymi mieszkańcami wsi — jej wyższą warstwą w hierarchii społecznej — posiadali oni własną ziemię i gospodarstwa, a do pracy najmowali biedniejszych chłopów. Do Ameryki przybyli z pieniędzmi na zakup ziemi i własnymi narzędziami rolniczymi, a często zabierali też swoje zwierzęta. Degradacja społeczna tych ludzi w Nowym Świecie, a także zaskakująco ciężkie warunki bytowania, doprowadzały wielu do skrajnej desperacji — tym bardziej, że powrót do kraju był już niemożliwy.

Zachęcająco opisywanej w listach ks. Moczygemby do

przybywała do Ameryki emigracja wojskowa (Powstanie Listopadowe, Styczniowe, wojny napoleońskie). Żadna jednak z tych fal emigracji nie osiedliła się grupowo, lecz szybko asymilowała się i wsiąkała w anglosaskie środowisko. Por. „The Polish Texans”, Institute of Texan Cultures at San Antonio 1990. Publikacja wchodzi w skład popularnej serii „The Texians and The Texans”.

6. „Memoires of L.B. Russell”. Cyt. za: Edward J. Dworaczyk, „The First Polish Colonies of America in Texas”, s. 17.

rodziny i przyjaciół z Płuznicy amerykańskiej Ziemi Obiecanej, nie można było w tym czasie — nawet przy najlepszych chęciach — nazwać dla Polaków przyjazną. Słowianie byli tutaj jak najbardziej niemiłe widziani. Znana z ksenofobicznych obciążeń ludność Południa była agresywnie nastawiona do wszystkiego, co nieangielskie. Nie przyjęła też nigdy do wiadomości, że ma do czynienia z przybyszami, którzy zjawili się w Ameryce z pokazną gotówką, z własnej woli, a nie na skutek prześladowań religijnych czy społecznych, jak to np. działo się z Irlandczykami. Mając przed sobą ludzi samodzielnych, pewnych swej użyteczności i nie oglądających się na niczyją pomoc, traktowano ich jak niedorozwiniętych umysłowo intruzów. Raziła u nich przede wszystkim słaba znajomość języka angielskiego i odmienny sposób ubierania się — śmieszyły granatowe kubraki z grubej wełny i drewniane chodaki. Najbardziej zaś, żarliwie demonstrowany katolicyzm, który z miejsca zepchnął Polaków na dno życia społecznego, i którego polskim emigrantom na tym kontynencie nigdy nie wybaczone.

Jeden z księży rezurekjonistów, którzy opiekowali się polskimi osadnikami w Teksasie, ks. Adolf Bakanowski, pisze w swoich notatkach z 1866 r.:

„Teksasncy Amerykanie, na ogół kowboje z małym doświadczeniem pracy na roli i o bardzo niskiej edukacji, umieli tylko wyśmienicie jeździć konno, ponieważ czynili to od dziecka. (...) Wyższa klasa Amerykanów, zatrudniająca u siebie czarnych niewolników, była bardzo rozleniwiona i nie nauczona samodzielnej pracy na chleb. Natomiast niższa klasa białych nie rozumie nowej władzy (po wojnie secesyjnej i upadku Południa — przyp. M.K.) i prawa wolności związanego ze zmianą rządu — zabijała ona wszystko, co ją tylko czymkolwiek sprowokowało. Słowem — przeżyliśmy ciężkie czasy... Ziemia należała do tych, którzy ją posiadali za czasu niewolnictwa czarnych. Także dziś, w 1866, spoglądają oni z góry na obcokrajowców i traktują ich jako białych niewolników, odmawiając nam dostąpienia ich pozycji społecznej. Gdy widzą, jak Polacy organizują swoją tu egzystencję i bez niczyjej pomocy powoli dorabiają się dostatku, najchętniej powyrzucaliby ich z ich własnych domostw. Polacy są obiektem nieustannych ataków. Ponieważ Polanderzy nie mówią po angielsku — dla niewydukowanych farmerów są powodem do traktowania ich, jak traktuje się Murzynów. Murzyni jednak zostali ogłoszeni wolnymi, więc teraz można zacząć prześladować obcokrajowców. W czasie podróży, czy też

w domu, nie mamy nigdy spokoju. Ani nawet w kościele nie jesteśmy wolni od ataków. Kowboje wjeżdżają do kościoła w czasie mszy świętej na koniach, z zapalonymi cygarami. Objeżdżają ołtarz w czasie Podniesienia wymieniając głośno wulgarne uwagi. Jeden z nich próbował też wjeżdżać do kościoła konno i atakować ludzi, aby przekonać się, ilu ludzi uda mu się rozmazać na ścianie. Na drogach strzelają Polanderom w nogi i wielu ciężko ranią. Kobiety nie mogą same pojawiać się na ulicy — często atakowane są uderzeniem noża w plecy. Takie, i wiele jeszcze innych przypadków ma tutaj miejsce. W obronie przed atakami, a także przed węzami, które znajdują się wszędzie, zaopatrzyłem się w rewolwer. Z różańcem w kieszeni i z rewolwerem zawieszonym przy siodle mogę poruszać się wszędzie tam, gdzie nie wierzą w Słowo Boże, lecz wierzą w mój rewolwer — czyli w Boga Amerykanów⁷”.

Innym razem ks. Bakanowski opisuje napad Amerykanów na Polaków wychodzących po niedzielnej mszy świętej z kościoła w Pannie Marii. Napastnicy przybyli konno z różnych części hrabstwa Karnes County z kobietami usadowionymi na powozach, które chciały zobaczyć, jak ich mężczyźni będą zabawiać się z „forinerami”. Rozpoczęło się od obrzucenia wychodzących z kościoła kamieniami, a potem strzelania w kłębiący się w drzwiach świątyni tłum. Jedynym uzbrojonym wśród Polaków był ks. Bakanowski, który przedarł się do zakrystii po swój rewolwer i zaczął strzelać nad głowami dla przepłoszenia atakujących. „Żeby jednak ludzie mogli bezpiecznie udać się do domów, trzeba było stoczyć całą bitwę na karabiny⁸”.

Te i podobne incydenty (także napady Indian) nie wpływały dodatkowo na samopoczucie osadników w Nowym Świecie. Poczucie niepewności było o tyle denerwujące, że nie wiadomo było, do kogo udać się po pomoc i kogo ścigać za te napadnięcia. Szeryf i jego deputowani nie mieli zamiaru brnąć Polaków w obronę, gdyż popierali swoich. Aby udać się do wyższej instancji, np. do wojska, trzeba było najpierw przebić się *żywym* przez obstawione przez napastników drogi.

Atmosfera zaszczucia z jednej strony wywołała nastroje przygnębienia i żalu do ks. Moczygemby za pomysł osiedle-

7. Adolf Bakanowski, „Pobyty siedmioletni w Ameryce”, cyt. za: Edward J. Dworaczyk „The First Colonies of America in Texas”, s. 33-35.

8. J.w., s. 36.

nia krajanów w tak niegościnniej ziemi. Doszło nawet do dramatycznych konfrontacji między franciszkaninem a drugą grupą, przybyłą do Panny Marii w 1855 roku, która postanowiła w pewnym momencie powiesić ks. Moczygembę za te wszystkie „dobrodziejstwa”, jakie im nieświadomie zgotował⁹. Do samosądu jednak nie doszło. Natomiast z drugiej strony — sytuacja stałego zagrożenia wpływała integrująco na społeczność polskich osadników. Wspólne zmaganie się z przeciwnościami przyrody, jak też ze zdziczałymi Amerykanami, spowodowało proces zacieśniania się małej społeczności we wspólnej walce o przetrwanie. Zaowocowało to później w aktywnym życiu polskich osad oraz ich wieloletnim przywiązaniu do rodzimej tradycji i języka.

Z czasem, wokół Panny Marii powstały inne polskie osady — Częstochowa, Kościuszko, Św. Jadwiga, Helena, Bandera i inne, nieco dalej położone, jak Brenham, Chappell Hill, Yorktown, Bremond. Wszystkie korzenie prowadzą jednak zawsze do starego dębu w Pannie Marii. Powtarzają się nazwiska Dziuków, Gawlików, Kowalików, Płochów, Gabrysiów, Kiołbassów, Urbańczyków. W każdej z późniejszych osad stoi piękny kościół, wybudowany na modłę europejską i po polsku wyposażony. Wiele pracy i trudu kosztowało osadników stworzenie tego amerykańskiego życia. Świadkiem tych zmagania w Pannie Marii jest dziś Gawlikowa chałupa, postawiona w 1855 roku.

Pierwsze, co ta nowa ziemia rodziła, to była bawełna, której uprawy trzeba się było uczyć od Murzynów i Meksykanów. Drugie — to ropa naftowa. Trzecim bogactwem, i jednocześnie przekleństwem tej ziemi, są odkryte stosunkowo niedawno złoża uranu.

„Nafta jednych bogaci, a innych zabija” — mówią dziś mieszkańcy Panny Marii, potomkowie osadników sprzed 140 lat. Polskiej społeczności w tej — wciąż polskiej — osadzie przyniosła ona śmierć. Od kiedy *Mineral Oil* zakupił działki, a *Chevron* uzyskał licencję na wydobywanie uranu, ludzie zaczęli umierać w Pannie Marii na nowo, niczym za pierwszych lat. Największa śmiertelność jest wśród dzieci, które w wielu przypadkach rodzą się już ze skażeniami popromiennymi. „I tak — mówi ks. Franciszek Kurzaj, obecny pro-

9. Wzmianki o w/w nastrojach w osadzie odnotowują wszystkie pamiętniki oraz prace historyczne, m.in. także ks. Wacław Kruska w swojej 13-tomowej „Historii polskiej w Ameryce”, Milwaukee 1905-1908.

boszcz parafii w Pannie Marii od roku 1986 — nawet w samą Wigilię Narodzenia Pańskiego mieliśmy tu pogrzeb dziecka, które zmarło na skutek uranowej radiacji i skażenia terenu odpadami. I jak tu się cieszyć z narodzenia Pana?...¹⁰.

Pobliska mina uranowa eksploatowana jest i przetwarzana w zakładach uranowych wyrobów hutniczych w Karnes County. Licencję na wydobywanie i produkcję ma kompania olejowa *Chevron*. *Chevron* też magazynuje odpady tej produkcji, które w postaci promieniotwórczego ślazu w ilości około 6 mln ton składowane są na gruntach osady Panny Marii. To składowisko odpadów zajmuje powierzchnię ok. 160 akrów. Jest to zbiornik osadzony na 50-stopowej warstwie nieprzepuszczalnej gliny. Powyższy schemat składowania odpadów promieniotwórczych *Chevron* stosuje od lat i twierdzi, że nigdy nie było z tym kłopotów.

Istnieją poważne powody, aby twierdzić, że zbiornik w Pannie Marii jest nieuszczelniony — mówi hydrolog Robert Kier, zaangażowany przez tutejszych mieszkańców, którzy zrzeszyli się w *Panna Maria Concerned Citizens (PMCC)* w celu wspólnej obrony. Robert Kier nie ma dowodów na to, że zbiornik rzeczywiście jest nieuszczelniony, twierdzi jednak, że jest duże prawdopodobieństwo, iż substancje promieniotwórcze przedostały się do wód gruntowych. Należałoby to zbadać i upewnić się. Jest to jednak bardzo kosztowne przedsięwzięcie i w tym regionie władze federalne nie przewidują wyasygnowania funduszu z kasy państwowej na ten cel.

Nawet gdybyśmy chcieli, nie uzyskalibyśmy z miasta zezwolenia na takie badania — żałują mieszkańcy Panny Marii. Od marca 1981 roku zgłaszane były wielokrotnie wnioski o zbadanie składu chemicznego wody w studniach. Od tego zależy przecież byt mieszkańców tej okolicy. Nigdy nie ustalono nawet kosztów takiego badania. Nie wiemy też, ile by wyniosło oczyszczenie wody gruntowej w najbardziej dotkniętej skażeniem wód pobliskiej miejscowości Sasquehanna.

„Chevron” nie udostępnia wyników własnych badań. Zapewnia jedynie, że woda studzienna i gruntowa w Pannie Marii była badana przez Departament Zdrowia Stanu Teksas i nic nie wskazuje na to, że jest ona zatruta.

10. Mirosława Kruszewska, „My tu umieramy”. [Reportaż] (w:) *Gwiazda Polarna* 1991 nr 39; Mirosława Kruszewska, „Czy Panna Maria przetrwa?” [Reportaż i wywiad z ks. Franciszkiem Kurzajem] (w:) *Nowy Dziennik* 1992 nr 5533, s. 4 i *Dziennik Chicagowski* 1993 nr 133.

Licencja „Chevrona” na wydobycie i przeróbkę rudy uranowej na tym terenie wygasła w 1981 roku. „Chevron” twierdzi, że już od roku 1980 wystąpiono o odnowienie licencji. Do chwili jej uzyskania prace prowadzone są według starej umowy. Nie jest to niezgodne z prawem, ale jest niezgodne z przepisami *Texas Radiation Control Act*. Odpowiedzialność za to spada bezpośrednio na stanowe biuro radiacji oraz kompanię „Chevrona”.

Wniosek osadników, skupionych w PMCC, jest taki, że jeśli wszystko to, co mówi „Chevron”, jest prawdą, to kompania powinna kontynuować starania o odnowienie licencji, a nie zwlekać tak długo z jej uzyskaniem. Natomiast pewna grupa naukowców stwierdziła jedynie, że nie ma dzisiaj czegoś takiego, jak standard naświetlania promieniotwórczego. Nie ma czegoś takiego, jak „bezpieczny poziom niskiego poziomu długości czasu, w którym organizm żywy może być wystawiony na działanie radioaktywności środowiska”.

Faktem jest, że w pobliżu osady składowane są radioaktywne odpady, że ludzie umierają z objawami choroby popromiennej, że bydło rodzi się ze zniekształconymi kończynami. Oficjalnie jednak skażenia radioaktywnego w naszej okolicy nie ma, bo... statystyki tego nie wykazują.

„*Mamy za niską śmiertelność na jedną milę kwadratową.* Jest to spowodowane tym, że ludzie nie umierają na miejscu, w samej Pannie Marii, lecz rozwożeni są do szpitali rozsiadanych w różnych miastach — tłumaczy dziennikarzom ks. Kurzaj. — W tej sytuacji, podjęcie postępowania prawnego jest bardzo trudne — żaden prawnik nie poprowadzi takiej sprawy, bo u nas — statystycznie! — nikt na skutek promieniowania nie umiera”.

Tak, jak za dawnych lat, obecny proboszcz Panny Marii — sam Ślązak spod Opola — dwoi się i troi, aby ocalić od zagłady swoją, małą polską społeczność. Jeździ więc, gdzie się tylko da i interweniuje. Raz wyrzucony za drzwi, wraca ponownie. Jest to prawdziwa wędrówka od Annasza do Kajfasza. Sami mieszkańcy Panny Marii, którzy zrzeszyli się w Concerned Citizens, żądają powołania komisji złożonej z radiologa, hydrologa i lekarza-patologa. Jest ich jednak obecnie tylko około 300 mieszkańców i dla tak małej społeczności nikt nie będzie ryzykował procesu z bogatą i renomowaną firmą naftową. Byli nawet przez niektórych nazywani „radykałami”, czyhającymi na kompanię przemysłową, która daje stanowiska pracy wielu okolicznym mieszkańcom i zajmuje

czołową pozycję w bazie podatkowej całego hrabstwa Karnes County.

Tak jednak nie jest — oburzają się Polacy z Panny Marii. My chcemy, aby w końcu ludzie, którzy są tym skażeniem bezpośrednio dotknięci, mieli też coś do powiedzenia i mieli możliwość oraz prawo wypowiedzieć się na ten temat, jak produkcja wyrobów uranowych jest przez „Chevron” prowadzona. Nikt nie chce klęski kompanii, niech sobie „Chevron” tę produkcję prowadzi, ale niech zahamuje skażenie środowiska.

„Chevron” musi pracować w taki sposób, aby nie pozostawiać w spadku wokół siebie śmierci i zatrucia środowiska naturalnego. W przeciwnym razie, cała nasza egzystencja i przyszłość tego regionu jest wystawiona na niebezpieczeństwo. W tym wyścigu ze śmiercią, czas jest sprawą podstawową i my musimy o tym mówić głośno i teraz, aby uczynić Pannę Marię miejscem bezpiecznym i zdrowym dla życia wszystkich okolicznych mieszkańców, a także dla zabezpieczenia bytu przyszłym generacjom.

Panna Maria jest kolebką polskiej kultury w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Błędy, jakie teraz popełniamy, będą dziedzictwem, które pozostawimy przyszłym pokoleniom. Jak dotąd, wszystkie nasze wysiłki rozbijają się o mur obojętności — dziennikarze informują i rozpisują się, a mieszkańcy Panny Marii umierają.

Pochylam się w zadumie nad marmurowym nagrobkiem ks. Leopolda Moczygemby i wzdycham z goryczą: „I po co żeś, pierona, te dziecioki śląskie tu przywiódł, księżu Moczygembo?”

Mirosława KRUSZEWSKA

Bibliografia:

1. Bakanowski, Adolf: „The Polish Circuit Rider”, Cheshire (Connecticut) 1971;
2. Baker, T. Lindsay: „The Early History of Panna Maria”, Lubbock (Texas) 1975;
3. Baker, T. Lindsay: „The Polish Texans”, San Antonio (Texas) 1982;
4. Baker, T. Lindsay: „Four Letters from Texas to Poland in 1855” (w:) „Southwestern Historical Quarterly” 1974 nr 44, s. 281-289;
5. Dworaczyk, Edward J.: „Church Records of Panna Maria, Texas”, Chicago (Illinois), 1945;

6. Dworaczyk, Edward J.: „The First Polish Colonies of America in Texas”, San Antonio (Texas) 1936;

7. Haiman, Mieczysław „The Poles in the Early History of Texas”, Chicago 1936;

8. Iwicki, John: „The First One Hundred Years: A Study of the Apostolate of the Congregation of the Resurrection in the United States 1866-1966”, Rzym 1966;

9. Kruszka, Waław: „Historia polska w Ameryce”, Milwaukee (Michigan) 1905-1908;

10. Kruszewska, Mirosława: „Trudne lata Polanderów”, Houston (Texas) 1993;

11. Nesterowicz, Stefan: „Notatki z podróży”, Toledo (Ohio) 1909;

12. Archiwum i muzeum przy parafii Niepokalanego Poczęcia NMP w Pannie Marii, Teksas oraz prywatne archiwa rodziny Moczygembów, Dziuków, Gawlików, Kotulów i in.

Z.S. SIEMASZKO

ROSYJSKI WIERSZ O WYJEŹDZIE ARMII GEN. ANDERSA¹

W grudniu 1990 r. miała miejsce tygodniowa konferencja z okazji 75-lecia SSEES². Odbywała się ona pod hasłem „W kierunku nowej wspólnoty — kultura i polityka w pototalitarnym społeczeństwie”. W konferencji tej wzięło udział szereg Rosjan, a wśród nich posłanka Galina Starowojtowa. Na ogół rosyjscy mówcy nie podzielali optymizmu SSEES wyrażonego w hasle tej konferencji i sugerowali, że na terenie Sowietów najpierw będzie bardzo źle, zanim stanie się lepiej. Do zespołu Rosjan należał

1. Pragnę podziękować następującym osobom, które dopomogły mi w zbieraniu danych tu przedstawionych: Władimir Kornilow w Moskwie, Borys Żegałło w Welwyn Garden City, Anna M. Siemaszko (moja córka) w Oksfordzie, Jan Malicki w Warszawie.

2. School of Slavonic and East European Studies wchodząca w skład Uniwersytetu Londyńskiego.

poeta Kornilow³, który w swoim wystąpieniu pt. „Lecznicza rola literatury” podkreślał, że Rosjanie powinni w pierwszym rzędzie szukać w sobie powodów niewoli i zwracał uwagę na to, że naród polski poszedł za Solidarnością, natomiast naród rosyjski nie poparł swoich dysydentów.

W czasie pierwszej rozmowy na początku konferencji Kornilow zorientował się szybko, że byłem (jak mówił) w *Armii gienierala Andiersa* i zapytał, czy znam wiersz rosyjski o wyjeździe tej armii. Kiedy odpowiedziałem, że nie znam, ale przypuszczam, że jest antypolski, odpowiedział, że wręcz przeciwnie, napisany jest z wielką przyjaźnią i obiecał, że następnego dnia przyniesie napisany przez siebie tekst, bo zna ten wiersz na pamięć⁴. Jednocześnie wyjaśnił, iż tytuł tego wiersza brzmi „Tridcatki”, czyli „Trzydziestki”, a pochodzi stąd, że polscy oficerowie rwali banknoty trzydziestorublów i wrzucali je do wody. Byłem nieco zdziwiony takim tytułem i z zaciekawieniem czekałem na tekst, który rzeczywiście Kornilow przyniósł następnego dnia, ale charakter jego pisma był tak okropny, że zajęło mi dużo czasu, zanim go odczytałem.

Wobec tego rozpocząłem starania o dostanie drukowanego tekstu, co zajęło mi prawie dwa lata. Kiedy wreszcie tekst otrzymałem okazało się, że Kornilow dobrze ten wiersz zapamiętał i uzupełnień było niewiele⁵. W moim tłumaczeniu wiersz ten brzmi następująco.

3. Władimir Nikołajewicz Kornilow, ur. 29 lipca 1928 r. w Dniepropietrowsku, ukończył Instytut Literacki im. Gorkiego, członek związku pisarzy, zamieszkały w Moskwie, do partii chyba nie należał. Jego zdaniem, nie jest spokrewniony z „białym” gen. Kornilowem, który skutecznie usiłował opanować Moskwę w 1917 r.

4. Autorem tego wiersza jest Boris Abramowicz Szuckij, ur. 7 maja 1919 r. w Sławiansku (doniecki rejon), ukończył Instytut Literacki w Leningradzie, w latach 1941–45 służył w wojsku, w 1943 r. wstąpił do partii, zmarł w 1987 r. Był tłumaczem polskiej poezji. (Dane te pochodzą z pierwszym rzędzie z *International Who's Who, 1987–88*).

5. Otrzymany od pana Jana Malickiego tekst, z którego tu korzystam, pochodzi z wydawnictwa *Boris Abramowicz Szuckij, Sobranije soczinienija w trioch tomach, Izdatielstwo „Chudożestwiennaja litieratura”, (Moskwa 1991). Tom trzeci, stichotworienija 1972–1977*. Str. 295. Należy sądzić, że wiersz ten został napisany wcześniej, a jedynie opublikowany po 1972 r.

TRZYDZIESTKI

*Cała armia Andersa — z rodzinami
z żonami i z dziećmi,
wątpliwościami i obawami
pędzona, jak nabajkami,
ładowała się w Krasnowodsku
na stareńkie statki,
i szło to przesiedlenie,
smętne jak niedola.*

*Lały się ludzkie potoki,
usiłując odpłynąć szybciej.
Szli wybrani potomkowie
ich obieralnych królów
i szlachciców, którzy na sejmie
na kompromisy nie chodzili,
a także biedne rodziny,
nieszczęsne rodziny szły.*

*Pragnąc na wieki
nie widzieć więcej naszej ziemi,
przepiękne żony Polki
z dziećmi uroczymi szły.
Czarujące Polki!
W tak niedawnych dniach
jako kucharki i praczki
wykorzystywano je.*

*Prędzej, prędzej, prędzej!
Jak pianę niosła rzeka
Żyda-golibrodę,
burzuja i kułaka,
a wszystkie syreny parostatków
nie kończyły wycia,
aby każdy z idących
prędzej do mostków szedł.*

*Podjadłszy zimnej kaszy,
bolejąc cicho na duszy,
milcząc patrzyli nasi
na to odejście cudze,
i szkoda było Polaków,
dzieci szczególnie żal,*

*lecz los nie jednak,
niewypowiedzialny smutek.*

*Widzę i dzisiaj
to, co widziałem wczoraj:
oto wychodzą na trapy
chudzi oficerowie,
wyrrywają z kieszeni
trzydziestki i z miejsca je rwą,
i różowe za burtami
trzydziestki
płyną, płyną.*

*O, mnie nie powiedziały więcej,
a wszakże mogłyby powiedzieć
wszystkie trzy rozbiory Polski,
powstań polskich dwa,
niż*

*w tęczowych falach mazi
trzydziestek porwanych kawałki,
podczas gdy nie ubrana, bez butów,
i poprawiając okulary,
i kutając się w łachmany
i puszczając kobiety naprzód,
szła polska lawina na angielski parostatek.*

Po wojnie wielu polskich historyków, publicystów i dziennikarzy oceniało negatywnie wyjazd Armii gen. Andersa, twierdząc, iż była to niewierność w stosunku do Sowieców, które krwawiły się w walce i że naród rosyjski tego nie zapomni. Na przykład spójrzmy jaką sceną odmalował problemy tej ewakuacji ówczesny komendant Bazy Ewakuacyjnej w Krasnowodsku ppłk dypl. Zygmunt Berling.

Z Baku i Machaczkały przybywały statki z ewakuowanymi obywatelami Związku Radzieckiego (...) Większość z nich tułała się już od dawna. Nie wyglądali ani trochę lepiej niż nasi, przybywający z głębi tego ogromnego kraju (...) Ich stan psychiczny nie miał tego oparcia, jakie dawała naszym ucieczka do Iranu. Oni musieli przetrwać wszystko najgorsze do końca (...) Czasami przybijał do mola statek z rannymi (...) Tak się kiedyś zdarzyło, że jedną stroną pomostu schodziły na brzeg szeregi rannych, a drugą podchodził do okrętu jeden z pułków 6

Dywizji Andersa. Żołnierze doskonale wyekwipowani, opaleni od słońca, robili wrażenie dobrej wojskowej jednostki. Znalazłem się przypadkowo na końcu pomostu między obu kolumnami i zatrzymałem się, by pomóc siostrze umieścić w samochodzie rannego w nogi żołnierza. Żołnierz obdarzył mnie smutnym uśmiechem i powiedział:

— Jak to dobrze! Polacy jadą pomagać... bo nam jest strasznie ciężko.

Zacisnąłem zęby i milczałem.

Zygmunt Berling, *Wspomnienia*,
Polski Dom Wyd., Warszawa 1990. Tom I, str. 295.

Na tle tego rodzaju naświetlenia sprawy z polskiej strony należy docenić to, że poeta sowiecki o żydowskim zapleczu, członek partii komunistycznej Boris Słuckij nie wyraża żadnych pretensji wobec Polaków, znajduje sporo współczucia i zrozumienia dla wyjeżdżających i zdaje sobie sprawę z tego, że jego państwo i niektórzy spośród jego przedstawicieli wyrządzili wiele krzywd polskim obywatelom.

W wierszu tym występuje typowe dla Rosjan dwojake podejście do Polaków. Z jednej strony imponuje im obieralny król, bezkompromisowość szlachty i poszanowanie kobiet nawet w takich warunkach jak załadowanie w Krasnowodsku, a z drugiej uważają jednak Polaków za szaleńców, którzy pomimo wygłodzenia, łachmanów i braku butów wrzucają porwane banknoty sowieckie do brudnej wody Morza Kaspijskiego⁶. Powiedziało to Słuckiemu (jego zdaniem) więcej o stosunkach między Polakami i państwem rosyjskim niż trzy rozbiory i dwa powstania.

Ale spójrzmy na te sprawy bardziej konkretnie. Władze sowieckie bezapelacyjnie zabraniały wywożenia pieniędzy sowieckich do Persji. Każdy wyjeżdżający, zarówno w pierwszej jak i drugiej ewakuacji, tak wojskowi jak i cywile, musiał wyzbyć się pieniędzy i niekiedy grożono, że jeżeli u kogoś znajdą choć jeden banknot lub jedną monetę, zostanie zatrzymany w Sowietach. W niektórych transportach zbierano pieniądze sowieckie do płaszczy lub koców, czy też do skrzyń podobnych do skrzyń wyborczych i zapowiadano, że pieniądze te pójdą na cele Polskiej Opieki Społecznej. Ci, których rodziny pozostawały w Sowietach (a takich było wielu) zdawali swe pieniądze wraz adresami rodzin, którym miały być one przekazane. Pieniądze

6. Pewien oficer NKWD badający po wojnie w PRL młodego Polaka, który pomimo zadawanych tortur nie chciał ulec, mówił:

— *Ach, wy Polaki romantiki.*

te, zarówno dla poszczególnych rodzin jak i bezimiennie na cele ogólnospołeczne przekazywano Bazie Ewakuacyjnej w Krasnowodsku, na czele której stał Berling. O ile mi wiadomo, pojedynczym rodzinom pieniędzy zdanych przez ich ojców lub synów nie przekazano. Istnieją też poważne wątpliwości co do przekazania zbiorów bezimiennych na cele społeczne.

Możliwe, iż w czasie drugiej ewakuacji krążyły już słuchy o niewiadomych losach pieniędzy zdanych przez pierwszą ewakuację, wobec tego możliwe, iż pewni oficerowie postanowili pieniądze nie oddawać i dopiero kiedy wchodzili na most prowadzący na statek, z powodu ostatecznego ostrzeżenia połączonego z groźbą pozostania w Sowietach, zdecydowali się zniszczyć swe trzydziestorublówki, wrzucając je do brudnej wody. A należy dodać, że polsko-sowiecka kontrola, licząca i rejestrująca ewakuowanych, stała u szczytu mostu, przy samym wejściu na statek. Wynikałoby z tego, że wypadek opisywany przez Śluckiego mógł się zdarzyć. A trzydziestorublówki były rzeczywiście różowe i oficerowie mogli je posiadać, bo w tym czasie gaza podporucznika wynosiła 1000, a pułkownika 1700 rubli miesięcznie. Dla porównania żołd szeregowca wynosił 25 rubli miesięcznie (Józef Lis, *Geneza tworzenia Polskich Sił Zbrojnych*, str. 16), a zarobek niewykwalifikowanego robotnika pomiędzy 100 i 150 rubli miesięcznie.

Wreszcie należy stwierdzić, że powiedzenie, iż „polska lawina” szła na *angijskiej parochod*, poetycko brzmi dobrze, jako podkreślenie przejścia tej „lawiny” w inny świat, jednak faktycznie statki te były sowieckie i nosiły takie nazwy jak *Moskwa*, *Kaganowicz*, *Profsojuz*. I nawet zejście z nich „na wolną ziemię perską” nie było jeszcze całkowitym rozstaniem się, bo krążyły tam okupacyjne wojska sowieckie, chociaż były tam już również władze brytyjskie. Dopiero przejazd do centralnej lub południowej Persji był ostatecznym wyjściem z zasięgu sowieckiego.

Londyn, 2 lutego 1994 r.

Z.S. SIEMASZKO

LISTA PROFESORA — KOMENDANTA AKAPJANA

Fala dziwnych skojarzeń myślowych przyniosła mi wspomnienie ludzi, z którymi zetknął mnie LOS na „nie ludzkiej ziemi”.

Akapjan był profesorem uniwersytetu w Erywaniu w Armenii. Wykładał historię powszechną. Normalnym trybem profesor Akapjan został przeniesiony z uniwersytetu na dokładniejsze przeszkolenie do łagru zwanego Kedrowy Szor w „republice” Komi nad rzeką Peczorą. W organizacji „Gułagu” niektóre łagry miały reżym dużo łżejszy niż inne. Do tych o łżejszym reżymie należał Kedrowy Szor. W tych łżejszych istniało coś w rodzaju łagiernego samorządu. Polegał on na tym, że komendant „wochry”, wojskowej enkawudowskiej „ochrony” — dozoru, oficer NKWD miał prawo mianować „komendanta-więźnia”. Takim komendantem został mianowany profesor Akapjan. Dlaczego on? Bo komendant „wochry” był również Ormianinem.

Należałem do grupy więźniów Polaków, która była skierowana do tego obozu. Przyjął nas z „otwartymi ramionami” człowiek czarnowłosy o śniadej twarzy, średniego wzrostu, szczupłej figury; zaprowadził do baraku z dwupiętrowymi drewnianymi przyczami i powiedział, że możemy przez trzy dni na tych przyczach „oddychat”, a dostawać będziemy „pajok wtorego kotła” (osiemset gram chleba i obiad z dwóch dań, na śniadania i kolacje po misce kaszy z „postnom masłem” — olej słonecznikowy).

Dział się zaczęły w czasie naszego przebywania w łagrze Kedrowy Szor istne dziwy, które wydawały nam się cudami. Pierwsze kroki skierowałem do baraku, w którym mieściła się łagierna poczta. Chciałem wysłać list do Reginy, chociaż wiedziałem że w mojej sprawie jest zakaz korespondencji. Powiedział mi o tym w tajemnicy naczelnik mego ostatniego etapowego więzienia w Gorodni; gdy wywołał mnie do transportu i wezwał do swego „gabinetu”, podał kilka kartek zapisanych wyraźnym czytelny charakterem pisma Reginy i powiedział mrużąc, a może mi się tylko zdawało oko:

— To od waszej żony, przeczytajcie, ale wam ich czytać nie wolno, mają leżeć w waszych dokumentach aż do waszego zwolnienia. Wam listów ani przyjmować, ani pisać „nie lizia”. Pamiętajcie.

To też był Człowiek w nieludzkim systemie.

Ale wracam do łagru Kedrowy Szor i do jego „pocztowej części”.

Kierowniczką — kobietą, ładną, zadbaną, w białej chustce na ciemnych włosach. Mówię z głupia frant, że chcę wysłać list do żony we Lwowie (nie było jej już we Lwowie). Nazwisko, imię, „otczestwo”. Szuka w dokumentach, ułożonych na półkach, drzę z niecierpliwości i łudzac się iskierką nadziei, że może się uda, może nie dopatrzy. Ale dopatrzyła i powtórzyła co mi powiedział naczelnik więzienia, w Gorodni, że mnie listów ani otrzymywać, ani pisać „niełzia”. Udałem zdumienie. Zapytałem, czy nie ma na to rady. Rozłożyła bezradnym ruchem dłonie na mojej teczce owiniętej w szary pakowy papier i powiedziała:

— Zapytajcie komendanta Akapjana. Może coś poradzi.

Poszedłem i zapytałem. Poszliśmy do komendantki poczty.

— Słuchajcie „graždanka”, on mówi że w jego papierach jest zakaz wysyłania listów, ale czy jest coś „na szcót tielegrammy”?

Odwinęła szary papier mojej teczki, zajrzała, albo udała że zagląda, i przyznała że „na szcót” telegramu nic tam nie piszą. Zdecydowali więc z Akapjanem, że telegram wyślą.

Piat’ rublej.

Pieniądze miałem, nawet sporo, bo w obozie przejściowym w Koźwie, skąd ruszył nasz transport do Kedrowego Szoru, zostaliśmy przemundurowani w łagierny przyodziewek, więc sprzedawałem urkom cywilne ubranie.

Myślałem, że oszaleję z radości. Wiedziałem, że ona żyje, bo czytałem jej listy w Gorodni, teraz ona będzie wiedziała że ja żyję. To niby niewiele a tak dużo.

Akapjan wydzieliał nam, wszystkim Polakom, najłatwiejsze prace i — niezależnie od tego ile procent wyrobiliśmy — zapisywał sto i ponad sto, nawet tym co i pięćdziesięciu nie wyrobili, albo w ogóle w słabosiłce szczęśliwie się dekowali, jak mój serdeczny — do dzisiaj — przyjaciel Ludwik Hass, ówczesna „trockistowska gadzina”, a obecnie profesor dr, wybitny historyk, specjalista od masonów.

Po amnestii (trzeba zawsze dodawać rytualnie „tak zwanej”), gdyśmy odchodzili z Kedrowego Szoru do „pieriesielnego” w Koźwie, serdecznie się z Akapjanem żegnaliśmy, a Serafinowicz, podobno — jak nas zapewniał — brat stryjeczny Lechonia, zapytał Akapjana dlaczego był nam tak serdecznie przyjazny, dzięki czemu niejeden z nas starszych albo słabszych (jak Ludwik Hass) zdołał przeżyć. Usłyszeliśmy zdumiewającą odpowiedź. Zapamiętałem dokładnie i dosłownie tu podaję:

„Mój stosunek do was i — jak powiadacie — moją opiekę nad wami Polakami — zawdzięczacie waszym przodkom... Jestem Ormianinem, z zawodu historykiem. W uniwersytecie erywańskim byłem wykładowcą historii powszechnej, miałem dostęp do różnych dokumentów, z których nie wszystkie były dostępne do normalnego wglądu... Wicie jak to jest w naszej sowieckiej nauce. Czytanie dokumentów powiedziało mi, że gdy w całym świecie nas, Ormian, prześladowano, mordowano, szczególnie w Rosji i w krajach muzułmańskich, jedna dawna Rzeczpospolita Polska była dla nas drugą ojczyzną, prawdziwą matką. W tej dawnej Polsce my Ormianie nie tylko nie byliśmy prześladowani, nie tylko zwyczajnie po ludzku tolerowano nas, gdyśmy się znaleźli jako uchodźcy z naszego kraju w jej granicach, ale otaczano opieką i przyjaźnią ludzką, braterską. Mogliśmy obejmować urzędy cywilne, otrzymywać wysokie rangi wojskowe, sejmy obdarzały nas indygenatami szlacheckimi. To gdyście wy, Polacy, popadli w jarzmo rosyjskie, gdy zastępy więźniów polskich zaczęły spływać do łagrów, przysiągłem sobie sam i kogo mogłem ze swych rodaków w innych łagrach uprzedzić różnymi drogami, że musimy się Polakami opiekować, chronić was, strzec w miarę możliwości przed prześladowaniem komunistów i urków...”

Wspomniałem wyżej krótko, że w łagrach Kedrowy Szor i Workuta (teraz Peczora) „kolegowałem” i serdecznie się zaprzyjaźniłem z Ludwikiem Hassem, wówczas studentem Uniwersytetu Jana Kazimierza, wywiezionym ze Lwowa z więzienia NKWD w r.1940 za uprawianie w czasie studiów KRTD („kontrrewolucjonarna trockistskaja diejatielnost”).

Ja z Koźwy zostałem zwolniony do wojska polskiego dopiero w r.1942, mimo wielokrotnie ponawianych zachęt bym wstąpił do wojska sowieckiego. Hassa zostawiono w łagrze. Rozstawałem się z nim z wielkim żalem. Pamiętam do dzisiaj jego prawie białą twarz i ręce wyciągnięte przez druty kolczaste do mnie, gdym był już poza „zoną”. Obiecałem że zrobię wszystko, by nasze władze wojskowe wyciągnęły go z łagru. Nie udało mi się. Hass został zwolniony z Rosji dopiero w r.1957. Po powrocie do PRL nawiązał ze mną kontakt korespondencyjny.

Wznowił przerwane lwowskie studia na Uniwersytecie Warszawskim, uzyskał magisterium w r.1962. Ale że naturę miał niepokorną zaczął publicznie (m.in. w tzw. Klubie Krzywego Koła) i prywatnie mówić, co myśli o stalinowskim reżymie w Polsce. Został skazany w r.1965 na więzienie, w następnym roku jednak zwolniony, ale skazany już nie wyrokiem formal-

nym sądowym, ale „zwyczajowo” na 13 lat przymusowego bezrobocia. Żonę jego zwolniono z posady nauczycielki języka rosyjskiego. Pomagałem mu w tych głodowych latach jak mogłem wysyłaniem paczek żywnościowych przez firmę „Tazab”, w której pracowałem jako wykwalifikowany „paker”, również przez ponad 13 lat (tak się złożyło, bo też „tak się właśnie złożyło”, że zabrakło dla mnie „etatu” w redakcji londyńskich pism emigracyjnych; do *Kultury* pisywałem).

W r.1971 Hass obronił pracę doktorską o historii masonerii polskiej, uzyskał tytuł doktora, a w dziesięć lat potem profesurę i członkostwo Polskiej Akademii Nauk, co nie bardzo podobało się władzom reżymu, które przedwcześnie przeniosły go na emeryturę. W tych latach stał się znanym autorem dzieł historycznych, głównie o masonerii.

„Na żywo” spotkaliśmy się w Paryżu w r.1972, gdy udało mu się uzyskać pozwolenie na wyjazd w celach naukowych — studiowania dokumentów polskiej loży im. Kopernika i przeprowadzenia rozmów z polskimi i francuskimi masonami. Hass sam masonem nie jest, ale pozostał wierny swoim przekonaniom marksistowskim w duchu trockizmu — tego się nie zapiera i głosi publicznie. Powiedział mi, gdym go o to pytał: „Może jestem ideologicznym dinozaurem, ale w tej ideologii wzrosłem i wrosłem w nią”.

W Paryżu Hass odnowił przyjaźń z Edmundem Bałuką, jednym z przywódców powstania roku 1970 na Wybrzeżu.

Janusz KOWALEWSKI

WOLNA TRYBUNA

Zdzisław A. SIEMASZKO

WILEŃSKA AK A NIEMCY

Między dwoma wrogami

Antyniemiecka propaganda wpajana w Polaków w ciągu kilkudziesięciu lat przez Sowiety, PRL oraz, trzeba to przyznać, przez Armię Krajową i jej duchowych sukcesorów, usadowiła się w polskiej mentalności na dobre i po dziś dzień jakiegokolwiek kontakty z Niemcami podczas wojny są traktowane jako karygodne. A jednocześnie takich samych kontaktów z Sowietami nie tylko się nie potępia, lecz są one nawet przedstawiane jako zasługi. Typowym przykładem prosowieckiej mentalności jest wypowiedź wybitnego akowca Jerzego Lerskiego¹, który potępiał głoszenie iż mord katyński był dziełem Sowietów, ponieważ takie twierdzenie zatruwało wiarę w dobrą wolę Stalina.

Tymczasem polska doktryna wojenna w II wojnie światowej opierała się na prognozie, że historia pierwszej wojny w niej się powtórzy, tj. że w jej końcowym stadium naród polski znajdzie się wobec zdruzgotanej Rosji i osłabionych Niemiec, co było jednoznaczne ze zwycięstwem Niemiec nad Rosją, a aliantów zachodnich nad Niemcami. Na tym założeniu opierało się myślenie polskich przywódców, instrukcje dla podziemia w kraju, oraz przygotowania „prac kongresowych” do pokoju i odbudowy kraju. Nie było w nich mowy o

1. „Emisariusz Jur”, 1984, ss. 110-111, cytuję za Kazimierzem Zamorskim, *Puls* 34/1987 s. 61.

jakiegokolwiek współpracy z Rosją sowiecką — wprost przeciwnie, postulowano walkę z Rosją. Ilustrują to wypowiedzi zaczerpnięte z szerokiego wachlarza źródeł.

Gen. Rowecki w rozkazie do komendantów okręgów wschodnich ZWZ z 29-9-40 formułował taką doktrynę i przewidywał konieczność walki sił własnych z Sowietami:

Najwygodniejszym dla nas rozwiązaniem byłoby, gdyby Niemcy zaatakowali Rosję, zniszczyli siłę militarną Rosji... W wypadku marszu sił sowieckich na zachód musicie być zdolni na specjalny rozkaz mój do czynnej akcji w postaci masowej dywersji i partyzantki. („AK w dokumentach”, tom I, ss. 297-8).

Organ krajowej Delegatury Rządu *Rzeczypospolita Polska*, maj 1941:

Polska znajduje się w stanie wojny nie tylko z Niemcami ale także z Rosją. Na wypadek zbrojnego ataku między Niemcami a Rosją Polacy winni zachować w stosunku do obu stron nadal postawę jednakową: bezwzględnie wrogą. Winni wystrzegać się okazywania pomocy jednej ze stron, a nadal mają obowiązek zwalczać obu wrogów... Pamiętajmy o tym, że prowadzimy walkę na dwa fronty i że nie wolno nam wchodzić w żadne układy z okupantem. (Cytowany w: J. Zaremba, „Było i tak”, 1976, s. 303).

Gen. Sosnkowski w liście do gen. Sikorskiego wnet po wybuchu wojny 22.6.41. żądał kompletnego zawieszenia akcji przeciwko armii niemieckiej:

Działania na tyłach armii niemieckiej, z terytorium kraju, należy bezwzględnie wykluczyć. (P. Starzeński, „Ostatni polscy rycerze”, 1968, s. 110).

Podobnie zapatrywał się na miejscu w Wilnie ks. Kazimierz Kucharski S.J., twórca wileńskiego ZWZ:

Na wypadek wojny niemiecko-bolszewickiej ZWZ w kraju zachowa postawę neutralną, zachowując swe siły do ostatecznej walki z tym wrogiem, który zostanie na terenach Polski. („Konspiracyjny ruch niepodległościowy w Wilnie”, mps, 1942, s. 22).

Jak widzimy, istniała zgodna opinia miarodajnych czynników, że na terenach Polski i Wielkiego Księstwa Sowiecom pomagać nie należy, gdyż taka akcja byłaby sprzeczna z polskimi interesami.

Jednak, z drugiej strony, wynikało zagadnienie stanowiska Polski jako lojalnego i w pełni zaangażowanego członka koalicji, gotowego walczyć z Niemcami wszędzie gdziekolwiek oni się znajdują. Dla polskiego rządu w Londynie ten aspekt nabierał cech dominujących, nie tylko ze względu na bezpośrednią bliskość alianckiego szczytu, ale także wobec charakteru ludzi u steru, a przede wszystkim samego spragnionego władzy, obcych pochwał i poklasku gen. Sikorskiego, który niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że jego status w alianckim Londynie opiera się w znacznej mierze na władztwie nad państwem podziemnym w kraju, walczącym z Niemcami. Pożądane z punktu widzenia polskiej racji stanu zaniechanie tej walki spowodowałoby burzę w stosunkach z Anglikami, co dla Sikorskiego leżało daleko poza granicą możliwych do przyjęcia posunięć. Sikorski to nie był de Gaulle.

Celem powiększenia swojej domeny Sikorski także pragnął ściągnąć pod swoją władzę rzesze Polaków wywiezionych do ZSSR, które liczebnie przewyższały wielokrotnie garstkę, jaką on wówczas dysponował z Londynu. Jak wiadomo, pakt polsko-sowiecki został zawarty 30 lipca 1941, osobiście przez Sikorskiego, bez konsultowania rządu polskiego i wbrew opinii czołowych polskich mężów stanu, lecz za namową Brytyjczyków i sowieckiego agenta, Stefana Litauera. W rezultacie walki z Niemcami na wschodzie nie zaniechano i polski wywiad postawiono do sowieckich usług².

Opinia publiczna

„Nigdy chyba w dziejach takie miliony ludzi, z takim upragnieniem nie czekały na wojnę i tyle się po wojnie spodziewały” pisał o wojnie niemiecko-sowieckiej Józef Mackiewicz („Nie trzeba głośno mówić”, 1985, s. 368). I nigdy takie miliony nie oczekiwały od Niemiec oswobodzenia z sowieckiego jarzma. Nawet we własnym sztabie gen. Sikorskiego przeważająca opinia sprzyja Niemcom w ich wojnie prze-

2. L. Mitkiewicz, „Z gen. Sikorskim na obczyźnie”, 1968, ss. 150-151, 157, 175 i nast.

ciwko Sowiecom, jak to zauważył zastępca szefa tego sztabu, płk Leon Mitkiewicz (po powrocie z Ameryki w końcu czerwca 1941):

W całym sztabie N.W. w Londynie zastałem nastroje oczekiwania — nie chcę powiedzieć że radosnego — że za parę tygodni Rosja będzie definitywnie rozbita i że Niemcy w tryumfie zakończą wojnę z Rosją w Moskwie, obalając ustrój sowiecki (*Op. cit.*, s.151).

Także rzecznik Sztabu Nacz. Wodza płk Kijak stale, i jeszcze nawet w rok po Stalingradzie, zapowiadał pożądane dla Polski zwycięstwo Niemców nad Sowiecami (T. Katelbach, „Rok złych wróżb”, 1959, ss. 39, 202).

Jeżeli takie odchylenia od zadeklarowanej rządowej polityki wobec Sowieców istniały w Londynie, to cóż dopiero na ziemiach WXL gdzie ludzie na własnej skórze doświadczyli sowieckiej okupacji. Wychowani pod komunizmem i stronicy oficjalnej polityki Armii Krajowej nie lubią żeby o tym przypominać, ale to fakt, że wojska niemieckie były tam witane przez ludność, także i polską, z entuzjazmem jako oswobodziciele od zniechęconego sowieckiego jarzma, a ich olbrzymie sukcesy wydawały się zapowiadać niechybny koniec ojczyzny komunizmu. W odczuwaniu wielkiej radości z takiego obrotu sprawy uczestniczyła ogromna większość ludności Związku Sowieckiego, a szczególnie ludy nierosyjskie.

Na skutek brutalnego zachowania się Niemców, nierozwiązania kolchozów, okrutnego traktowania jeńców i braku jakiegokolwiek deklaracji politycznej odnośnie losu eks-sowieckich terenów, po 3-4 miesiącach nastąpiło rozczarowanie ludności i uświadomienie, że Niemcy jednak nie przyszli jako wybawiciele, lecz jako okrutni i nierozsądni satrapowie. Jednak gruntownie ujemny stosunek do Sowieców nie został tą drogą zlikwidowany i kiedy pobici Niemcy wycofywali się z tych terenów, niezliczone rzesze porzuciły swoje domy i uciekały pod ich osłoną, byle tylko nie dostać się ponownie pod sowieckie panowanie.

Nie bez znaczenia był fakt, że w WXL okupacja niemiecka była mniej okrutna niż w Polsce lub na Ukrainie, w rezultacie wprowadzonego podziału administracyjnego. Mianowicie Niemcy uznali Białoruś za kraj nie słowiański, lecz nordycki, i włączyli ją, wraz z Litwą, Łotwą i Estonią, do konglomeratu zwanego *Ostland*. Zupełnie niebywałym w pań-

stwie Hitlera zjawiskiem było, że obaj kolejni wielkorządcy (*Generalkommissare*) Białorusi, Wilhelm Kube i Curt von Gottberg, szczerze sprzyjali rządzonemu przez siebie krajowi, prowadzili go do niezależności i starali się złagodzić brutalność Gestapo i SS, co zresztą Kube przypłacił życiem³.

Sytuacja w Wilnie

Osoby ulegające antyniemieckiej psychozie uważały i uważają do dziś, że formuła „Jesteśmy w stanie wojny z Niemcami” wyjaśnia całkowicie sytuację Polski pomiędzy Niemcami a Rosją, nakazując bezwzględną walkę z Niemcami a współpracę z Sowiecami. Przeciwno tak dogmatycznemu stanowisku można wnieść obiekcje. Po pierwsze, stan wojenny nie był ograniczony do Niemiec, gdyż na skutek sowieckiej inwazji 17.9.39 Polska znalazła się *de facto* w stanie wojny z ZSSR⁴. Stan ten uległ co prawda likwidacji poprzez londyński układ z 30.7.41, lecz został wznowiony w dwa lata później, jak to wyjaśniam poniżej. Dalej, w Wilnie, w odróżnieniu od Warszawy, istnieniu dwóch wrogów, a nie jednego, trudno było zaprzeczyć, życie było silniejsze niż odgórne rozkazy i dogmatyczne hasła.

Wileńska komenda AK znalazła się w obliczu zasadniczych sprzeczności, i to podwójnych. Bowiem z Londynu przez Warszawę płynęły zapewnienia, że wszystko z Sowiecami zostało przez gen. Sikorskiego uzgodnione i należy ich traktować jako przyjaciół, a tymczasem sytuacja na miejscu potwierdzała sowiecką nieprzyjaźń. A po drugie, podstawowym warunkiem zdobycia przychylności Sowieców było uczestnictwo w walce przeciwko Niemcom teraz, zaraz, dziś — gdy tymczasem obowiązująca w AK od początku i ściśle przestrzegana zasada „stania z bronią u nogi” aż do wyczerpania się nieprzyjaciół (bodaj jedyna mądra doktryna wymyślona przez naczałstwo AK, niestety w końcu zastąpiona przez bez-

3. J. Turonek, „Białoruś pod okupacją niemiecką”, Warszawa 1989. Postępowanie tych wielkorządców było zgodne z tradycją z I wojny, kiedy to dowódca X armii niemieckiej w Mińsku gen. Erich von Falkenhayn przyjaźnie ustosunkował się do rozwoju niepodległej Białorusi, głównie pod wpływem Romana Skirmunta oraz Magdaleny i Mikołaja Radziwiłłów.

4. Zagadnienie to dyskutuje prof. Sukiennicki, *Kultura* 3/1962 s. 125 i nast.

sensowną Burzę) zakazywała wszelkiej akcji na dzisiaj.

Oplacana przez Anglików operacja Wachlarz była próbą wyzwolenia się z części tych sprzeczności przez skierowanie polskiego wysiłku bojowego poza granice z 1939 r. Jednak Wachlarz poza wrześniową granicę wyskoczyć nie zdołał (prócz nielicznych wyjątków) a do jego kierownictwa napłynęli oszuści i dyletanci, którzy powodowali duże straty i przysyłali fikcyjne meldunki. Projekt został wnet zlikwidowany *in odore* kompromitacji (C. Chlebowski, „Wachlarz”, 1985).

Drugą próbą wydobycia się z impasu była polityczna decyzja, podjęta na początku r. 1943, wbrew zasadzie stania z bronią u nogi, zezwolenia por. Burzyńskiemu (ps. Kmicic) na zorganizowanie akowskiego oddziału partyzanckiego u boku sowieckiego brygadiera F.G. Markowa, który działał nad jeziorem Narocz (D. Fikus, „Pseudonim Łupaszka”, 1988, s. 39).

Tymczasem jednak pojawiły się podstawy do wznowienia stanu wojennego *de facto* pomiędzy Polską a ZSSR: w związku z wykryciem grobów katyńskich 25.4.43 nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych, a 22.6.43 połączone CK kompartii Ukrainy, Białorusi i Litwy wydały dekret nakazujący zwalczanie białopolskiej partyzantki „wszystkimi sposobami”⁵. W dwa miesiące później Markow dekret zastosował, zdradziecko mordując Burzyńskiego i znaczną część jego żołnierzy. Nad pozostałymi na wolności dowództwo objął mjr Zygmunt Szendzielarz, ps. Łupaszka.

Naturalnie wileńska AK potrzebowała sojuszników, toteż wydarzenia te pchnęły ją w niemieckie objęcia. Oddział Łupaszki od początku swego istnienia współpracował z Niemcami (J. Prawdzic-Szlaski, „Nowogródzczyzna w walce”, s. 215), a później ta współpraca się rozszerzyła. Oboj stronie jednak zależało na utrzymaniu tych kontaktów w tajemnicy wobec krytycznych założeń ich odpowiednich władz. Niemcy naturalnie wiedzieli o surowych dyrektywach Hitlera dotyczących stosunku do ludności na wschodzie, o dymisji generałów Brauchitscha (głównodowodzącego) i Bocka (grupa armii Mitte) za krytykę tych dyrektyw i o determinacji Hitlera niepowtarzania błędnej (wg. niego) polityki Ludendorffa z I wojny przez popieranie Polaków⁶. A Polacy wiedzieli, iż na

5. K. Juchniewicz, „Polacy w radzieckim ruchu oporu”, 1975, ss. 302-3.

6. E.H. Cookridge, „Gehlen”, 1972, W. Strik-Strikfeldt, „Against Stalin and Hitler”, 1970.

wierchuszce AK przeważa opinia, że formuła „jesteśmy w stanie wojny z Niemcami” decyduje. Stąd pochodzą spotykane solenne twierdzenia, że żadnej współpracy AK z Niemcami nie było i że oferty niemieckie zostały odrzucone. Nie należy ich jednak przyjmować za wiarygodne, gdyż były one po prostu wygodne. Także z wileńskiego okręgu brak osobistych wspomnień, gdyż żaden z głównych wileńskich *dramatis personae* współpracy z Niemcami — w odróżnieniu od nowogródzkiego — nie przeżył i nie wydostał się na Zachód. Analogia z Nowogródkiem niewątpliwie istniała wobec wspólnej dla obu KG AK i wspólnej niemieckiej administracji Białorusi. Poza tym pewne godne zaufania materiały zostały jednak opublikowane i wiele wniosków można wyciągnąć z obserwacji zjawisk jakie tam zachodziły.

Wzajemny Immunitet?

Osobliwością historii wileńskiej AK było, że w przeciągu całej trzyletniej niemieckiej okupacji jej kierownictwo, tak Komenda Okręgu jak i Delegatura Rządu, pozostały nieknięte przez aresztowania, poza jednym wyjątkiem szefa Biura Informacyjnego KO Zygmunta Andruszkiewicza, zdecydowanego antysowieczonego i przyjaciela Józefa Mackiewicza, którego zadenuncjowali do Gestapo jego prosowieccy wrogowie w kierownictwie AK, przypuszczalnie dlatego że on już był na tropie ich konkretnych sowieckich powiązań i dlatego że bronił Mackiewicza. Andruszkiewicz zginął śmiercią samobójczą w niemieckim więzieniu. Niemcy zwalczali niższe sektory organizacji, i owszem: w Ponarach zginęło 1700 Polaków, w tym wielu akowców. Ale nie kierownictwo — oni cieszyli się immunitetem. Przypuszczalnie twórcą tej polityki był Horst Wulff, Gebietskommissar Wilna-Land, który miał wiele do powiedzenia w polskich sprawach. Jeszcze będzie o nim tu mowa.

Porównajmy z innymi okręgami: w Warszawie Niemcy aresztowali komendanta głównego (gen. Roweckiego), delegata rządu (prof. Piekałkiewicza), szefa sztabu (płk. Albrechta), pracowników wywiadu i in., w Krakowie aresztowania wśród KO miały niemal chroniczny charakter, a komenda poleskiego okręgu została całkowicie rozbita przez aresztowania (T. Bór-Komorowski, „Armia podziemna”, 1951; J. Rzepecki, „Wspomnienia”, 1983; „PSZ”, tom III, 1950 s.623). Czyżby

wileńskie kierownictwo było rzeczywiście o tyle lepiej zakonspirowane niż inne okręgi i nie dało się ugryźć prócz jednego wypadku denuncjacji? Wątpię. Komendant Wilk i jego współpracownicy na przykład uczestniczyli osobiście w konferencjach z Niemcami (o czym niżej), toteż rozpoznanie ich na ulicy i aresztowanie nie przedstawiałoby trudności, ale Niemcy zapewne nie chcieli antagonizować szczytu organizacji, którą widocznie uważali za swoich potencjalnych partnerów przeciwko Sowiетom.

Polityka nieantagonizowania AK przejawiała się także w selekcji ofiar odwetu za zabicie Padaby, gdyż wśród rozstrzelanych nie było ani jednego członka podziemia. Aresztowani, i owszem, byli, lecz rozstrzelanych nie było.

Policjant litewski Marian Padaba został zamordowany 15.9.43. Niemcy z miejsca ogłosili że to dzieło „polskiej organizacji terrorystycznej” (*Goniec Codzienny* 18.9.43), jako odwet za powtarzające się takie zabójstwa rozstrzelali 10 Polaków (m.in. prof. Pelczara, prof. Gutkowskiego i adw. Engla) i aresztowali ponad stu, których zresztą wkrótce zwolniono. Natomiast AK twierdziła, że śmierć Padaby była dziełem Litwinów i miała na celu sprowokowanie antypolskich represji (*Niepodległość* 1.10.43). Ta wersja utrzymała się w polskich kołach przez dziesiątki lat, aż dopiero w krakowskim *Tygodniku Powszechnym* z 15.2.87 członek egzekutywy AK Jerzy Urbankiewicz ujawnił że Padaba rzeczywiście zginął z rąk AK, jak Niemcy od początku twierdzili.

Rozstrzelany wówczas przez Niemców prof. Mieczysław Gutkowski był zaangażowanym lewicowcem i promotorem doktoratu Jędrzychowskiego. Za współpracę z Sowiетami był skazany przez AK (*Niepodległość* 1-15 grudnia 1942), wyroku wówczas nie wykonano i dopiero w 9 miesięcy później dosięgli go Niemcy. Fakt, że usłuźni Niemcy zastrzelili człowieka na którym ciążył akowski wyrok, jest z reguły przemilczany przez akowskich pisarzy.

Z drugiej strony, pewne dane wskazują, że wileńska AK wówczas oszczędzała niemieckich agentów i szpiegów. Najjaskrawszym przykładem nietykalności niemieckiego agenta ze strony AK była osoba Jerzego Orłowskiego⁷, b. ucznia wileń-

7. H. Pasierbska, „Wileńska Golgota”, 1993, ss. 64-65. Pasierbska podaje co prawda tekst domniemanego wyroku AK na Jerzego Orłowskiego, który jednak nie wzbudza zaufania i wygląda raczej na apokryf. W każdym razie, jeżeli nawet wyrok na J.O. istniał, to go z pewnością nie wykonano.

skiego gim. im. Mickiewicza, a wówczas pracownika Gestapo, który działał zupełnie jawnie, aresztował i torturował także swoich byłych kolegów, a szczególnie zniszczył przez aresztowania czołową patriotyczną organizację wileńskiej młodzieży Związek Wolnych Polaków, wysłał na śmierć w Ponarach ponad 50 osób, włącznie z przywódcą ZWP, moim przyjacielem Janem Kazimierzem Mackiewiczem. Był powszechnie znany i oczywiście bardzo szkodliwy, a pomimo tego włos mu z głowy nie spadł ze strony AK przez cały czas niemieckiej okupacji.

Drugim podobnym młodocianym zdrajcą był Bolesław Korczyk którego co prawda jakaś prywatna organizacja bezskutecznie usiłowała zgładzić, ale AK podczas okupacji nie ukarała, lecz zlikwidowała dopiero podczas akcji na Wilno, kiedy on już nie mógł odgrywać szkodliwej roli⁸.

Z pewnością byli jeszcze inni nietykalni niemieccy agenci, którzy jednak nie trafili do literatury. Tyle o agentach-zdrajcach typu policyjnego.

O ile wiem, nikt dotychczas nie wspomniał w druku także o możliwości istnienia niemieckich szpiegów w wileńskiej Komendzie Okręgu AK, a tymczasem istnieją poszlaki, że niemiecki wywiad posiadał w niej wtyczki. Po pierwsze, jak już wiemy, natychmiast po zabójstwie Padaby Niemcy wiedzieli na pewno że zginął on z rąk polskiego podziemia, pomimo uporczywych zaprzeczeń AK i pomimo tego że polityczne morderstwa kładło się wówczas normalnie na karb sowieckiego podziemia. Zastanawiająca pewność prawidłowej informacji i szybkość jej otrzymania przez Niemców.

Dalej, wiadomość o tym, że Polacy zamierzają atakować Wilno Sicherheitsdienst niemieckiej komendy miasta podała tego samego dnia (3.7.44) kiedy rozkaz ten został wydany przez komendanta Wilka⁹.

Wreszcie niemieckie dowództwo wiedziało, że brak broni był największą bolączką AK, miało prawidłowe dane o liczebności jej siły zbrojnej i dyslokacji¹⁰, tj. posiadało szczegółowy wgląd w sytuację okręgu.

Uzyskanie tego rodzaju wiadomości było możliwe jedynie przez kogoś wewnątrz KO i to na dość wysokim stanowisku.

8. J.Z. Szyteyko, „Lepsza strona czasu”, 1992, ss. 38, 65-6.

9. R.K. Żebryk, „Operacja wileńska AK”, 1985, ss. 111 i 215.

10. J. Erdman, „Droga do Ostrej Bramy”, 1984, s. 321, Z.S. Brzozowski, „Litwa-Wilno 1910-1945”, 1987, s. 150.

Sowieckich szpiegów i aktywnych sympatyków w wileńskiej AK można dziś wymienić cały szereg, natomiast brak kompletnie danych kto tam udzielał Niemcom informacji. Kontrywiad jednak powinien był o nich wiedzieć.

Niszczenie zdrajców i szpiegów jest dla każdej konspiracji klasyczną funkcją i podstawowym warunkiem jej bezpiecznej egzystencji. A jednak wileńska AK ten warunek zaniedbała. Dlaczego? Wobec policyjnych agentów mógł odgrywać rolę wzgląd na możliwe represje, chociaż „rachunek strat i zysków” wobec tak szkodliwego agenta jak Orłowski przypuszczalnie sugerował zlikwidowanie go.

Likwidacja szpiegów ze sztabu nie mogła naturalnie pociągnąć za sobą żadnych represji, gdyż Niemcy nie mogli przyznać się publicznie do ich posiadania, a jednak ich nie likwidowano.

Powstaje więc pytanie, czy oszczędzanie przez AK tak szkodliwych zdrajców i szpiegów było głównie rekompensatą za bezpieczeństwo jej kierownictwa? Chyba nigdy już się nie dowiemy jak było naprawdę, lecz takiej możliwości nie można wykluczyć.

Akowsko-niemiecki Gонец Codzienny

Oddzielnym terenem współpracy AK z Niemcami była gazeta *Gонец Codzienny* wydawana przez Niemców w języku polskim, w której w ośmioosobowej redakcji jedynie naczelny redaktor Czesław Ancerewicz i redaktor nocny Władysław Łepkowski nie należeli do AK, zaś cały „szeregowy” zespół redakcyjny, sześć osób, tj. trzy czwarte redakcji, było członkami AK. Oto ich nazwiska¹¹: Teresa Jurgielewiczowa, nieustalonego imienia Tołpycho, Wanda Piłsudska¹², Stanisław Wyszomirski, Tomasz Surwiłło i Zofia Surwiłłowa; spoza

11. Listy Eugeniusza Swianiewicza (b. dziennikarza w *Kurierze Wileńskim*), Barbary Toporskiej-Mackiewiczowej i Stanisławy Gortyńskiej (sławnej dywersantki AK, ps. Komarowa), Oświadczenie T. Jurgielewiczowej dla OKO.

12. Wiadomo o trzech Wandach Piłsudskich w tym pokoleniu, mianowicie córce marszałka, która wówczas przebywała w Londynie, jego bratanicy, córce Kazimierza, zamężnej, Pawłowskiej, i naszej sąsiadce, córce nie spokrewnionej blisko z marszałkiem Kaliksta z maj. Mosarz. Nie jest jasne czy ta pracująca w *Gońcu* to była Kazimierzówna lub Kalikstówna, czy też jakaś inna W.P.

redakcji zastępca administratora Bohdan Mackiewicz i szef kolportażu Zygmunt Dziarmaga także należeli do AK. Okrzyczany przez AK jako ohydny szmatławiec, gadzinówka i „podogoniec” — *Goniec Codzienny* był więc w rzeczywistości wspólnym niemiecko-akowskim dziełem.

Nie zważając na tak głęboką kolaborację Armii Krajowej w produkowaniu tej niemieckiej gazety, red. Ancerewicz, jak wiadomo, został skazany na śmierć i rozstrzelany przez AK nominalnie za kolaborację z Niemcami, podczas gdy pracującym w tej samej niemieckiej gazecie akowcom włos z głowy nie spadł.

Egzekucje dla honoru Organizacji

W obliczu opisanej wyżej nietykalności rzeczywistych zdrajców i szpiegów, AK jednak uważała, że „dla honoru organizacji” muszą padać trupy ich surogatów, jak to wyjaśnił wobec szefa egzekutywy Sergiusza Piaseckiego, ppłk Julian Kulikowski („Grzmot”), szef I oddz. organizacyjnego w sztabie Wilka¹³. Jako ofiary tej polityki AK zastrzeliła, o ile wiadomo, kilku przygodnych Litwinów i jednego Rosjanina — oficera werbunkowego armii Własowa, a z Polaków wybrano ofiary, które można było przedstawić opinii publicznej jako kolaborantów. Był to właśnie red. Ancerewicz oraz rozwydrzona, skandalicznie prowadząca się dziewczyna, chociaż nie szpieg — Danuta Wyleżyńska (którą zamordowano specjalnie bestialsko). W tej samej kategorii służy Związku Sowieckiego bezskutecznie usiłowali wystawić pod kule akowskiej egzekutywy także Józefa Mackiewicza za jego antysowiecką działalność. Fałszywe oskarżenie go o współpracę w tymże *Goncu* było tylko pretekstem.

Polityka wileńskiej AK w tej dziedzinie, mianowicie oszczędzanie rzeczywistych zdrajców i szpiegów (może dla własnego bezpieczeństwa), zabijanie natomiast „dla honoru organizacji” niewinnych ludzi jako rzekomych zdrajców, była

13. S. Piasecki, „Dla honoru Organizacji”, 1964, ss. 26, 50 i in. Mimo powieściowej formy książka ta stanowi pierwszorzędny materiał historyczny. Poza tym w tej części wykorzystałem opublikowane prace Bronisława Krzyżanowskiego, Zdz. Szyłyki, J. Urbankiewicza oraz nie opublikowane prace J. Dobrzańskiego i Z. Fedorowicza. Wbrew twierdzeniu E. Banasikowskiego („Na zew”, s. 153) żaden z wyroków o których tu mowa nie był ogłaszany w *Niepodległości*, ani gdzie indziej.

wysoce niemoralna, niesprawiedliwa, i zasługuje na zdecydowane potępienie. Po niemieckich represjach za zabicie Padaby polityki tej zresztą zaniechano jako zbyt kosztownej, a egzekutywę przeniesiono z wykonywania wyroków do ochrony sztabu (Urbankiewicz s.165). Honor organizacji na tym z pewnością nie ucierpiał.

Likwidacja wileńskiego ZPP

Komenda Okręgu AK posiadała komórkę kontrwywiadowczą zwaną „Cecylia”, pod kierownictwem b. sędziego śledczego Mirosława Głębockiego, która była zorientowana przeciwko komunistom i miała oficera łącznikowego z niemieckim Abwehrstelle w osobie por. Henryka Borowskiego. Kiepscy byli z nich jednak łowcy szpiegów i nie potrafili uchronić okręgu przed głęboką penetracją sowiecką. Wiosną 1944 r. grupa polskich komunistów wywodząca się z przedwojennej Lewicy Akademickiej Henryka Dembińskiego, która zadeklarowała się jako wileński oddział Związku Patriotów Polskich Wandy Wasilewskiej¹⁴, usiłowała infiltrować samą „Cecylię”. Głębocki uznał to za prowokację i zadenuncjował grupę do Niemców, którzy rozstrzelali jednych i zesłali do obozu koncentracyjnego innych jej członków. Wśród zesłanych znalazła się żona późniejszego wicepremiera PRL Stefana Jędrzychowskiego, Anna Kompielska. Za denuncjację i likwidację grupy niemieckimi rękami władze PRL krwawo zemściły się po wojnie na Głębockim i członkach jego zespołu.

Ten fragment artykułu jest oparty głównie na komunistycznych źródłach, lecz nie uważam za słuszną tezę, że komuniści nigdy nie mówią prawdy.

Współpraca wojskowa

Chociaż później rozpoczęta, współpraca wojskowa była najistotniejszą dziedziną, którą osobiście kierował wileński okręgowy komendant AK mjr Aleksander Krzyżanowski¹⁵,

14. A. Jędrzychowska, „Zygakiem i po prostu”, 1965, ss.317-330, *Trybuna Ludu* za r.1949; D. Fikus, „Pseudonim Łupaszka”, 1988, s.149.

15. K. Tarka, „Komendant Wilk”, 1990.

ps. Wilk, Dziemido, Wesołowski, 1895-1951, poświęć mu więc tu parę słów. Zmarł on na skutek nieustannych tortur w polskim więzieniu, chył więc głowę przed nim jako ofiarą komunizmu, lecz nie uważam żeby to wykluczało możliwość pisania o nim inaczej niż na zasadzie *aut bene, aut nihil*.

Wilk był zupełnie przeciętnym oficerem zawodowym artylerii, który po 23 latach służby w carskim i polskim wojsku uzyskał stanowisko dowódcy dywizjonu, tj. tuzina dział, co nie stanowiło najlepszego przygotowania do hetmańskiej buławy WXL. Wyższego wykształcenia ani wojskowego, ani cywilnego nie posiadał. Jego żona, Janina z Łopińskich przypuszczalnie miała teozoficzne koneksje, gdyż od najwcześniejszych dni konspiracji w Warszawie należała do zespołu gen. Karaszewicza-Tokarzewskiego wywodzącego się właśnie z członków tej sekty, z których największe znaczenie osiągnęła Janina Karasiówna (właściwie Karosaite, gdyż była Litwinką)¹⁶ jako szef łączności. Brak danych czy sam Wilk był także teozofem.

W czasie gdy komendantem był płk Sulik, Wilk pełnił w Wilnie funkcję kwatermistrza. Po aresztowaniu Sulika (13.4.41) ks. Kazimierz Kucharski, jezuita który zaopatrywał organizację w pieniądze i na tej podstawie odgrywał nadrzędną rolę, pominął płk. A. Klotza, który był wówczas wyznaczony na następcę, i mianował na to stanowisko Krzyżanowskiego, zapewne licząc że ten przeciętny oficer będzie posłusznym narzędziem w jego ręku, a nie spodziewał się że jego własne dni wolności były już policzone (aresztowany 25.5.41). Warszawa nominację zatwierdziła, pewno przy udziale żony, i w ten sposób Wilno otrzymało małokalibrowego komendanta.

Wilk był człowiekiem uczciwym, lecz nieco naiwnym i obarczonym kompleksem niższości, brakowało mu zalet charakteru współmiernych z wysokim stanowiskiem, a katastrofalna akcja na Wilno stała się jego Canossą.

Wilk niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że powierzone mu wojsko jest za słabe na niezależną egzystencję *vis-à-vis* sił niemieckich i sowieckich¹⁷ i musi albo z jedną albo z drugą

16. W. Korabiewicz, „Pokusy”, 1986, s. 171.

17. Gen. Rowecki od samego początku powtarzał, że gruntowne osłabienie obu okupantów jest *conditio sine qua non* jakiegokolwiek akcji zbrojnej AK. Jednak to osłabienie nie nastąpiło i stąd wynikła rażąca dysproporcja, którą najlepiej ilustruje porównanie sił zaangażowanych w bitwie o Wilno, Niemcy: 17,5 tys. żołnierzy, 270 dział, 48 moździerzy, 110 czołgów i wozów bojowych na niewielkim solidnie umocnionym

współpracować. Podobnie jak wielu carskich oficerów (gen. Rómmel, gen. Wołkowicki, płk Mitkiewicz i in.) był on zasadniczo prorosyjski i chętnie by z Sowietami współpracował, gdyby oni mu to tylko umożliwili. Jednak, jak już opisałem, w ciągu r.1943 stan wojenny *de facto* ustalił się pomiędzy sowieckimi a polskimi siłami¹⁸ i brygadier Markow, szczególnie zawzięcie niszczył Polaków, wojskowych i cywilnych. W tych warunkach komendant Wilk zrobił jeszcze jeden wysiłek porozumienia się ze stroną sowiecką i na początku stycznia 1944 konferował z brygadierem W.A. Manochinem, sybirakiem z Tomska dowodzącym w Oszmianszczyźnie, może mając nadzieję na łatwiejsze porozumienie z rodowitym Rosjaninem. Jednak do żadnego porozumienia nie doszło i dojść nie mogło wobec decyzji KC niszczenia białopolskich sił.

Wyczerpawszy możliwości porozumienia z Sowietami, Wilk wykonał zwrot o 180°, przyjął zaproszenie von Gottberga i jeszcze w tym samym miesiącu konferował, wraz z bryg. Szendzielarzem, koło Wilejki z przedstawicielem Gottberga płk. Seidler von Rosenfeldem. A w lutym, w towarzystwie bryg. Fróga, dwukrotnie konferował w Wilnie z mjr. Christiansenem z Abwehry¹⁹. Zaraz po tych konferencjach z Niemcami Wilk wyjechał do Warszawy, aby w KG AK „przedstawić całą sprawę i okoliczności z nią związane”²⁰. Niewątpliwie tam nastąpiły ostateczne uzgodnienia.

Gdyby Wilk po prostu odmówił Niemcom wszelkiej współpracy, nie potrzebowałby z tym jechać do Warszawy. Tym niemniej oficjalna polska wersja głosi, że do zawarcia żadnego porozumienia z Niemcami nie doszło, lecz wymowa faktów jest inna. Dla Niemców głównym celem tych rozmów było zapewnienie pomocy polskich oddziałów w zwalczaniu sowieckiej partyzantki, a Polakom chodziło głównie o zaopatrzenie w broń i amunicję, których niedostatek był kluczową

Fester Platz plus kilka kluczy podległego lotnictwa (Żebryk, s.193), Sowiety: trzy armie plus zmechanizowany korpus, łącznie 210 tys. ludzi, (Żebryk s.421), Polska: 5,5 tys. ludzi („PSZ”, t.III, s.611), bez artylerii, broni panc., lotnictwa, bez żadnych środków dowodzenia w walce (łączności).

18. „W r.1943 współpraca pomiędzy polskimi a sowieckimi oddziałami stała się praktycznie niemożliwa” — D. Fikus, s.51.

19. K. Tarka, Op. cit., ss.66-7.

20. A. Kokociński w: Z.S. Brzozowski, „Wilno-Litwa 1910-1945”, 1987, s.151.

bolączką okręgu²¹. W rzeczywistości do ugody niewątpliwie musiało dojść, gdyż obie strony zaspokoili swoje główne cele: Polacy otrzymali broń i oczyścili znaczne połacie kraju z sowieckich partyzantów, trzy polskie oddziały współpracowały z Niemcami na Wileńszczyźnie (Turonek s.136). Wobec raportu Wilka, złożonego w tej sprawie w Warszawie, układ z pewnością uzyskał placet KG. Przypuszczalnie Wilk stwierdził w KG, że wobec niedostatku broni nie będzie mógł wykonać planu Burzy i postawił sztab przed ultimatum: albo dacie broń albo usankcjonujecie układ z Niemcami. Nawet jeżeliby Warszawa posiadała odpowiednie zapasy, jak wykazał Wachlarz, możliwości transportowania broni stamtąd do Wilna były znikome, wobec tego AK musiała układ z Niemcami aprobować — taki, przypuszczam, był rzeczywisty przebieg raportu Wilka.

W ten sposób usankcjonowano walkę Polskich Sił Zbrojnych (Armii Krajowej) z Sowietami, której Józef Mackiewicz domagał się dwa i pół roku wcześniej (*vide* mój artykuł „Wileński Goniec Codzienny”, *Zeszyty Historyczne* 106/1993, ss. 3-24).

O współpracy w okręgu nowogródzkim istnieją obfite dane (J. Świda, *Zesz. Hist.* 73/1985 ss. 74-80, A. Pilch, „Partyzanci trzech puszczy” 1992, J. Erdman, „Droga do Ostrej Bramy” 1984). Nie ma podstaw do przypuszczeń, że ta współpraca w wileńskim okręgu AK przedstawiała się o wiele inaczej, co potwierdza szereg źródeł. O tym jak ugoda działała w praktyce pisał dr Jerzy Turonek w swojej źródłowej pracy, a także Józef Mackiewicz i Tadeusz Konwicki. Turonek opisuje jak kompromisowa propozycja Christiansena umożliwiła polskiej stronie odbieranie broni od Niemców bez formalnego z nimi kontaktu:

Christiansen (szef Abwehry w Wilnie)... zaproponował postępowanie, które nie naruszając zasadniczej postawy AK pozwoliłoby na zaopatrywanie oddziałów polskich w broń, amunicję i inne wyposażenie bojowe. Według relacji Jerzego Dobrzańskiego, uczestnika tych rozmów, postępowanie to polegać miało na rozrzuceniu przez Niemców w terenie szeregu magazynów z potrzebnym zaopatrzeniem, słabo strzeżo-

21. Jak poważny był brak broni w okręgu widać z tego, że jego egzekutywa — w epoce stania z bronią u nogi jedyny strzelający oddział — była zaopatrzona w archaiczną zardzewiałą i nie działającą broń i amunicję. J. Urbankiewicz, „Szabla zardzewiała”, 1991, s. 124.

nych, na które oddziały akowskie za cichą zgodą Wehrmachtu mogłyby napadać i zdobywać ekwipunek. To jednostronne stanowisko niemieckie było wystarczające dla realizacji tego przedsięwzięcia — trudno było bowiem wzgardzić potrzebną bronią, która nieomal sama wpadała w ręce. W ten sposób układ formalny zastąpiony został kamuflażem, który uwarunkował powojenne kontrowersje wokół sytuacji oddziałów akowskich na Białorusi w ostatniej fazie okupacji. Istotnie wiosną 1944 r. nie atakowane przez Niemców oddziały dokonały szeregu napadów na ich posterunki i magazyny, trudno jednak o jednoznaczną ocenę w jakiej mierze były to działania autentyczne, a w jakiej inspirowane przez Abwehrę. Na tę drugą okoliczność wskazuje fakt, że oprócz zdobywanej w ten sposób broni pewne jej ilości były przez Niemców w różny sposób podrzucane do rejonów działania oddziałów akowskich (...). W ten sposób Niemcy uzupełniali stan uzbrojenia oddziałów nowogródzkich, a w okręgu wileńskim por. Gracjana Fróga (Szczerbca) i por. Zygmunta Szendzielarza (Łupaszki). („Białoruś pod okupacją niemiecką”, 1989, s.137).

Obok projektodawcy Christiansena, niemieckim dygnitarzem, który odegrał kluczową rolę w zaopatrywaniu Polaków w broń, był już wymieniony Gebietskommissar Wilna-Land Horst Wulff. O tej jego roli wspomina dobrze poinformowany Józef Mackiewicz („Nie trzeba głośno mówić”, s.328). Także wskazuje na to fakt, że Sowiety specjalnie domagały się od Polaków zastrzelenia Wulffa (Fikus s.62) i właśnie Wulff poniósł konsekwencje zbrojenia Polaków (o czym niżej).

Jak pisze Turonek, o niemieckiej pomocy dla AK powszechnie na Wileńszczyźnie wiadano, lecz nie wypadało o niej mówić — okoliczność, która dała Józefowi Mackiewiczowi asumpt do zatytułowania swej znanej książki „Nie trzeba głośno mówić”. Pisał w niej Mackiewicz:

... wszyscy naturalnie słyszeli. Sowieckie radio trąbi, a Litwini nasi strasznie sobaczą (...) Na razie jest układ. Niemcy dają nam broń po cichu, nazywa się że my ją zdobywamy, i nie ruszają. W zamian chcą, żebyśmy przepędzili partyzantkę sowiecką. Jak spotyka się nasz oddział z żandarmami na drodze, to jedni patrzą w jedną stronę, a drudzy w drugą i mijają się jak te lale (...) w zamian za oczyszczenie powiatu z bolszewików (...) Szpitale nasze w lesie pobudowane i czerwony krzyż nad barakiem (...) i stąd transporty broni dla nas. A broń jest najważniejsza. (ss. 327-8).

Mackiewicz rzeczywiście „wiedział jak trawa rośnie”. On jest jedynym pisarzem, który zwrócił uwagę na niezadowolenie Litwinów ze zbrojenia Polaków i napisał o istnieniu akowskich leśnych szpitali.

Inny pisarz, Tadeusz Konwicki, który w oddziale AK walczył z bolszewikami aż do wiosny 1945, pisze o współpracy AK z Niemcami:

Pertraktowali z Niemcami, udawali ważniaków administrując całymi powiatami, bo Niemcy byli szczęśliwi, że dróg komunikacyjnych nie ruszają. A taki Łupaszko to nawet poszedł z Niemcami za Niemen („Rojsty”, s. 50).

Najwięcej jest danych właśnie o legendarnym dowódcy V Brygady Łupaszce, mjrze Zygmuncie Szendzielarzu. Nowogrodzki komendant płk Szulc (Janusz Prawdzic Szlaski), który ze swego stanowiska niewątpliwie miał dobre rozeznanie, pisze:

...jest mi wiadome, że V Brygada Wileńska (d-ca Łupaszko) od początku swego istnienia współpracowała z Niemcami, a w czasie odwrotu Niemców odeszła na zachód (s. 215).

A w innym miejscu:

Łupaszko wraz ze swoją grupą razem z Niemcami odszedł na zachód. Był to oddział, który współpracował z Niemcami („Nowogrodzyczna w walce”, s. 149).

Szendzielarz był w doskonałej komitywie z Niemcami. Gdy raz niechący policja aresztowała go w Wilnie, Niemcy uraczyli go świetną kolacją, dali przepustkę i 100 marek na drogę (E. Banasikowski, „Na zew ziemi wileńskiej”, 1988, s. 95).

Dwaj następni pisarze podkreślają odmowę Szendzielarza wykonania rozkazu Wilka do akcji na Wilno. Jan Erdman pisze:

Łupaszka nie wierzył w możliwość współpracy z Sowieciami. Patrolowi, który przywiózł rozkaz o natarciu zapowiedział, że rozkazu nie wykona, pod Wilno nie pójdzie, natomiast udaje się na zachód (Op. cit. s. 326).

R. K. Żebryk:

Patrol Ronina (L. Wojciechowskiego, d-cy IV Bryg. AK — ZAS) wrócił z meldunkiem, że dowódca 5 Brygady (Szendzielarz — ZAS) oświadczył, iż żadnych rozkazów Komendy Okręgu Wileńskiego AK wykonywać nie będzie i że natychmiast wyrusza z Suderwy (wieś, 16 km NW od Wilna — ZAS) na zachód (Op. cit., s.155).

Niemalą uwagą poświęcają Szendzielarzowi także jego wrogowie, kierownicy sowieckiego podziemia na Białorusi. Iwan Frołowicz Klimow, b. komisarz kulturalno-oświatowy w Wilnie, a podczas niemieckiej okupacji sekretarz podziemnego komitetu kompartii wilejskiej obłasti (przedwojenne woj. wileńskie, minus Wilno i okolice przekazane Litwie) mówił w rozmowie z białoruskim historykiem, że Łupaszka był zmurą jego życia i zadał najcięższe straty sowieckiej partyzantce na jego terytorium (rozmowa autora z historykiem w 1989 r.). Cenne wyróżnienie ze strony wroga.

Naczelnik sowieckiego Białoruskiego Sztabu Partyzanckiego, Piotr Zacharowicz Kalinin poświęcił akowskiej partyzantce współpracującej z Niemcami i Łupaszce sporo miejsca w swoich wspomnieniach²². Kalinin pisze:

W ręce naszych wywiadowców wpadły dokumenty, które przekonywająco świadczyły o ścisłych związkach polskich kapitalistycznych nacjonalistów z hitlerowcami, włącznie z SD (...) Centralny Komitet KP(b)B nakazał wilejskiemu, brzeskiemu i baranowickiemu podziemnym obkomom i rajkomom partii wszelkimi sposobami zdemaskować wobec ludności związki polskich kapitalistycznych nacjonalistów z hitlerowcami, usiłując rozbić stworzone przez nich „drużyny”²³ (...) W płd.- zachodnich rejonach wilejskiej obłasti szczególnie czynnie działała kapitalistyczno-nacjonalistyczna banda na czele z Łupieszko (ss. 316-7).

Z przydługiego tekstu Kalinina wynika, że wojskowe sukcesy Łupaszki były oparte na szerokim poparciu ludności, które on potrafił sobie zapewnić przez dobre jej traktowanie i płacenie za usługi. Wg. Kalinina Łupaszko rozgła-

22. „Partizanskaja rjespublika”, Mińsk 1968, s.316 i nast.

23. Wg. sowieckiego zapatrywania, ponieważ akowskie podziemie nie walczyło z Niemcami, nie przysługiwał mu szacowny tytuł partyzanckiego. Stąd oddziały AK nazywano nie oddziałami partyzanckimi, lecz drużynami, a ich członków drużynnikami lub, częściej — legionerami.

szał, że pieniądze którymi płacił nie pochodziły od Niemców, lecz że jego brygada sama je drukowała. Natomiast Kalinin twierdzi iż upewnił się, że ani Łupaszko ani wileński okręg AK (zwany w sowieckiej terminologii Wilenskiej Podpolnyj Centr) nie rozporządzały maszynami do drukowania banknotów, skąd on wnioskuje że pieniądze pochodziły od Niemców. Żadne źródło nie wspomina o produkowaniu banknotów gdziekolwiek w okręgu.

Kalinin z pewnością chętnie przedstawiłby Łupaszkę jako okrutnika, ale widocznie tak brakowało mu pretekstów, że jedyny zarzut jaki mu stawia w tej dziedzinie to egzekucja Mroczkowskiego 12.1.44. Z tego co Fikus i Szyłyko piszą o nim, nie jest zupełnie jasne czy Mroczkowski rzeczywiście był zdrajcą i jaka była przyczyna jego śmierci. W każdym razie był to nieciekawy typ: przed wojną zawodowy podoficer zdegradowany za nadużycia, w partyzantce przechodził ze strony na stronę. Sowiety go emablowały. Gdyby podziemie nie miało na sumieniu nic gorszego niż taki Mroczkowski, byłoby jeszcze pół biedy. Praktyka Łupaszki zjednywania ludności nie była powszechnie stosowana w AK, jak to widać z „Rojstów” Konwickiego i z niektórych wzmianek u Erdmana i Szyłyki.

Łupaszka tak doskwierał podległym Kalininowi oddziałom, że jego sztab publikował i rozpowszechniał specjalne ulotki skierowane przeciwko Łupaszce, przedstawiające go jako gestapowca.

Historyczna rola drugiego wspomnianego przez Turonka brygadiera, kpt. Gracjana Fróga, ps. Szczerbiec, d-cy III Bryg. AK, rozpoczęła się w ten sposób, że podczas jego wyprawy po broń, bolszewicy napadli na bazę i wyrznęli wszystkich, starych, chorych i dzieci. Zemsta była naturalną reakcją Fróga.

Wiadomo z innych źródeł, że nowogródzki komendant po otrzymaniu rozkazu zaprzestania współpracy z Niemcami²⁴ pozbawił dowództwa tylko jednego ze swoich współpracujących podkomendnych. Widocznie analogiczna sytuacja powstała i w wileńskim okręgu, gdyż na początku r.1944 Wilk zdecydował pozbawić Fróga dowództwa, lecz przebiegły

24. Odnosi się wrażenie, że KG AK jedną ręką aprobowała współpracę z Niemcami, a drugą jej zakazywała. Zapoznawszy się z metodą pracy ówczesnego Szefa Sztabu KG gen. Tadeusza Pełczyńskiego w jego londyńskim okresie, nie uważam jednoczesnego istnienia takich jego rozkazów ani za niemożliwe ani za absurdalne, bowiem Pełczyńskiego cechowała skłonność do kazuistyki i umiejętność jej stosowania.

brygadier zorganizował „sowiet” własnych oddanych mu żołnierzy, który objął władzę i aresztował sztabowych zupaków przybyłych w celu detronizacji, a następnie wykonał szereg napadów na litewskie wsie w sąsiedztwie. W oczach Wilka niszczenie Litwinów stanowiło wysoką zasługę, uznał więc te wyczyny za wystarczającą rehabilitację i Fróga na dowództwie brygady zatwierdził. Był to jeden z barwniejszych incydentów w historii wileńskiej AK (Tarka, ss. 70, 71).

Komitywa Fróga z Niemcami była tak dobra, że właśnie on wprowadzał niemiecką delegację na rozmowy z Wilkiem w litewskiej restauracji Valgis w Wilnie²⁵, chociaż Niemcy naturalnie nie potrzebowali przewodnika do takiego lokalu w dobrze im już znanym mieście. W odróżnieniu od Szendzielarza, Fróg ze swoją brygadą wziął udział w akcji na Wilno. Nie uchroniło go to jednak przed zemstą za uprzednią działalność z rąk polskich władz komunistycznych. Obaj brygadierzy, Szendzielarz i Fróg ponieśli śmierć w PRLu²⁶.

Jeszcze jedna niezidentyfikowana brygada współpracowała z Niemcami w pld.-wsch. części okręgu. Pan J.S., naukowiec w Polsce a ówczesny mieszkaniec pow. mołodeczniańskiego, mówił mi w Londynie w r.1990:

Wiosną 1944 r. działał w naszych stronach polski oddział, z orzełkami i biało-czerwonymi opaskami — a więc z pewnością należący do Armii Krajowej. Zupełnie jawnie współpracował on z Niemcami i był zajęty zwalczaniem sowieckich partyzantów.

Walka z Sowietami — okupantami Polski przez następne dziesiątki lat, była chwalebna kartą w historii wileńskiej AK, była to dobra walka, i przeważnie zwycięska. Nie zakończyła się ona z kapitulacją Wilka latem 1944, lecz bohatercko trwała jeszcze wiele miesięcy, nawet po oficjalnym rozwiązaniu AK²⁷. A to, że w poprzednim okresie była ona prowadzona przy niemieckiej pomocy, nie stanowi żadnej ujemy, gdyż korzystanie z niemieckiej pomocy leżało u podłoża niepodległej Polski. Nie tylko jedyną siłą zbrojną jaką świeżo odrodzone państwo rozporządzało była odziedziczona

25. K. Tarka, op. cit., s. 67.

26. E. Banasikowski, op. cit., s. 1.

27. T.Konwicki, „Rojsty”, „Stenograficzeskij otczot” procesu 16-tu w Moskwie, 1945, List Ł. Berii do J.W. Stalina 10.12.44, *Zesz. Hist.*, 107/94 ss. 116, 117.

po Beselerze Polnische Wehrmacht, ale dzięki niemieckiej okupacji Białorusi polska państwowość uzyskała możliwość okrzepnięcia przez pierwszych parę miesięcy swego istnienia, bez ingerencji bolszewickiej Rosji, i w ten sposób uniknęła wojny domowej, jaka gnębiła np. Finlandię, która podobnego zbawczego niemieckiego kordonu sanitarnego nie posiadała. Także na mocy umowy z Ober-Ostem zawartej 5.2.1919 w Białymstoku, Polska otrzymała prawo pierwokupu na broń, amunicję i zaopatrzenie pozostawione przez ewakuujących się ze wschodu Niemców²⁸, co walenie przyczyniło się do uzbrojenia polskiej armii do właśnie rozpoczynającej się wojny z bolszewikami.

Koncesje terytorialne

O skuteczności walki uzbrojonych przez Niemców akowskich oddziałów z sowiecką partyzantką, obok już przytoczonych danych, świadczy także reakcja niemiecka, mianowicie dążenie do wzmocnienia polskich oddziałów przez koncesje terytorialne na Białorusi. Reakcja taka mogła oznaczać jedynie wysoki stopień zadowolenia z walk akowskich oddziałów przeciwko Sowietom. Koncesje te były dwóch rodzajów. Pierwsza miała najwyraźniej na celu powiększenie liczebności wojsk AK, mianowicie zarządzając 23.2.44 mobilizację do Białoruskiej Krajowej Obrony, von Gottberg wyłączył z niej cały administracyjny okręg (Kreis) lidzki oraz części okręgów wilejskiego i głębockiego, pozostawiając je do dyspozycji Armii Krajowej, która skorzystała z niemieckiej oferty, przeprowadziła pobór na tych terenach i zwiększyła wydatnie swoją liczebność²⁹.

Drugim rodzajem była koncesja ściśle terytorialna, tj. usunięcie się Niemców z niektórych terenów i oddanie ich w ręce AK. Już u Konwickiego czytaliśmy o administrowaniu całych powiatów przez AK, a Turonek pisze o tym bardziej szczegółowo i cytuje własną akowską dokumentację:

Szczególna sytuacja zaistniała pod tym względem w okręgu lidzkim (należącym częściowo do wileńskiego okr. AK — ZAS), w którym na początku 1944 r. niemiecka administracja

28. A. Deruga, „Polityka wschodnia...”, 1969 s. 171 i nast.

29. J. Turonek, Op. cit., ss. 136, 138.

okupacyjna praktycznie biorąc wycofała się z gmin, ograniczając się do miast i ochrony środków komunikacyjnych. Interesujące potwierdzenie i uzupełnienie cytowanej relacji Mackiewicza przynosi akowskie sprawozdanie sytuacyjne z województwa nowogródzkiego za luty-marzec 1944 (Turonek s.137).

Dalej „Sprawozdanie sytuacyjne AK”:

Na przełomie 1943/44r. wytworzyła się sytuacja, w której szereg powiatów ziemi nowogródzkiej jest właściwie całkowicie w rękę polskim. Niemcy widząc aktywność przeciwbolszewicką wojska polskiego wykorzystali to dla celów swego bezpieczeństwa. Nie zaczepiają oddziałów polskich, ofiarowują im nawet w wielu wypadkach pomoc. Sprawia to, rzecz jasna, zamęt w poglądach politycznych społeczeństwa polskiego i może przynieść poważne szkody w sensie propagandowym i politycznym (...) Powiat szczuczynski wchodzi w skład Gebietskommissariatu lidzkiego... jest skrawkiem RP, na którym miejscowe władze niemieckie okazują maksimum zrozumienia i tolerancji w stosunku do zorganizowanego i uzbrojonego społeczeństwa polskiego. Powiat szczuczynski przypomina tereny Bobrujska i Żłobina z czasów Dowbora-Muśnickiego. Władza niemiecka ogranicza się do miasteczek, czerwonych zaś — do drugiej strony Niemna. Oddziały polskie przeprowadzają regularny pobór kilku roczników — sołtysi doręczają formalne imienne karty powołania... Co niedziela, co święto jest msza polowa w środku wsi z kazaniem (...) Składa się na to oczywiście nie tylko przychylna postawa ludności, ale i tolerancyjna postawa Niemców. Niemcy zwolnili ze Szczuczyna 9 chłopców z więzienia, mówiąc im, że odzyskają wolność, jeżeli przystaną do „białych”.

Niewątpliwie takie same stosunki można było znaleźć i w innych częściach tejsze Białorusi gdzie AK współpracowała z Niemcami, tj. także w wileńskim okręgu.

Akcja na Wilno

Wspólne z Sowietami zdobywanie Wilna latem 1944, znane pod kryptonimem „Ostra Brama”, zakończyło główną współpracę AK z Niemcami. Autorem koncepcji tej akcji był oderwany od rzeczywistości płk Maciej Kalenkiewicz. Akcja ta stała w kompletnej sprzeczności z rozkazem na

ewentualność wkroczenia Sowieców, wydanym jeszcze przez gen. Sikorskiego. Zastępca szefa jego sztabu płk Mitkiewicz depeszował 19.11.41 do gen. Roweckiego:

Naczelny Wódz stoi na stanowisku, że w tym wypadku (klęski Niemiec — ZAS) wkroczenie Armii Czerwonej musi się, jako akt wrogi, spotkać ze zbrojnym oporem z naszej strony, celem podkreślenia wobec świata naszych wyłącznych praw do zabezpieczenia własnego kraju. W związku z tym Naczelny Wódz daje Panu Generałowi następujące wytyczne, szczególnie ważne ze względów politycznych: (1) Opór zbrojny musi być zaznaczony możliwie silnie na linii granicy polsko-sowieckiej z lipca 1939 r. (2) Ważnym będzie aby dalej w głąbi rejonu Wilna i Lwowa mogły się bronić przez dłuższy czas nawet w odosobnieniu („AK w dok.”, t. VI, 1989, s. 213).

Plan wysunięty przez Kalenkiewicza był diametralnie sprzeczny w stosunku do tych założeń gen. Sikorskiego, lecz komendant Wilk nieopatrznie podjął się wykonania go. Jednak wojsko wileńskie planu nie poparło i z 16 tysięcy żołnierzy pod bronią (Erdman, s. 317) jakimi rozporządzały okręgi wileński i nowogródzki połączone w jeden obszar pod dowództwem Wilka, tylko 5,5 tysiąca („PSZ” t. III, s. 611) tj. jedna trzecia, dokładnie 34,4 %, wzięła udział w tej akcji na Wilno. Niektóre oddziały rzeczywiście nie mogły zdążyć, ale większość tych które nie wzięły udziału ociągała się przed współpracą z sowiecką armią i odmówiła wprost lub pod różnymi pretekstami zbrojnego pomagania Sowiecom (Erdman s. 325).

Jednak współpraca AK z Niemcami nie ustawała nawet „za pięć dwunasta”. Do głównej koncentracji wojsk do akcji na Wilno AK wykorzystwała tereny na południe od miasta, подарowane jej przez Niemców. Nazywało się, że był to obszar wywalczony przez AK na stałe. Uzgodnienie koncentracji z Niemcami widać z faktu, że ani wojsko Wilka nie atakowało Niemców, ani nie było przez Niemców atakowane, co wywołało zdumienie bystrzejszych obserwatorów³⁰.

Wehrmacht do ostatniej chwili nie wierzył, że uzbrojeni przez nich Polacy zwrócą się przeciwko nim i chciał ich użyć

30. B. Wiaderny, „Paweł Jasienica”, 1991, s. 70.

do obrony ufortyfikowanego Wilna przed bolszewikami³¹. Kiedy AK jednak stanęła do walki po sowieckiej stronie, obawy Hitlera okazały się uzasadnione i Gebietskommissar Wilna-Land Horst Wulff został rozstrzelany przez SS za dostarczanie Polakom broni (Brzozowski, s. 108).

Jak wiadomo współpraca z Sowietami w akcji wileńskiej doprowadziła w ciągu kilku dni do likwidacji siły zbrojnej obszaru AK, budowanej pieczołowicie przez pięć lat.

Wilk posłał lekko uzbrojonych i nie posiadających bitewnego doświadczenia partyzantów na ufortyfikowane pozycje. Natarcie wnet się załamało (Żebryk, s. 241), ale 150 akowców poległo. Ten polski wysiłek nie odegrał w bitwie najmniejszej roli: na 20 stronach niemieckiego dziennika obrony Wilna zajmuje on 5 linijek (Żebryk, ss. 475-494), tj. 0,7%, czyli jedną czterdziestą, i poza polskimi źródłami nikt o polskim uczestnictwie w zdobywaniu Wilna nie wspomina. Tragiczne ofiary zostały zmarnowane, a po aresztowaniu dowódców wojsko (poza nielicznymi wyjątkami) rozbiegło się lub poddało się Sowietom. Wojsko akowskie więc wyraźnie „głosowało nogami” (jak Lenin powiedział przy innej okazji), przeciwko akcji na Wilno u boku Sowietów.

Wnioski

Zwycięstwo Niemiec na wschodnim froncie leżało w interesie Polski i już najwyższy czas żeby przestać uważać za czarne owce tych, którzy starali się do tego zwycięstwa przyłożyć rękę.

Wileńska AK współpracowała z Niemcami w szeregu dziedzin, najistotniejsza z nich była współpraca wojskowa, która umożliwiła AK prowadzenie walki z sowieckimi siłami — nowymi okupantami Polski.

Inne operacje AK były mniej udane i raczej nosiły piętno katastrof. Pisał mój szkolny kolega, żołnierz AK J.Z. Szłytyko:

31. R.K. Żebryk, Op. cit., s. 161 i nast. Hipoteza Żebryka, iż Wehrmacht naprawdę nie zamierzał Wilna bronić i chciał AK wpuścić do fortecy tylko w tym celu żeby na nich zwalić winę za oddanie jej Sowietom, to czysta fantazja, choćby w świetle tego jak zaciekle Wehrmacht Wilna bronił: z załogi 17,5 tys. jedynie 3 tys. żywych żołnierzy wyszło z oblężenia (Żebryk, s. 378), tj., straty wynosiły 83%.

Nie udał się eksperyment Kmicica, nie udały się operacje Burza i Ostra Brama (trzeba dodać, że nie udała się także operacja Wachlarz — ZAS). Ponieśliśmy klęskę, w rezultacie której kilka tysięcy żołnierzy wileńskich brygad partyzanckich poniosło śmierć w sowieckich łagrach i więzieniach. A kiedy pomnożyć tę klęskę przez ból, cierpienia i męczeństwo tysięcy innych, urasta (to) do znacznie większych rozmiarów („Lepsza strona czasu”, s. 221).

Wobec tych klęsk, walka z sowiecką partyzantką we współpracy z Niemcami była właściwie jedyną udaną operacją wileńskiej Armii Krajowej.

30 IV 1994

Zdzisław A. SIEMASZKO

Z.T. WIERZBICKI

GDĄŃSK — DUŻO WIĘCEJ!

Artykuł prof. K. Skubiszewskiego pt. „Gdańsk — dużo więcej” (warszawska *Gazeta Wyborcza* z dn. 3-4. 09.94), napisany przekonująco i z klarowną tezą, potwierdza na podstawie dokumentów to, co bądź już wiedzieliśmy, bądź wyczuwaliśmy intuicyjnie, wsparci znajomością poszczególnych faktów: Niemcy hitlerowskie chciały wojny! Lecz jednocześnie artykuł sugeruje, iż strona polska znalazła się w sytuacji bez wyjścia i możliwości gry politycznej.

Ponieważ odsunięcie prawdopodobnego wybuchu wojny na możliwie dalszy termin leżało zarówno w naszym jak i naszych sojuszników interesie, powstaje pytanie, czy i co Rząd polski robił w tym celu. W. Brytania, która była zdecydowana przeciwstawić się zbrojnej ekspansji Niemiec, sama nie uzbrojona (z wyjątkiem floty) szukała sojuszników na kontynencie, czyli, jak pisze Cat-Mackiewicz, kandydatów na samobójców. I znalazła Polskę, bezpośrednio zagrożoną, która była gotowa zaufać, jak

nieraz już w historii, obietnicom czy traktatom zawierany z państwami zachodnimi. Pomijam tu pewne luki i nieprecyzyjne sformułowanie traktatu wzajemnej pomocy z 25 sierpnia 1939 r., zawartego z W. Brytanią, co zostało wykorzystane później przeciwko Polsce; wymagałoby to odrębnego omówienia, i zapewne psychologicznej interpretacji!

A więc czy możliwa była „gra na zwłokę” ze strony Polski, co, oczywiście, wymagało pewnych pozornych posunięć. Tego nie próbowano, a przyjęto zdecydowanie „twardą” linię polityki, uważając że Hitler blefuje, a zdecydowane „nie”, wsparte siłą W. Brytanii (niestety tylko moralną), powstrzyma ekspansję Hitlera. Do błędu psychologicznego doszedł błąd socjologiczny, wynikający z niezrozumienia istoty hitlerowskiej totalitarnej dyktatury. Nie rozumiało jej całe społeczeństwo polskie, interesując się bardziej dalszymi romańskimi krajami niż sąsiadami: Niemcami i Związkiem Sowieckim, zwłaszcza że władze nasze utajniały wiele informacji o obu systemach (*cui bono?*). Do tego doszły inne jeszcze czynniki: nieznanomość mentalności anglosaskiej, przecenienie własnych sił i niedocenywanie przeciwnika (-ów). Częściowo wynikało to z naszego półautorytarnego systemu politycznego, który uprawiał, choć na małą skalę, „propagandę sukcesu” (np. sprawa Zaolzia — choć słuszność była po naszej stronie, reklamowanie układu z W. Brytanią, skłonności do efektownych gestów politycznych, np. operowanie pojęciem „honoru narodowego” a nie „interesu”, jak czynią to inne narody). Podobna propaganda jest i dlatego niebezpieczna, ponieważ budzi silne emocje i oparte na nich „myślenie życzeniowe”, nie tylko rządzonych, lecz i rządzących.

Zgoda na oddanie Gdańska i budowę autostrady przez Pomorze mogła, przy pewnej zręczności, odsunąć wybuch wojny, a może i skierować pierwszy impet niemiecki w inną stronę. Oczywiście, „miękka linia” polityki zagranicznej wymagała nie tylko cichego przyzwolenia ze strony sojuszników zachodnich, lecz i psychologicznego oddziaływania na własne, patriotycznie a częściowo nacjonalistycznie nastawione społeczeństwo. Być może należałoby nawiązać dialog z opozycją, powołując się tu np. na politykę Kazimierza Wielkiego, który formalnie przecież rzekł się Pomorza, by zyskać na czasie. Lecz porozumienia z opozycją obóz rządzący nie szukał i nie chciał, co miało różnorodne niepomyślnie skutki, zarówno dla społeczeństwa jak i dla niego samego. I tu przydałaby się psychologiczna interpretacja...

„Miękka” linia polityki zagranicznej utrudniłaby zapewne Hitlerowi porozumienie ze Stalinem (na marginesie: jak to było możliwe, iż Rząd nasz programowo i słusznie nieufny wobec ZSSR nie domyślał się, co kryło się za jawnym układem

Mołotow-Ribbentrop, dając się nim całkowicie zaskoczyć, co kosztowało życie setek tysięcy Polaków).

Gdyby Hitler odrzucił podobną ugodę z Polską, uważając ją za spóźnioną, czy niewystarczającą, to zdemaskowałoby to prawdziwe zamiary w oczach świata, wzmacniając jednocześnie determinację naszych sojuszników, zwłaszcza społeczeństw, które, prawdę mówiąc, nie chciały „umierać za Gdańsk”. Dałoby to nam lepszą pozycję polityczną a ponadto byłoby przyjęte przez Zachód i opinie światowe z uznaniem jako dowód naszej gotowości poniesienia ofiary — mówiąc patetycznie — „na ołtarzu pokoju i dobra” ludów Europy. Miałoby to swoje niebłahе znaczenie moralne, możliwe do zdyskontowania w polityce.

Na zakończenie mego polemicznego głosu parę uwag ogólniejszych. Sądzę, że zarówno artykuł prof. Skubiszewskiego jak i polemika wokół niego kształtowałyby ważną dla społeczeństwa kulturę polityczną, słabo na ogół rozwiniętą w Polsce; tym bardziej że ciągle brak nam poważnych, nie hagiograficznych i nie tendencyjnie negatywnych, opracowań historycznych o tzw. rządach sanacyjnych i politykach emigracyjnych. Wydaje się, że po Józefie Piłsudskim nie mieliśmy już ani mężów stanu ani wybitnych polityków. Po drugie, Polska formalnie należąc do obozu zwycięzców II wojny wyszła z niej, jeśli nie gorzej, to na pewno nie lepiej, mimo swego dużego (odpowiednio do swych możliwości) wkładu w wojnę przeciwko Niemcom, niż państwa, które bądź prowadziły „miękką” politykę wobec Hitlera, bądź nawet przejściowo znalazły się w jego militarnym obozie z własnymi armiami.

Wreszcie, już tylko przez przekorę, pozwałam sobie przytoczyć słowa „zdrajcy” i chyba również, mimo wszystko, patrioty francuskiego, marsz. Pétaina, wypowiedziane po klęsce 1940 r., że „nie dopuści do 'polonizacji' Francji”.

Z.T. WIERZBICKI

LISTY DO REDAKCJI

UWAGI O ARTYKULE „SPADOCHRONIARZE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ”

W dziale „Okrucy Historii” (*Zeszyty Historyczne* nr 108) ukazał się artykuł pióra Z.S. Siemaszko (Z.S.S.) pod tytułem „Spadochroniarze w drugiej wojnie światowej”.

Zwodny to tytuł bo zaraz w pierwszej linijce Z.S.S. wspomina Zeszyt 9 *Materiałów* (Materiały Źródła Archiwalia) wydanych przez Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, a zwodny dlatego, że Zeszyt 9 „Historia Polskiego Znak Spadochronowego” jest właśnie historią tego znaku a nie historią spadochroniarstwa czy spadochroniarzy drugiej wojny światowej.

Na dziesięciu stronach eseju na tematy historii spadochroniarstwa i innych informacji o Polskim Wojsku, oraz znanych Z.S.S. spadochroniarzach wspomina on z sympatią i uznaniem Zeszyt 9. Niestety, może na skutek tego nastawienia na historię spadochroniarzy a nie znaku spadochronowego szereg Jego wypowiedzi może wprowadzić w błąd czytelnika.

Jako autorowi omawianej publikacji wydaje mi się konieczne zrobienie pewnych sprostowań i poprawek.

Próbowałem (okazuje się bezskutecznie) przekonać autora artykułu, że ppor. Richard Tice, Amerykanin z pochodzenia i wykształcenia, przez fakt ukończenia kursu Szkoły Podchorążych w 1. Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej (1.SBS) nie stał się nagle Polakiem. Był Amerykaninem i został Amerykaninem i jako Amerykanin zginął pod Arnhem. Dlatego podtrzymuję moje twierdzenie, że śp. Richard Tice był Amerykaninem w Wojsku Polskim (str. 222).

W dalszym ciągu na tej samej stronie Z.S.S. pisze, że polegli pod Arnhem „głównie ci, których zrzucono na dalszy (północny) brzeg Renu”.

Na tym brzegu *ładował na szybowcach* głównie Dyon Artylerii Przeciwpancernej z elementami ciężkiego sprzętu brygady, natomiast całość spadochronowego rzutu brygady była *zrzucana na spadochronach* na południowym brzegu Renu. Pewna część z tego południowego brzegu, w ciągu dwóch nocy przepłynęła się na ten dalszy północny brzeg Renu i oni razem z walczącymi tam już ppancami rzeczywiście stanowili większość poległych pod Arnhem.

Przeznaczeniem 1. SBS *było* wsparcie działalności AK w Polsce. Takim typowym działaniem było Powstanie Warszawskie. Żaden z żołnierzy brygady nie uważał, że to było „szczęście (że) Brygada nie mogła być zrzucana na Warszawę”, jak uważa Z.S.S. (str. 223 — odnośnik 5). Również w tym samym odnośniku Z.S.S. podaje, że Brygada „została oddana pod dowództwo brytyjskie, za zgodą gen. Bora-Komorowskiego i gen. Tatara. Decyzji tej sprzeciwiał się jedynie gen. Sosabowski”. Nic podobnego! O losie 1. SBS decydował Rząd Polski w Londynie i Naczelny Wódz gen. Sosnkowski. Gen. Sosabowski w 1944 r. *nie* sprzeciwiał się przydzieleniu brygady pod dowództwo brytyjskie. W nia, w tych pertraktacjach. (Więcej na ten temat przedstawiłem w *Zeszytach Historycznych* Nr 98 w artykule „Walka o użycie w Kraju 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej”).

Tyle na temat głównych uwag ogólnych.

Z.S.S. sugeruje, że w *Materiałach* Zeszyt 9 mogliby się znaleźć spadochroniarze tacy jak: jeden z braci Jedwab, Zenon Kaszubski (str. 222), dr Józef Retinger, gen. Okulicki, płk Józef Spychalski, Elżbieta Zawadzka (Elisabeth Watson „ZO”), str. 227, ale ich tam nie ma. Nie ma ich z prostego powodu: ponieważ, słusznie lub nie, nie został im przyznany znak spadochronowy, a jak na wstępie wspomniałem Zeszyt 9 traktuje o historii znaku spadochronowego a nie o spadochroniarzach. W rozdziale „D-Ewidencja znaków spadochronowych” jest omówiona kwestia administracyjnych trudności przyznawania tych znaków. Kwestia np. konieczności zachowania tajemnicy była jednym z powodów.

Sposób podawania tych rzekomych braków w moim opracowaniu z pewnością wprowadza w błąd czytelników, czego dowodem jest odezwanie się do mnie jednego ze znanych i cenionych historyków: „Ale Panu Siemaszko nawytykał braków”. O uwagi poprosiłem czytelników książki i chętnie z nich skorzystam — ale słuszne.

Z przyjemnością przeczytałem ostatni ustęp tego eseju, w którym Z.S.S. porusza sprawę żołnierzy-Żydów (str. 230). Istotnie gen. Sosabowski dbał zawsze o to, aby w Jego brygadzie nie było różnic między żołnierzami różnych wyznań.

Jan J. LORYS

RADIO WOLNA EUROPA: EPILOG DO OSTATNIEGO ROZDZIAŁU

Przeczytałem właśnie obszerny wybór publikacji prasowych na temat Radia Wolna Europa. Mnożą się one w ostatnich miesiącach a dyskusje koncentrują się obecnie wokół końca rozgłośni, bądź też jej kontynuacji w zmienionej formie. Kto ma prawo do nazwy i etosu? Czy twórca Sekcji Polskiej i jej byli pracownicy, którzy uczcili niedawno w Poznaniu zakończenie misji? Czy też nowa (albo też kontynuująca starą) rozgłównia RWE Inc., działająca w Warszawie pod kierownictwem Piotra Mroczyka?

Temperatura polemik rośnie a tzw. czynniki polityczne nie pozostają obojętne, preferując — jak się zdaje — obóz skupiony wokół Jana Nowaka. Nie chodzi mi tutaj o przedmiot sporu, tylko o fakt, że w sytuacji, gdy wskaźnik emocji rośnie a całej sprawie towarzyszy gra interesów osobistych, politycznych i ekonomicznych, pewne istotne kwestie giną w ogólnym szumie nagłaśniających dyskusję mediów. Zjawisko to jest — zwłaszcza dla historyków — niepokojące, tym bardziej że chodzi o instytucję, która w najnowszych dziejach politycznych Polski odegrała tak ważną rolę.

Rozumiem łzy wzruszenia, które roniło wielu uczestników niedawnej zamykającej historię RWE akademii w Poznaniu. Dla pokoleń, które doświadczyły komunizmu w Polsce, „Wolna Europa” była niezastąpionym źródłem wiadomości, zwłaszcza w okresach napięć i kryzysów politycznych, gdy władze stosowały blokadę informacyjną i wznęgały kampanie propagandowe. Anna Walentynowicz opowiadała mi kiedyś, że o działalności Komitetu Założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych, który spotykał się kilkaset metrów od jej mieszkania, dowiedziała się z audycji RWE. Z własnych doświadczeń pamiętam, jak w okresie strajków w 1980 r., które miały później doprowadzić do powstania „Solidarności”, na komendzie UB w Krakowie grożono nam — zatrzymanym działaczom SKS — wytoczeniem procesu za przekazywanie RWE wiadomości, co funkcjonariusze interpretowali jako działalność szpiegowską. Albo — by sięgnąć do jeszcze dawniejszej historii — przypominam sobie nabożne nieomal skupienie, z którym w gronie kilku przyjaciół słuchałem przemycanej z Zachodu płyty „Kawalkada czasu” z nagraniami audycji RWE z najważniejszych momentów historycznych lat 50-tych i 60-tych. I może jeszcze jedna z zasług „Wolnej Europy”, rzadko wspomniana, jako że nie miała bezpośrednio politycznego charakteru: audycja „Telefon do Kraju”, prowadzona w pierwszym okresie stanu wojennego przez Danutę Mierzanowską — nieoceniona akcja humanitarna, dla wielu rodaków zatrzymanych za granicą przez represje w Polsce jedyna możliwość przekazania wiadomości rodzinom w kraju.

Zasług i znaczenia RWE nikt rozsądny nie będzie kwestionował, niezależnie od dyskusyjnej linii politycznej radia, zwłaszcza od późnych lat 50-tych, która była wypadkową zmian w polityce amerykańskiej wobec bloku sowieckiego — zapobiegania destabilizacji, preferowania teorii ewolucji komunizmu, aż po bezkrytyczny sojusz z pionierami pie-

riestrojki. Rzecz w tym, że historii „Wolnej Europy” nikt dotychczas nie napisał a obecne symboliczne ceremonie i inflacja pochwalnych artykułów prasowych marginalizują pytania, które należałoby wyjaśnić już teraz, dopóki żyją uczestnicy wydarzeń a materiały archiwalne umożliwiają ustalenie faktów bądź ich weryfikację.

Historia RWE jest częścią dziejów najnowszych zarówno Polski jak i stosunków Wschód-Zachód. Jeśli ostatnie lata to okres bezprecedensowego przyspieszenia historii, to tempo powstających w tym czasie mitów i legend przyprawia może zaiste o zawrót głowy. Sprzyja temu dziennikarska nadprodukcja, wyraźnie zdeterminowana przez względy komercyjalne. Jerzy Morawski poświęcił Radiu Wolna Europa książkę „Głosy z Monachium”, która może służyć jako typowy przykład nierzetelnego dziennikarstwa. Ale temat, przynajmniej, daje się sprzedać i autor umiejętnie to eksploatuje, rozpoczynając od „sensacji” — przyjazdu do Warszawy Kazimierza Zamorskiego, który jako rzekomy uczestnik gry wywiadów miał być odpowiedzialny za zatrudnienie w RWE Andrzeja Czechowicza. O jakości pracy autora książki może świadczyć fakt, że nie sprawdził nawet, iż Jan Nowak to naprawdę Zdzisław Jeziorański a chodzi wszak o postać historyczną. „Głosy z Monachium” wyprodukowano jednak szybko i spotkały się one ze sporym echem, o czym świadczyć może protest trzech byłych dyrektorów RWE przeciwko zawartym w książce nieprawdziwym wypowiedziom Zdzisława Najdera.

W niezliczonych publikacjach na temat RWE pojawia się — z reguły na marginesie — sprawa radiowych archiwów i to najczęściej jako przedmiot sporu o prawa do nich i ich przyszłą lokalizację. Tymczasem zniszczono 4/5 zasobów z 250 tysięcy kart osobowych i rzeczowych z archiwów polskich RWE, m.in. materiały dotyczące procesów politycznych, konfidentów UB, wydarzeń lat 50-tych, zbiór tematycznych wycinków z prasy. Nie są znane losy kolekcjonowanych przez „Wolną Europę” wydawnictw podziemnych i „drugiego obiegu”. Przepadły raporty ze spotkań z przybyszami zza „żelaznej kurtyny” (nierzadko przedstawicielami władz partyjnych, środowisk naukowych i twórczych), powstające w okresie, gdy działalność radia finansowała Centralna Agencja Wywiadowcza. Chodzi zatem o materiały, których znaczenie potrafi docenić nie tylko historyk. Decyzje zniszczenia podjęła dyrektura amerykańska RWE-RS, ale powodów jej nie podano a nawet sam fakt stał się znany dopiero dzięki informacjom ujawnionym przez pracowników rozgłośni. Wywiezienie archiwów do składnicy makulatury trudno chyba tłumaczyć brakiem miejsca, bowiem w tym samym czasie zwalniano pracowników i zamykano poszczególne sekcje narodowe; powstawały zatem lokalowe rezerwy. A zatem dlaczego?

Podobną akcję już kiedyś przeprowadzono. Było to w roku 1936, gdy z nominacji Roosevelta stanowisko ambasadora w Moskwie objął Joseph Davies. Roosevelt kierował polityką zagraniczną USA z — jak to ujmuje Paul Johnson — „pewną dozą niepoprawnej lekkomyślności”. Ta „niepoprawna lekkomyślność” prezydenta szczególnie zaciążyła na jego polityce wobec Stalina, w którego szczyry zamiar działania „na rzecz demokracji i pokoju światowego” Roosevelt wierzył do śmierci. Utrwalała go w tym przekonaniu żona, której wizytę w sowieckim obozie koncentracyjnym świetnie opisał Sołżenicyn w „Uśmiechu Buddy”

(fatalna rola polityczna żon amerykańskich prezydentów — od Eleonory Roosevelt po Hillary Clinton — to temat na osobną rozprawę, a szczególnie niepokojący jest fakt, że polityczne wpływy *first ladies* nie kończą się wraz z opuszczeniem Białego Domu — przykładem pani Carter, towarzysząca mężowi, nie tylko w celach turystycznych, w czasie ostatniej podróży do Korei Północnej). Nominacja Daviesa na ambasadora w Związku Sowieckim przyniosła katastrofalne następstwa. Upřednio zarówno ambasada jak i Wydział Europy Wschodniej w Departamencie Stanu dysponowały względnie rzetelnymi informacjami na temat ZSSR. Łatwowierny Davies otrzymał od Roosevelta polecenie zdobywca zaufania Stalina za wszelką cenę. Pięć miesięcy po objęciu stanowiska przez ambasadora Wydział Europy Wschodniej został zlikwidowany, archiwa zniszczone a biblioteka rozproszona. George Kennan pisał później w pamiętnikach, że siedząc w ambasadzie w Moskwie poczuł „woń rosyjskich wpływów w wyższych sferach rządowych”. Woń utrzymywała się dory do długo a jej działania nie trzeba chyba przypominać.

Pro memoria chciałbym odnotować w tym miejscu jeszcze jeden fakt, z myślą o przyszłych historykach. Był rok 1981, z wizytą do Paryża przybyła delegacja "Solidarności" z Lechem Wałęsą na czele. Jego konferencji prasowej towarzyszyło zrozumiałe zainteresowanie. Poszedłem tam niejako przez grzeczność, towarzysząc angielskiej dziennikarce Wierze Rich, z którą akurat byłem w tym dniu umówiony. Na konferencję sam się nie wybierałem, bowiem nie lubię ani ścisłu ani prasowych sensacji. Ale skoro już tam byłem to postanowiłem skorzystać z okazji i zapytać właśnie o „Wolną Europę”. Dlaczego „Solidarność” nie zrobiła nic, aby zaprotestować przeciwko zagłuszaniu RWE? Nic, aby podkreślić rolę tej instytucji w okresie, gdy jednym z najważniejszych punktów konfliktu z władzami była właśnie sprawa środków przekazu? „A niech oni sobie zagłuszają — odpowiedział Przewodniczący — my i tak robimy swoje”. Czyli sprawa nieważna...

Już wiosną 81 r. rozmawiałem z kolegami z Sekcji Kultury Zarządu Regionu „Małopolska” na temat jakiegoś wystąpienia w sprawie RWE, nawet zaproponowałem projekt oświadczenia, które można było ogłosić w związkowej prasie. Ale akurat trwały konflikty personalne i spory o kompetencje, sprawa zesłała zatem na drugi plan w ogólnym zamieszaniu. Bezpośrednio przed wyjazdem z kraju w czerwcu '81 napisałem wraz z Antkiem Pawlakiem, poetą a wówczas działaczem "Mazowsza", list na temat „Wolnej Europy” (zachowałem go gdzieś w starych papierach), który miałem później przekazać prasie na Zachodzie. Z działaczy „Solidarności” wojażujących wówczas po Europie idei nie poparł nikt a pisma, do których się zwróciłem, zainteresowania nie wykazały. Jedyny chyba sukces to namówienie przebywającego w 1981 r. we Francji Stefana Kisielewskiego, aby udzielił RWE zupełnie normalnego wywiadu, jak każdej innej rozgłośni. I rzeczywiście był to pierwszy wypadek, gdy przybysz z kraju wystąpił *in persona* w programie „Wolnej Europy”.

A zatem w okresie, gdy rozgłośnia była niezastąpiona i jedyna, jakoś nikt z przyszłych architektów postkomunistycznego ładu specjalnie się o nią nie troszczył. Teraz zaś, gdy nie ma już ani komunistycznego wroga, ani konfliktu Wschód-Zachód a dawni dysydenci zasiadają w parlamentach i radiokomitetach, zamknięcie „Wolnej Europy” staje się

sprawą wagi państwowej i prowadzi niemalże do dyplomatycznego kryzysu. Powstała nawet osobliwa międzynarodówka obrońców — prezydenci, premierzy; dołączył do nich sam Michaił Gorbaczow. Wszyscy chcą nagle Radia Wolna Europa i Radia Swoboda, rzecz jasna za pieniądze Stanów Zjednoczonych, choć USA są *de facto* bankrutem, bowiem wpływy z podatków nie wystarczają nawet na spłatę odsetków od gigantycznego zadłużenia państwa (4 biliony \$ deficytu budżetowego to, jak słusznie podkreśla atakowany przez zwolenników RWE senator Feingold, jedno z najpoważniejszych zagrożeń dla stabilizacji i bezpieczeństwa państwa). A i w argumentach obrońców trudno jakoś doszukać się konkretów. RWE, którego w ostatnim okresie słuchał bodajże 1% dorosłej populacji, ma pomóc w trudnym okresie przechodzenia do demokracji i kapitalistycznej gospodarki. Wszystko to rozgrywa się w kraju, który, jak podkreślił w Poznaniu prezydent R.P., jest wszak wolny i demokratyczny i który, dodajmy, może poszczycić się nie tylko bogatszą tradycją demokracji i tolerancji niż potencjalni dobroczyńcy zza oceanu, ale także wielowiekowym udziałem w cywilizacji chrześcijańskiej. A i z niej, jak sądzę, można czerpać recepty na leczenie dolegliwości „okresu przejściowego”.

Czytam teksty patetycznych przemówień wygłoszonych w Poznaniu i prasowe wywody o błędnej decyzji Waszyngtonu — i szczerze powiedziałem — nie bardzo rozumiem o co w tym wszystkim chodzi. A może po prostu w Polsce liczne ceremonie, obchody rocznic, akademie i kult symboli stają się już nie tylko stylem polityki, ale samą jej treścią?

VII '94

Tomasz MIANOWICZ

9 sierpień 1994

Drogi Panie Redaktorze,

W Przeglądzie Polskim (*Nowy Dziennik* z 14 lipca br., Nr 6079), przeczytałam recenzję *Zeszytów Historycznych* (zeszyt 108), pióra prof. Jerzego Krzyżanowskiego podpisującego się inicjałami JRK. Ponieważ prof. Krzyżanowski poświęca nieco miejsca omówieniu mego eseju („Notatki z amerykańskiej prowincji 13.12.81–20.01.82”), zamieszczonego w tym *Zeszyt*ie i ponieważ z omówieniem tym się nie zgadzam, proszę uprzejmie Pana Redaktora o zamieszczenie w *Zeszytach Historycznych* mego listu.

Prof. Krzyżanowski pisze: „Wspomnienia o sprawach bardziej współczesnych publikuje prof. Danuta Mostwin, pisząc o swoich reakcjach na wprowadzenie stanu wojennego w grudniu 1981. Jej cenne uwagi o wielu akcjach podejmowanych w tym okresie przez nią i jej najbliższych...”.

Pan prof. Krzyżanowski nie zauważył widocznie tego co napisałam

i chciałam zarejestrować bardzo wyraźnie. Akcja „Maryland Action for Poland” nie była podejmowana przeze mnie i moich najbliższych, chociaż owszem uczestniczyliśmy w tym ruchu. Była to akcja całego stanu Maryland, 200.000 Polonii. Prowadziła ją oficjalnie senator US Barbara Mikulska, włącznie w akcję byli prezydenci trzech uniwersytetów: Loyola College, Maryland University i Johns Hopkins University. W Komitecie Maryland Action for Poland brał udział gubernator Stanu William Donald Schaefer, a uroczystą mszę odprawiał arcybiskup Borens. Trudno mi zrozumieć czy prof. Krzyżanowski nie przeczytał tego co napisałam, przeoczył, bo nie posądzam go o intencję umniejszania akcji Polonii w Maryland. A jednak tak to odebrałam.

Następny punkt, który chcę wyjaśnić, to uchwały na Kongresie Polonii 16 stycznia 1982 r., w Chicago. Prof. Krzyżanowski stwierdza „z całą stanowczością, że tego rodzaju niepoważne propozycje jak projekt stworzenia tu armii polskiej i sugestia, aby Mazewski przeprowadził głódówkę przed Białym Domem, dopóki Reagan nie zmusi Jaruzelskiego do zniesienia stanu wojennego w Polsce ...nie były dyskutowane przez grono ludzi poważnych i zatroskanych konkretną pomocą dla Polski, a nie fantazjujących, jak dzieci”.

Stwierdzam z nie mniejszą stanowczością, że to co powiedział w rozmowie telefonicznej Andrzej E. (Padł projekt stworzenia tu armii polskiej, ale nie przeszedł) i to co przetelefonował Wacław Bniński („Dzieckoński zdawał relację w Waszyngtonie, że jedną z sugestii na zjeździe było, aby Mazewski przeprowadził głódówkę itd.) usłyszałam i zanotowałam błyskawicznie w moim dzienniku pod datą 19 stycznia 1982 roku.

Idąc dalej po linii krytyki prof. Krzyżanowskiego, należałoby sprostować to co w tej samej rozmowie z Ann Arbor do Baltimore przetelefonował Andrzej E., a mianowicie, że „wróbel siedzi teraz na Literaturze Francuskiej. Siedzi cicho, bo mu ciepło, a Blanka karmi go jajkiem”. Należałoby napisać raczej, że wróbel siedzi na książce, bo jeszcze literatura francuska mogłaby się poczuć urażona tak niepoważnym skojarzeniem. To, że mu (wróblowi) ciepło i że Blanka karmi go jajkiem pozostałoby bez zmiany.

Łączę wyrazy szacunku,

Danuta MOSTWIN

11 sierpnia 1994

Szanowny Panie Redaktorze,

We wstępie do moich wywiadów drukowanych w Nr 108 *Zeszytów Historycznych* popełniłem następujące pomyłki:

Andrzej Strumiłło — powinien być Andrzej Skoczylas

Krzysztof Baranowski — powinien być Tomasz Trafas
i wywiad z Jackiem Fedorowiczem odbył się po angielsku a nie po
polsku.

Wszystkie wymienione osoby gorąco przepraszam.

Z wyrazami szacunku

Bohdan W. OPPENHEIM

21 czerwca 1994

Szanowny Panie Redaktorze,

W recenzji pod tytułem „Studia nad historią wojskowości krajowej i emigracyjnej” (?) zamieszczonej w *Zeszytach Historycznych* (Nr 8/1994) p. Tadeusz Wyrwa postanowił ustalić kto jest autorem pracy „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych”, po czym zawyrokował, że jest to przedruk z *Zeszytów Historycznych*. W rzeczywistości było zupełnie odwrotnie:

Pracę pod tytułem „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych w Świetle Dokumentów Rządu R.P.” ukończyłem w roku 1961 w ramach studiów nad tematem w Szkole Nauk Politycznych w Londynie i tamże znajduje się jej oryginał. W tym samym czasie, Komisja Wojskowa Rady Rzeczypospolitej, pod przewodnictwem p. Jerzego Scibora, zwróciła się do mnie o wyjaśnienia pewnych okoliczności. Dałem tym panom kopię mojej pracy, za co otrzymałem podziękowanie i pokwitowanie, po czym powróciłem na Daleki Wschód.

W dziesięć lat później, zastał mnie w Londynie generał Kuropieska, którego skierował do mnie komandor Bogdan Wroński z Instytutu Polskiego z poleceniem zaznajomienia go z moimi studiami. Otrzymał ode mnie kopię mojej pracy, po czym znów oderwałem się od angielskiego środowiska.

W roku 1981 „Czytelnik” wydał książkę gen. Kuropieski p.t. „Misja w Londynie”, w której cytaty z mojej pracy wypełniły 1044 wierszy, czyli przeciętnie 30 stron. Znajduje się tam także długi odsyłacz, opisujący nasze spotkanie oraz tłumaczący się z długości cytat.

W międzyczasie, w *Zeszytach Historycznych* (Nr 35, 1976) p. Z.S. Siemaszko ogłosił wyjątki z mojej pracy podpisane przez p. Bronisławę Łokaja. Pan Łokaj korzystał zapewne z kopii przeznaczony dla Komisji Wojskowej, sądząc że moje szanse powrotu są tak znikome, iż nie będzie potrzebował się tłumaczyć. Co się zresztą sprawdziło, bo w kilka lat później p. Łokaj uniknął konfrontacji przenosząc się na adres, pod którym wszyscy zamieszkamy.

Konsekwencje nie dały na siebie długo czekać. Korzystając z tego samego źródła, prof. Aleksander Gella powołał się na pana Łokaja, jako autora artykułu opublikowanego w *Zeszytach Historycznych* (Buffalo University, *Znaki Czasu* Nr 9, 1988).

Wreszcie w roku 1992, Zarząd Główny Związku Karpaczków 3 DSK wydał tom II historii Trzeciej Dywizji Strzelców Karpackich. Znalazł się tam rozdział pt. „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych”, którego autorem jest p. Mieczysław Skowroński. W rozdziale tym znalazły się liczne ustępy skopiowane z mojej pracy bez cudzysłowów i podania źródła. Także w przypisach znalazły się cytaty dokumentów bez podania źródła z którego zostały zaczerpnięte. Zarządowi Związku Karpaczków zwróciłem uwagę na plagiat i przesałem listę skopiowanych ustępów.

Łączę wyrazy poważania

P.A. SZUDEK

Los Angeles, 6. 6. 94

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W 106 numerze *Zeszytów Historycznych*, który dość późno dotarł nad Pacyfik, przeczytałem ze zdziwieniem artykuł p. Zdzisława A. Siemaszki, pt. „Wileński Goniec Codzienny”.

Pokwitowałbym ten artykuł wzruszeniem ramion gdyby nie fakt, że autor forsując swoją tezę współdziałania A.K. z Niemcami (jakżesz to mi przypomina głosy propagandy sowieckiej w czasie wojny) powołuje się między innymi (w przypisach na str.22) na moją książkę „Lepsza strona czasu”. Pisząc o rozbiciu przez sowieckich partyzantów oddziałów A.K. Kmicica nad Naroczą i Zgrupowania Stołpeckiego w Puszczy Nalibockiej, p. Z.A. Siemaszko konkluduje: „Niemcy w obu wypadkach wnet zaproponowali pomoc w broni, amunicji i zaopatrzeniu; oferty te zostały przyjęte za aprobatą odnośnych komendantów okręgów i oddziały AK zaczęły zwalczać sowiecką partyzantkę”.

Powyższe twierdzenie jest oczywistą nieprawdą. Po pierwsze — po rozbiciu Brygady Kmicica Niemcy nie mieli komu proponować współpracy, bo Kmicic wraz z osiemdziesięcioma swoimi żołnierzami został rozstrzelany; po drugie — rotmistrz Zygmunt Szendzielarz-Łupaszko, który w tym czasie znajdował się w drodze do polskiej bazy nad Naroczą, *nigdy* z Niemcami nie współpracował. Prawda, zarówno u Kmicica jak i u Łupaszki było dużo broni niemieckiej, ale braliśmy ją NA POLU BITWY, z martwych rąk, a płaciliśmy drogą cenę. Starć z Sowietami ani Kmicic ani Łupaszko nie szukali, a chociaż na koncie Łupaszki było ich dużo, wszystkie miały charakter samoobrony.

P. Z.A. Siemaszko pisze dalej o skargach Białorusinów, cytując: „AK wykorzystała wówczas te sprzyjające dla siebie warunki do przeprowadzenia akcji typu jaki w b. Jugosławii uzyskała miano etnicznego oczyszczania terenu, tj. po prostu likwidowała niepolską ludność” (str.23). P. Z.A. Siemaszko w następnym zdaniu przyznaje, że nie zebrał na ten temat dostatecznego materiału, ale sądzi, że tak się istotnie

działo. Krótko mówiąc, nie mając podstaw, zarzuca Armii Krajowej ludobójstwo! Tego żeśmy jeszcze nie słyszeli.

P. Z.A. Siemaszko nie bierze pod uwagę, że Białorusini obecnie skarżący się na Polaków nie są tacy bardzo „postkomunistyczni”. Wiadomo, że ciągle u nich są żywe tradycje stalinowskie.

Co do powiązań Józefa Mackiewicza z *Gońcem Codziennym*, w artykule p. Z.A. Siemaszki znalazłem nie mniej zadziwiający nonsens. Pisze on: „Z relacji Świącickiego widzimy, że powodem dla czego Józef wywierał wpływ na obsadę redaktorskiego stanowiska było pragnienie wykorzystania tego niemieckiego prasowego organu do obrony spraw polskich” (str. 8). Brzmi to tak samo jak gdyby ktoś chciał postąpić się wilkiem dla obrony stada owieczek! Albo dalej — cytuję:

„Chociaż Mackiewicz sam uważał, że wielu Polaków haniebnie kolaborowało z Sowietami, na zewnątrz, to jest wobec Niemców i Litwinów, poczuwał się do polskiej solidarności i pragnął bronić Polaków przed zarzutem prosowieckości”.

W powyższym widzę logikę następującą: w obronie dobrego imienia Polaków przed zarzutem kolaboracji z Sowietami należało kolaborować z gadzinówką niemiecką, którą w Wilnie powszechnie nazywano, jak sam p. Z.A. Siemaszko przyznaje, „podgońcem”.

Z poważaniem,

J. Dzisiaj SZYŁEYKO

Drogi Panie Redaktorze!

Pierwszy już paragraf listu p. P.A. Szudka świadczy o jego zdenerwowaniu, jakie wywołała moja uwaga o potrzebie ustalenia nazwiska autora opracowania, o którym mowa. Szkoda, bo trzeba było wreszcie spokojnie wyjaśnić a nie zagmatwać jeszcze bardziej całą sprawę. P. Szudek pisze, że Wyrwa „postanowił” i „zawyrokował”. Otóż historyk nie jest sędzią i nie wydaje wyroków. Elementarnym zaś obowiązkiem historyka jest dążenie do ustalenia prawdy w oparciu o konkretne fakty. Wychodząc z tego, jedyne do przyjęcia założenie jest rzeczą nie do pomyślenia, żeby można było omawiać artykuł i nie zainteresować się bliżej kto jest jego autorem.

Przypomnijmy fakty na podstawie tego, co zostało dotychczas opublikowane: na łamach *Zeszytów Historycznych (Z.H.)* nr 35 ukazuje się obszerne opracowanie pt. „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945–1946”, przygotowane do druku przez p. Z.S. Siemaszkę i opatrzone nazwiskiem Bronisława Łokaja. W następnym nr *Z.H.* (36), w liście do Redakcji, Łokaj wyjaśnia, że autorem tego opracowania nie jest on lecz Komisja Wojskowa, której przewodniczył i która wyniki swoich trzechletnich

prawie badań przedstawiła w grudniu 1961 roku Radzie R.P. w formie broszury pt. „Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945–1946 w świetle dokumentów”. Z kolei Rada ta wezwała Rząd R.P. do wydania tej broszury, do czego jednak nie doszło i dlatego Łokaj wysłał to opracowanie Panu Redaktorowi, który je opublikował w 1976 roku, po uprzednim przygotowaniu do druku przez Z.S. Siemaszkę.

Po ukazaniu się tego opracowania w *Z.H.* i wyjaśnieniu Br. Łokaja, że jest to opracowanie Komisji Wojskowej, nie było nigdzie żadnego sprostowania, co potwierdzało, iż chodziło o zbiorową pracę tej Komisji, w której być może, czego nie wiem, uczestniczył również p. Szudek, wykorzystując następnie materiał w Szkole Nauk Politycznych w Londynie.

Przekazanie tego opracowania do Polski — zamiast opublikowania go na emigracji — na ręce Józefa Kuropieski, który wykorzystał je w swojej książce, jaką wydał *Czytelnik* w 1981 roku, bez żadnej nawet wzmianki o wkładzie Komisji Wojskowej w przygotowanie opracowania, o którym mowa, jest już samo w sobie znamienne.

P. Szudek ubolewa również, że prof. Aleksander Gella powołał się w swoim studium (*Znaki Czasu* nr 9 i 10/1988) na Łokaja, jako autora artykułu w *Z.H.* o likwidacji PSZ. Dlaczego przeto p. Szudek nie wysłał wyjaśnienia do redakcji *Znaków Czasu*? Nie zareagował zresztą już dawniej na publikacje w *Z.H.* z 1976 i zabiera głos dopiero teraz przy party do muru moją recenzją. Gorzej, bo w swoim tłumaczeniu używa niezbyt chwalebnych argumentów, a mianowicie, że Łokaj sądził iż Szudek nie wróci z Dalekiego Wschodu i w ten sposób uniknie z nim konfrontacji, od której wybawiła Łokaja śmierć. Jest to całkowite odwrócenie sytuacji, gdyż raczej p. Szudek liczył chyba na to, że poumierają członkowie Komisji Wojskowej, współautorzy opracowania, które obecnie przypisuje sobie.

W ostatnim paragrafie listu p. Szudek biadoli nad jednym z rozdziałów tomu II (którego nie znam) historii *Trzeciej Dywizji Strzelców Karpaccich*, że autor tego rozdziału skopiował liczne ustępy z jego (!!) pracy bez podania źródła, zapominając jednak o tym, że on sam zapoczątkował ten proceder. Cała ta sprawa jest jednym przykładem więcej jak trudno jest już teraz — a cóż dopiero będzie w przyszłości — odtworzać fakty, bez których najnowsza historia Polski, a zwłaszcza dzieje wojennej emigracji, nie będą znane zgodnie z rzeczywistością i oceniane tak, jak na to zasługują.

Łączę najlepsze pozdrowienia

Tadeusz WYRWA

SPROSTOWANIE

W 104-tym numerze *Zeszytów Historycznych* został zamieszczony dokument „Komitet Obrony Państwa”. Redakcja zapomniała dodać, że ten dokument był opracowany przez p. Andrzeja Grzywacza i opatrzony wstępem i przypisami. Redakcja przeprasza za to niedopatrzenie.

SPIS TREŚCI

Ewa Pałasz-Rutkowska — Andrzej T. Romer: <i>Współpraca polsko-japońska w czasie II wojny światowej</i>	3
Józef Łaptos, Grzegorz Mazur: <i>Kampania wrześniowa w świetle raportów belgijskiego attaché wojskowego w Berlinie</i>	44
Edward Kossoy: <i>Gęsiówka (KZ Warschau)</i>	62
Andrzej Grzywacz, Grzegorz Mazur: <i>Ruch prometejski w Polsce</i>	74
Bohdan Skaradziński: „ <i>Telefony</i> ” <i>Lenin-Piłsudski</i>	86
Tomasz Mianowicz: <i>Archiwa, media, postkomunizm (Uwagi historyka)</i>	93
Stanisław Sławomir Nicieja: <i>Pośmiertne życie polskiego Lwowa</i>	110

DOKUMENTY

Andrzej Essen: <i>Rozmowa Beneš-Beck (3 lutego 1933 r. w Genewie)</i>	119
---	-----

RECENZJE

Tadeusz Wyrwa: <i>Zeszyty Historyczne WiN-u (Z dziejów poakowskiego podziemia)</i>	133
Józef Łaptos: <i>Przyczynek do biografii A. Mühlsteina</i> ...	151

OKRUCHY HISTORII

Jerzy Stempowski o <i>Żydach</i>	156
Hanna Świdorska: <i>1944: Jak zdobyć „brytyjskie informacje” z Polski</i>	161

Jerzy R. Krzyżanowski: <i>To nie sztuka zrobić KUK-a</i>	168
Mirosława Kruszevska: <i>Panna Maria, Teksas — czyli Polacy na uranie (140 lat pierwszej polskiej osady w Ameryce)</i>	178
Z.S. Siemaszko: <i>Rosyjski wiersz o wyjeździe armii gen. Andersa</i>	188
Janusz Kowalewski: <i>Lista profesora — komendanta Akapjana</i>	194

WOLNA TRYBUNA

Zdzisław A. Siemaszko: <i>Wileńska AK a Niemcy</i>	198
Z.T. Wierzbicki: <i>Gdańsk — dużo więcej!</i>	222

LISTY DO REDAKCJI

Jan J. Lorys: <i>Uwagi o artykule „Spadochroniarze w II wojnie światowej” Z.S. Siemaszki (Zeszyty Historyczne Nr 108)</i>	225
Tomasz Mianowicz: <i>Radio Wolna Europa: Epilog do ostatniego rozdziału</i>	227
Danuta Mostwin: <i>Odpowiedź J.R. Krzyżanowskiemu na jego uwagi o jej artykule (Zeszyty Historyczne Nr 108)</i>	230
Bohdan W. Oppenheim: <i>Sprostowanie do jego wywiadów (Zeszyty Historyczne Nr 108)</i>	231
P.A. Szudek: <i>Sprostowanie do artykułu Tadeusza Wyrwy odnośnie „Likwidacji Polskich Sił Zbrojnych” (Zeszyty Historyczne Nr 108)</i>	232
J.Z. Szyłytko: <i>Krytyka tez Z.A. Siemaszki w artykule „Wileński Gонец Codzienny” (Zeszyty Historyczne Nr 106)</i>	233
Tadeusz Wyrwa: <i>Uwagi na temat listu P.A. Szudka i przypomnienie faktów</i>	234
Andrzej Grzywacz: <i>Sprostowanie w związku z niedopatrzeniem Redakcji (Zeszyty Historyczne Nr 104)</i>	236

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 5 NOVEMBRE 1994
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 4^e trim. 1994
N° d'imprimeur : 3392

Photocomposition : AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram
75008 Paris

